

BOJOWNICZKA JEDYNEGO BOGA

Paweł Arciszewski

BOJOWNICZKA JEDYNEGO BOGA

Łk 2021

Paweł Arciszewski

Bojowniczką jedyne go Boga

© Copyright by Paweł Arciszewski 2021

Ełk 2021

REDAKCJA I KOREKTA

Olga Hollek

Siła Słowa

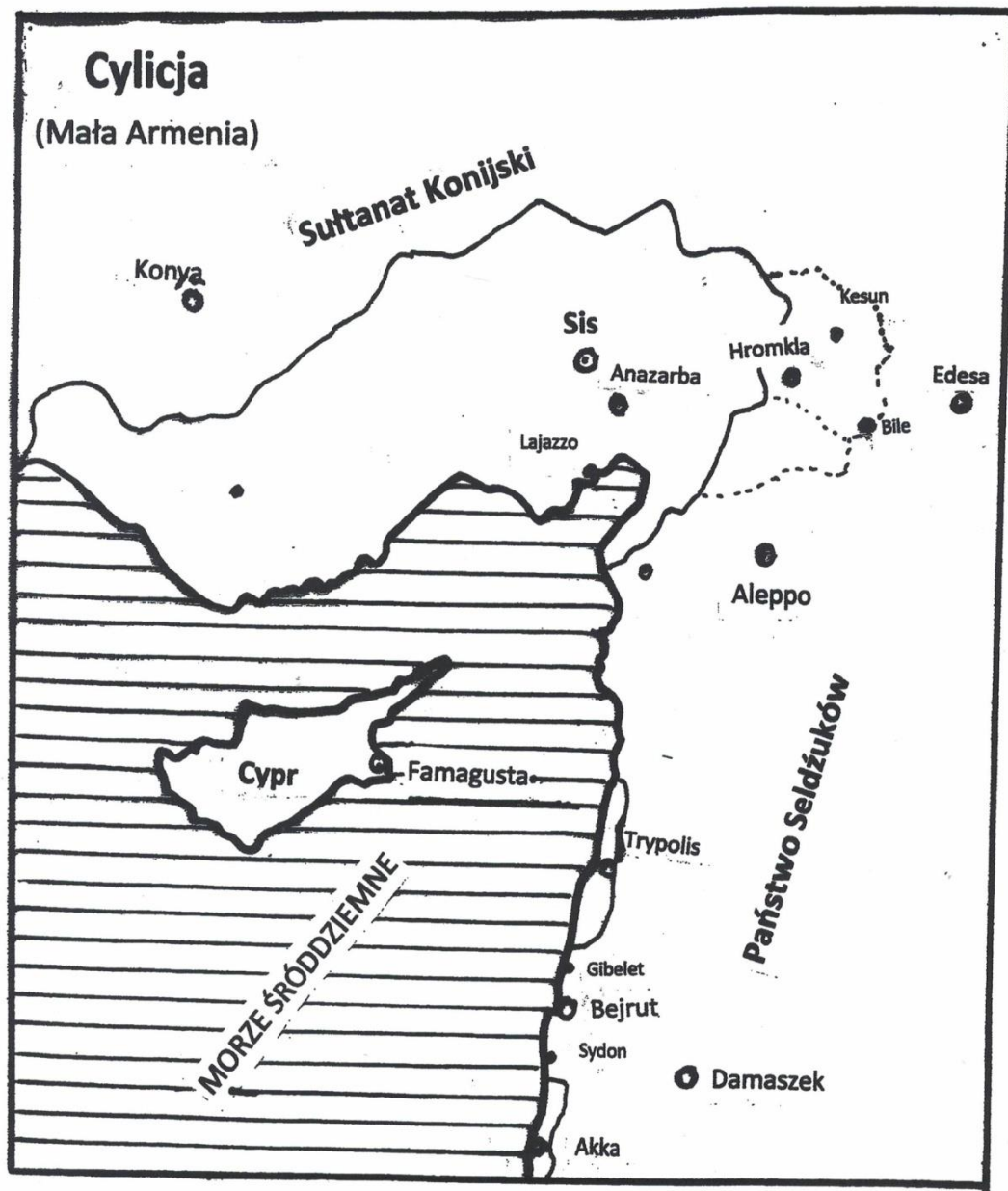
e-mail: silaslowa@o2.pl

tel.: 606 339 080

PROJEKT OKŁADKI

Jacek Rembowski, irem.pl

Żaden fragment niniejszej publikacji nie może być kopiowany, przechowywany w jakimkolwiek układzie pamięci i transmitowany elektronicznie, mechanicznie, za pomocą fotokopii, nagrań lub w jakimkolwiek inny sposób bez wcześniejszej pisemnej zgody Autora.



----- Ziemie przyłączone po wycofaniu armii Halugu -Chana

PROLOG

Armenia borykała się z najazdami Turków i Saracenów, jednak jej mieszkańcy dzielnie odpierali ataki rycerzy Mahometa. W końcu byli Ormianami, od wieków wierzyli w Jezusa, przegrana wojna groziła im zmianą wyznania. Wieści o zbliżającej się ordzie Mongołów budziły nadzieję.

– Nadchodzi koniec islamu – powtarzali wszyscy.

Prawda okazała się inna.

W **1237 roku** Armenię najechały wojska Czyngischana, które zniszczyły osadę Orbę, a mieszkańców wzięły w jasyr. Jeńców pędzili przez dziesięć dni. Zola miała siedem lat, szła razem z bratem wśród dużej grupy dzieci, zastanawiając się, czy rodzice przeżyli.

Utworzono dla nich obóz na peryferiach miasta, którego nazwy nawet nie znali. Codziennie dużą grupę prowadzili na targ. Pierwszego dnia zabrali wszystkich starszych chłopców. Żaden z nich nie wrócił, jej brat również.

Dowódca zgrupowania czterdzieści pięć dziewcząt oddał młodemu atamanowi – Azabajowi, wymagającemu, acz opanowanemu dowódcy. Był dla nich łagodny, szkolił je w walce, a jednocześnie uczył pisać, liczyć i wielu innych rzeczy. Specjalnie dla nich z Chin sprowadził nauczycieli walki, dzięki którym stały się sprawnymi szermierzami, łuczniczkami i świetnie umiały posługiwać się lancą w szyku. Po sześciu latach stanowiły jego osobistą ochronę.

W oddziałach szło tysiące wojowników, jednak żaden nie zbliżał się do obozu dziewcząt, były nietykalne. Miały dostęp do medyków, lecz w walce ich nie faworyzowano.

Pierwszy raz w polu walczyła, mając siedemnaście lat. To nieprzyjemne wspomnienia. Potem było już łatwiej, chociaż dziewczyny ginęły.

Po śmierci Jerby wyznaczyli ją na dowódczynię.

Wojna nie ustawała, co kilkanaście dni był bój. Straciła rachubę, z kim walczyli. Bili Saracenów, Turków i wojska krzyżowców. Doszła do wniosku, że wszyscy wokół to wrogowie.

1249 rok

Dołączył do nich półtora tysięczny oddział rekrutów z Kaukazu. Wódz skreślił armię na południe. Wieści głosiły, że idą na Egipt. Nikomu się to nie podobało.

Rozłam nastąpił po czterech dniach od wymarszu. Zola chciała obchodzić swoje dziewiętnaste urodziny, przeszkodziła jej w tym narada dowódców.

– Mam nieprzyjemne wieści – powiedział Azabaj. – Nasz naczelny wódz, Muzabok, zdradził chana i chce przyłączyć nasze wojska do mameluków. Większość naszych pochodzi spod Kaukazu i islamiści byli ich wrogami. Wielki chan podbił Ormian, ale mogliśmy zachować swoją religię. Saraceni narzucają wiarę Mahometa, dlatego proponuję zawrócić i iść w kierunku Morza Czarnego. Mamy na tyle siły, by dojść do Kaukazu.

Wielu dowódców miało odmienne zdanie.

– Porozmawiam z każdym na osobności, chcę znać waszą opinię – dodał, kończąc zabranie.

Pierwszą zawołano Zolę.

– Co myślisz? – spytał. – Czy warto dołączyć do wojsk sułtana, czy lepiej uciekać? Chcę usłyszeć szczerą odpowiedź. Nie spotka cię kara, nawet jak słowa będą mi nieprzyjemne.

– Mogę mieć swoje zdanie? Jestem niewolnicą, włączoną na siłę do twojej armii.

– Saraceni to nasi główni wrogowie.

– Orbę spalili Mongołowie, mieszkańców pozabijali lub wzięli w jasyr. Gdy byłem dzieckiem, oddali mnie tobie jako niewolnicę. Nie znam życia na wolności.

– Pomimo to, nadal jesteś chrześcijanką.

– Ostatni raz w kościele modliłam się jako dziecko. Od tamtych czasów jedyny kościół, jaki widziałam, to ten, który spaliliśmy.

– W wojsku często zdarzają się nieodpowiedzialni dowódcy. Ja również jestem Ormianinem. Do wojsk chana przyłączyłem się dobrowolnie. Z drugiej strony Kaukazu również brali w jasyr, ale miast nie palili. Sześć lat walczyłem u boku Mongołów, gdy przydzielono mi was. Nie była to nagroda, a obowiązek. Chan dowiedział się o chińskich oddziałach kobiecych i zapragnął taki mieć, ale nasz wódz nie wiedział, jak z wami postępować... W tej chwili chodzi o wiarę. Muzabok myśli, że jak pozwolą mu założyć własny emirat, to każdy będzie mógł wyznawać swoją religię, ale wojownik mameluków musi przyjąć wiarę islamu. On chyba o tym nie wie, lub został wprowadzony w błąd.

– Co nas czeka, jeżeli zawrócimy? – zapytała Zola.

– Jak uda się nam dotrzeć do Kaukazu, zaszyjemy się w górach, stworzymy własną enklawę i nie będziemy podlegać sułtanowi ani Mongołom.

Zola zapomniała o swoich urodzinach, długo rozmawiała z dziewczynami – wszystkie chciały zawrócić. Światło w wozie Azabaja paliło się do świtu, a następnego dnia nie zwijali obozu.

Dopiero po trzech dniach ruszyli w kierunku Kaukazu. Trzytysięczną armię trudno ukryć, na pomoc nie mogli liczyć, a wiadomość o ich ucieczce na pewno dotarła do Muzaboka. Zapas żywności obliczano na dwa tygodnie, wystarczy, aby dotrzeć do osad przy Morzu Czarnym.

Po pięciu dniach marszu zwołano zbiórkę dowódców.

Stłoczyli się przy wozie wodza. Nim zaczął mówić, przyglądał się im dłuższą chwilę.

– Zaszli nas od przodu z ponad czterotysięczną armią i zajęli pozycje obronne. Tysięczny oddział to mamelucy, mają maszyny miotające, reszta to

oddziały dowodzone przez Karachira. Idziemy między rzeką a lasem. Nie ma jak im uciec. Musimy zatem stanąć do boju...

Wieczorem, w czasie rozbijania obozu, Azabaj zwołał wszystkie dziewczęta. Zmęczone i głodne stłoczyły się przy jego wozie, tęskniąc za odpoczynkiem pod płachtą namiotu.

– Wojska Muzaboka są trzy godziny marszu od nas – zaczął łagodnym tonem. – Swoje tabory rozstawili przy rzece, na płaskim pagórku. Od naszej strony odgradza je szeroki pas bagien, ale przy nurcie rzeki rosną drzewa. Można się tamtędy zakraść. Mam zamiar was tam wysłać.

– Tam na pewno jest ochrona – przerwała mu Zola.

– Ich ochronę stanowi pięćdziesięciu mameluków. Trzeba doliczyć służących i obsługę katapult. Mają pięć machin miotających i osiem wozów z pociskami zapalającymi. Przed rozpoczęciem bitwy należy unieruchomić katapulty. Gdy uderzycie niespodziewanie, macie szansę ich pokonać. Jeżeli udałoby się wam odwrócić maszyny na ich wojsko i wystrzelić przynajmniej kilkanaście pocisków, to zagwarantowałybyście nam przewagę. Wyruszyście z samego rana. Na miejsce powinniście dotrzeć na godzinę przed rozstawieniem mego wojska.

Pierwszy raz powierzał im samodzielne, odpowiedzialne zadanie.

Azabaj upodobał sobie Grejs, często spała w jego łóżu i tym razem poprosił ją na noc.

Obudziło go pukanie w ścianę. Delikatnie wysunął się spod nakrycia, by nie obudzić dziewczyny.

Przyszedł dowódca wywiadu.

– Panie, tak jak się spodziewaliśmy, dodatkowy oddział poszedł do lasu przy rzece, prawdopodobnie zwiększą ochronę taborów. Przy drodze prowadzącej za bagna rozlokował lekką jazdę. Oni też mogą stanowić

ochronę, chociaż niekoniecznie, ponieważ Muzabok trochę dalej będzie miał swoje stanowisko dowodzenia.

– Znalazł dobre miejsce na tabory, z tej strony nie można na nie uderzyć, pomimo to musi ich bronić.

– Panie, my musimy się bronić, ich jest więcej.

– Jemu chodzi o zastraszenie moich ludzi i przyłączenie ich do swego wojska. Zwycięska bitwa, to dla niego przegrana. Mamelukom obiecał trzy armie, a ja ze swoją odchodzę na północ. Chce nas zawrócić. Odwrócił się od chana, zostawił go bez wojska na tym terenie. Musimy zwyciężyć lub zginąć, w każdym z tych przypadków on ponosi klęskę.

– Panie, czy jest szansa, że zwyciężymy?

– Musi być. Gdy się poddamy, stracimy dusze.

Wywiadowca wyszedł. Azabaj popatrzył na Grejs, poruszyła się, ale chyba spała. Przytulił się do niej. Zostało jeszcze trzy godziny snu, jutro powinien być wypoczęty.

Coś stuknęło. Podniósł głowę. Dziewczyna była już ubrana, przypinała podarowany jej bukłak z winem.

– Uważaj na siebie!

Zawiesiła na nim wzrok, jakby spodziewała się jakiejś dodatkowej informacji. On jednak nie miał dla niej dobrych nowin. Miał jednak przeczucie, że kobiety przechytrzą tamtych.

Przygotowania do boju zajęły sporą część nocy. Obóz pozostawał na tym samym miejscu, to oszczędziło dziewczynom sporo czasu. Każda napełniła bukłak, ruszyły bez jedzenia. Szły zaatakować tabory, tam żywności będzie do woli.

Dowódczynie drużyn – Karle i Jana – wyforowały się z Zolą do przodu. Dogoniła je Grejs.

– W środku nocy przybył goniec – mówiła ściszym głosem. –
Udawałam śpiącą. Zrozumiałam, że ochrony taborów jest więcej niż setka.
– Czyżby wysłał nas na samobójczą misję? – wyrwało się Janie.
– Przecież tego nie ukrywał. – Zola wzruszyła ramionami.
– Nic takiego nie słyszałam! – zareagowała Karle.
– Muzabok rozstawia cztery tysiące ludzi, a my mamy trzy. Nasi będą musieli uderzyć z marszu. Wróg ma doświadczonych bojowników, a u naszych połowa to rekruci. To walka bez szans. Wysłał nas z nadzieją, że nam się uda. Gdy za pomocą machin wywołamy u nich panikę, to nasi będą mieli nikłą nadzieję na równą walkę.

Azabaja czekała dziwna bitwa. Będzie walczył ze swoim dowódcą, któremu od samego początku służył. Muzabok jednak sprzymierzył się z ich wrogiem. Za złoto i obietnicę władzy odwrócił się od swego monarchy. Kazał mu brać rekrutów, nie informując o celu. Chce, by ludzie poszli w bój przeciw krzyżowcom. Oni są Ormianami, to sprzeciwia się ich wyznaniom. Chciał zrobić z nich niewolników.

Sam też nie miał czystego sumienia. Ten żeński oddział jest stworzony ze zniewolonych dziewczynek. Starał się to im wynagrodzić, traktował jakby były z jego rodziny, szkolił na żołnierzy niezniszczalnych. Specjalnie dla nich sprowadził nauczycieli z klasztorów dalekiego wschodu. To dużo kosztowało, ale opłacało się. Wielokrotnie ratowały go z opresji.

Zastukano do drzwi. Na zewnątrz stał wywiadowca.

– Gdzie jest naczelnny ataman? – spytał.
– Je śniadanie. Wojownicy szykują się już do drogi.
– Co donoszą o wojskach Muzaboka?
– Prawdopodobnie nie ruszą z miejsca. Rozstawili się w przewężeniu między bagnami a lasem, zagradzając nam drogę. Przypuszczam, że

ustawiają szyk uderzeniowy. My z marszu będziemy musieli przystępować do boju. Jakiś ich oddział wszedł do lasu, mogą zająć nas od tyłu.

Skierował się w kierunku grupy atamanów.

– Tak jak ustaliliśmy, gdy dojdzie do starcia, wszyscy nakładają zimowe czapy.

– Wybacz, panie, śmiałość. Zapowiada się upał, czapy będą przeszkadzać w boju – wtrącił Szalachin.

– Mamy podobne ubiory, przecież należeliśmy do jednej armii. By wbić się między ich włócznie, trzeba będzie tworzyć łuskę z tarczy. Powstanie ciżba, w której łatwo zabić swego, musimy czymś się odróżniać, opaski na ramionach przy starciu nie wystarczą. Zbierajcie się już, za pół godziny wymarsz.

Zjadł kawałek sera i popił lekkim winem. Wsiadał na konia, gdy wyruszały już pierwsze oddziały. Wyforował się na czoło i kazał ustawić wojsko ławą. Pięćdziesiąt drużyn w rzędzie. Siedem rzędów stanowiło razem ponad trzy tysiące ludzi. Decydujące będzie pierwsze uderzenie. Miał nadzieję, że oddział kobiecy zrobi tyle zamieszania między taborami, że katapulty nie będą strzelać.

Osiemnaście lat spędził w służbie chana. Szybko zyskał uznanie. Po trzech latach był już atamanem. Po następnym roku zrobili z niego stratega, zaraz potem atamana dowodzącego. Wtedy przydzielili mu te dziewczynki.

Ma trzydzieści osiem lat, może jeszcze na wiele liczyć w przyszłości, o ile nie zginie w dzisiejszym boju.

Dziewczęta doszły do bagien od strony południowej. Było grząsko, ale stając przy korzeniach drzew, przeszły bez większych trudności.

– Azabaj mówił, że każda, która skończy czterdzieści lat, będzie wolna – powiedziała Grejs.

– Zastanawiałaś się, co z nami będzie, gdy dożyjemy czterdziestki? Gdzie pójdziesz jako wolna? Masz gdzie wrócić? W naszym kraju zabiją nas, bo walczymy po stronie wroga. Nasze wyzwolenie w śmierci – odpowiedziała Zola.

– Ich ponad setka, możemy czuć się wyzwolone przez śmierć – skwitowała Jana.

– Będziemy walczyć między wozami a nie na otwartej przestrzeni – uspakajała Zola. – Mamy szansę, obojcie tylko nie spanikowały.

– O ile to prawda, że brzeg porośnięty jest drzewami, to można się zaciąć – gdybała Grejs.

– Pójdziemy trzema grupami – Zola starała zachować spokojny ton. – Ja pierwsza i zagrodzę drogę dojazdową. Jana, zatrzymasz się w środku, w miejscu, gdzie będziesz miała dogodny ostrzał na katapulty. Karle zatrzyma się z brzegu, przy końcu zgrupowania. Drużyna Jane łukami wykluczy z dwudziestu. Wszyscy skierują się na nią. Gdy przyjmie to natarcie, my uderzymy z dwóch stron. Zanim się zorientują, stracą po trzydziestu na każdym skrzydle. Potem równa walka.

– Nie ma drugiego takiego oddziału jak nasz. Chwała po nas i tak zostanie – zadrwiła Karle.

– To idźmy po tę chwałę! – skwitowała Zola

W nadrzecznym lesie natknęły się na wydeptaną ścieżkę. To zła wiadomość, będą stały warty. Najdrobniejsza potyczka wykluczała zaskoczenie, a bez tego skazane są na klęskę. Rozważano różne warianty przy założeniu, że taborów broni ponad setka ludzi.

– Trzeba szukać drogi przez bagna. W większości są zakrzaczone, brzegiem jakoś się przejdzie tej strony nie będą pilnować – powiedziała Jana.

Ruszyły zwartą grupą. Na brzegu bagna, między krzakami było dużo błota, ale grunt stabilny. Szybko dotarły do obozowiska. Tu w zaroślach ukryła się drużyna Karle, reszta poszła dalej. Po stu krokach natknęły się na bagienne bajorko z niezarośniętym brzegiem. Trochę dalej stały katapulty. Pracowało przy nich sześciu mężczyzn. Używając specjalnych nosideł, znosili olbrzymie kule.

– To na pewno pociski zapalające – szeptała Zola do ucha Jany. – Jak je spalimy, zapobiegniemy ostrzałowi. Ja ze swoimi postaram się przeskoczyć do tamtych krzaków. Jak nas zauważą, podejmę walkę. Ty w tym czasie spalisz te pociski. Jeżeli przejdę niepostrzeżenie, to za jedną modlitwę zaczniesz ostrzał. Oszczędź kilku z obsługi, ktoś będzie musiał nam pomóc przestawić maszyny.

Przeskoczyły, gdy mężczyźni odchodzili po następne kule. Między krzakami poruszały się biegiem, aż dotarły do przeciwległego brzegu taborów.

Widok je przeraził.

Drogi wyjazdowej pilnowało czterech uzbrojonych w tarcze i długie miecze. Z drugiej strony polany rozstawiono namioty obozu ochrony. Około dwudziestu chodziło na zewnątrz, nie wiadomo gdzie pochowała się reszta. Zaczynały dokuczać komary.

– Wysmarujcie się błotem, to nie będą tak kąsać – szeptała Grejs.

– Zaatakujemy jak oni powyżają z namiotów – zdecydowała Zola.

Za chwilę dobiegły odgłosy walki Jane. W obozie powstało zamieszanie. Biegący do katapult przypinali oporządzenie, jeden z wartowników pobiegł w tamtym kierunku.

Gdy usłyszeli okrzyk bojowy, Zola rozkazała atakować. Wyjęła dwa miecze i ruszyła w kierunku wartowników przy drodze, za nią dwie dziewczyny z łukami. Trzech mężczyzn ustawiło się w szereg, osłaniając

tarczami. Biegła na nich. Oni szykowali broń do ataku, a gdy chcieli uderzyć, wywróciła się im pod nogi i cięła w łydkę stojącego z brzegu. Środkowy by ją rozsiekał, ale strzała utkwiała w jego szyi. Następny oberwał strzałą w nogę i był łatwym celem dla miecza Zoli.

Rozejrzały się, droga była pusta. Pobiegly do katapult. Tam walka toczyła się na broń sieczną. Będąc poza linią ścierających się, wypuszczaly strzały. Zabiły przynajmniej pięciu i wtargnęły w wir walczących.

Walczły dwoma krzywymi mieczami, jednym parowały cios, a drugim, pod lub nad tarczą, dosięgały przeciwnika. Szybko zdobywały przewagę. W pewnym momencie z lasu zaatakowało ich kilku wojowników, ale było już za późno, one dominowały. Ostatnich kilkunastu obrońców poddało się. Przywiązano ich do kół wozów.

Mężczyznom znającym się na obsłudze katapult kazały przestawić maszyny. Któryś się postawił, Zola bez ostrzeżenia cięła go w kark. Pozostali stali się posłuszni.

Jedną maszynę ustawili w kierunku drogi wjazdowej, pozostałe na ugrupowanie przeciwnika. Wszystkie napięły i załadowały. Podeszła Karle.

– Cztery nasze nie żyją, między innymi Grejs. Jase ma dziurę w brzuchu, nie ma szans przeżyć.

– Niech któraś przy niej posiedzi. Azabaj będzie wściekły za Grejs. Zaczynamy ostrzał wroga. Możliwe, że jeszcze będziemy musiały się bronić.

– Podeszła do jeńca. – Skąd można obserwować pole bitwy? – spytała.

– Na tamtym wozie jest ambona, z niej widać błonie za bagnami.

Był to wysoki kozioł, ustawiony na platformie wozu. Ponad krzakami bagien mogła obserwować pole walki. Widziała zgrupowanie wroga. Poustawiane w wielkie falangi, oczekiwało na nadchodzące oddziały Azabaja. Odległość między czołami obydwu armii nie przekraczała tysiąca par kroków. Bitwa zaraz miała się zacząć.

Przyjrzała się machinom, prawdopodobnie były ustawione w odpowiednim kierunku. Kazała strzelać. Jeden z obsługi coś krzyczał. Nie mogła zrozumieć.

– O co chodzi? – spytała.

– Twierdzi, że pociski należy najpierw podpalić – odpowiedziała Jane
– Oni nie mają pochodni.

– Załatwcie im ogień, trzeba strzelać.

Zanim podpalili pierwsze pociski, minęło trochę czasu. Wystrzelone, trafiły w lewe skrzydło wroga, powodując tam panikę. Główna część kolumny była nienaruszona.

– Za daleko, zmniejszyć odległość! – rozkazała Zola.

Napinanie katapult zajmowało dużo czasu. Następne pociski trafiły w środek zgrupowania. Oddziały Azabaja ruszyły biegiem do natarcia. Wróg dzielnie przyjął uderzenie, choć był zaskoczony.

Hella podprowadziła jeńca do ambony.

– On twierdzi, że mamy strzelić w kierunku wjazdu.

– Czemu tak sądzisz? – spytała.

– Bo zaraz przyjedzie tu odsiecz – odpowiedział.

Obejrzała się w kierunku drogi.

– Nikogo nie widać.

– Jak zobaczysz, będzie za późno. Przyjadą konno. Proponuję byś teraz wypuściła jedną niezapaloną kulę, która rozbije się o ziemię na odległość kilkunastu kroków. My znów napniemy i zmniejszymy nieznacznie nastawę. Jak się pojawią, wystrzelimy zapaloną, która podpali rozsypane prochy. Konie nie przeskoczą tak dużej strefy ognia. Będą musieli przedostać się na piechotę, przez las.

– Czemu nas ostrzegasz?

– Potem ci wyjaśnię, teraz biegnę strzelać. – Odwrócił się i ruszył w kierunku wyrzutni.

Patrzyła jak mężczyzna uruchamia wyrzutnię i woła kolegę, by pomógł ją ponownie napiąć. Odwróciła głowę w kierunku lotu pocisku. Widziała kulę rozbijającą się o nawierzchnię drogi, a chmura pyłu przesunęła się daleko do przodu. W pośpiechu terkotały kołowroty napinające ramiona katapulty. Za moment w koszu wyrzutni znajdowała się następna kula. Zamieszanie z drogą wjazdową nie przerwało ostrzału pola bitwy, gdzie trwała krwawa walka. Żadna ze stron nie ustępowała, rozbijające się ogniowe pociski za każdym razem wykluczały z walki przynajmniej jedną drużynę wroga.

Tętent koni zwrócił uwagę na drogę, zamajaczyli jeźdźcy. Pałący się pocisk poleciał w ich kierunku i cała droga stanęła w płomieniach. Trzy oszalałe wierzchowce przedostały się przez płomień. Dziewczęta nie miały kłopotu z dobiciem żołnierzy w siodłach.

Wojska Azabaja złamały szyk falangi, wbiły się do środka. Zola wstrzymała ostrzał wroga i zeszła z ambony.

– Dziewczyny są głodne – powiedziała Jana.

– Jeszcze nie koniec walki. Zaraz z lasu wyją ci, co nie dojechali na koniach.

– Ilu ich?

– Nie wiem, ale będzie wiedział jeniec, który kazał strzelać w drogę.

– Mnie zostało osiem dziewcząt – włączyła się Karle. – Rozstawię czujki wzdłuż lasu, ty się dowiedz z iloma przyjdzie nam walczyć.

Młody mężczyzna siedział na belce zapierającej katapultę. Rysował coś patykiem na piasku. Doszła do wniosku, że gdzieś go widziała.

– Kim jesteś? – spytała półszepem.

– Jestem Tom, wasz sąsiad z Orby.

– Teraz ciebie poznaję. Wszystkich naszych chłopców szkolili na bojowników?

– Harego, twego brata zabili. Oprócz was, wszystkie dzieci sprzedano Saracenom. Te, poniżej siódmego roku życia trafiały do rodzin. Robili z nich służących. Trochę starsze kierowali do szkół mameluków. Wy trafiłyście do Azabaja, on miał własnych nauczycieli i był wodzem rozsądnym. Nawet u sułtana zyskałyście rozgłos niezniszczalnych.

– Dużo wiesz. Chyba masz mi wiele do opowiedzenia?

– Jak zdążę, bo zaraz z lasu wyskoczy na was sześćdziesięciu z długimi mieczami.

– Mają tylko miecze?

– Miecze i tarcze, ale ich miecza nie sparujesz, są za ciężkie.

– Damy radę, będzie ich tylko dwa razy tyle co nas – uśmiechnęła się. Podbiegła do niej dziewczyna, informując, że ranna zmarła.

– Szykujcie się do następnego boju, bo zginie dużo więcej.

Przywołała Jane i Karle.

Po krótkiej naradzie ustalono, że jedna drużyna zajmie dwa puste wozy na wprost lasu, z którego spodziewały się ataku. Pozostałe grupy ukryją się między drzewami. Walkę miały rozpocząć strzałami, a potem sięgnąć po broń sieczną. Zakładając, że napastnicy będą walczyć ciężkimi mieczami, każda zaopatrzyła się w tarcze pokonanych bojowników. Niektóre brały po dwie, jedną wieszając sobie na plecach. Mężczyzn obsługujących wyrzutnie przywiązano do wozu, w którym ukrywała się Karle.

Zola spojrzała na drogę wjazdową. W nikłej chmurze dymu zamajaczyły sylwetki kilku ludzi. Podbiegła do katapulty. Podpaliła kulę i wybiła rygiel. Pocisk rozbił się przy samym wjeździe. Usłyszała wrzask poparzonych wojowników.

Dwie osoby przebiegły przy brzegu jeziora.

Przeoczyły możliwość ataku z drugiej strony.

– Oni zaatakują od bagien! – krzyknęła.

Przeciwnicy wyszli z zarośli. Było ich więcej niż dziewczyn. Nie zważały na to, biegły w kierunku wroga i wypuszczały strzały.

Karle, dobiegając, miała jeszcze strzałę w ręku. Uderzenie miecza przyjęła na tarczę, a strzałę wbiła napastnikowi w szyję. Wyciągając miecz, przyklęła i z boku cięła po nogach. Następemu zadała cios pod pachę. Za nią stanęła Hella, wypuszczając strzałę do nadbiegającego ze sztychem.

Zola z dwiema dziewczynami stanęły na ramionach wyrzutni i z góry raziły wroga strzałami. Jana stoczyła podpaloną kulę w kierunku bagna. Kula potoczyła się między napastników, mężczyźni rozbiegali się. Żar ognia nie pozwalał im prowadzić swobodnej walki. Kule staczano w innych kierunkach. Przewaga oddziału kobiecego rosła. Wielu mężczyzn zaczęło się poddawać, ale zdecydowana większość bohaterstwo przepłaciła życiem. Grupa jeńców zwiększyła się do dwudziestu pięciu. Zdolnych do walki dziewczyn zostało dwadzieścia osiem. Dwie były poważnie ranne, pozostałe nie żyły.

Azabaj wysunął się do przodu, unikając towarzystwa dowódców. Pierwsze dwie godziny marszu minęły szybko. Na horyzoncie zamajaczyła ciemna pręga. To ich wróg: około trzech tysięcy piechurów i tysięczna jazda mameluków. Z tej odległości nie rozróżni ludzi, ale wiedział, że każdy bojownik trzyma czterołokciową włócznię, a przy pasie ma ciężki miecz. Tamci w większości byli bardziej doświadczeni niż jego. Pomimo to, nie podda się, musi przeciwstawić się dowódcy.

Po pół godzinie rozróżniał już osoby stojące w szyku na wprost. Spodziewał się rozmów, ale nie widział białej flagi. Muzabok nie chce

rozmawiać. Polecił zwolnić marsz, lecz nie zatrzymywał kolumny. Z niepokojem patrzył w kierunku bagien. Stały tam miotające maszyny. Gdy zaczęła ostrzał, jego tylnie oddziały uciekną. Zostanie z połową swojego wojska i będzie musiał się wycofać. Nad bagnami pojawiły się smugi palących się pocisków. Uderzyły w lewe skrzydło wroga, przy samym lesie. Zauważył tam spore zamieszanie. Z pomiędzy drzew wyskakiwali ludzie. Odległość do wroga zmniejsza się. W powietrzu widać było smugi, pociski rozбивały się w samym środku nieprzyjaciół... Kobietom udało się opanować tabory...

Kolejny atak ogniem trafił w czoło falangi. Doleciał go wrzask poparzonych. Za kolumną wroga zauważył ruch konnicy. Chciał ustawiać szyk obronny, ale oddział jeźdźców skrył się za bagiennymi krzakami. Obserwował jak zapalone kule rozбивają się o prawe skrzydło przeciwników, widział wielki błysk ognia między bagiennymi zaroślami.

Ruchem ręki przywołał naczelnego atamana.

– Za czołem kolumny cztery setki piechurów mają tworzyć ostry klin na ich prawe skrzydło! – rozkazał. – Jak rozбивemy falangę, Muzabok będzie musiał się przegrupować.

Od strony bagien doleciały odgłosy walki. Nasłuchiwał z trwogą. Tamto zwycięstwo może przesądzić o zwycięstwie tutaj... Gdy następne kule ognia sięgnęły szyku przeciwnika, odetchnął z ulgą.

Uwolniono obsługę katapult. Zola kazała załadować wyrzutnię wycelowaną w kierunku wjazdu na polanę. Weszła na ambonę, aby obserwować pole bitwy. Wciąż trwała walka, tumany kurzu nie pozwalały stwierdzić, która strona ma przewagę. Tu, między bagnami, walka się skończyła. Muzabok ma kłopoty. Prawdopodobnie nie wie, co tu się wydarzyło. Powiązani jeńcy siedzieli wzdłuż rzędu wozów. Dziewczyny

również odpoczywały, rozsiadając się na trawie. Przywołała do siebie Toma.

- Gdzie macie zapasy żywności? – spytała.
- W pierwszych wozach kolumny.
- Przez te trupy nie ma jak tu się obrócić... Odsiecz przyjechała tu konno, gdzie zostawili wierzchowce?

Chłopak zaczął mówić dopiero po chwili.

- Na pewno zostawili na łące przy lesie, ale ktoś ich pilnuje. Chyba że jest to ta trójka, którą spaliłaś. Porozmawiaj z nimi – wskazał grupę jeńców.
- Oni już na nic nie liczą, mogą żyć lub zginąć. Jak Muzabok dowie się, że trafili do niewoli, to ich pozabija dla przykładu. Obiecay im życie, a przyprowadzą konie i pomogą posprzątać to miejsce.

Martwych powrzucono do rzeki. Uprzątnięcie placu zajęło dwie godziny, potem sięgnięto po jedzenie. Usiedli w jednej grupie, mężczyźni i kobiety razem. Z wozu wytoczono beczkę wina.

Uderzenie klinem wojsk Azabaja powiodło się. Wbili się głęboko, falanga pękła, mógł atakować tyły nieprzyjaciela. Muzabok część oddziałów wycofał do lasu.

- Zbyt szybko oddaje pola, aby było to szczere – powiedział do swego przybocznego. – Trzeba się spodziewać uderzenia z flanki. Zawołaj do mnie Szalachima i Marmiłę.

Zdany był tylko na siebie. W powietrzu przestały latać palące się pociski. Większość jego armii stanowili niedoświadczeni piechurzy. Jeżeli tamci uderzą z boku, to przegra. Skinął na gońca.

- Zawołaj sobowtóra, niech będzie w płaszczu z kapturem!

Z drugiej strony zbliżała się trójka dowódców. Czekał aż podjadą blisko.

– Muzabok skrył się w lesie z ponad tysiącem bojowników. Ja również schowam się z rekrutami.

– Panie, kto tu będzie dowodził? – spytał Szarachim.

– On – wskazał swego sobowtóra, odebrał od niego płaszcz. – Wszyscy mają myśleć, że jestem na polu walki. Jak wojsko Muzaboka wyjdzie z lasu, uderzę w jego tyły. Wy pomożecie, będziemy mieli przewagę...

Po przebudzeniu Zolę ogarnął strach, ale wokół panował spokój. Rozejrzała się. Większość spała na trawie, nieco dalej siedziała grupa mężczyzn, cicho rozmawiając. Odgłosy bitwy przycichły. Szukała wzrokiem Karli i Jany, spały nieopodal. Zbudziła je.

– Co robimy? – spytała.

– Kto zwyciężył? – odpowiedziała pytaniem Karle.

– Nie wiem. Trudno się połapać.

– A tamci nie wiedzą? – Jana pokazała grupę rozmawiających.

Karle poszła w kierunku mężczyzn. Po chwili wróciła.

– Oni twierdzą, że to są za drogie tabory, by ktokolwiek je pozostawił. Trzeba czekać aż któryś z nich przyjedzie, wtedy będzie wiadomo, kto jest zwycięzcą.

– Jak przyjdzie tu duży oddział Muzaboka, to będzie po nas – jęknęła Jana.

– Nie będziemy czekały – stwierdziła spokojnie Zola. – Wrócimy ścieżką przy rzece. Jeżeli stwierdzimy, że Azabaj przegrał bój, to wzdłuż lasu wycofamy się do naszego obozu. To tylko trzy godziny drogi. Tam będziemy mogli się zastanowić.

– A co z rannymi?

– Przydałby się wóz, ale nie przejedziemy nim przez las, a przez pobożowisko też nas nie przepuszczą. Obudźmy Toma, będzie wiedział, czy Muzabok będzie zbierał po bitwie łupy? Wtedy będzie kręciło się dużo wozów.

– Co ty mu tak wierzysz?

– To znajomy z dzieciństwa, razem się bawiliśmy. Był kolegą mego brata. Poza tym jeszcze nie skłamał, wszystkie jego słowa sprawdziły się.

Tom prawdopodobnie wypił za dużo wina, był trudny do obudzenia, ale wylane wiadro wody na głowę doprowadziło go do poprawnego stanu. Rozejrzał się jakby oczekiwał śmierci.

– Czego chcecie? Nic nie zrobiłem!

– Upiłeś się! U Azabaja upić się w czasie działań bojowych, to wystarczający powód.

– Zabijecie mnie?

– Nie po to ciebie budziłyśmy, by cię zabić. Uważamy, że najrozsądniej byłoby uciekać z tej polany, ale mamy dwie ranne koleżanki. One same nie pójda.

– Tamci też mają rannych – wskazał na rozmawiającą grupę mężczyzn. – Ukryli wszystkich w lesie. Bali się, że ich dobijecie. Dla was będą stanowili problem, ranni to utrapienie.

Przez chwilę dziewczęta obserwowały się.

– Zawołaj ich tutaj – powiedziała Zola. – Powinniśmy porozmawiać.

Zanim mężczyźni podeszli, Karle obserwowała z ambony pole bitwy. Gdy wróciła, stwierdziła:

– Czapki Azabaja to zły pomysł. Przeszkadzały w walce, więc je pozzrucali. Tam jeszcze grupki się ganiają, ale nie wiadomo kto kogo goni.

– Wieczorem uciekający pouciekają, goniący będą zbyt zmęczeni, by ich ścigać – odezwał się jeden z mężczyzn.

- Dużo ich zostało? – spytała Zola.
- Z dwa tysiące po obydwu stronach. Reszta chyba jest za tą kępą leśną.
- Do boju stawało ponad osiem tysięcy – stwierdził jeden z mężczyzn.
- O co wodzowie się bili? Jeszcze miesiąc temu Azabaj był częścią armii Muzaboka.
- O religię – Zola zaśmiała się. – Muzabok otrzymał od mameluków obietnicę otrzymania ziemi na własne państwo, w zamian za udzielenie pomocy w pokonaniu krzyżowców. Nic nikomu nie mówił, ale zaczął kompletować armię. Zgromadził trzy. Jedna z nich poszła już na zachód. Armia Azabaja powstała trzy miesiące temu. On pochodził z Kaukazu i ludzi zbierał stamtąd. Większość to Ormianie, którym nie w smak oddawać życie w walce przeciw krzyżowcom. Wcześniej nikt nie wiedział, w jakim celu zbiera się te oddziały. Azabaj odmówił wystawienia swoich żołnierzy przeciw krucjacie i zaczął marsz na Kaukaz. Muzabok ze swoją armią zastąpił mu tutaj drogę.
- Skąd to wiesz?
- Azabaj dwanaście lat jest już naszym panem. Najpierw nas szkolił, teraz wykorzystuje. Na swój sposób dba o nas. Nie pozwoli byśmy byli krzywdzone i często mówi nam, co donoszą szpiegzy. Nawet dowódcy męskich oddziałów nie mają u niego takich względów. Miałyśmy osobne prawa w jego armii...
- Zanim nas zawołaliście – przerwał wypowiedź starszy mężczyzna – zastanawialiśmy się, co począć. Większe szanse na przeżycie będziemy mieli, gdy wygra Azabaj, ponieważ będziemy waszymi jeńcami. To jednak mało prawdopodobne. Miał dużo mniejszą armię. Z waszego opowiadania wynika, że Muzabok będzie wściekły, nawet jak zwycięży. Stracił większość swojej armii. Nie wywiąże się z obietnicy mamelukom, a w tym taborze jest

ich złoto. Zdradził chana, odchodząc od niego z armią, Saracenom będzie musiał zwrócić złoto. Tych wysłanych wcześniej, mamelucy przejmą pod swoje dowództwo. On zostanie z niedobitkami, bez środków na ich utrzymanie. Nas pozabija, aby w pozostałych wzbudzić strach i posłuszeństwo. Ma jedno wyjście – oddać się Saracenom jako wojsko zaciężne. Dla niego to są marne grosze.

– Mówiłeś, że tu jest złoto?

– Bardzo dużo, ale i tak go nie wywieziesz. Konie pociągowe wyprowadził daleko na swoje zaplecze. Nasze koniki, na których was atakowaliśmy, może pociągnęłyby wóz, ale nie ma uprzęży. To jest jedyny wyjazd z tej polany – wskazał na drogę. – Jego punkt dowodzenia jest pięćset kroków dalej. Widzi wszystkich, którzy wyjeżdżają z tego miejsca. Teraz jest bój, gdy się skończy, wjedzie tu z takim oddziałem, któremu nie będziecie w stanie się oprzeć.

– Tom, budź swoich! – włączyła się Zola. – Ustawisz na drogę jeszcze dwie katapulty. Nastawy mają być takie, by objęły długość całego dojazdu. Trzeba zastawić kulami każde wejście na tą polanę. Niech dwie dziewczyny przygotują zapalające strzały...

– Brakuje strzał – przerwała jej Karle.

– Łuki i strzały są na wozach w drugiej kolumnie – wtrącił starszy mężczyzna.

– Skąd wiesz? – spytała Zola.

– Byłem dowódcą tych taborów.

– Co jeszcze wiesz?

– Jeden z moich ludzi znalazł przejście przez bagna...

– No to trzeba wszystko omówić – przerwała mu dziewczyna.

– Jak mam wszystko omówić, to chcę wiedzieć, kto wami dowodzi.

Tom wskazał ręką Zolę.

– Ona!

Żadna z dziewczyn nie zaprzeczyła. Mężczyzna popatrzył na nią z uznaniem.

– Młoda jesteś – stwierdził, jakby niedowierzał.

– Azabaj uczył nas wiele lat, o dowodzeniu wiem wszystko...

– Tam bitwa dopiero się zacznie – przerwał mężczyzna, który zszedł z ambony. – Wszyscy wycofali się do lasu. Teraz wychodzą i ustawiają szyki.

Muzabok nie mógł zasnąć.

Wszyscy wywiadowcy od tygodnia twierdzili, że Azabaj obraził się i zawrócił swoje wojsko. Pakt zawarty z delegatami sułtana był uczciwy. Mógł założyć swoje państwo, byłby emirem. Trzeba tylko przez rok walczyć przeciw francuskim krzyżowcom. Żołnierz to żołnierz, walczy tam, gdzie go wysyłają. Czemu Azabaj doszukuje się jakiś niesnasek? Trzeba go zawrócić a jak się nie uda, to stoczyć z nim bój. Trudno bić się z kimś, kto zna twoje metody walki. Mamelukom obiecał dziesięć tysięcy bojowników. Na wyposażenie i werbunek dostał od nich złoto. Armia Marłaha, którą wysłał, to cztery i pół tysiąca. Jego szeregi liczą tyle samo. Mało brakuje, jednak przed sułtanem nie wytłumaczy się. Powinien mieć jeszcze z tysiąc dodatkowo. Jak go Azabaj nie przechytrzy, to w boju tyle zyska. Nie trzeba było pędzić wojska, zagrozi mu drogę między lasami a rzeką. Utrapienie stanowiły tabory, musiał je wlec i pilnować. Wyznaczył trzy niezależne oddziały, które miały baczenie, by nie były przeszukiwane. Przy bagiennym starorzeczu znalazł dla nich wspaniałe chronione miejsce. Wystarczył jeden oddział, aby nikogo do niego nie dopuścić. Obok tej kryjówki zatrzymał armię. Po śniadaniu wywiadowcy donieśli, że oddziały Azabaja nie składały obozu, ruszyły bez taborów, jakby im się śpieszyło.

Pytania nasuwały się same. Czemu on chce konfrontacji? Przecież musi wiedzieć o jego przewadze. Może chce uderzyć samobójczym atakiem i zniszczyć siebie i jego? Azabaja na to stać, ale nie można do tego dopuścić. Musi zdobyć przynajmniej tysiąc bojowników, nie ponosząc strat.

Ma cztery oddziały mameluków i ich maszyny miotające. Armia Azabaja w połowie składa się z niedoszkołonych wojowników. Zacznie strzelać ogniem, wzbudzi panikę, potem wystarczy wyłapać dezertersów. Kazał przygotować katapulty do strzelania. Był coraz pewniejszy swego zwycięstwa. To powinna być potyczka, a nie bitwa.

Taborów broni setka mameluków i oddział do obsługi katapult oraz zaplecza. Poza tym w pogotowiu ma duży oddział jazdy, by wspomóc tamtych. Jeden oddział schował w lesie do wyłapywania uciekinierów przeciwnika. Na polu stoi cztery tysiące doświadczonych w walce. Co może go zaskoczyć? Jeszcze raz sprawdził obronę taborów. Na ścieżce przy rzece kazał ustawić posterunki. Katapulty były ustawione na przedpole. Wszystko przygotowane, pomimo to męczyło złe przeczucie.

Trzech godzin brakowało do południa, gdy na horyzoncie pojawiły się zastępy Azabaja. Maszerowali falangą. Zastanawiał się, czy nie wezwać go do rozmów, ale zaniechał, nie będzie go prosił. Przed sobą też nie widział białej flagi, a więc konfrontacja była nieunikniona.

Gdy wojska zbliżyły się, na niebie pojawiły się pierwsze smugi pocisków. Ale!... Pociski nie leciały na wroga. Uderzyły w swoje wojska przy lesie. Obsługę każe powiesić na tych katapultach, albo nabić na pal. Tego im nie daruje! – pomyślał. Następne pociski leciały w sam środek jego kolumny. To nie przypadek. Azabaj zdobył tabory, na pewno formułuje klin z łusek tarcz. Pozwolę mu przebić swój szyk i większość wojowników wycofa do lasu. Zaatakuję go od tyłu – rozmyślał.

Wycofał pół swojej armii. Za pierwszymi drzewami zaczął ustawiać szyk. Duży oddział Azabaja również skrył się w lesie. Coś kombinuje, ale on nie może czekać, bo zagrożone są oddziały pozostawione w polu walki.

Pozostawił dwa oddziały obronne, resztę wojska poprowadził na tyły wroga. Sprowokował walkę przy bagiennym lasku, aby jego oddziały były osłonięte od ostrzału katapult.

Ruszyli biegiem z bojowym okrzykiem. Tamci ustawiali szyk zwrócony na nich. Na sto kroków przed ich szykiem zwolnił, poruszał się wolnym, miarowym krokiem. Tuż za trójszeregiem długich lancy organizował klin. Mógł nim manewrować.

W momencie, gdy chciał uderzać, przed szyk wroga wyszedł Azabaj. Uniósł ręce do góry i przyklęknął na kolano. Ludzie jego oddziałów, zwróconych w jego stronę, uczynili to samo, odkładając broń.

Akt poddania się był zaskakujący. Nie wiedział jak się zachować. Stanął w strzemionach, rozglądając się.

Z lasu wychodziły pozostałe oddziały Azabaja, przyjęły szyk bojowy. Ktoś na koniu ich zatrzymał. Po dłuższym czasie ponownie wrócili do lasu.

Popędził konia.

– Co to znaczy?! – krzyknął, dojeżdżając do Azabaja – Uciekasz, przystępujesz do boju, a teraz się poddajesz? Co mam o tym myśleć? Co to za oddziały w lesie?

– To rekruci, panie, a ja nie jestem Azabajem, a jego sobowtórem.

Muzabok przyglądał mu się dłuższą chwilę.

– Po co ta konspiracja? – spytał.

– On jest w lesie i ma półtora tysiąca ludzi. My mieliśmy uderzyć, a on zaatakować ciebie z tyłu. Nie miałbyś szans, jednak wielu dowódców, którzy tutaj zostali, walczyła u twego boku i nie chcą z tobą walczyć.

Wódz roześmiał się.

– On zdradził mnie, a wy zdradziliście jego. – Naraz spoważniał. – Kto opanował moje tabory?

– Kobiety oddział.

– Przecież to tylko czterdzieści pięć kobiet, tam była setka zbrojnych.

– Kobiet było trzydzieści osiem, ale każda z nich potrafi walczyć z dwoma piechurami.

– Wysłałem tam jeszcze sześćdziesięciu na koniach.

– Obawiam się, panie, że wszyscy nie żyją.

– Potem wyjaśnimy wszystko. Na razie złożcie broń i przenieście się na otwartą przestrzeń. Karachir! Przeprowadź ludzi za zagajnik przy bagnach, by osłonić się od katapult i wyślij stuosobową szarżę na tabory! – krzyknął do tyłu.

Ludzie z poddających się oddziałów ruszyli w stronę błoni. Zaczęli ustawiać się w paradnym szyku.

Muzabok zszedł z konia, polecił przynieść fotel i wino. Chciał odpocząć, zaraz będzie musiał porozmawiać ze wszystkimi dowódcami. Nagle do jego uszu dobiegły odgłosy wrzasków i wybuchy ogniowych kul. Obok pojawił się Karachir.

– Panie, tam żadna szarża nie przejdzie, przynajmniej trzy katapulty ostrzeliwują przejście.

– Szykujcie tratwy, trzeba je jakoś podejść.

– Tratwy zaczęliśmy budować, jednak one w środku nurtu trzymają obserwatora. Ostrzeliwują tych przy wycince drzew.

Podbiegł jeden z dowódców mameluków.

– Szlachetny panie! Z bagien wyszło pięć uzbrojonych kobiet. Idą w naszym kierunku.

Machnął rękami, by odsłonili widok. Szły szeregiem, bez kasków na głowach.

- Odważne – burknął do Karachira.
- Nie lekceważ ich, panie. To zabójczynie Azabaja.
- To tylko pięć kobiet, ale muszą mieć zabezpieczenie skoro tak odważnie tu podchodzą.

Obserwowali zbliżającą się piątkę. Dwóch nadgorliwych wartowników próbowało je zatrzymać, chcieli zaatakować mieczami. Dwa ruchy dwóch bojowniczek położyło ich martwych na ziemi.

- Są dobre, nawet nie zauważyłem jak wyciągają miecze. Niech się zbliżą na pięć kroków, trzeba z nimi porozmawiać.

Szły dalej, jakby nic się nie stało. Wszyscy je obserwowali, ale nikt nie próbował zaczepiać. Na pięć kroków przed fotelem wodza dwie lance zagroziły im drogę. Posłusznie zatrzymały się, dumnie patrząc przed siebie.

- Odważne jesteście, przychodząc tu do mnie. Musicie mieć poważne argumenty, skoro myślicie, że was nie pozabijam – powiedział donośnie Muzabok.

Zola nic nie mówiąc, wyjęła z kieszeni kilka złotych monet, przesypując je z ręki do ręki.

- Macie trochę złota, nie szkodzi. Jak zajdzie potrzeba, zbuduję mosty przez te bagna i wam odbiorę.

- To złoto nie należy już do ciebie, nawet wtedy, gdy wszystkie nas pozabijasz – mówiła Zola. – Baryłki, skrzynie i worki wiszą nad najgłębszymi bagnami. Jak my nie wrócimy, całe te zapasy utoną.

- Naturalnie żartujesz, nikt nie topi złota.

- Spytaj ich – wskazała grupę mameluków. – Część z nich pochodzi z Orby. Musieli przyjąć wiarę islamu. My kobiety nie możemy tego zrobić. Nas pozabijają jako te, które nie spełniły postanowień Koranu. Jak widzisz, nie mamy wyjścia, tylko śmierć może nas wyzwolić. Twoje złoto jest

najmniej ważne. W dłoniach mam siedem różnych monet, są ze wszystkich zapasów, jakie w taborach znalazłam. Chcesz im się przyjrzeć? – Jeszcze raz przesyła pieniądze między dłońmi.

Twarz Muzaboka ściągnęła się, dolna szczęka nerwowo drgała. W końcu wydusił z siebie:

– Pokaż!

Zola palcami uniosła ostrze lancy zagradzające jej drogę, przeszła w kierunku wodza. Wysypała monety w jego dłoń. Długo się im przyglądał.

– Jak to znalazłaś?

– Jak człowiek wie, czego szuka, to w wozach trudno ukryć...

Przy ostatnich słowach sięgnęła po miecze. Błysk stali rozciął gardło Muzaboka. Drugi miecz zagłębiła w karku Karachira. Dwóch próbowało ją ciąć, ale wywrócili się z przeciętymi goleniami. Odwróciła się do dowódcy mameluków, dłuższą chwilę badali się wzrokiem, jednak mężczyzna nie sięgał po broń. Chciała coś powiedzieć, ale dziewczęta otoczono ostrzami lanc. Zwaliła ciało Muzaboka i wskoczyła na jego fotel.

– **Spokój!** – krzyknęła. – Mam wasze jedzenie i żołąd. Jak nas zabijecie, pozdychacie z głodu. Obiecuję wam wolność. Każdy postąpi jak będzie chciał, żołąd będzie wypłacony wszystkim. Możecie wybierać. Kto zechce, może wrócić do Azabaj. Komu to nie odpowiada, będzie mógł przyłączyć się do mameluków lub wstąpić do moich oddziałów. Mówię nie tylko o dowódcach, mówię o każdym żołnierzu.

– Co z nami? – spytał mameluk.

– To co ze wszystkimi. Jestem Ormianką, ale nie będę krzywdziła innowierców ani czegokolwiek im zabraniała.

Dowódca mameluków nieśmiało zbliżył się do niej.

– Nie możemy przyłączyć się do ciebie, pani. Krucjata króla Francuzów kieruje się na Egipt. Musimy bronić swego państwa.

– Róbcie, co chcecie, ale brońcie również swojej wolności. Mam prośbę, zwolnijcie wszystkich Ormian. Jeżeli to zrobicie, będę was miło wspominać.

– Ja również mam prośbę, pani – przy ostatnim słowie pochylił z uznaniem głowę. – W ramach żołdu prosiłbym o zapas żywności na dwa tygodnie. Sytuacja zmusza mnie, bym szybko wycofał się poza Gazę. Jeżeli nie znajdziemy wsparcia, będziemy zagrożeni.

Przytrzymała na nim wzrok, zaczęła zastanawiać się, w jakiej sytuacji znalazły się te oddziały. Jeżeli zabierze im wszystkich Ormian, pozostanie niespełna pięciuset bojowników.

– Poczekajcie do jutra. Możliwe, że zdrajcy Azabaja będą chcieli przyłączyć się do was. Oni też nie mają gdzie się podziać.

– Jesteś bardzo młoda, odważna i mądra. Żebyś nie była kobietą, byłabyś wspaniałym wodzem. Niestety, w obecnym świecie nikt nie zechce uznać kobiety wodza, nawet wśród krzyżowców jest to nie do pomyślenia. Przegrałem wojnę, ale jesteś szlachetnym wrogiem. Jeżeli kiedykolwiek znajdziesz się w potrzebie, powołaj się na mnie, a może będę mógł ci pomóc. Jestem Hamel Ahat, z bahrydzkich zastępów.

Zola, wzorem Saracenów, przyłożyła dłoń do piersi i pochyliła głowę.

– Wątpię, panie, byśmy kiedykolwiek byli przyjaciółmi, ale z chęcią omówię to wieczorem w twoim namiocie.

Jeszcze przed wieczorem Hamel Ahat wraz z Zolą zwizytowali wszystkie oddziały Muzaboka. Rozmawiali z dowódcami i ludźmi. Takie same rokowania przeprowadzili z bojownikami, którzy poddali się w czasie bitwy. Wszystkim proponowano przyłączenie się do mameluków lub oddziałów pod dowództwem Zoli. Wielu przeszło do islamistów, by nie

podlegać kobiecie. W ostateczności Zola mogła liczyć na prawie tysięczny oddział stworzony z ludzi oddziałów Muzaboka i Azabaj oraz stu pięćdziesięciu Ormian odłączonych od mameluków.

Ku zadowoleniu Hamela Ahata jego oddział zwiększył się o trzy tysiące.

– To mniej niż obiecał nam Muzabok, ale biorąc pod uwagę ustępstwa terytorialne oraz obiecany żołąd i żywność na drogę powrotną, mogę resztę złota uznać, jako należną ci zapłatę – powiedział.

– Dziękuję za życzliwe słowa. Zostawiam tu trzy dziewczyny do pomocy i prosiłabym o rozdzielenie obozów. Zbierz swoje wojska w jednym miejscu. Z boku bagien niech się rozlokują ci, którzy będą podlegać mnie. Chciałabym pochować wszystkich martwych i liczę na twoich bojowników.

Z uśmiechem pokiwał twierdząco głową, zgadzając się na wykonanie jej poleceń. Odwzajemniła uśmiech z ukłonem uznania.

Poszła z Karle do lasu, w którym schował się Azabaj. Odległość była spora, ale on mógł obserwować wydarzenia i przypuszczała, że będą chciały się z nim skontaktować.

Na spotkanie wyszedł w towarzystwie dwóch atamanów. Pomachała mu przyjaźnie ręką. Nie powinien czuć się zagrożony. Wszystkie oddziały zostały co najmniej ćwierć mili za nimi, nie brały żadnej obstawy.

Przyglądał się im z przekrzywioną głową.

– Przystąpiłyście do Saracenów? – spytał.

– Nie, panie, dalekie jesteśmy od tego...

– Przecież widziałem! Zabiłaś Muzaboka, a z dowódcą mameluków dzieliłaś wszystkie oddziały.

– Masz rację, panie, dzieliłam oddziały, dla ciebie nic nie zostało...

– Sama sobie zaprzeczasz, przyłączyłaś się do niego!

– Odwrotnie, zabrałam z jego oddziału ponad stu pięćdziesięciu Ormian oraz około tysiąca ludzi z armii Muzaboka.

– Możesz wytłumaczyć, co zamierzasz?

– W tej chwili na tym terenie są trzy armie, w tym jedna twoja. W lesie masz około półtora tysiąca ludzi. Najsilniejszą armię ma dowódca mameluków, niecałe pięć tysięcy. Ja utworzyłam swoje oddziały. Podlega mi około tysiąca trzystu ludzi. Moja armia jest najmniejsza, ale najsilniejsza, bo mam tabory i złoto.

Ataman z obstawy wyskoczył z nagim mieczem.

– Jak śmiesz tak mówić do swego wodza!

Dziewczyny wyjęły po dwa ostrza. Azabaj powstrzymał swoich bojowników.

– Schowajcie broń! Nikt wam nie kazał atakować. – Po chwili, już spokojnie, zwrócił się do Zoli. – Dasz sobie radę, dziewczyno. Nie zginiesz w tym zawirowaniu różnych opcji politycznych i religijnych.

– Przemyślałam to. Na swoje tereny nie wrócę, ludzie by mnie wytykali palcami. Gruzini nie byli nam przychylni. Między Mongołów i Litwinów też nie chcę iść. Pójdę w kierunku Bizancjum, przyłączę się do jakiejś armii.

– Pomyśl o królestwie Cylicji, tam byłoby tobie najłatwiej.

– Bardzo dobry pomysł, nasz język i nasza wiara. Mam dla ciebie smutną wiadomość, Grejs zginęła w pierwszym starciu. Sporo nas zginęło, ale bojownicy byli prawi... – Zmieniając temat zawiesiła głos. – Ty swoje wojsko możesz wyprowadzić na otwartą przestrzeń. Wracaj do obozu. Jutro przyślę wozy po nasze namioty i dobytek. Daj wyposażenia ile będziesz mógł, za to dostaniesz złoto na żołd za okres miesiąca. Życzę ci szczęśliwej drogi i wygodnego siedliska na Kaukazie.

– Tobie nie będzie łatwo. Dowództwo Chanatu wie, że Muzabok zdradził. Jak spotkasz ich wojska, to powiedz o mojej podróży na północ, o ile zechcą, to mnie zawołają. Sam do nich się nie zgłoszę, bo potraktują mnie jak dezentera. Tobie radzę, żebyś wyznaczyła kogoś do reprezentowania ciebie. Nie wszyscy zechcą rozmawiać z kobietami.

Na teren między rzeką a bagnem Zola nie wpuściła nikogo. Wozy z żywnością i żołdem wyprowadzała pojedynczo, przy pełnym zabezpieczeniu przejścia i napiętych katapultach. Azabaj wyruszył następnego dnia rano, kilka godzin po nim ruszyła armia mameluków. Ona na miejscu obozowiska pozostała jeszcze dwa dni. Na grobie naczelnego wodza kazała wstawić tablicę z napisem: „TU LEŻY MUZABOK, KTÓREGO ZABIŁA ZOLA”.

Organizacja tysięcy trzystuosobowej armii zajęła cały dzień. Zola zebrała wszystkich byłych dowódców. Urządziła biesiadę i przy jedzeniu długo rozmawiali na temat podziału wojska. Wyodrębniono trzy stuosobowe oddziały konnicy, w tym dwa, to jeźdźcy byłych mameluków. Utworzono dwustuosobowe piesze grupy uderzeniowe. Reszta wojska to obsługa taborów i zaplecza, którym miał dowodzić Tom. Podlegały mu katapulty, był również odpowiedzialny za rannych i chorych. Samuel był Saracensem pochodzącym z Synaju. U Muzaboka był dowódcą konwoju, teraz mianowano go dowódcą taborów. Miał prawo wybrać sobie obsługę i wartę. Głównodowodzącym wszystkich wojsk został Wilam, były ataman Muzaboka. Pod niego podlegali wszyscy dowódcy poza Tomem, który otrzymał miano przybocznego Zoli. Kobięcy oddział podlegał bezpośrednio jej. Zola przyjęła tytuł przywódcy. Dla ludzi jej wojska to tytuł monarszy, ci z oddziałów mameluków nazywali ją emirem.

Następnego dnia wyodrębniano pododdziały. Stanowiska wewnętrzne i wielkość poszczególnych drużyn wyznaczali dowódcy oddziałów. Zola nie ingerowała w ich decyzje, jednak gdy chcieli ustawić kolejność kolumny marszowej, rygorystycznie ukróciła dyskusje, ogłaszając się dowodzącą konwojem. Zastępcą w tym zakresie mianowała Samuela, odpowiedzialnego za tabory. Miał on wiele wątpliwości, dlatego wieczorem przyszedł do niej na rozmowę.

– Pani – mówił z pokorą – w naszej kolumnie są bardzo różne wyznania. Są buddyści, chrześcijanie i islamiści. Obyczaje tych religii znacznie różnią się między sobą. Ormianie, którzy byli wcieleni do mameluków, powinni wyznawać islam...

– Będą wyznawać wiarę, jaką uważają za słuszną – przerwała mu w pół zdania. – Przyglądam się walkom na tych terenach od dwunastu lat. Walczyliśmy z Saracenami, z wojownikami mameluków i wyznawcami Mojżesza. Biliśmy się nawet z krzyżowcami. Wszyscy walczyli w obronie swojej wiary, choć w każdej z nich jest przykazanie: nie zabijaj. W szeregach mameluków jest pełno Ormian, dlatego od Hamela Ahata zażądałam ich zwrotu... Ty chciałeś mówić, o czym innym.

– Zgadłaś, pani. Wyznaję islam. Nasza wiara stawia przed nami większe wymagania niż u chrześcijan czy buddystów. Powinniśmy się modlić pięć razy dziennie. Modlitwa o świcie i zmierzchu nie przeszkadza w marszu, ale powinniśmy jeszcze oddać pokłon modlitewny trzy razy w ciągu dnia, a przynajmniej w samo południe.

– Widziałam wasze modlitwy. Będziesz musiał mi podpowiadać, kiedy zarządzać przerwy w marszu. Postaram się dostosowywać do tego, naturalnie, o ile uznam to za możliwe.

Kolumna marszowa ustawiła się po późnym śniadaniu. Na czele jechał Wilam, dowódca wszystkich wojsk. Za nim oddział jazdy Mongołów,

potem dwa oddziały piesze prowadziły wozy zaplecza. Pozostałe dwa oddziały piechurów poprzedzały długi sznur taborów. Pochód zamykały mieszane oddziały lekkiej jazdy Saracenów, Mongołów i mameluków.

Zola jechała w środku kolumny, przy katapultach Toma. Był to potężny tabor, zawierający złożone maszyny, wozy z pociskami zapalającymi oraz dodatkowe uzbrojenie: strzały, łuki, miecze i inne wyposażenie wojowników. Ponadto jechały również wozy, które przewoziły chorych i rannych.

Oddział Toma składał się z mężczyzn, którzy walczyli z bojowniczkami na wyspie za bagnami. Jednak praca przy zabezpieczeniu złota oraz żywności zatarła odczucia wrogości. Zostało to zauważone przez resztę wojowników armii i po kilku godzinach marszu oddział zaplecza nazywali oddziałem przywódczyni.

Pierwsze dni przebiegały spokojnie, pomimo to Zola zachowywała czujność. Była samozwańcem, a w zgrupowaniu, które prowadziła, znajdowało się wielu dowódców mających wysokie aspiracje. Jej uwagę skupiali Saraceni, którym powierzyła opiekę taborów. Obserwowała ich uważnie. Pod byle pretekstem wysyłała do nich swoje dziewczęta, aby sprawdzać ich zachowanie.

Spokój między bojownikami o różnych wyznaniach zapewniało ustawienie kolumny. Na czele szły oddziały długo służące Muzabokowi. Byli to przeważnie Mongołowie i grupa azjatyckich Turków. Środek w większości stanowili chrześcijanie, przeważnie Ormianie, choć byli też ludzie pochodzący z innych rejonów. Wielu maszerujących na końcu skłaniało się do wyznawania wiary Krzyża, ale przeważali muzułmanie.

Czwartego dnia Tom poprosił Zolę na bok.

– Wangen, dowódca przedniej jazdy, twierdzi, że Wilam nie nadaje się na głównodowodzącego wojskiem. Ciebie określa jako smarkulę, która nie ma pojęcia gdzie nas prowadzi i spowoduje zagładę całej armii.

– Komu on to mówi? – spytała.

– Plotkuje między wszystkimi dowódcami. Mnie o tym doniósł kolega z Saracenów, ale wiem, że rozmawiał również z mamelukami. To wygląda na namawianie do buntu.

– Czemu uważa, że Wilam nie sprawdza się jako naczelny dowódca?

– Nie chodzi o to, czy on jest dobry. Wangen ma dłuższy staż w wojskach Muzaboka i według jego mniemania, jemu należy się tytuł naczelnego wodza.

– Przecież prowadzi przednią jazdę...

– Ale chce dowodzić wszystkimi – odparł.

– Ilu masz ludzi, którzy mogliby wmieszać się w tłum i cię nie zawieść?

– Co najmniej tych dwudziestu, których wzięłaś do niewoli.

– Wyślij takich, którzy mogliby wmieszać się między ludzi innych oddziałów. Jak Wangen zaplanuje bunt, będzie musiał mieć po swojej stronie przynajmniej pół wojska. Chcę wiedzieć, kiedy to nastąpi. Pojedziesz do Wilama i poprosisz go do mnie. Jeżeli to prawda, to nas obserwują.

Dowódca uchodził za bardzo rozważnego. Zola dwukrotnie słyszała pochwały z ust Azabaja na temat Wilama. W przeddzień ich wymarszu do taborów, ktoś z atamanów powiedział:

– Wilam to przewidzi.

– Jednak Muzabok go nie słucha – odpowiedział Azabaj.

Intuicyjnie zapamiętała ten fragment rozmowy. W czasie zapoznawania się z dowódcami, zwróciła na niego uwagę. Przyglądał się jej,

nie widziała w jego oczach wrogości, raczej zaciekawienie. Gdy wyraził chęć przyłączenia się do jej armii, postanowiła uczynić go głównodowodzącym.

Czekała na spotkanie, rozmyślając, jak przeprowadzić rozmowę. Wsiadła na konia, jadąc obok swego wozu.

Zobaczyła go z daleka. Zbliżając się, pochylił głowę i ustawił się po jej prawej stronie.

– Pani, twój przyboczny powiedział, że czegoś ode mnie potrzebujesz.

– Obawiam się buntu...

Przekazała mu zasłyszane informacje. Słuchał jej uważnie, nie przerywał, ale jak tylko skończyła, powiedział:

– Powinienem ciebie przeprosić. Z moich ust powinnaś to usłyszeć. Już wczoraj mówiono mi o tym. Wangen jest dobrym dowódcą w polu. Kiedyś bardzo poróżniliśmy się między sobą, ma do mnie żal. Muzabok nigdy nie zrobiłby z niego zarządcy. On dobrze walczy, ale nie ma pojęcia o organizacji. Okazuje się jednak, że ma wygórowane ambicje.

– Co było powodem waszej kłótni?

Wilam zwrócił ku niej głowę. Był przystojnym mężczyzną w wieku powyżej czterdziestu lat. Trudy życia wyrzeźbiły na jego twarzy głębokie bruzdy. Szare oczy miały łagodny blask. Nigdy nie zauważyła w nim gniewu ani rozterki. Lubiła go za spokój, który wokół siebie rozsiewał.

– To zdarzyło się jakiś czas temu – zaczął mówić w chwilowej zadumie. – Niedaleko Akaby, w ciasnej dolinie, nasza nas duża grupa Saracenów. Ja byłem młodszym dowódcą. Wraz z Wangenem stanowiliśmy straż przednią. Każdy z nas dowodził setką jeźdźców. Do Muzaboka wysłaliśmy dwóch, by powiadomili o zajściu. Widząc czoło ich kolumny, nie wiedzieliśmy ilu jest przeciwników. Na pierwszy rzut oka stwierdziliśmy, że jest ich więcej niż nas. Minęliśmy drogę w górę zbocza. Wangen polecił, abym pojechał górą i postarał się zajechać Arabów od tyłu. Nie uważałem

tego za trafne posunięcie, nie wiedzieliśmy jak liczny jest oddział. On jednak był uparty, a ja podległym dowódcą, więc podporządkowałem się poleceniu... Na górze trafiłem na ich zwiad, potyczka zajęła sporo czasu. Pokonaliśmy ich i pojechałem dalej. Zorientowałem się, że ich oddział ma przynajmniej trzystu wojowników, zdecydowanie za dużo jak na nas. Rozwahałem możliwość zawrócenia i powiadomienia o tym Wangena, ale on był niecierpliwy, być może źle obliczył czas mego obejścia. Uderzył na nich, gdy jeszcze nie zjechałem do wąwozu. Nie miałem innego wyjścia jak uderzyć z drugiej strony. Nasz atak był dla nich dużym zaskoczeniem. Zanim zorientowali się, wyciąłem im większość wojska. Gdy próbowali zawrócić, Wangen zmusił ich do poddania. Ja wyszedłem z błahymi stratami, on stracił połowę ludzi. Posiłki nadjechały już po walce. Muzabok wypytywał, jak doszło do starcia i o przebieg boju. Skończyło się pochwałą dla mnie i upomnieniem dla Wangena. Otrzymałem jeszcze kilka pochwał, ale Wangen krytykował wszystkie, rozsiewał plotki, że go oczerniam.

– Skąd dowiedziałeś się teraz o jego pomówieniach?

– Jeden z moich żołnierzy służy pod jego rozkazami, okazał się wobec mnie lojalny. Potem spytałem byłego dowódcę przy taborach, który również był mi przychylny. Wangen sugerował mu przydział samodzielnego oddziału, o ile stawi się za nim.

– Ten był dowódca jest zwykłym żołnierzem?

– To Dzonchin. Samuel zrobił z niego swego skrybę, by prowadził księgi taborów. Ja też się nim wyręczam, bo nie mam swego biura.

– Widziałam wóz sekretarza w taborach...

– Wóz jest, ale skrybowie przyłączyli się do armii mameluków. Dzonchin ma tylko jednego pomocnika. Mało kto w naszym wojsku umie pisać i liczyć...

Przerwała mu gestem.

– Wszystkie kobiety w moim oddziale są wykształcone. Mogą prowadzić kroniki wszystkich oddziałów.

– Dużo słyszałem o waszym oddziale. Nawet mówiłem Muzabokowi, że możecie zdobyć tabory, on jednak nie słuchał, dlatego przegrał. Twój czyn był odważny, stworzyłaś sytuację ratującą życie tysiącu ludzi.

– Najwięcej ryzykowały dziewczyny, które ze mną przyszły. Stały w grupie dowódców.

– Jesteś mądrą kobietą, dlaczego nie poszłaś z Azabajem.

– On poszedł w góry Kaukazu, przejdzie przez Armenię. Jestem Ormianką, źle bym się czuła na terenach państwa, przeciw któremu walczyłam.

– Byłaś niewolnicą, nie miałaś wyboru.

– Miałam! Mogłam zginąć. Mój brat wybrał właśnie taką drogę.

– Brat był w armii Muzaboka?

– Nie! Chcieli z niego zrobić mameluka, zaczął pyskować, więc go zabili.

– Współczuję ci, pani. Uratowałaś jednak wielu Ormian. Tylko nieliczni, których oderwałaś od oddziałów mameluków, zostali przy wierze islamu.

– Skąd to wiesz?

– Widzę, kto się jak modli.

– Większość chyba jest niewierząca.

– Każdy ma swego boga.

– Bóg jest jeden, tylko ludzie różnie go nazywają.

Wilam nie odpowiedział, skierował wzrok przed siebie, rozważając jej słowa.

– Uraziłam ciebie? – spytała.

– Nie, pani! W kraju, z którego trafiłem do ordy, mówią: wiele ścieżek prowadzi do zbawienia, trzeba wybrać tę właściwą. Ludzie, którzy walczą na tych terenach, nie mogą się zdecydować, na której ścieżce chcą stanąć. Co zamierzasz, pani?

– Mówiłam na początku, jednak nie zwróciliście na to uwagi. Powinnyśmy przyłączyć się do jakiegoś państwa. W tej chwili jesteśmy niczyi, bronimy się przed wszystkimi napotkanymi.

– Idziemy na zachód, ale nie wiemy, gdzie mamy dotrzeć.

– Bizancjum podupada, może zechcą skorzystać z naszych usług. Jest również Cylicja, która potrzebuje obrony.

– Chcesz połączyć się z chrześcijanami?

– To moja wiara.

– Ośmielę się coś poradzić. Zwołaj naradę i omów swoje zamierzenia, a ograniczysz dalsze podjudzania Wangena. Jeżeli z ludźmi nie rozmawiamy, to oni błędzą.

Narada dowódców była dobrym pomysłem.

Zola zauważyła, że Wilam był jej życzliwy, choć uważał ją za mało doświadczoną. W porównaniu z innymi dowódcami była bardzo młoda. Jako samotna kobieta nie powinna piastować funkcji przywódcy. Dlaczego ta armia jest jej? Są tu różne wyznania, a wszyscy przystali dobrowolnie...

Zamach na Muzaboka obmyśliły i przeprowadziły w celu obrony własnego życia. Jakby nic nie zrobiły, to by ich pozabijali. Nie tylko one walczyły łukami. Mamelucy i Mongołowie również, może nawet lepiej, bo umieli strzelać z konia. Gdy zaproponowała, aby bojownicy dobrowolnie przyłączali się do dowolnych armii, liczyła tylko na dziewczyny i jeńców, których pojmaly. Ją jednak wybrało tysiąc dwustu ludzi. Była zachwycona i szczęśliwa, do dzisiaj...

Doszła do wniosku, że ludzie przyłączyli się do niej, bo nie chcieli przyłączyć się do innych. Nie lubili Azabaja, a pójście pod dowództwo mameluków też im nie odpowiadało. Nie mieli wodza i nie mogli zawrócić do chana. Samotne przedzieranie się małych oddziałów na terenach objętych wojną, w której uczestniczyło wiele stron, również było ryzykowne. Wybrali jej armię jako mniejsze zło, ale teraz każdy z nich chciałby przejąć władzę.

Przywołała Toma.

- Czy wysłałeś ludzi do innych oddziałów?
- Poszło dziesięciu. Jutro rano będę z nimi rozmawiać.
- Mówiłeś im o Wangenie?
- Nie wymieniałem żadnego nazwiska, mieli nasłuchiwać o buntach.
- To dobrze. Jutro maszerujemy tylko do południa. Przed wieczorem zorganizuję zebranie dowódców. Do tej pory chcę wiedzieć, co myślą o nas i Wilamie we wszystkich oddziałach.
- Myślisz, że jest aż tak źle?
- Myślę, że coś przeoczyłam i czas to naprawić.

Zebranie rozpoczęło się wczesnym popołudniem. Pogoda była ładna, cichy wiatr chłodził rozpaloną ziemię. Zwołano wszystkich dowódców oddziałów i dowodzących drużynami. Usiadła na fotelu Muzaboka, z boku ustawiła puste krzesło. Otaczały ją dziewczęta z jej oddziału.

– Usiądźcie, jak komu wygodnie – rozpoczęła cierpkim tonem. Poczekala aż wszyscy wykonają jej polecenie i łagodnym głosem kontynuowała: – Wędrujemy już kilka dni i zdążyliśmy się trochę poznać. Przechodzimy przez tereny, gdzie każdy walczy z każdym. Chan, Persowie, Saraceni z Synaju, sułtani, Turcy, wszyscy mają wrogów. Zbliża się kolejna krucjata. W tym natłoku nacji zapomina się o Hebrajczykach i innych narodach. Ziemię świętą najechali Saraceni. Przybyli krzyżowcy i starali się

ją odbić. Zaczęli tworzyć własne państewka, które nie miały siły w walce z Arabami. Teraz płyną na sułtanat Egiptu i prawdopodobnie przegrają kolejną wojnę, wzmacniając szeregi mameluków. W tej sytuacji proponuję przyłączyć się do Bizancjum lub do państwa Małej Armenii, czyli Cylicji. Takie mam zamierzenia, kto jest temu przeciwny niech się wypowie.

Zapadła długa cisza. Możliwe, że dowódcy mieli inne zdania, ale wytrenowana dyscyplina powstrzymywała ich od zabrania głosu. Chciała zachęcić ich, ale zerwał się Wangen.

– Ty chcesz walczyć o swoją wiarę! – wykrzyczał.

Zola uniosła rękę jakby uspakajała kilka osób.

– Usiądź! – powiedziała stanowczym tonem. – Jesteś samodzielnym dowódcą, możemy rozmawiać jak równi sobie. Jesteśmy oddziałem, w którym ludzie mają różne wyznania. Ja chcę stanąć po stronie pokoju. Wątpliwe, czy mi się to uda. Cylicja szuka spokoju i rozmawia z chanem, więc będziemy w obronie właścicieli. W tej chwili liczą się układy militarne, a nie religia.

– Pani! – Samuel uniosł rękę, chcąc zabrać głos. Zaczął mówić dopiero, gdy go wskazała. – Jest tu duża grupa muzułmanów, jak oni będą się czuli w państwie chrześcijan.

– U mnie każdy ma prawo wyznawać swoją religię. Poglądów religijnych jest wiele. Ja jestem tylko człowiekiem, nie wiem, która grupa etniczna ma rację. Pan prawdopodobnie chce spytać, czy może służyć w wojsku rządzonym przez kobietę, ponieważ wasza religia nakreśliła kobietom inne zadania. Kategorycznie stwierdzam, że waszym dowódcą jest Wilam – wskazała na niego ręką. – Proszę, wodzu, usiądź obok mnie – wskazała puste krzesło. Ja mogę się uważać za matkę was wszystkich i będę dbała o was jak matka, jednak waszym dowódcą jest Wilam. On odpowiada

za organizację, swoje decyzje i wydawane rozkazy. Zapamiętajcie! Wodzem jest Wilam, a ja go finansuję.

Wangen znowu wstał, wskazując na nią palcem, krzyczał:

– Tumanisz nas kobieto! Chcesz zagarnąć całą władzę dla siebie.

Takich jak ty rozrywaliśmy końmi!

– Chcesz mnie nastraszyć czy obrazić?

– Kobiety nie można obrazić, ona powinna być podporządkowana.

Wstała i wolno podeszła do niego.

– A ciebie można obrazić? – mówiąc to, wymierzyła mu policzek.

Złapał za rękojeść miecza, wyjmując go do połowy. Stał ogłupiały. Spojrzała mu w twarz. Była spokojna, mówiła, cedząc słowa:

– Chcesz zabić matkę, ale nie wiesz jak to uczynić. Pomogę ci. – Odwróciła się do dziewcząt. – Odstawcie fotel i zróbcie miejsce, ten pan chce się ze mną pojedynkować.

Wilam również odstawił swoje krzesło na bok, ale gdy podeszła do niego szepnął:

– Uważaj, pani, on jest bardzo silny.

Nie odpowiedziała. Zajęła miejsce na utworzonym placu i czekała na swego przeciwnika. Dalej siedzący dowódcy podnosili się, by lepiej obserwować zajście. Z boków podchodzili żołnierze zwabieni zamieszaniem w kręgu dowódców.

Wangen dokładnie dopiął tarczę i nałożył hełm. Zola stała na wprost niego z rozpuszczonymi włosami i krótkiej tunice wypuszczonej na spodnie, przy pasie miała przypięte dwa krzywe miecze, a na plecach kołczan pełen strzał, który stanowił pewną ochronę przed ciosem z tyłu. Przyjrzał się jej, mówiąc:

– Nie masz kasku ani swego pancerza, jak chcesz walczyć?

– Nie idę w bój z armią, na ciebie pancerz mi niepotrzebny. Moje dwa miecze aż za dużo na takiego jak ty.

– Zuchwała – doleciał ją głos Samuela.

– Da radę – odpowiedział Tom.

Wilam, stojący cztery kroki od pojedynkujących się, jako naczelny dowódca musiał sprawować rolę sekundanta. Powinien dopilnować, by walczący mieli równe szanse, ale intuicja podpowiadała mu, aby nie zmuszać Zoli do nakładania oporządzenia.

– No to zaczynajcie – powiedział.

Wangen jakby na to czekał. Wyszarpując swój miecz, zrobił skok do przodu, chcąc uderzyć przeciwniczkę od góry w głowę. Zola płynnie wyjęła swoje główne. Jej lewe ostrze parowało cios i jakby pod jego naporem przyklękała na kolano. W tym czasie prawa klinga weszła poniżej kolczugi, między nogi mężczyzny, zagłębiając się wysoko, aż po łokieć.

Wytrzeszczone oczy i otwarte usta Wangena mówiły, że to koniec pojedynku. Miecz wypadł mu z dłoni, najpierw osunął się na kolana, a potem padł na plecy. Zola wolno stanęła na nogi. Przywołała jedną z dziewczyn i podała swój miecz.

– Wymyj go, jest brudny i przynieś wiadro z wodą, muszę wymyć ręce.

Kobiety w tym czasie zmusiły dwóch żołnierzy do wyniesienia zwłok i ustawiły na poprzednich miejscach fotel i krzesło. Dopiero po dłuższej chwili Zola i Wilam zajęli swoje miejsca, a dziewczęta rozsiadły się wokół nich. Z boków zaczęli tłumnie gromadzić się żołnierze, dowódcy nie reagowali, słuchając swojej przywódczyni.

– Wangena zniszczyła wygórowana ambicja. Był dobrym żołnierzem, to strata dla nas. Oddział przedniej jazdy musi pochować swego dowódcę i wybrać nowego. Mam nadzieję, że naczelny wódz jutro przed wymarszem

będzie wiedział, kto nim będzie. Powinniście mi więcej ufać. Jestem po to, aby dbać o wasze bezpieczeństwo. Nikomu nie jest przyjemnie, gdy spory są rozstrzygane w taki sposób, jak przed chwilą. Nie jestem waszym dowódcą, ale wysłucham wszelkich uwag, jakie będą mi przekazane w sposób bezpośredni oraz szczery i każdą sprawę będę rozważała bez szkody dla osoby, która ją wnosi. Zależy mi, aby w naszej armii panowała zgoda. Teraz rozejdźcie się.

Samuel poczuł szacunek do tej kobiety, umiała zapanować nad trudną sytuacją. Była młoda, a okazywała stanowczość dojrzałego mężczyzny. Sprawy rozstrzygała słowem i mieczem. Trzydzieści osiem kobiet walczyło z dwustu bojownikami. Zginęła co czwarta, ale ich oszczędziły co dziesiątego. To i tak nie miało znaczenia, bo Muzabok zabijał wszystkich, którzy trafili do obcej niewoli. Gdy się o tym dowiedziała, sama zaproponowała ten szalony plan. Ryzykowała bardzo, ale rozwiązanie było proste. Zabicie Muzaboka powodowało rozpad armii. Nawet dowódca mameluków był zadowolony, bo choć dostał mniej ludzi, to odpadało zobowiązanie terytorialne, które obiecano zabitemu.

Pojedynek z Wangenem był popisem jej możliwości. Bój rozstrzygnęła pierwszym cięciem. Wszyscy zobaczyli, czym grozi nieposłuszeństwo, była wybitnym szermierzem.

W czasie narady nie zgadzał się z wszystkimi jej wywodami, jednak głosu nie zabierał, nie chciał powodować zamieszania. Zresztą ona była młoda, przypuszczał, że nie wiedziała, jaka jest różnica między szyitami a sunnitami, chociaż samą myśl islamu wyraziła trafnie. Teraz, gdy narada się skończyła, chciał jej to wyjaśnić.

Podszedł pod jej namiot i zwrócił się do wartownika:

– Chcę rozmawiać z Zolą.

Strażnik nawet nie wyraził zdziwienia, że użył jej imienia. Zaraz zniknął za płachtą wejścia.

Ukazanie się kobiety w wejściu zaskoczyło go. Patrzyła na niego z zaciekawieniem.

- Chcesz ze mną rozmawiać, Samuelu?
- Tak, pani! O ile wyrazisz na to zgodę.
- Myślałam, że wszystko omówiliśmy na naradzie.
- Trudno tobie zrozumieć nasze główne aspekty wiary. Miałem nadzieję, że zechcesz porozmawiać na ten temat.

Na jej twarzy pojawił się uśmiech. Gestem ręki zaprosiła go do środka, jednocześnie wypuszczając wartownika, który stał za nią. W środku siedziały Karle i Jana, kobiety, z którymi omawiała wszystkie ważniejsze sprawy, co go stremowało.

- Przypuszczam, że przeszkadzam. Może przyjdę innym razem?
- Nie przeszkadzasz, powiem więcej, za godzinę czy dwie i tak byśmy ciebie zawołały, ponieważ omawiamy sprawę, w której będziesz miał decydujące słowo. Jestem ciekawa, w jaki sposób chcesz nas namówić na przyjęcie islamu. – Uśmiechnęła się.

– Pani, dżihad nie jest celem mojej wizyty. Na naradzie nadmieniłaś, że wszyscy powinni stanowić rodzinę, bez różnicy jaką wiarę wyznają. To nie takie proste dla osoby wyznającej islam, który jest zróżnicowany...

– Nie musisz mi tego tłumaczyć – przerwała mu wypowiedź. – Świetnie się orientuję, czym różnią się perscy szyici od arabskich sunnitów. Znam zasady dżihadu i kital uprawiany przez mameluków. Twierdzę, że to nie ma nic wspólnego z uwielbieniem Boga. W chrześcijaństwie też wielu uznaje pozyskiwanie wiernych za pomocą miecza, ale niczemu to nie służy, poza wymazywaniem narodów z kart historii. Tak jak dziesięć przykazań

chrześcijan, tak wasz szarijat mówi o naukach, które mają przynieść korzyści jednostce i społeczeństwu...

– Chciałem ci, pani, wytłumaczyć zasady naszej wiary – przerwał jej wypowiedź, ale ona nie pozwoliła odebrać sobie głosu.

– Wierzimy w tego samego Boga, choć go różnie nazywamy. Przyjrzałam się wojnom prowadzonym na tym terenie i spostrzegłam wielorakość każdego wyznania, a zasad w każdej wierze jest tyle, ile posiada wyznawców. Są duże różnice między zasadami chrześcijan zachodnich i wschodnich. Wasza wiara jest młodsza od chrześcijaństwa, a już potrafiliście walczyć między sobą o drobne postanowienia. Muzułmanie będą rozszerzać swoją wiarę. Mamelucy nie spoczną w walce, ponieważ są stworzeni do wojny, ale to nie posłuży waszym narodom, które w wojnach będą ubożać. Każde dziecko rodzi się na chwałę wiary jego rodziców, a wyznawcy innych religii twierdzą, że ono jest potępione. Przecież Bóg jest jeden, Tak twierdzi chrześcijaństwo, islam i wiara mojżeszowa.

– Mówisz jakbyś się uczyła naszej wiary.

– Masz rację – odpowiedziała Zola. – Trafiłyśmy do Azabaj jako dzieci odłączone od rodziców, jednak on zastąpił nam ojca. Uczył nas nie tylko posługiwania się bronią, sprowadzał nam różnych nauczycieli. Kilka lat temu pochwyciliśmy w walce mudżahedina. Azabaj darował mu życie, w zamian on nauczał nas zasad islamu. Wiele uczyłyśmy się od jeńców.

– Pani, przyszedłem cię podszkolić, a to ty mnie przeszkoliłaś. Teraz wiem, dlaczego powinienem ci służyć.

– Każdy muzułmanin zanim zacznie patrzeć na innych jak na niewiernych, powinien przyjrzeć się sobie, a każdy chrześcijan oprócz przykazań powinien zrozumieć nauki Chrystusa. Zamiast krytykowania

innowierców, powinniśmy szukać pojednania. Odpowiedz szczerze, gdybym urodziła syna, to mogłabym nadać mu imię Mahomet?

– To by był występki, Mahomet był prorokiem.

– Ty nosisz imię Samuel, a Samuel to mój prorok.

– Matka powiedziała, że Samuel był mądrym człowiekiem, dlatego dała mi to imię.

– Ja bym kierowała się tą samą zasadą. Szarijat, po waszemu, to jedyna droga do wodopoju, jednocześnie to ogół boskich praw i norm. Rozważ według nich kwestię nadawania imion. Mnie nie musisz nauczać, jestem Ormianką, chrześcijaństwo wyssałam z mlekiem matki.

– Wstyd mi, pani, byłam zuchwałą w swym zamyśle.

– Nie powinieneś się wstydzić. Chciałeś dobrze. To tylko świadczy o twojej lojalności. Jesteś dobrym dowódcą. Poza tym masz jedyną kancelarię w całej armii, a my się zastanawiamy, jak ją rozbudować, by objęła dokumentacją wszystkie oddziały.

– To będzie trudne zadanie. W naszej armii jest mało ludzi, którzy umieją pisać, a dokumenty trzeba tworzyć przynajmniej w dwóch językach.

– Wszystkie moje kobiety są starannie wykształcone. Jutro podeślę ci dwie, które były ranne. Śpią w wozie, bo jeszcze długo muszą dochodzić do zdrowia...

Wypowiedź została przerwana przez wejście Wilama.

– Pani! Przyprowadziłem Czynnona, to obecny dowódca przedniej jazdy. Obawiam się jednak, że nie będziesz zadowolona.

– Wprowadź go, zobaczymy, co ma do powiedzenia.

Czynnon, stając przed nią na modłę dalekiego wschodu, złożył dłonie i pochylił głowę.

– Kobieto, zabiłaś wodzów, z którymi łączyło nas pochodzenie. W tej chwili ta armia składa się z samych niewolników, my nie mamy komu służyć.

– Wy tłumacz, co masz na myśli!

– Na naradzie powiedziałaś, że bezkarnie można tobie wszystko powiedzieć.

– Mówiłam o wyjaśnianiu nieporozumień, ale nazwałeś nas niewolnikami. Dlaczego?

– To proste, kobieto. Tylko w naszym oddziale są ludzie pochodzący z Mongołów. Reszta to zbieranina z ziem podbitych lub mamelucy.

– Z tego powodu nie chcesz być w naszym wojsku? Co proponujesz? – pytała Zola z uśmiechem.

– Chcemy odejść od armii i przyłączyć się do wojsk kaana.

– Czego ode mnie oczekujesz?

– Wyrazisz na to zgodę i nie będziesz nas ścigała. Poza tym należy się nam odprawa.

– Jutro po śniadaniu chcę rozmawiać ze wszystkimi bojownikami twojego oddziału. Odejdą ci, którzy będą mieli na to ochotę, reszta zostanie przy armii Wilama.

– Rozmawiałem już ze wszystkimi, chcą odejść.

– Ja porozmawiam po swoim. Każdy odchodzący otrzyma porcję żywności na pięć dni. Powiedziałam już wszystko.

Zola patrzyła w kiwającą się płachtę po wyjściu Czynnona.

– Co teraz należy robić? – zapytała, nie oczekując odpowiedzi.

– On nie wie, że u Mongołów w tej chwili jest bezkrólewie – zaczął mówić Wilam. – Organizacją kieruje wdowa po Gujuku. Wielkim chanem zostanie najprawdopodobniej Mongke, ale walka o sukcesję jeszcze trwa. Wszyscy wiedzą, że Muzabok zdradził kaana. Czynnnon, aby wejść do

jakiegokolwiek ordy, będzie się musiał wkupić. Ma informację, którą wszyscy połkną, to twoje złoto, Zolu. Gdy ta wiadomość się rozejdzie, wszystkie oddziały ruszą na nas.

– Co o tym myślisz, Samuelu?

– Pan Wilam ma rację, czeka nas bój. Pozbędziemy się jednak wroga wewnętrznego, co jest bardzo istotne. Wiadomości o złocie i tak się rozejdą. Jak ten oddział będziemy chcieli zatrzymać, to będzie wielu dezertarów. Lepiej ich puścić i przygotować się do boju.

– O naszym złocie wie armia mameluków, która idzie przed nami.

– Pani, Hamuel Ahat jest srogim dowódcą, ale honorowym. O ile powiedział, że nie wnosi pretensji do złota, to na pewno nie upomni się o nie. Jednak ordy Turków i nie tylko skrzykną się szybko i będziemy musieli przygotować się, aby stawić im czoła. Zwycięstwo z nimi rozślawi nas i ułatwi przyłączenie się do jakiegokolwiek państwa.

– Łatwo to wypowiadasz, ale trzeba tego dokonać – powiedziała ściszym głosem Zola.

– To prawda – włączył się Wilam. – Zostanie nam tylko dwustu jeźdźców, reszta to piechota. Oddziały tureckie, jeżdżąc na swoich konikach, zasypią nas strzałami.

– Mamy maszyny miotające i duży zapas pocisków zapalających, które wśród ich jazdy na pewno wywołają panikę – powiedział Samuel.

Zola popatrzyła na zebranych.

– Idźmy spać – powiedziała. – Jutro rozliczymy się z oddziałem Czynnona i zastanowimy się, co robić dalej.

Wilam był zaniepokojony. Wszystko może obrócić się przeciw niemu. Nikt nie wie, że on pochodzi z krzyżowców. Jak to rozgłoszą, jego rodzina w Niemczech może mieć nieprzyjemności. Zola powinna jednak o tym

wiedzieć. Jest mądra, rozważna i pozbawiona impulsywności, ale czy zrozumie jego racje...

Do ziemi świętej przypłynął jako rycerz niemieckiego cesarza. Francuzi planowali krucjatę, ale najpierw chcieli dogadać się z wojskami wielkiego chana przeciw Saracenom. Znał język Mongołów, dlatego był im potrzebny. Wyruszyli w kierunku Kara Kum. Tam mieli się dowiedzieć, gdzie jechać dalej. Nie dojechali, napadła ich banda. Prawie wszystkich pozabijali i doszczętnie złupili. Z niego ściągnęli zbroję i ubranie, zostawili w samej tunice. Leżał ranny, głodny bez nadziei na przeżycie.

Pod koniec następnego dnia znalazła go jakaś karawana. Znali się na ranach, dali czyste ubranie. Gdy tylko odzyskał siły, kazali ciężko pracować. Kierowali się w kierunku Indusu. W pierwszym większym mieście sprzedali go jako niewolnika. Zarządca miasta zrobił z niego woja straży. Nauczyli go władać szerokim mieczem i strzelać z łuku. Był dobry w fechtunku, szybko zdobył uznanie. Od miejscowych poznał zasady buddyzmu. Często wykorzystywał ich pozycję medytacji do modlitwy. Weszło mu to w nawyk, już nie musiał klękać.

Jednak nie zaznał spokoju. Najechała orda, zdobyła miasto. On znał język Mongołów, zaoferował służbę w ich szeregach. Przydzielono mu wszystkich jeńców, w ten sposób stał się dowódcą. Orda szła na Syrię, dowódcą był Murłach, który prowadził uzupełnienie dla Muzaboka.

Teraz przystąpił do Zoli, inaczej nie mógł wybierać, był chrześcijaninem. Azabaja nie znał, a u mameluków zmusiliby go do przejścia na islam. Ona upomniała się o Ormian. To go upewniło, że w jej armii będzie czuł się dobrze.

Nie wie, dlaczego wyznaczyła go na naczelnego dowódcę. Byłby zadowolony, gdyby dostał samodzielny oddział. Nie marzył o stanowisku wodza. Jednak stało się i wszyscy żołnierze mieli wykonywać jego rozkazy,

on swoją pomysłowością albo ich uratuje albo zgubi. To duża odpowiedzialność przed Zolą i Bogiem.

Nie mógł zasnąć, leżał, zastanawiając się, co przedsięwziąć, gdy zostaną napadnięci przez Turków. Może gdyby zmienili trasę marszu przeciwnik by ich nie znalazł, ale na tych terenach nie ma bezpiecznego kierunku. Na północy Mongołowie utrwalają władzę w Kaukazie. Południe jest opanowane przez Seldżuków. Sułtanat konijski planuje podbój Bizancjum, którego już prawie nie ma. Wcześniej czy później czeka ich walka. Trzeba się zastanowić, przed czym mają się bronić. Mongołowie, Turcy czy mamelucy, to przede wszystkim lekka jazda. Co robić, gdy przeciwnik na rozpędzonych koniach przejedzie wzdłuż ich szyku, zasypując gradem strzał? Przy pierwszym najeździe pół piechoty będzie niezdadne do dalszej walki. Przydałyby się długie lance, by nie dopuścić do szarży na wprost. Oni też mają łuki oraz katapulty. To bardzo silna broń, oby tylko zasłonić się przed strzałami przeciwnika.

Ranek był rześki. Pomimo krótkiego snu, Wilam wstał wypoczęty. Gdy spytał wartownika o wieści, ten powiedział:

– Pani Zola prosi pana na poranny posiłek. Była tu kobieta z ich oddziału i mówiła o rozliczeniu oddziału Czynnona.

Ruszył w kierunku centrum obozu. Zola czekała w towarzystwie dwóch przyjaciółek oraz Toma. Gdy zajął miejsce przy stole, dołączył Samuel. Zaraz przed każdym pojawiła się ciepła jajecznicza i dzban gorącego naparu. W trakcie jedzenia Zola zapytała jak zorganizować rozmowy z ludźmi.

– Trzeba dać im do zrozumienia, że kto chce, to może zostać – odezwał się Tom.

– Ośmielę się coś zasugerować. – Samuel uniósł dłoń i pochylił głowę.
– Na ogólnym zebraniu wyrażmy swoje propozycje, potem rozmawiajmy

z każdym z osobna. Jak ktoś zechce zostać z nami, powinien przyjść tutaj, reszta zostaje na miejscu. Gdy pójdziemy wszyscy tu obecni, na każdego wypadnie mniej niż dwudziestu, powinniśmy szybko się uporać.

– Nie musimy rozmawiać z każdym osobno – odezwał się Wilam. – Wystarczy, że podzielimy ich na dziesięcioosobowe grupy, wtedy też wychwycimy tych, którzy chcą zostać. Ci, którzy chcą odejść, powinni ruszyć natychmiast. Nie można dopuścić, aby odjeżdżający kontaktowali się z zostającymi. To może być niebezpieczne, zwłaszcza dla tych drugich. Dlatego przed rozmowami musi być przygotowany wóz z prowiantem, aby nie trzeba było załatwiać dodatkowych spraw. Po rozmowach odjeżdżają bez żadnej opieszałości.

Zola wpatrywała się w Wilama. Jeżeli jeszcze miała jakieś wątpliwości, to teraz wiedziała, że dobrze zrobiła, mianując go naczelnym dowódcą. Dopiero po dłuższej chwili powiedziała:

– To bardzo dobry plan. Jak kolumna Czynnona ruszy, spotykamy się tu, by ustalić, co robić dalej. Dziś obozu nie zwijamy, niech ludzie odpoczną.

Pozostało piętnaście osób, które włączono do oddziału Toma. Po godzinie kolumna Czynnona skryła się za wzgórzem. Oni w szóstkę ponownie wrócili do stołu, na którym znalazły się plastry kruchej baraniny, chleb, a nawet wino. Przed Samuelem postawiono dzban naparu, za co z uśmiechem podziękował.

Początek dyskusji zdominował temat rozmów, jakie przeprowadzili z ludźmi odchodzącego oddziału.

– Jestem ciekaw, gdzie taki oddział pójdzie – zaczął rozważać Tom. – Zechcą dołączyć do oddziałów wielkiego chana, ale na tym terenie armii Mongołów już nie ma.

– Myślę, pani – Wilam zwrócił się do Zoli – że dwa dni pozostanemy w tym miejscu.

– Czy to nie zbyt duża strata czasu?

– Oni będą chcieli zobaczyć, gdzie my idziemy. Na odległość jednego dnia mogą wysyłać gońców. Potem zaniechają, bo musieliby sami się zatrzymać.

– Co proponujesz potem?

– Ukryć się w lesie i przeciwżyć taktykę walki. Potrzebne będą wielkie pawęże, za którymi piechota będzie mogła kryć się przed strzałami i długie włócznie lub lance, by powstrzymać konnicę. Trzeba zwerbować dużą liczbę cieśli. Te wielkie tarcze mogą być z drewna.

– Jestem zadowolona, Wilam, że wybrałam ciebie głównodowodzącym. Mam do wszystkich prośbę, byście nie zwracali się do mnie „pani”. Mówcie mi po prostu Zola, nawet przy oficjalnych spotkaniach. Zależy mi, aby nikt nie kojarzył mnie z rolą przywódcy.

Obóz po dwóch dniach skrył się w lesie sąsiedniego stoku. Znaleźli tu obfity strumień i po ustawieniu kilku niewielkich zapór był dostatek wody dla ludzi i koni.

Długo zastanawiano się nad znalezieniem potrzebnych rzemieślników. Samuel w taborach miał mapy, z których zorientowano się o położeniu najbliższych siedlisk. Rozesłano kilka wozów z obstawą, dopóki nie wróciły, nie było zajęć.

Czas się dłużył. Pewnego dnia wartownik dostrzegł w lesie zwierzęta. Zorganizowano polowanie, ale zamiast jeleni, znaleziono stado kóz. W okolicy brakowało gospodarstw, więc uznano, że pochodziły z rozbitej karawany.

Pierwsze wozy wróciły po kilku dniach. Przywoziły deski i inne potrzebne materiały. Przekazano również wiadomości o tureckich czujkach. Rozpytywali się o armię dowodzoną przez kobietę. Dwie grupy napotkały wędrującego kowala. Uskarżał się na wojsko w lesie, które ukradło mu

stado kóz. Wysłano ludzi, aby przyprowadzili tego człowieka. Przywieźli go pod przymusem. Nie chciał jechać do armii, obawiając się o los żony i dwóch córek, które ukrywał w swoim wozie. Zola zaoferowano mu pracę. Na zatrudnienie wyraził aprobatę, a miejsce w obozie przy oddziale dziewcząt przyjął z ulgą.

Przywiezienie cieśli ożywiło obóz. Opracowano model drewnianej tarczy wysokiej na cztery łokcie i przypominające płytkie, szerokie koryto. W środku umieszczono uchwyty do niesienia i przytrzymywania w walce. Obecność kowala okazała się szczęśliwym trafem. Zaproponował wzmocnienia tarcz i produkcję gwoździ, które bardzo uprościły pracę. Pojawienie się pierwszych tarcz zapoczątkowało ćwiczenia taktyczne.

Kowal podsunął pomysł katapulty o sprężystym stalowym ramieniu. Wilam powątpiewał w sprawność takich machin, ale zakupił odpowiednią ilość żelaza, aby zbudować jedną na próbę. Gdy pierwsza machina cisnęła wielkim kamieniem na dwieście kroków, poparto budowę trzech następnych. W sumie armia dysponowała dziewięcioma katapultami. Problem stanowiły pociski zapalające. Mieli ich jeszcze spory zapas, nie mogli jednak liczyć na dalsze dostawy. Produkowane były w Persji, skłóconej z większością państw. Przyjęto rozwiązanie ostrzału kamieniami i zaczęto zbierać ich zapas.

Zola nie wtrącała się do poczynąń Wilama, ale czuła niepokój przed zbliżającym się dniem wymarszu. Złoto, znajdujące się w jej taborach, będące łakomym kąskiem dla wszystkich oddziałów na bliskim wschodzie, przestało być tajemnicą. Konflikt jednak mógłby być przydatny, ponieważ zwycięska bitwa przyniosłaby im uznanie, podnoszące wartość kontraktów z przyszłymi sprzymierzeńcami.

Po kilku dniach weszli na tereny byłego hrabstwa Edessy, która w przeszłości podlegała krzyżowcom, musieli zachować dużą ostrożność

przy oficjalnych rozmowach. Na prośbę Samuela do ostatnich oddziałów przeniesiono wszystkich wyznawców islamu.

Każdy dzień marszu zaczynał się od wysyłania czujek zwiadowczych, ale nie napotymano na znaczące siły obcych wojsk.

Miasto Edessa widzieli już z daleka. Zatrzymali się trzy mile przed nim. Nie było doniesień o stacjonujących tam wojskach, jednak musieli zachować szczególną czujność, znajdowali się na spornym obszarze. Wpływy miał tu sułtanat konijski, ale od południa granice rozszerzyli Turcy Seldżuccy.

Wilam podjechał do Zoli.

– Nie ma bocznych dróg, musimy przejechać przez miasto albo cofnąć się i objechać wielkim kołem.

– Nie róbmy nic siłą, nie chcę wywoływać konfliktu.

– Najprościej jest przejechać przez ten gród.

– Jesteśmy jeszcze daleko, dla piechura to godzina drogi. Oni nas widzą i już szykują się do obrony. Wskazane jest nawiązać kontakt, chociażby celem uzupełnienia zapasów. Mamy złoto i możemy kupić, co chcemy, a im dać zarobić. Gdy zachowamy się poprawnie, przekażą o nas informacje do sąsiednich miast. Będziemy mieli mniej problemów w dalszej wędrówce.

– Nie możemy tu stać bez końca. – Wilam okazał zniecierpliwienie.

– Tego nie powiedziałam. Przekaż dowodzenie Samuelowi. Pojedziemy do nich na rozmowy. Wyznacz dziesięciu ludzi, najlepiej Ormian, którzy stanowić będą świtę. Z Toma zrobimy chorążego. Wezmę cztery dziewczyny na wypadek, gdyby zmusili nas do obrony.

– Co im powiesz?

– Ty będziesz rozmawiać, ja będę tylko twoją obroną. Trzeba ich poprosić, by pozwolili nam przejechać przez miasto. Przejedziemy wąską

kolumną i rozbijemy obóz w bezpiecznej odległości za murami, potem wrócimy do nich i będziemy handlować. Trzeba to powiedzieć w taki sposób, by się zgodzili.

Tom przywiązał białe płótno na wysokiej lancy. Ruszyli galopem. Zwolnili dopiero przed murami. Pięćdziesiąt kroków wcześniej zatrzymała się dziesiątka żołnierzy. Reszta podjechała pod zamkniętą bramę. Z przodu stanął Wilam z Tomem, zaraz za nim pięć dziewcząt. Na murach nad nimi pojawiła się grupa ludzi. Wilam, używając łaciny, wyraził prośbę przepuszczenia ich przez miasto. Mężczyzna w białym płaszczu odpowiedział również w tym języku.

- Mógłby pan mówić innym językiem, tu łacinę znają nieliczni.
- Może być po ormiańsku – wtrącił się Tom.
- Może pan mówić i językiem Saracenów. Po pana stroju sądzę, że podlega sułtanowi Egiptu.
- Przyjechaliśmy rozmawiać – zaczął Wilam językiem Mongołów.
- Mówi pan z dziwnym akcentem. Od razu zorientowaliśmy się, że jesteście ordą nieznanego emira. Nie zdobędziecie nas tak szybko, będziemy się bronić – powiedział to starszy mężczyzna w brązowym płaszczu.

Zola stanęła obok Wilama. Zaczęła mówić językiem ormiańskim.

- Za nami stoi tysiąc dwustu przeszkolonych w walce ludzi. Posiadamy dziewięć katapult i mnóstwo zapalających pocisków z Persji. Nie stanowicie żadnego zagrożenia. To miasto może stanąć w płomieniach i sami będziecie z niego uciekać. Nie zrobimy jednak tego, bo żal nam kobiet i dzieci. Zmierzamy do Bizancjum. Chcemy przyłączyć się do tamtej armii. Jeżeli nas nie przepuścicie, ominiemy was wielkim kołem. Możliwe, że stracimy dwa dni, ale oszczędzimy ludzi. Wy natomiast nic nie zyskacie. Gotowi jesteśmy zapłacić złotem za zezwolenie przejścia przez wasze

miasto. Płacilibyśmy również złotem za materiały, które są nam potrzebne, ale tylko wtedy, gdy pozwolicie nam przejść na drugą stronę miasta.

Mężczyzna w brązowej pelerynie nachylił się nad murem.

– Gdzie kobieto nauczyłaś się tak dobrze ormiańskiego?

– Jestem Ormianką, jak zdecydowana większość naszego wojska, choć niektórzy z nas przeszli na inną wiarę. Teraz chcemy służyć słusznej sprawie. Ten człowiek, choć nie jest Ormianinem, dowodzi nami i pomógł oderwać się od wojsk ordy... – zawiesiła głos jakby chciała dalej mówić, ale po chwili wycofała się w tył, stając w rzędzie między swoimi dziewczętami.

Na murach mężczyźni zaczęli ze sobą dyskutować. Po pewnym czasie odziany w pelerynę wskazał palcem Wilama.

– Mów po arabsku. W jaki sposób zagwarantujecie, że przechodząc przez miasto, nie napadniecie na ludzi.

– Będziemy szli wąską kolumną, nigdzie się nie zatrzymując. W odległości mili za miastem rozbijemy obóz. Następnego dnia ludzie od nas zgłoszą się do was po potrzebne towary.

– Niech będzie trójkowa, nieprzerwana kolumna. Tabory na końcu...

– Nic z tego! My też jesteśmy ostrożni. Tabory będą szły między wojskiem – zaprotestował Wilam.

Na murach znów rozgorzała dyskusja. Głos zabrał ten sam mężczyzna.

– Niech tak będzie. Za przejazd zapłacicie dwanaście sztuk złota, w monetach chanatu. Wieczorem przyjedzie do was trzech kawalerów i dowie się, co chcecie u nas kupić.

– Zgadza się – odpowiedział Wilam.

– To nie wszystko – powiedział mężczyzna w białym płaszczu. – Ty z chorążym i kobieta, która zabierała głos, wejdziecie do środka, by omówić szczegóły.

Wilam popatrzył na Zolę, ona kiwnęła głową na znak zgody. W trójkę zeszli z koni. Zola poleciła dziewczynom wycofać się do stojących dalej żołnierzy i schować się za końmi.

– Zanim wejdziemy do środka – tłumaczyła – macie stać w ten sposób, by nie sięgnęły was strzały z muru.

W bramie była furta, przez którą ich przepuszczono. Cała świta z murów była już na dole. Mężczyzna, który polecił im wejść, wysunął się do przodu. Na białym płaszczu widniały czarne krzyże, chwilę lustrował ich wzrokiem.

– Pięć dni temu rozmawialiśmy z czujką Mongołów. Twierdzili, że zbliża się olbrzymia banda pod dowództwem kobiety, która ma dużo mongolskiego złota, za które chce utworzyć emirat.

– Dowódcą jestem ja... – odpowiedział Wilam.

– Ale skoro ona jest Ormianką – przerwał mu zakonnik – niech wyrecytuje dziesięć przykazań.

Zola natychmiast wygłosiła w języku Ormian cały dekalog.

– Wykułaś tę modlitwę, musiałaś ją często powtarzać.

– Mówiłam ją przynajmniej raz dziennie, panie. Nieraz nawet kilka razy, ilekroć sięgałam po miecze. Przykazania były moją modlitwą, która powstrzymywała mnie przed zapędzeniem się w zabijaniu.

– Przypuśćmy, że uwierzę, ale on też zgrywa się na Ormianina – wskazał na Toma. – Niech powie jak Jezus kazał nam modlić się do Boga.

Tom zdjął kask, przykląkł na kolano i po ormiańsku przeżegnał się, a następnie wyrecytował „Ojcze nasz”. Nim nałożył na powrót hełm Wilam zwrócił się do mężczyzny, używając twardej w brzmieniu, nieznanej mowy. Zola zorientowała się, że to język Europejczyków, ale nie miał brzmienia dialektów romańskich. Był również odmienny od mowy Słowian czy Litwinów. Mężczyzna w białym płaszczu drgnął zaskoczony, ale podjął

rozmowę, używając tej mowy. Rozmawiali dłuższy czas. Nie tylko Zola z Tomem byli zdziwieni, pozostali mieszkańcy miasta również okazywali zaniepokojenie. Dialog momentami zamieniał się w spór, który Wilam próbował załagodzić. Pochylając głowę, powiedział już w języku Saracenów:

– Jestem Wilam von Junhaler. Jeżeli przybędziesz wieczorem do mego obozu, wyjaśnimy sobie wszystko.

Mężczyzna cofnął się do pozostałych dostojników, coś powiedział. Po chwili podeszła do nich kobieta w podeszłym wieku.

– W imieniu swego męża i braci zakonnych pozwalam na przejazd waszemu wojsku przez nasze miasto. Ma być zachowana kolumna trójkowa, a wozy powinny jechać pojedynczo. Kolumna nigdzie się nie zatrzymuje. Obóz rozbijacie nie bliżej niż milę za miastem.

– Tak będzie, pani. – Wilam pochylił głowę i ruszył w kierunku wyjścia. Tom z Zolą podążyli za nim. Zaraz za bramą powiedział: – Tom, zabieraj ludzi i jedź do Samuela. Niech formułuje kolumnę i od razu wyrusza. Ty, Zolu, poczekaj, muszę ci wiele wyjaśnić.

Jechali wolno w kierunku swego wojska. Wilam opowiadał Zoli, dlaczego cesarz Niemiec oddelegował go do grupy Francuzów mających przygotować wyprawę odbicia Jerozolimy. O upadku tej krucjaty dowiedział się dopiero, walcząc w armii Muzaboka. Czuł się winny, choć była to wina Francuzów, którzy zlekceważyli zagrożenie. On jednak był

w tej grupie i również zawiódł. Wstydził się, że jako niewolnik wysługiwał się w obcych wojskach. Przystał do niej, bo ona go wyzwoliła. Nadając mu tytuł głównodowodzącego, zwróciła jego honor. Już nie miał się czego wstydzić. Był wolnym człowiekiem, który będzie walczyć o sprawę, w jakiej go wysłali.

– Czemu to ukrywałeś? – spytała. – Przypuszczałam, że pochodzisz z sułtanatu Delhi. Często przyjmujesz pozycję medytacji. Mówiłeś o wielu ścieżkach zbawienia duszy...

– Nie muszę klękać, by się modlić – przerwał jej. – Pozycja medytującego Buddy zapewnia spokój i pozwala skupić się na modlitwie. Nie wiem jak na to popatrzą nasi kapłani, ale do tej pory uratowało mnie to przed składaniem pokłonów dla Allaha. Chociaż, jak określiłaś, to ten sam Bóg, to różnica w religiach jest duża. Ten mężczyzna z krzyżami na płaszczu uważa mnie za zdrajcę. To kawaler zakonu szpitalników pod wezwaniem Marii Panny. Oni opiekują się szpitalem i w ten sposób zapewnili sobie nietykalność. Tutejszy władca boi się Mongołów, dlatego zezwolenia na przejście udzieliła jego żona, też katoliczka, ale ta decyzja może być odwołana. Tutejszy katolicy nie są życzliwie nastawieni do chrześcijaństwa obrządku nestoriańskiego, które funkcjonowało w Konstantynopolu, dlatego zechcą nas przekonać do zaniechania naszej podróży.

– Nie mamy innego wyjścia niż parcie na zachód.

– Dla nich skierowanie nas do Cylicji byłoby mniejszym złem. Królestwo Nowej Armenii wciąż jest neutralne.

Zola po dłuższym zastanowieniu zaczęła mówić:

– Myślę, że chrześcijanie nie wygrają tu żadnej wojny. Za dużo podziałów i różnorodnych frakcji. Powstaje dużo zakonów, wszyscy są zachłanni, budują swoje twierdze, miasta i państwa. Te małe organizacje nie mają siły, by przeciwstawić się napływowi Mongołów, Turków i Saracenów. Mongołowie też się podzielą, ale z chęcią przyjmują wiarę islamu. Może się pokłóć między sobą, jednak już nie ruszą z terenów zdobytych. Kłótnie chrześcijan są pożywką na zasiedlanie tych ziem przez islam. Pójdziemy pokłonić się królowi Cylicji. Trzeba będzie wykupić enklawę dla naszych Muzułmanów. Jak dużo mamy ludzi wyznań hinduistycznych?

- Nie ma o czym mówić. Jest ośmiu buddystów.
- Dlaczego ci w mieście chcą tak mało za przemarsz wojska?
- To normalna stawka, sztuka złota za stu ludzi. Tyle będziesz musiała zapłacić na początku. Ostatni żołnierz będzie musiał dopłacić różnicę. Oni przeliczą naszych żołnierzy i zażądają dopłaty za wozy.

Zola wstrzymała konia.

– Nie ma sensu jechać do przodu, kolumna już ruszyła, poczekajmy na nią tutaj.

– Trzeba mieć przy sobie złoto, w przeciwnym razie nie otworzą bramy.

– Byłam na to przygotowana, jak tam jechaliśmy. Mam wystarczającą ilość – odchyliła ochraniacz karku konia, pokazując trzy sakiewki, jedną przepięła od razu do pasa. – Zapewnię wam wjazd i dopilnuję zamknięcia kolumny.

Przejazd przez miasto nie wzbudzał żadnych emocji. Zola zapłaciła za otwarcie bramy, a potem ze wszystkimi dziewczętami ustawiła się na końcu kolumny. Uzbrojone kobiety wzbudzały sensację. Pod ich adresem padało wiele nieprzychylnych epitetów. Nie zwracały na to uwagi. Opuszczając miasto trzeba było dopłacić jeszcze osiem złotych monet. Uważała, że to za dużo, ale bez słowa odliczyła brakującą kwotę.

Po dwóch godzinach od minięcia miasta obóz był gotowy. Kobiety szykowały sobie kolację, gdy przyszedł Tom.

– Zola, Wilam chce byś zjadła z nim kolację. Poprosił również Samuela i mnie. Powiedział, że musi być przygotowany zanim przybędą rycerze.

– Powiedz mu, że przyjdę z Karłą i Jane. One muszą o wszystkim wiedzieć.

Informacje dzisiejszego dnia były dla Zoli zaskoczeniem, zapowiedziana narada również budziła niepokój. W swojej armii ma

Ormian, Saracenów, mameluków i Turków. Teraz uwidaczniają się krzyżowcy. Gdzie ona z tą zbieraniną może szukać ratunku? Coraz częściej żałowała odłączenia się od Azabaj. Najchętniej uciekłyby, zaszyła się gdzieś w jakiejś ostoji z dala od ludzi, jednak poczucie odpowiedzialności za tych, którzy do niej przystali, nie pozwalało jej tego zrobić.

Wilam przywitał je słowami:

– Te panie nie musiały tu przychodzić.

– Musiały! Ja często za dużo ryzykuję, ktoś w razie potrzeby powinien zapewnić ciągłość władzy.

– Czybyś mnie nie dowierzała?

– Twoja historia dużo od mojej się nie różni, ale dowiedziałam się, że reprezentujesz obce mocarstwo. Mam nadzieję, że przed nami jeszcze długi okres współpracy. Chyba że dziś przyłączysz się do tego Niemca z krzyżem na płaszczu i będziemy musieli się pożegnać.

– Powinnaś być monarchą – uśmiechnął się. – Masz tok myślenia jak mój cesarz, wysnuwasz wnioski z każdego wyrazu w zdaniu.

– Szachem nie będę.

– Nie zarzekaj się. Nigdy nic nie wiadomo.

Podeszli do ogniska, przy którym siedział Tom i Samuel z Dzonchinem, swoim skrybą.

– Pani, dziewczęta, które nam przysłałaś, świetnie nadają się na stanowiska sekretarzy – zaczął rozmowę Dzonchin. – Jakbyś podesłała mi jeszcze kilka, to mógłbym rozszerzyć kancelarię na całą armię.

– Uczyli nas wszystkiego, nawet tańca. Azabaj podsylał nam każdego napotkanego nauczyciela. Umiemy dużo, ale po trochu, nic konkretnego...

– Raczysz żartować, pani – przerwał jej. – Byłem w oddziałach broniących taborów. Tego, co potrafisz wyprawiać ze swoimi mieczami,

chyba nikt nie widział. Myślę, że dla ciebie pięciu bojowników, to żadna przeszkoda.

– To zwykłe rzemiosło, ja mówię o wiedzy. Chciałabym, by każda z moich dziewcząt mogła sprawować stanowisko wezyra. Jak będziesz wszystkie szkolił dwie godziny dziennie w zakresie prowadzenia kancelarii, to przydzielę ci tyle, ile uznasz za potrzebne.

Wszyscy się roześmiali.

– Widzę, sekretarzu, że przybył tobie nowy zakres pracy – powiedział Wilam. – Uważaj, co przy niej mówisz, ona z każdego słowa uczyni twój obowiązek. Jednak nie po to tu się zebraliśmy. Musimy opracować listę naszych potrzeb, mówię o towarach, które chcemy zakupić. Powinniśmy również zdradzić swoje zamiary na przyszłość. Przy szczerej rozmowie udzielę nam rad na dalszą podróż.

– Nie mam zamiaru mówić, co zamierzam w przyszłości. O ile twoi krajanie będą nam życzliwi, to zasugerują jakieś rozwiązanie. Jak powiem, co planujemy zrobić, to przyjmą to za pewnik i będą konsekwentnie wymagali od nas zapowiedzianego toku postępowania. Nie znam swoich zamiarów, nie wiem, co nas czeka. Tu sytuacja zmienia się każdego dnia. Nie przypuszczamy, co chce Czynnnon. Ktoś w jego imieniu rozmawiał z tutejszymi ludźmi, ale twoi krajanie nie powiedzieli nam o zagrożeniu z jego strony, może planują coś razem.

– Nie przypuszczam, by bracia zakonni planowali spółkę z Mongołami.

– Oni nie planują, oni są podległymi sułtanatu. Tutejszy emir może wydać im polecenia.

Wilam wbił w nią wzrok, jakby chciał wszystkiemu zaprzeczyć, ale po chwili złagodniał. Powiedział ściszym głosem:

– Masz rację, pani. Byłem szczęśliwy, bo spotkałem rodaków. Powinniśmy jednak być ostrożni w rozmowach z nimi.

– Ty masz być ostrożny, ja będę siedziała z boku, bez głosu w rozmowach. Samuel powie, co potrzeba nam z zapasów. Musisz zastanowić się o brakach naszego uzbrojenia. Na pewno potrzebne są długie włócznie do zatrzymania szarży ciężkiej jazdy. Nie chwalmy się swoimi dużymi tarczami. Tajemnica ich posiadania jest naszą przewagą. Musimy zaopatrzyć się w elementy umundurowania, aby nikt nas nie mylił z mamelukami czy Turkami.

W tej chwili przycwałował wartownik, informując o zbliżającej się czteroosobowej delegacji z miasta. Zola z koleżankami zabrały bukłak z winem i usiadły z boku, by dobrze słyszeć rozmowę.

Delegacja składała się z trzech mężczyzn w białych płaszczach. Czwarty miał na sobie szarą podróżną pelerynę i prowadził muła obładowanego jukami. Zsiedli z koni na dziesięć kroków od ogniska. Wilam z Tomem i Samuelem wstali na ich powitanie. Dzonchin zabrał swoją torbę sekretarza i przysiadł się do dziewczyn.

Delegatom przedstawiono Toma jako osobę odpowiedzialną za stan techniczny armii, a Samuela jako głównego zaopatrzeniowca. Dzonchin wyjął z torby swoje materiały do pisania, Zola wzięła od niego kartkę papieru i rysik.

– U was kobiety umieją pisać? – zwrócił uwagę zakonny.

– Nie tylko – obojętnie odpowiedział Wilam. – Przedstawcie się panowie, łatwiej będzie nam rozmawiać.

– Jestem rycerzem zakonu – mężczyzna grzecznościowo skinął głową.
– Nazywam się Franc von Krysvangem, a to mój kamrat Henry von Jungan, brat Larchos pochodzi z Ormian. Czwarty z nas, to wysłannik króla Cylicji,

pan Mark. Ma zamiar jutro o świcie wyjechać. My otwieramy bramy dopiero o ósmej, dlatego chciałby przenocować u was, aby móc szybciej wyruszyć.

Zola na kartce starannie wypisała nazwiska. Pozostałą część papieru podzieliła linią na dwie części. Po jednej stronie notowała wypowiedzi Wilama, a słowa gości umieszczała z drugiej strony linii. W ten sposób szybciej zużywała kartki, ale nie musiała długo analizować zapisków, aby odszukać potrzebny fragment. Jak pojawiały się nieścisłości, pokazywała to Dzonchinowi, on wynotowywał problem na skrawku papieru i podawał Samuelowi, a ten przekazywał Wilamowi lub sam zabierał głos. Droga przekazywania informacji była długa, ale maskowała osobę Zoli.

Goście sugerowali, że przejście na stronę Bizancjum jest niebezpieczne, ponieważ wojska tureckie ciągle z nimi walczą, a europejskie mocarstwa nie są przychylnie nastawione do Konstantynopola. Lepiej przyłączyć się do Cylicji.

– Czemu uważacie, że sułtan konijski nie podbije Małej Armenii?

– Dwa lata temu król Cylicji wysłał do Karakorum brata. On podpisał porozumienie z wielkim chanem i jest już w drodze powrotnej. Wielki chan nie żyje, ale rolę tę odgrywa jego żona, która wszystkie akty utrzymuje w mocy. Następcę kaana mają wybrać po wielkim zjeździe chanów, jednak to trochę potrwa. W tej chwili wszystkie porozumienia są ważne.

Wilam odruchowo popatrzył na Zolę, ta potwierdzająco kiwnęła głową. Wychwycił to von Kryswangen.

– Widzę, panie, że wasze kobiety nie tylko umieją pisać.

Wilam nie dał poznać po sobie zmieszania.

– Spotkałem się w swoim życiu z kobietami, które okazały dużo więcej odwagi niż mężczyźni, to jednak nie jest tematem tej rozmowy. Sugerujecie nam, byśmy dotarli do Cylicji. Jak w tamtym kierunku ruszę swoją armię, wywołam konflikt.

– Pojedziesz na miasto Hromkla, w ten sposób ominiesz wszystkie inne miasta. Nie musisz przez niego przejeżdżać, jest droga z boku. Pan Mark również będzie jechał tą drogą i poinformuje tamte władze, że nie jesteście wrogą armią. Nie powinniście mieć z ich strony kłopotów, jednak w naszym mieście są Mongołowie rozsiewający różne plotki. Oni już wiedzą którądy będziecie jechać.

– Chcesz nas więc skierować w pułapkę?

– Tą pułapkę sami sobie zgotowaliście. Przeszliście przez nasze miasto. Zainteresowani przyjrzeni się wam. Teraz gdziekolwiek pójdziecie, będą was śledzić. Miasto Hromkla jest przy granicy Małej Armenii. Myślę, że zanim oni ściągną siły, które mogą wam zagrozić, to zdążycie uciec.

Zola przyjrzała się człowiekowi reprezentującemu Cylicję. Był dojrzałym mężczyzną, ale na pewno nie pełnił znaczącej funkcji, inaczej podróżowałby ze świtą. Po coś jednak tu przyjechał, prawdopodobnie reprezentował jakąś organizację. Będzie jechał przed nimi i jeżeli okaże się mało życzliwy, może napuścić na nich wojska Turków. Poza tym Cylicja, po podpisaniu porozumienia z wielkim chanem, miała status nietykalności, ale ordy mogły działać i na ich terenie. Dodatkowym zagrożeniem było ich złoto, które kusiło każdego. Dzonchinowi podała kartkę, na której napisała: zakupcie uzbrojenie, kaptury mundurowe i kończcie rozmowy.

O kapturach mundurowych rozmawiali wcześniej. Armia Zoli miała różnorakie ubiory. To było poważnym utrudnieniem w czasie walki w polu. Najprostsze rozwiązanie podpowiedział Samuel. Zaproponował uszycie jednokolorowych bardzo krótkich opończy. W zasadzie były to kaptury, których dolna część okrywała ramiona. Jeden krój i kolor okrycia byłby rozpoznawalny nawet w największym tłumie. Stroje te były ważne i jeżeli mogliby się w nie zaopatrzyć w tym mieście, to warto czekać kilka dni.

Poważnym zadaniem było zakupienie długich włóczni. Wątpili, aby znaleźli tu odpowiednie ilości tego rodzaju broni, jednak Franc von Krysvangem zaoferował, że zbierze jak największe ilości.

Rozmowy zakończono po pół godzinie. Przedstawiciela Cylicji zakwaterowano przy rodzinie kowala. Zola układała się do snu w swoim wozie, gdy wywołał ją Wilam.

– Przyszedł do mnie Mark i powiedział, abyśmy dotarli do lasów w górach Amonos i tam się ukryli. On za dziesięć dni będzie po rozmowie z królem, a za dwanaście zechce spotkać się z nami w mieście Anazarba. Przekaze nam wtedy, na co król Cylicji się zgadza. Na wiadomość będzie oczekiwał w cechu handlarzy przyprawami.

– Co mamy im do zaproponowania?

– Powiedziałem, że chcemy kawałek ziemi do zagospodarowania i że do walki stawimy się na każde żądanie za zwykły żołd.

– Myślisz, że na to się zgodzą?

– Nie wiem, ale zasiałem w jego umyśle wątpliwości o naszym złocie. Bo kto mając armię, zgodzi się na zwykły żołd.

– Mówiłeś mu o naszych muzułmanach?

– Nie chciałem mieszać informacji, nie wiem, co to za człowiek. Podróżuje sam, a obiecuje dogranie porozumienia z królem. Musi mieć dobre glejty, skoro nie boi się wędrować przez te okolice. Bracia zakonni tak łatwo nie obdarowują zaufaniem postronnych ludzi.

– Może to wysłannik samego króla?

– To możliwe. Cylicja szykuje się do udzielenia pomocy francuskiej krucjacie.

– Jeszcze raz porozmawiajmy z nim. Oni bronią się przed naporem islamu. Muszą koniecznie wiedzieć, że w naszych szeregach są wyznawcy Allaha. Ta zatajona informacja może w przyszłości być niebezpieczna.

Czegoś w tym państwie intuicyjnie się boję. To mój naród, moja mowa, obyczaj, a wszystko jest mi obce. Plan jest jednak dobry, nie wprowadza dodatkowego zagrożenia. Decyzję podejmiemy w Anazarbie.

Następnego dnia przed obiadem rycerz zakonny przyprowadził wóz załadowany włóczniami. Było ich zdecydowanie za mało na cały stan piechurów, zaproponował więc kopie.

– To nowe uzbrojenie konnicy – tłumaczył – długi zaostrzony drąg, trzymany pod pachą przez ciężko zbrojnego jeźdźcę. Jeżeli w pełnym galopie trafi w przeciwnika, przebije nawet pancerz. Mamy w magazynie sto takich kopii. Nasze rycerstwo wycofało się do Europy, a kopie zostały, o ile wam się spodobają, możemy je odsprzedać. Piechurzy też tym mogą działać.

Wilam widział tego rodzaju ciężkie lance. Uważał, że to droga broń i na domiar jednorazowego użytku. Przy szybkim najeździe, kopie po prostu się kruszyły. Doszli jednak do wniosku, że piechota potrafi nimi zatrzymać najazd ciężkiej jazdy.

Krawcy w całym mieście szyli im brązowe kaptury. Z początku miały być białe, jednak nie znaleziono tyle materiału. Kolor ciemnobrązowy wybrano po otrzymaniu zapewnienia, że każdy inny da radę przefarbować właśnie na tę barwę. Wyruszająca spod Edessy armia wyglądała dość jednolicie.

Podróż rozpoczęto po trzech dniach postoju. Do miasta Hromkla nie natrafiono na żadne przeszkody. Przy murach zatrzymano się na kilka godzin, zakupiono zapas wina oraz duże ilości chleba i mąki. Otrzymano informacje dotyczące miejsc zaopatrzenia w wodę.

Po minięciu miasta, od strony północnej pojawił się duży oddział. Wzmocniono czujność i wysłano zwiadowców. Postanowiono maszerować

do zmroku, wcześniej wróciła czujka, informując o zagajniku między dwoma wzgórzami. Byłoby to dogodne miejsce obozowania, nadające się do obrony, na uboczu, nie rzucaliby się w oczy, a każda grupa jadąca w ich kierunku, zdradzałaby swoje zamiary.

Wzgórza miały kamieniste urwiska, co uniemożliwiało atak z boków. Pomimo tego Zola czuła się zagrożona. Po rozbiciu obozu rozkazała ustawić po dwie katapulty w kierunku każdego zbocza, a pozostałe w kierunkach ujść doliny. Wilam wystawił wzmocnione warty, zabraniając palić ognisk wewnątrz obozu.

Zwiadowcy potwierdzili przypuszczenia. W okolicy były trzy trzystuosobowe oddziały śledzące ich od dłuższego czasu. Udało się przechwycić obcą czujkę, dwóch ludzi wzięto do niewoli. Obydwaj twierdzili, że dołączył do nich oddział Czynnona. Dowódcą całego zgrupowania był Dzarhit, Turek z sułtanatu konijskiego. Zola chciała osobiście przesłuchać jeńców, ale pojawił się Samuel, prosząc ją pilnie do swego obozu. Tam oczekiwało na nią stu dziesięciu muzułmanów. Wszyscy usadzeni byli w półokręgu, Samuel wprowadził ją w środek.

– Pani, moi ludzie boją się o swoją przyszłość. Poprzednio mówiliśmy, że pójdziemy do Bizancjum, teraz chcesz włączyć się do Cylicji, która walczy z wyznawcami islamu. Oni nie wiedzą, czy nie narażą się na szykany armeńskiego króla. Mają walczyć z oddziałami armii chana, a gdy władcy Cylicji ich wygonią, nie będą mieli gdzie się podziać.

Z tyłu za szeregami siedzących zobaczyła Wilama. Stał ze splecionymi rękoma na piersi i przysłuchiwał się, nie miał zamiaru podchodzić.

– Nie obawiajcie się – zaczęła mówić spokojnym głosem. – Wysłannikowi Cylicji przekazaliśmy, że nasza armia jest niepodzielna i nikomu nie przekażę nawet jednego bojownika. Zażądaliśmy oddzielnego terenu do zamieszkania, na którym będziemy mieli całkowitą swobodę. Za

te przywileje będziemy stawiać się do każdego boju, ale za należnym wynagrodzeniem. Jesteśmy niedaleko gór, w których mam zamiar ukryć naszą armię. Jak będziemy w miarę bezpieczni, wtedy zacznę pertraktacje z królem Małej Armenii. Przyłączyliście się do mnie, bo we mnie uwierzyliście. Obiecuję, że was nie zdradzę. Pertraktacje mają się zakończyć korzystnie dla nas wszystkich. Jeżeli chodzi o wojska, które do nas się zbliżają, to nie są oddziały chanatu. To banda, która ma zamiar nas złupić, wiedzona informacją Czynnona, że mamy olbrzymie zapasy złota. Nasze katapulty też są dla nich łasym kąskiem, ale nie damy się i mam nadzieję, że wy w tym pomożecie.

– A jak Wilam postanowi inaczej? – wyrwało się jednemu.

– Spytajcie go, stoi za wami.

Wszystkie głowy zaczęły się obracać w kierunku stojącego mężczyzny, co zmusiło go do wyjścia przed zebranych.

– Będzie tak, jak powiedziała Zola, ona tu ma władzę.

Samuel wyszedł na środek.

– Pani – krzyżując ręce, skłonił się Zoli – będziemy służyć ci wiernie, dopóki sami nie pocujemy się zdradzeni.

Zola uśmiechnęła się.

– Twoje słowa wyglądają na groźbę, ale nie boję się, zrobię wszystko, by zabezpieczyć wam godne życie. Powtórzę to, co mówiłam na początku. Będę o was dbała jak matka. Bóg jest jeden, tak mówi wasza i moja religia. Wyznanie ma drugoplanowe znaczenie, chyba że staniecie na drodze dżihadu, wtedy zakończymy naszą wspólną podróż. Musimy teraz zorganizować obronę. O świcie najprawdopodobniej czeka nas potyczka.

Razem z Wilamem i Samuelem odeszła w kierunku swojego wozu.

– **Bitwa!** To będzie bitwa – powiedział Wilam, gdy dochodzili na miejsce.

– Co masz na myśli? – spytała.

– Powiedziałaś im, że będzie potyczka, a to będzie prawdziwa bitwa, przeciw sobie stanie dwa tysiące ludzi.

Dotarli do wozów, Karle w towarzystwie Toma rozmawiała z jeńcami.

– Czego się dowiedziałaś? – spytała Zola, podchodząc do niej.

– Nie chcę mówić, musiałam im przyłożyć. Uporczywie powtarzają, że jutro do południa przestaniemy istnieć i niepotrzebne nam żadne informacje.

– Biłaś ich? Niepotrzebnie! Posadź ich wygodnie i rozwiąż im ręce i nogi.

– Zechcą uciec!

– Jak usiądziecie za nimi, a my przed nimi, to nie będą mieli szans.

Usiadła, krzyżując nogi. Z boków usiedli mężczyźni, którzy z nią przyszli. Gdy Karle rozcięła jeńcom więzy, zaczęli niepewnie rozglądać się. Jeden z nich spytał:

– Chcecie nas zabić?

– Skąd takie pomysły? – spytała Zola. – Musimy was więzić, dopóki nie rozbijemy waszych oddziałów.

– Nie rozbijecie ich. Mają szablę ciężkiej jazdy i dwie szable lekkiej, nie macie szans.

– My też mamy jazdę.

– Nasza jedna szabla, to trzystu wojowników. Dzarhit postarał się, aby wasi Saraceni nie walczyli. On ma zdolności przekonywania.

Zola popatrzyła na Samuela, on jakby rozumiejąc zamieszanie w swoich oddziałach, pokiwał głową. Wilam nie chciał zabierać głosu, więc zwróciła się do jeńców:

– Wasze oddziały nie mają szans. Zginie sporo ludzi, pozostali będą prosić o łaskę, którą udzielimy tylko w przypadku, gdy zechcą przyłączyć

się do nas. Wy też nie musicie ginąć. Zastanówcie się. Jak przeżyjecie, to jutro spytam was o zdanie. Powiecie, kiedy wasi zechcą nas zaatakować.

– Nie zdradzimy naszych, kobieto.

– Może ja bym też tak postąpiła, ale na razie czeka was niewygodna noc. Karle wyślij cztery dziewczyny, niech przywiążą ich do kół wozów tak, by nie mogli się obracać.

Gdy odprowadzono jeńców, Wilam powiedział:

– Uderzą o świcie. W nocy zajmą odpowiednie pozycje, a jak zaczną się rozwidniać, zaczną ostrzał z łuków.

– Za godzinę będzie ciemno – włączył się Tom.

– Obawiam się, że ostrzał zaczną, gdy nasi ludzie będą wychodzić z namiotów – powiedziała Zola. – Wejdą na te wzgórze – wskazała zbocze. – Od drogi ma ono łagodne podejście. W nocy zaczają się na zboczu i rano zasypią nas strzałami. Wtedy ciężka jazda ruszy na wprost doliny.

– Znajac Turków, najpierw uderzy lekka jazda atakująca z łuków – tłumaczył Wilam. – Za nimi nadjadą ciężej zbrojni, przebijając naruszony szlak.

– O ile Zola ma rację i oni wejdą na wzgórze – włączył się Samuel – to wynika z tego, że będą atakować tylko z jednej strony. Jeńcy mówili, że mają trzy szable. U nich szable to trzystu ludzi, ale tylko jedno dowództwo. Skoro jedna szable wejdzie na wzgórze, to zostaną dwie. Uważa pan, że do szarży wykorzystają dwa oddziały. Ja swoich Saracenów wykorzystalbym po to, by zająć strzelców od tyłu i ukraść ich konie.

– Bardzo dobry pomysł! – Zola uśmiechnęła się. – Pójdiesz tam jednak, by ich rozbić...

– Ale ich jest trzystu, a nas tylko stu dwudziestu – odparł wystraszony Samuel.

– Jak się dobrze przygotujemy, to nie będziecie mieli trudności... Tom przestaw wszystkie katapulty na to zbocze i obrzuć je niezapalonymi pociskami. Cały teren od pierwszych skał aż po szczyt.

– Po co? Stracimy pół wozu pocisków.

– Przecież to twój pomysł. Pamiętasz jak kazałeś mi najpierw rozbić niezapalony pocisk, potem jeden pocisk zapalił całą drogę. Teraz zrobimy to samo. Rozbijemy o to wzgórze wiele pocisków, potem strzelisz dwa, trzy razy i będzie się paliło całe zbocze. Ci co przeżyją będą mieli szczęście. Oddział Samuela poczeka na uciekających w panice.

– Dobry pomysł, pani – wtrącił się Wilam. – Jednak jak oddział Saracenów wyjedzie na koniach, to skierują całą chorągiew i ich unicestwią.

– Nie pojedą na koniach... Samuel! Konie jednej i drugiej jazdy ukryjesz między taborami tak, by nie dosięgły ich strzały. Wszyscy walczymy pieszo. Oni o tym nie wiedzą i będą musieli trzymać odwód, na wypadek szarży naszej konnicy. Teraz pójdziesz do swego oddziału i dowiesz się, z kim oni rozmawiali, kto starał się ich nastawić przeciw mnie. Może prowokatorzy są jeszcze wśród ludzi oddziału. Jak ich znajdziesz, to zabij, nie mogą dać Turkom żadnych znaków... Wyjdiesz dwie godziny przed wschodem słońca. Tamci w tym czasie będą wchodzić na to wzgórze. Przejmiecie ich konie, a kiedy będą uciekać, będą biegli w waszym kierunku, to uderzycie.

– A jeżeli oni nie zechcą wchodzić na to wzgórze? To tylko twoje przypuszczenie. Co wtedy mam robić?

– Ukryjesz się. Jak nikt ciebie nie znajdzie, to przesiedzisz do końca bitwy. Wątpię jednak by było ci tak dobrze. Jeżeli od razu nie umieszczą tam swoich łuczników, to po pierwszej szarży na jeden i drugi koniec doliny zechcą nas podejść. Innego pomysłu mieć nie będą, bo wzgórze z drugiej

strony ma kamienny klif. Wejdą tutaj, a ty ich przepuścisz i poczekasz aż będą uciekać.

– Uważasz pani, że oni nie przebiją naszej obrony? – spytał Wilam.

– Nie rozciągną tu szerokiego frontu, jesteśmy w dolinie. Mamy swoje koryta do obrony przed strzałami, długie włócznie, lance i kopie do powstrzymania konnicy. Przede wszystkim mamy katapulty, jak Tom umiejętnie ostrzela jedną i drugą stronę wjazdu do dolin, to żaden koń nie zechce szarżować przez ogień. Oni będą atakować, ale to my zwyciężymy. Nasza armia powinna wzrosnąć liczebnie po tej walce. Pan, Wilamie, zajmie się wjazdem wschodnim. Równy teren i najprawdopodobniej z tej strony uderzy ciężka jazda. Ja z dziewczynami obejmę dowództwo przy drugim wejściu. Zabiorę pięćdziesiąt pik i trzystu piechurów. Samuel wychodzi na zewnątrz, a Tom odpowiada za ostrzał we wszystkich kierunkach. Jak każdy z nas wykona swoje zadanie, nie powinno być dużych strat.

Przed świtem grupa ponad stu bojowników zeszła ze wzgórza, próbując opanować tabory. Łucznicy na zboczu strzelali do wszystkich, którzy ruszyli przeciw napastnikom. Cały oddział Samuela wyszedł godzinę wcześniej, przy wozach zostało kilkanaście osób. Zola dopiero teraz zaczęła rozstawiać obronę wjazdu do doliny, ale gdy się zorientowała, co zaszło, wbiegła na przeciwległy stok, krzycząc:

– Nie brońcie wozów, uciekajcie!

Kilkanaście strzał poleciało w jej kierunku, ledwo zdążyła skryć się za skalnym występem. Dwie koleżanki podbiegły do niej z tarczami i sprowadziły za najbliższy wóz. Podbiegło do nich czterech wrogów. Dla trójki dziewcząt nie byli trudnymi przeciwnikami, zdążyły dołączyć do mężczyzn wycofujących się z między wozów. Kazała Karle ustawić obronę przed jazdą, a sama cofnęła się z piątką dziewcząt, aby obserwować poczynania napastników wewnątrz obozu.

Przeciwnik był dobrze poinformowany, w których wozach ukryte było złoto. Robili specjalne nosidła, by wnosić ciężary pod górę. Skrzynki i beczułki z monetami podnosili pod sam stok, by ładunek szybko przenieść na drugą stronę wzniesienia. Jeden z nich wypuścił w górę palącą się strzałę. Był to sygnał.

Z dwóch stron doliny doleciały okrzyki szarżującej jazdy, a za moment trzask łamanych włóczni i kopii. Szczęk wybijanych skobli zwiastował uruchomienie katapult. W powietrzu ukazało się dziewięć smug palących się pocisków. Całe zbocze góry stanęło w płomieniach. Łucznicy w palących się ubraniach skakali w dół lub próbowali biec pod górę. Ci z ładunkami rzucali swoje bagaże, zbiegając na powrót pod wozy, ale tu czekało na nich piętnaście dziewcząt i osiemdziesięciu bojowników. Wrogowie rzucali broń, klękali w akcie poddania.

Szarża na obydwie skrzydła doliny spowodowała załamanie się pierwszej linii obrony. Nie spowodowało to większych strat wśród obrońców. Zaparte kołkami tarcze-koryta zdały swój bojowy egzamin, natomiast wystające lance pozbawiły życia wiele koni i wrogów. Gdy w środku szyku jazdy rozbłysły języki ognia, zwierzęta jak oszalałe rzucały się do ucieczki, stawały dęba, próbowały rozpierzchać się na boki. Wielu jeźdźców zostało stratowanych przez własne konie. Dalsze szeregi zawracały wierzchowce do ucieczki, ale dosięgała ich druga seria ogniowych pocisków.

Kwik koni i krzyk poparzonych ludzi rozbrzmiewał w całej okolicy. Gdy ogień przygasł, bitwa trwała nadal. Choć obrońcy mieli zdecydowaną przewagę, najeźdźcy nie poddawali się.

Przed południem walki dogasły. Wilam wysłał oddział jazdy, by wyłapywał zbiegów, jednak ponad dwustu konnych uciekło. Jedynym znaczącym powodzeniem pościgu było schwytanie Dzarhida, głównego

dowódcę napastników. Godzinę po południu ogłoszono przerwę na odpoczynek. Wszyscy mogli opatrzyć rany i najeść się.

Poza doliną, w zagrodzie z lin zgromadzono około dwustu jeńców. Pilnował ich oddział pięćdziesięciu ludzi. Organizacją tej warty obarczono Toma.

Po południu zaczęto porządkować pobożowisko. Jeńcom kazano wykopać groby dla czterystu poległych w walce. Zola z Samuelem wszczęła dochodzenie, kto zdradził wrogowi kryjówek, w których ukryto złoto. Wróg wiedział, z których wozów powinien wyładowywać towary, by dostać się do cennego ładunku. O zdradę podejrzewała kogoś z Saracenów. Samuel tłumaczył jej, że do jego oddziału prześlizgnęło się czterech obcych, którzy namawiali do przejścia do wojsk Dzarhida. Obiecali dobry żołd i służbę wśród islamistów, ponieważ wszyscy w ich oddziałach wyznają wiarę w Allaha.

– Zasada dżihadu? – spytała.

– Można by tak nazwać, ale nie miej im tego za złe. Oni szanują swoją religię.

– Każdy szanuje swoją wiarę, każdemu jest ona święta, ale oprócz pokory wobec swoich przekonań, należy jeszcze mieć rozum. Bóg obdarzył nas rozumem, byśmy rozróżnili dobre postępowanie od złego. Czego was naucza Szarit? Czy u was religia nie mówi, że Bóg jest jeden? Czy dla was Bóg chrześcijan jest innym bogiem? Istota naszego zatargu polega na tym, że my rozumiemy go inaczej niż wy. Kto znajdzie się taki odważny i powie, kto w tym sporze ma rację? Czy jak ktoś z ludzi, obojętnie muzułmanin, katolik czy Żyd, mówi, że tylko ja wierzę w Prawdziwego Boga, to nie wywyższa się nad Stwórcę... Dla mnie dziesięć przykazań jest podstawową modlitwą, codziennie staram się zgłębić każde postanowienie w nich

zawarte. Dla was Mojżesz też był prorokiem, czemu nie staracie się zrozumieć jego nauk?

– Nauki Mojżesza w wielu punktach odbiegają od nauk Mahometa.

– Mahomet też mówił o niezabijaniu, a jednak wy i my zabijamy każdego, kto jest nam przeciwny. Wiele o tym myślałam. Ludzkie prawa przeczą boskim, jednak prawa ludzkie zachowują porządek w istniejących społeczeństwach, a twoi ludzie zdradzili. Tylko oni mieli dostęp do taborów. Na każdym wozie, tuż pod kozłem, gdzie ukryto złoto w skrzynkach lub w beczkach, było zaznaczone kółko. Złoto mamy również w workach, ale ten ktoś o tym nie wiedział, ponieważ te wozy nie były zaznaczone. Ty masz dociec, kto zdradził. Ja nie będę się w to włączała, bo będą mnie podejrzewać o występowanie przeciw islamowi. Chcę zachować jedność armii, a nie prowokować podziały.

Plany na przyszłość omówiono przy kolacji. Biesiadę urządzili w namiocie Wilama, który był duży i posiadał wygodny stół. Na zewnątrz ustawiono czterech wartowników, aby zachować poufność narady. Oprócz ścisłego dowództwa, przyszedł sekretarz – Dzonchin oraz dwie zastępowe Zoli.

Pobojowisko uprzątnięto, a nad mogiłą martwych wznosił się kopiec o długości osiemdziesięciu kroków. Jeńców, którym obiecano, że nie będzie mordów, umieszczono w zagrodzie. Ich dowódca siedział ze swoimi żołnierzami. Czynnona nie było wśród jeńców, nie znaleziono go również między martwymi. Musiał uciec, choć nikt nie wiedział kiedy. Postanowiono pozostać tu jeszcze dwa dni i zastanowić się nad przyszłością armii. W trakcie rozmów Wilam powiedział:

– Zolu, powinnaś pomyśleć o założeniu emiratu...

– Jako kobieta nie mogę zakładać takiej enklawy, ty jesteś dowódcą.

– Żartujesz, pani. Rozegrałaś całą bitwę, pozostawiając mnie drobny wycinek frontu. Przyznaję, że rozegrałaś to znakomicie. Wyszliśmy prawie bez strat.

– Może i trochę zarządziłam, ale nie znam się na organizacji armii. Gdyby nie twoje tarcze, strat byłoby dużo więcej.

– Nieważne, kto jest ważniejszy – włączył się Tom. – Popieram pomysł pana Wilama, byśmy utworzyli emirat. Nikt by nie wnosił pretensji do różnorodnego wyznania naszych żołnierzy.

– Popatrz na wybrzeże krzyżowców – zwróciła się Zola do kolegi – pełno frakcji i państewek, które między sobą muszą się porozumiewać. Nikt im nie zapewni bezpieczeństwa przed armiami Turków. Sułtanaty mają swoją organizację, a malutkie państewka krzyżowców ledwo funkcjonują. Chciałbyś, żebyśmy zakładali kolejne malutkie państewko? Zjedzą nas wszyscy podlegli chanom, a krzyżowcom również będziemy przeszkadzać.

– Przecież jesteśmy chrześcijanami – odpowiedział Tom i jak zwykle przy zdziwieniu uniósł ręce.

– To nie ma nic do rzeczy. Na tych terenach przeżyje tylko ten, kto ma siłę. Po dzisiejszym dniu nas też już by nie było, gdyby nie twoje katapulty. Martwię się, co będzie, gdy zabraknie pocisków?

– Już wiem jak je robić. Trzeba tylko sprowadzić olej skalny...

– Nie o tym rozmawialiśmy – przerwała Zola. – Musimy przede wszystkim zastanowić się gdzie iść. Poprzednio mówiliśmy o drodze na Bizancjum, teraz na Cylicję. Nikt nas do niczego nie zmusza, możemy wybrać kierunek. Uciekinierzy z dzisiejszej bitwy długo będą się zastanawiać zanim na nas kogoś naślą. Nam Ormianom nie przeszkadza chrześcijaństwo obrządku wschodniego. Dla Wilama to zbyt duża różnica, dla innych krzyżowców również. Niektórzy już zapomnieli o wojnie w Konstantynopolu, ale ludzie o niej wiedzą. Należy się spodziewać kolejnej

wojny między chrześcijanami. Nie chciałabym być w nią wmieszana, dlatego proponuję przyłączyć się do Cylicji, przynajmniej będziemy wiedzieli z kim walczymy.

– Pani – wrócił do rozmowy Wilam – cały czas uważam, że powinniśmy przyłączyć się do Cylicji, jednak w rozmowach z królem powinnaś żądać emiratu. Enklawa na terytorium Małej Armenii pomoże nam zachować wewnętrzną suwerenność.

– Ty będziesz rozmawiał z wysłannikiem króla. Oni mogą nie chcieć rozmawiać z kobietą. Będę zawsze przy rozmowach. Oficjalnie przedstawisz mnie jako dowódcę pododdziału twojej ochrony. Dzięki temu będziesz miał połowę mniej wrogów.

– Czemu tak sądzisz?

– Samuel ci to wyjaśni.

Twarze mężczyzn zwróciły się na Saracena.

– No tak, umknęło mi to – uśmiechnął się Samuel. – Są zapiski, które mówią, że mężczyzna zabity przez kobietę będzie potępiony.

– Tak mówi Koran? – spytał Wilam.

– Tego nie powiem. Koran jest przeznaczony tylko dla wyznawców nauk Mahometa.

Przy stole mężczyźni mieli poważne miny, natomiast kobiety uśmiechały się, wymieniając spojrzenia. Samuel od razu to wychwycił.

– Widzę, pani, że znasz nasze nauki, dlatego Hamel Ahat złożył ci pokłon.

– Hamel jest szlachetnym wrogiem. On wiedział, że gdy zabiłam Mozaboka i jego zastępcę, on był kolejny do mego miecza. Uszanował to, że tego nie zrobiłam. Na domiar tego ułatwiłam mu przejęcie armii. Dzięki temu podarował nam bogactwo i sprzęt, który dzisiaj zagwarantował nam zwycięstwo.

– W czasie walki wymagał od nas dużo, ale nie pozwolił nas krzywdzić niższym dowódcom – dopowiedział Tom.

– Przecież mówiłeś, że was pozabija – wtrąciła Karle.

– To nie ja mówiłem, on tak twierdził – pokazał na Samuela. – Ja byłem mamelukiem, on był dowódcą u Mozaboka. Chociaż nie wiem jak by się zachował, wiedząc, że ostrzeliwaliśmy własne oddziały.

– Nie miał do was pretensji – do głosu wróciła Zola. – Uważał was za muzułmanów, przy przewadze oddziału kobiecego nie mogliście inaczej postąpić. Wolał jednak zostawić was w moich oddziałach, nie upominał się o was. W liście stwierdził, że byliście dobrymi bojownikami.

– Otrzymałaś jego list? – zapytał Wilam, na twarzy którego malowało się zdziwienie.

– Dwa razy do mnie napisał, stąd wiem o flocie Francuzów wysłanej na Egipt. Ostatni list dostałam pod Edessą. Pisał o mnie jako o wrogu, z którym nie chciałby się zmierzyć. Chyba jednak za dużo mówimy na mój temat. Zastanówmy się, co mamy robić. Mamy dwustu jeńców i Dzarhida, jutro powinniśmy im coś zaproponować.

– Jeżeli nie przyłączą się do nas, trzeba ich pozabijać, chyba nie ma innego wyjścia. – Wilam wzruszył ramionami.

– Mylisz się – Zola zaprzeczyła ruchem głowy. – Nie mam zamiaru przyłączać na siłę kogokolwiek do swojej armii. Pozabieram im broń, pancerze, konie i puszcę wolno. Zaproponuję im jednak, że każdy może mi służyć za zwykły żołd. Odejdą tylko nieliczni, przekonasz się. Stan naszej armii wzrośnie, a jak rozbijemy obóz w górach, jeszcze wielu do nas dołączy. Po tej bitwie będziemy mieli miano niezniszczalnych, w takiej armii każdy chciałby służyć.

– Dzarhid na pewno składał przysięgę swemu sułtanowi – wtrącił Tom.

– Dziwi mnie jego udział w tym napadzie. Jest dobrym wodzem, wszystko przygotował z najmniejszymi szczegółami. Nawet szpiegów wprowadził do oddziału Samuela, pomimo to nie przewidział użycia przez nas katapult i pocisków ogniowych. Wiedział o nas wszystko, a tak ważną rzecz przeoczył.

– Przypuszczam, pani – włączył się Samuel – że po prostu nie został poinformowany. Tak jak o złocie w workach nie wiedział, ponieważ Czynnnon mu o nim nie powiedział. Sam w przebraniu z garstką ludzi wślizgnął się między piechurów wczoraj wieczorem. Przewidywał wyjazd całego mojego oddziału. To on wprowadził Turków, którzy podburzali przeciw tobie. Worki ze złotem załadował już wieczorem na juczne konie, potem z moim oddziałem chciał opuścić teren obozowiska i pozostawiając walczące strony, mógł uciec na południe. Był bardzo zachłanny, nie chciał się z nikim dzielić. Zabił Turków, a potem trzech swoich ludzi, zostawiając przy sobie dwóch zaufanych, którzy mieli mu pomóc wyprowadzić sześć jucznych koni. Plan się nie powiódł, ponieważ my poszliśmy na piechotę. Wszystkie konie, razem z tymi jucznymi, zostały przeprowadzone między wozy. Wjazdu z tamtej strony pilnowałaś ty ze swoimi dziewczętami. Gdy to zobaczył, postanowił uciekać przez wzgórze. Udało im się zanim Tom podpalił zbocze, ale jeden z jego ludzi został pochwycony przez mój oddział. Gdy ty, pani, kazałaś mi wyłapać zdrajców w moim oddziale, oni szukali jeńca, który im uciekł. Złapaliśmy go przy koniach, napełniał sobie kieszenie złotem. Wszystko się wyjaśniło. Worki ze złotem były ukryte w jukach po żywności. Czynnnon wcześniej wiedział, zanim się od nas nie odłączył, w jaki sposób były ukryte monety. Złapanego nawet nie musiałem dużo przypalać, opowiedział mi wszystko.

– Gdzie on jest?

– Zabiłem go. Nie chciałem, aby ktoś się dowiedział, że my o wszystkim wiemy. Złoto ponownie ukryliśmy, jest prawie wszystkie.

– Jak dużo brakuje?!

– Pani, każdy człowiek, bez nadzoru zagląający do skrzyni czy worka, na pewno odprowadził jedną monetę do własnej kieszeni. Przypuszczam, że zginęło dziesięć, a może nawet z trzydzieści monet, ale nie więcej.

Zola się uśmiechnęła.

– Cieszy mnie, że udało się uratować honor twego oddziału. Chyba jesteśmy gotowi, by porozmawiać jeszcze dziś z Dzarhidem. Samuelu i ty Jano przyprowadźcie go do nas. Wart jest tego, by porozmawiać z nami przy stole, walczył dzielnie wraz ze swymi ludźmi.

Dzarhit klęknął w kierunku południowo-wschodnim, aby złożyć pokłon do grobu Mahometa. Słońce chyliło się ku zachodowi i to był czas na ostatnią modlitwę. Wielu jego ludzi wśród jeńców czyniło to samo. Gdy skończył modły i chciał usiąść, zobaczył nad sobą Saracena i zbrojną kobietę.

– Panie! – wykrzyknął. – Nie zawiniłem aż tak, by zabijała mnie kobieta!

– Nie chcemy ciebie zabić, a porozmawiać. Chodź, dowódca czeka!

Posłusznie ruszył za nimi. Kobieta kilka razy spojrzała na niego. Spod jej podwiniętych rękawów wyglądały umięśnione ramiona. Przy pasie wisiały dwa mandżurskie miecze. Widział już chińskie bojowniczkę i wiedział, że kobieca budowa ciała nic nie mówi o groźbie jej oręża. Ta nie wyglądała na Chinę, ale sprawiała wrażenie równie groźnej... Ton głosu tego mężczyzny nie mówił o jakimkolwiek zagrożeniu. Jednak prawda jest taka, że znajduje się w niewoli jakiegoś mieszanego, wielkiego oddziału,

który posiada duże zapasy złota. To może być banda, dla której jego życie nie stanowi żadnej wartości.

Podeszli pod duży namiot. Saracen zwrócił się do kobiety:

– Wprowadź go. Ja się jeszcze nie modliłem, zaraz do was dołączę.

Weszli do środka. Kobieta bez słowa zajęła miejsce przy dwóch innych. Obok siedział młody mężczyzna w stroju przypominającym egipskich mameluków. Z drugiej strony miejsce zajmował jakiś bojownik, ale przed nim leżały papiery i rysiki. Był również flakonik inkaustu i dwa nieużywane pióra do pisania. W centralnej części siedział człowiek w stroju dowódcy wojsk chana, choć kolor i budowa jego twarzy zdradzała pochodzenie europejskie. Zaraz po ich wejściu spytał kobiety:

– Gdzie Samuel?

– Modli się, zaraz przyjdzie – odpowiedziała bez unżoności.

Mężczyzna zawiesił wzrok na nim.

– To pan był dowódcą wojsk, które nas napadły?

– Na bandę się nie napada, a się ją rozbija.

– Nie podoba mi się pańskie określenie naszej armii.

– Armia kogoś reprezentuje, wy jesteście zbieraniną różnych nacji. Ilości złota, które zebraliście, mogą świadczyć o bardzo dużej liczbie karawan, które nie uszły z życiem.

– Jest bardzo odważny, pogodził się już ze śmiercią – powiedziała kobieta siedząca przy mameluku.

Nie odpowiedział, ale skierował swój wzrok na nią. To około dwudziestoletnia dziewczyna. Silne barki i ramiona świadczyły, że przeszła nie jeden bój. Widząc jego wzrok, uśmiechnęła się. Miała ładną twarz, a jej uśmiech onieśmiał. Opuścił głowę.

– Nie bój się, Dzarhicie – powiedział mężczyzna, sprawiający wrażenie dowódcy.

Drgnął, gdy usłyszał swoje imię.

– Więc tak działacie, wysłaliście swego człowieka, by nas napuścił na przegraną bitwę.

W tej chwili wszedł Saracen. Nie meldując się nikomu, zajął miejsce przy sekretarzu.

– O kim mówisz? Nikogo nie wysłaliśmy.

– Czynnnon niechcący przyjechał do mnie? – wypowiedział pytanie Dzarhit, rozglądając się po zgromadzonych.

– Czynnnon nas zdradził. Odszedł od nas ze swoim oddziałem i spiskował przeciw nam – wtrącił Saracen.

– On był za głupi, by ktokolwiek powierzył mu oddział.

– Rzeczywiście był za głupi, ale ty za wiele mówisz, a za mało słuchasz. Pomimo późnej pory, przyprowadziliśmy ciebie, by porozmawiać, a nie walczyć na słowa.

– Jesteś w trudnej sytuacji i my to rozumiemy – mówił dowodzący. – Jesteś z sułtanatu konijskiego, więc powinieneś znać sytuację. My pochodzimy z armii Muzaboka.

– On zdradził chana! – bąknął stanowczo.

– No właśnie, sprzedał własne oddziały mamelukom. My jednak się temu sprzeciwiliśmy. Muzaboka i Karachira zabiła ta pani – wskazał młodą kobietę. – Te panie pochodzą z oddziałów Azabaja, o którym na pewno słyszałeś. On również odwrócił się od Muzaboka i poszedł w kierunku Kaukazu. Część armii zabrał dowódca mameluków o nazwisku Hamel Ahat. Nam udało się odłączyć od głównych oddziałów i zatrzymać złoto Muzaboka. Większość z nas ma pochodzenie ormiańskie, ale jest wiele Mongołów, Turków, Saracenów, a nawet Hindusów. Ja jestem Niemcem, nazywam się Wilam von Junhaler i dowodzę tą armią. Wśród nas był również oddział Wangena, który chciał przewrotem objąć dowództwo nad

armią, ale ona stanęła mu na przeszkodzie – znów wskazał na kobietę. – Wyzwał ją na pojedynek. Nie miał szans, raz zamierzył się mieczem i stracił życie.

– Znałem Wangena. To był odważny wojownik.

– Odważny, lecz zarozumiały, dlatego zginął. Na jego miejsce oddział wybrał Czynnona, a ten postanowił iść samodzielnie. Odłączył się od nas i pomimo że dostał prowiant na drogę, spiskował przeciw nam. Najbardziej zależało mu na złocie.

– Mnie powiedział, że możemy całe złoto zabrać sobie. Wy tłumaczył, ile macie skrzynek i beczulek z monetami...

– A sobie przygotował dwanaście juków z tym kruszczem – przerwał mu Wilam. Wam chciał dać trochę, a sam uciec z resztą.

– Myślę, że go zabiliście.

– Nie udało nam się, zdążył uciec – dowódca wskazał Saracena – ten złapał zaufanego mu. Od niego dowiedzieliśmy się o ich planach.

Przyjrzał się Saracenowi. Miał wiele elementów z ubioru Mongołów, ale nie ulegało wątpliwości, że pochodził z Arabii. Najprawdopodobniej jako jeniec włączony do oddziału.

– Jak masz na imię, panie? – zwrócił się do niego.

– Samuel – odpowiedział natychmiast, bez opieszałości.

– Czemu, panie, nie uciekłeś do mnie, u mnie wszyscy są wyznawcami islamu.

– Ta armia mnie wyzwoliła i w niej czuję się wolny.

– Jesteście tu mniejszością wyznaniową.

– Wierzymy w tego samego Boga – włączyła się kobieta.

– Wybacz, pani – Dzarhid z pokorą pochylił głowę. – Krzyżowcy myślą inaczej, a nasze religie znacznie się różnią. Jak masz na imię, pani?

Uśmiechnęła się.

– Jestem Zola, a to Karle i Jana. Obok mnie siedzi Tom. Wszyscy jesteśmy Ormianami. Pan sekretarz wolał zostać z nami, niż iść do mameluków. Resztę pan poznał. Jak widzisz jest tu wiele wyznań, ale nie kłócimy się o religię. Chcemy przetrwać, dlatego szukamy miejsca, by osiąść.

– Czemu nie przyłączycie się do jakiegoś emira?

– Większość z nas walczyła w wojskach chana jako niewolnicy. Mnie to spotkało w siódmym roku życia. Teraz chcemy pójść swoją ścieżką.

– Czynnnon jednak nie we wszystkim kłamał – uśmiechnął się Dzarhid.

– Waszym oddziałem miała dowodzić kobieta. Możliwe, że ten Niemiec zarządza żołnierzami, ale ty, pani, jesteś przywódcą. Masz światły umysł, jednak w tutejszych zależnościach znajdziesz bardzo mało zwolenników swoich idei. To twoja sprawa, mnie interesuje kwestia losu moich ludzi pod twoim jarzmem.

Wilam roześmiał się w głos. Gdy się opanował powiedział:

– Proszę, Zolu, powiedz, co mu zgotowałaś.

Dziewczyna splotła ręce na stole. Mówiła z kamienną twarzą.

– Trafiłeś w niewolę, ale jesteś dowódcą tych wszystkich ludzi w zagrodzie. Oni nie wiedzą, co z nimi będzie. Czekają na naszą decyzję wcielenia ich siłą do naszej armii. O ile wiedzą o kobiecym dowódcy, nie zaryzykują własnej śmierci. Ktokolwiek by im zadał śmierć, sprawczynią byłaby kobieta. Boją się tego i gotowi popełnić jakieś głupstwa. Chciałam prosić, byś im wytłumaczył, w jakiej sytuacji się znaleźli. Nie chcę ich niewolić, ale nie mogę oddać im broni. Mogą przyjąć służbę w naszych szeregach, jako oddzielny oddział za zwykły żołd, albo odejść wolno, ale bez broni, zbroi i koni.

– Jednak nie dajesz wyboru. Na tych terenach każdy zginie bez broni.

– Przesadzasz! Jest tu pełno rolników, rzemieślników i pasterzy, nie wszyscy oni mają broń.

– Ważne z kim mieliby walczyć. Jeżeli zbrojnie mieliby wystąpić przeciw swemu sułtanowi, to wielu wybrałoby śmierć z ręki kobiety.

– Nie mogę nic obiecać. Chcemy przyłączyć się do Cylicji, ale rozmowy dopiero przed nami.

– Mała Armenia podpisała porozumienie z wielkim chanem, więc nie będą występować przeciw naszemu sułtanowi... – zawiesił głos. – Przekażę waszą decyzję. Jeszcze dziś w nocy będą znali ją wszyscy jeńcy. Rozumiem, że ja mam taką samą propozycję. Zgadzam się służyć w waszej armii, ale pod jednym warunkiem: jutro w zbroi konno wyruszę z dwoma swoimi ludźmi. Powinienem wrócić po trzech dniach i wtedy obejmę dowództwo nad tureckim oddziałem. Jeżeli na trzeci dzień przed południem mnie nie będzie, znaczy, że nie żyję, co jest prawdopodobne.

– Raczysz żartować! – krzyknął Wilam. – Wyobrażasz sobie, że bezkarnie ściągniesz na nas wojska sułtana.

Dzarhid chciał zaprotestować, jednak szybciej odezwała się Zola:

– Spokojnie, Wilamie. Za dwa dni będziemy bezpieczni. Wcześniej nie zdąży sprowadzić sił, które by nam zaszkodziły. – Zwróciła się do Dzarhida:

– Jeżeli nie wrócisz, napiszę do sułtana list, opisując ciebie. Mam sposób, by wezyr przekazał mu treść mego listu. Jutro rano z dwoma przybocznymi możesz wyjechać. Mam nadzieję, że mnie nie zawiedziesz.

– Pytania same cisną się na usta – powiedział Wilam po wyjściu jeńca.

– Po co to zrobiłaś? W jakim celu on chce jechać? Czy myślisz, że on wróci? Uważałem ciebie za dziewczynę rozsądną, a ty dorabiasz nam wrogów. Prościej było go zabić, niż dalej jechać w niepewności.

– Jakbym go zabiła, nie utrzymalibyśmy tego w tajemnicy – Zola mówiła wolno, nie spuszczając wzroku z twarzy dowódcy. – Dotarłoby to do

sułtana, bylibyśmy narażeni na poważne konsekwencje. Dowódca, który dowodzi trzema trzystuosobowymi oddziałami jest znany. On prawdopodobnie nie zaatakował nas bez wiedzy swego emira. Od razu wyrobił zdanie o Czynnnonie, wiedział, że to przypadkowy dowodzący. Prawdopodobnie sprawdził już nas w Edessie. Wielu nam się wtedy przyglądało, widzieli, jaką siłą dysponujemy. Czynnnon nie ostrzegł go przed naszymi pociskami zapalającymi. On liczył na łatwy łup. Wymyślił to bardzo dobrze. Grupka ludzi ucieka ze złotem, reszta z łukami na zboczu powstrzymuje pościg. Dwie szable uderzają z obydwu stron, nie pozwalając na pościg złodziei. To byłaby potyczka, ale katapulty Toma zamieniły ją w bitwę.

– Zginęło dużo ludzi, uciekinierzy będą o tym pamiętać – odpowiedział Samuel.

Zola zastanawiała się, inni nie mieli nic do powiedzenia. Karle i Jana wstały, informując o udaniu się na spoczynek. Gdy wyszły, Zola zaczęła mówić, jakby do siebie:

– Jestem ciekawa, gdzie on jedzie? Zechce wytłumaczyć się ze swojej porażki, ale jeżeli tylko o to by chodziło, to poprosiłby o napisanie listu do swego emira, widziałam jak zawiesił wzrok na papierach Dzonchina. Na pewno zechce się spotkać ze swymi ludźmi, którzy uciekli. Może z nimi chce pojechać dalej albo zagrozić nam dostęp do króla Cylicji. Co by nie zrobił, to i tak na tym zyskamy. Jest dowódcą konijskiego sułtana, musi przekazać wiadomość, że nie jesteśmy bandą.

– Idźmy spać, dzień przyniesie nowe wiadomości – odezwał się Wilam. – Jestem ciekaw, kogo on wybierze do swojej świty. Na pewno będą to jego zaufani ludzie.

Dzarhid już w nocy zaczął rozpowiadać warunki narzucone przez zwycięzców. Rano, dopóki jeszcze nie wydali im porcji żywnościowych,

kazał zrobić zbiórkę zdolnych do walki jeńców, podzielił ich na trzy grupki odpowiadające pododdziałom, z których pochodzili. Powtórzył informacje, na co mają się przygotować, sugerując pozostanie w oddziałach zwycięzców. Kończąc wypowiedź, powiedział:

– Mam zamiar pojechać do naszego emira, prosząc o wybaczenie mojej pomyłki. Nie pojadę tam, by błagać o litość, lecz wytłumaczyć, z kim mamy do czynienia. Pokonała nas mała, ale szlachetna armia. Ten przeciwnik może być naszym sprzymierzeńcem, dlatego powinienem to omówić z emirem. Wrócę tu, bo jestem jeńcem tego wojska, ale pozwolili mi odbyć tę podróż. Potrzebuję dwóch ochotników, którzy by ze mną pojechali i zaświadczyli, że nie kłamię.

Zapadła cisza.

– Chcecie bym sam pojechał? – spytał.

– Emir karze nas zabić za poddanie się do niewoli – odpowiedział jeden z niższych dowódców.

– Jest taka możliwość. Czy tak się stanie? Na to pytanie nie umiem odpowiedzieć. Jak tego jednak nie zrobię, to nasza cała armia ruszy na ten oddział i wtedy na pewno nas pozabijają. Jest nadzieja, że nas wysłucha. Trzeba, aby wszyscy się dowiedzieli o tym zdrajcy, który nas tu nasłał. Zdradził oddział, z którego pochodził i nas, którzy mu uwierzyli.

Po śniadaniu przyszła Karle, którą Dzarhid poznał w czasie rozmów z tutejszym dowództwem. Powiedziała, że on i ludzie, których wybrał, mają z nią iść do oddziału Toma.

– Po co mam się przedzierać do środka waszej armii? – spytał.

– Zola powiedziała, aby wydać waszą broń i zbroje. Nie wiem, która wasza, musicie sami wybrać.

Przyjrzał się jej uważnie. Zaokrąglona głowa zdradzała pokrewieństwo dalekowschodnie. Brązowe oczy świdrowały jego twarz,

jakby chciała pozyskać jego względy. Zachowywała jednak czujną, wyprężoną sylwetkę. Była smukła, ale to tylko złudzenie gibkości. Kark był silny jak u pozostałych dziewcząt tego oddziału. Przywołał żołnierzy, którzy się zgłosili i ruszył za kobietą.

Mógł z bliska przypatrzeć się wojsku, które zamierzał pokonać. Najpierw minął oddział konnicy. Wierzchowce w większości rozsiodłane, ale siodła były porządnej konstrukcji, niektóre miały po dwa popręgi spinane na krzyż. Przy wszystkich były strzemiona i uchwyty na dodatkowe kołczany i zamienną broń. Ludzie i ich ubiory, zwłaszcza ochraniacze, niewiele różniły się od oporządzenia jego żołnierzy. Oddział był nieduży, nie przekraczał stu żołnierzy. Nie widział tu Saracenów, widocznie stacjonowali z drugiej strony obozu. Piechota zrobiła na nim pozytywne wrażenie. Zwłaszcza ich olbrzymie tarcze, które w polu mogły być zastawiane kołkami. Dawały piechurowi wspaniałe schronienie przed strzałami i najazdem konia, a jednocześnie nie krępowały rąk. Bojownik mógł strzelać z łuku, operować lancą, a nawet mieczem. Była to na pewno formacja obronna, jednak pozwalała uformować za nią szyk konnicy i w razie potrzeby skryć się. Przy takiej zastawie, jaką tworzyła, mógł ze swoją lekką jazdą atakować nawet formacje ciężkozbrojnych krzyżowców. Te oddziały ocenił na pięciuset wojowników. Spodziewał się, że drugie tyle jest za taborami. Przy oddziałach, na zboczu, pasły się ich konie. Była tu dość soczysta trawa, nie musieli dokarmiać ziarnem. Całe zbocze po przeciwnej stronie było spalone. Zrozumiał, dlaczego jego akcja kradzieży złota była bez szans. Za namiotami piechoty ustawiono wozy i maszyny miotające. Trzy z brzegu były wykonane z żelaza. W ich koszach nie mieściły się bardzo duże ładunki, ale w czasie bitwy poczuł, jak mogą być niebezpieczne.

Nieopodal kilku mężczyzn moczyło w oleju skalnym kule ulepione z błota i słomy. Z boku stały dwa duże wozy załadowane takimi pociskami.

Wyrzutnie i kule stanowiły dużo lepszą artylerię niż armaty wleczone przez Mongołów.

Zrozumiał, przeciw jakiej armii się porwał. To nie była banda, jak twierdził Czynnnon, to wspaniale zorganizowana armia, z którą każde wojsko miałoby kłopoty.

Wozy z odebranim im uzbrojeniem stały tuż za wozami z kulami. Podszedł do nich Tom, Ormianin w stroju mameluka.

– Niech oni wybiorą, co im pasuje, pana zbroja i szabla wiszą dalej – mówiąc to podprowadził do wozu, gdzie były rozwieszone jego ochraniacze i szabla, na pochwie której świeciły się dwa rubiny. To cenna broń, a jednak nikt jej nie ukradł. Z drugiej strony wozu był przywiązany jego wierzchowiec z założonymi już ochraniaczami i siodłem. Wiedzieli, co do niego należy. Ta wycieczka do centrum ich obozu miała służyć pokazaniu mu, czym oni dysponują.

Jego żołnierze szybko wyszukali sobie oporządzenie. Zanim się ubrali podprowadzono im konie.

Tom powiedział, że wyjazd z drugiej strony doliny będzie wygodniejszy, ale on zaprotestował:

– Nie! Powinienem pokazać się swoim żołnierzom. Kiedy zobaczą mnie w zbroi, to zrozumieją, że jesteśmy traktowani godnie.

Zadanie, jakiego podjął się Dzarhit, było trudne. Teraz, gdy wyjeżdżał z obozu w swojej zbroi, z dwoma żołnierzami, pytania znowu zaprzętały jego głowę.

Dlaczego ta kobieta mu zaufała? To jedno z ważniejszych pytań, na które nie umiał znaleźć odpowiedzi. Prośba była absurdalna. Każdy zdrowo myślący dowódca przewidywałby jego ucieczkę. W zasadzie prośbę tę

wypowiedział, aby przedłużyć pertraktacje. Ona jednak przystała na nią i zrobiła to w sposób, by nie miał złudzeń, kto tu ma władzę. Czy wspomnienie o liście do jego sułtana było szczere, czy tylko stanowiło próbę zastraszenia?

Dostrzegł w tej kobiecie światły umysł. W zasadzie niczym nie ryzykowała. Jego ucieczka nie wpływała na stan jej armii, jednak zaufanie, jakim go obdarzyła, stawiało zobowiązanie. Zależało jej na zlikwidowaniu miana bandy, które on nadał jej oddziałom.

Choć jej oddziały nie liczyły dwóch tysięcy ludzi, zachowywała się jak emir. Wszyscy dowódcy jej słuchali. On również chciałby zasiadać razem z nią jako jej dowódca.

Skierował się na północ, tam gdzie ukrył swoje tabory. To było miejsce zbiórki w razie niepowodzenia w boju. Czas oczekiwania określił na trzy dni. Żołnierze, którzy wycofali się z bitwy, powinni tam jeszcze być. Na miejsce dotarł w godzinach południowych. Zastał dwóch swoich dowódców i około trzystu żołnierzy. Był również Czynnnon ze swoimi bojownikami. Rozkazał ściąć mu głowę, a ludzi zniewolić i wcielić do armii sułtana. Dalej pojechał z głową Czynnnona.

Jeszcze tego wieczoru przekazał emirowi prośbę o rozmowę. Został przyjęty następnego dnia po śniadaniu. Wszedł z ludźmi, którzy mu towarzyszyli. Odebrano im broń, był to zły znak. Gdy stanęli przed naczelnym wodzem, ten nie spuszczał z niego wzroku.

– Zawiodłeś, Dzarhidzie, co masz na swoje usprawiedliwienie?

– Panie, człowiek z byłego oddziału Muzaboka oszukał nas wszystkich. Przy siodle mam jego głowę...

– Muzabok zdradził chana – przerwał mu wypowiedź.

– Muzabok nie żyje, panie. Część jego armii zbuntowała się. Azabaj uratował półtora tysiąca rekrutów, z którymi uciekł na północ. Muzaboka

zabiła kobieta o imieniu Zola. Przejęła dowództwo nad armią. Ci, którzy byli przeciwni jej rządowi, dobrowolnie przeszli pod rozkazy mameluków, którymi dowodził Hamel Ahat.

- On pochodzi z Bahrytów, nie zabił jej?!
- Ogłosili się wrogami, ale jak mówiła jedna kobieta, wymieniali między sobą listy.

- Jaka kobieta? Kobieta pisząca listy?
- Tam dowodzi oddział zabójczyń Azabaja.
- Słyszałem o nich. Mówili, że nikt nie zdąży skrzyżować z nimi miecza.

- Każda ma dwa mandzurskie ostrza. Tarcza im niepotrzebna. Musiałyby być gromada mężczyzn, by którąkolwiek ranić. Opowiadali o pojedynku jej z Wangenem, zdążył unieść miecz i już nie żył.

- Wangen był porywczy, ale bardzo silny. Zawsze chodził w grubej kolczudze.

- Ponoć wbiła swój miecz pod kolczugę w jego krocze.
- Haniebna śmierć i to z rąk kobiety.
- Panie, nie każdy mężczyzna jest tak szlachetny jak bojowniczka Zola. Trafiłem do niej do niewoli, a stoję przed tobą w swojej zbroi i miałem przy sobie swoją szablę. Nie zwolniła mnie z niewoli, ale pozwoliła, abym do ciebie przyjechał i przekazał informację, kto jest żołnierzem, a kto zdrajcą.

- Chce się przyłączyć do naszych oddziałów?
- Wątpię. Większość z nich to Ormianie. Idą do Cylicji.
- Twierdziłeś, że są wśród nich oddziały Saracenów.
- Dwustu żołnierzy, ale są jej podporządkowani. Nie wygląda, by chcieli od niej się odłączyć. Wysłałem do nich pięciu swoich prowokatorów, nic nie wskórali.

Dzarhit opowiedział o przebiegu bitwy, o tym jak się dowiedział o zdradzie Czynnona. Dużo czasu poświęcił na przebieg dyskusji, jaką odbył przy stole dowódcy. Podkreślił wspaniałomyślność Zoli zezwalającej na jego podróż.

– Panie! – kończył wypowiedź. – To najmniejsza armia na tym terenie, ale najlepiej wyposażona.

– Jak uważasz, co powinienem z tobą zrobić?

– Co byś nie zrobił, to i tak wyjdzie po mojemu. Możesz mnie zabić, ale powiem szczerze: wolę z nią walczyć przeciw mamelukom, niż iść w bój przeciw niej.

Emir roześmiał się.

– Gorszej odpowiedzi jeszcze nie słyszałem. Usiądźcie, uspokójmy się i zastanówmy – skinął na służącego. – Niech podadzą coś do picia.

Gdy przed każdym stał kubeczek, emir powiedział:

– Podoba się tobie ta kobieta, ale ona nie jest dla ciebie. Jak wzięła się za rządy, odtrąci każdego mężczyznę. Mógłbym kazać tobie jechać do niej i zażądać, by oddała mi moich bojowników. Przypuszczam, że za trzy dni przyjechałbyś tu ze wszystkimi jej jeńcami. Ona jednak idzie do Cylicji, a my na razie nie chcemy prowadzić z nimi wojny. To państwo działa z krzyżowcami przeciw mamelukom, czyli idąc na Bizancjum mamy bezpieczne południe. Możliwe, że sytuacja się zmieni, ale na razie jest dla nas wygodna. Mógłbym ciebie zabić, jednak jesteś moim bratem i to okrucieństwo nie dałoby mi żadnych korzyści. Więcej pożytku będę miał, jeżeli dołączysz do niej i będziesz przekazywał mi informacje o każdym jej ruchu.

– Możliwe, że ona będzie pisała do sułtana.

– Chcę wiedzieć o wszystkim szybciej niż sułtan.

Poranek zapowiadał ładny dzień. Taborzy były spakowane, muzułmanie skończyli swoje modły, ludzie siadali do porannego posiłku. Uwolnieni jeńcy przesuwali się na czoło kolumny pod wodzą dowódców, których wyznaczył im Samuel. Tom nadzorował przygotowanie sprzętu do drogi.

Zola do śniadania usiadła w towarzystwie Wilama. Jadła zamyślona, wpatrzona w jeden punkt stołu.

– Mówiłem, że on nie wróci – przerwał ciszę Wilam.

– Jeżeli emir go nie zabił, to wróci. Możliwe, że nie dzisiaj, dwa dni to mało, aby załatwić audiencję i sprzęt dla siebie.

– Po co wódz armii odsyłałby go do nas? Na pewno uznał go za zdrajcę lub wcielił do swoich oddziałów.

– Jesteś dobrym dowódcą, umiesz przewidzieć, czym wróg będzie chciał nas pokonać, ale nie przewidujesz spraw politycznych. Dzarhid dowodził trzema szablami wojska, to prawie tyle, co nasza armia. Emir nie powierzyłby takiej siły byle jakiemu dowódcy. Na pewno utrzymywał z nimi stały kontakt i wydał zgodę na atak na nas. Wojska sułtanatów zaczynają zdobywać coraz większą samodzielność. Przypuszczam, że emir Turków chciałby wiedzieć, co dzieje się w Cylicji. Dzarhid wróci i będzie nam przydatny, ale będzie szpiegiem. Nie jestem pewna, czy Turcy nie planują się zjednoczyć. Tu jest wiele ich państweczek, choćby księstwo Osmana. Wielki chan już nie panuje nad swym terytorium. Państwo Mongołów niedługo się rozpadnie.

– Mój cesarz dużo wie, ale on ma swoje kancelarie, urzędnicy codziennie donoszą mu świeże informacje. Ty nie masz kancelarii. Dzonchin na pewno nie jest w stanie dostarczać ci wszystkich wieści. Skąd to wszystko wiesz, żeby przewidywać wydarzenia?

Zola roześmiała się w głos.

– Jak byłam małą dziewczynką, przyjechała do nas karawana z Rusi czy Litwy, już nie pamiętam. Odpoczywali kilka dni, bo kilka osób im zachorowało. Zaprzyjaźniłam się z córką właściciela. Bawiłyśmy się razem. Ona opowiedziała mi ich przypowieść. Zapomniałam treść, ale puenta była trafna: jeżeli nie wiesz, co się dzieje, to poślij dziewczynę, ona się dowie.

– Niemcy mówią: gdzie diabeł nie może, to babę pośle.

– Możliwe, że chodziło o to. Mam dwadzieścia osiem podległych mi dziewcząt. Chodzą między oddziałami i rozmawiają. Jeńcy tureccy przynieśli całą masę informacji...

– Pani, czy mogę przeszkodzić? – spytał wartownik, uchyliwszy połam wejścia. – Stoi tu dowódca jeńców, prosi o posłuchanie.

– Przyślij ludzi, by zwinęli ten namiot, my już wychodzimy.

Dzarhid z dwójką swoich ludzi stał dwadzieścia kroków od namiotu. Gdy się do niego zbliżyli, przykląkł na kolano, mówiąc:

– Pani, tak jak obiecałem, wróciłem. Przywiozłem swoim ludziom zapas sprzętu i namioty, ale powinienem odzyskać dowództwo nad tureckimi żołnierzami.

– Będzie jak obiecałam – powiedziała Zola, nie zdradzając emocji.

– Przywiozłem tobie, pani, prezent – powiedział, po czym wstał i wyjął z worka głowę Czynnona.

– Ozdoby z niej sobie nie zrobię, będziesz musiał gdzieś ją zakopać, zaraz wyruszamy. Zgłoś się do Samuela, będziesz jemu podlegał. On przekaże ci oddział. Jak ci się spodobają dowódcy pododdziałów, możesz ich sobie zatrzymać, nic nie sugeruję, równie dobrze możesz ich odprawić.

Góry były niedaleko. Jednak dotarwszy do ich podnóża, nie wiedzieli, w jaką dolinę wejść, by się ukryć. Skręcili wzdłuż regła, rozglądając się za miejscem na obóz. Po zatrzymaniu kolumny dwóch ludzi z tureckiego

oddziału przywiozło do Wilama związanego starszego mężczyznę. Czujka turecka natrafiła na wieś. Na widok zbliżającego się wojska ludzie z dobytkiem uciekli. Całej wsi pilnował jeden mężczyzna, który nie chciał powiedzieć, gdzie ukryli żywność. Zola kazała przywołać Dzarhida.

– Pani, z każdej wsi bierzemy haracz, inaczej byśmy się nie utrzymali. Myślałem, że wódz wyciągnie z tego chłopca informacje, gdzie mają dobra.

– Przypuszczam, że nie tylko żywność bierzecie. Kobiety i niewolnicy również są waszym łupem. Więcej tego nie róbcie...

– Ależ pani, to prawo wojny.

– Wyłumacz mi, Dzarhidzie, z kim w tej chwili jesteśmy w stanie wojny. Jeśli się nie mylę, jesteśmy na terenie Cylicji. To ma być nasze państwo.

– Wybacz, pani, nie pomyślałem. Powinniśmy jednak zbierać żywność na utrzymanie armii.

– Na razie nikt nam takiego prawa nie dał! Zabraniam rabowania wsi i osad. Macie żołąd, wszystko możecie kupić. Uwolnijcie tego człowieka i dajcie mu konia. Chcę pojechać do jego wsi.

– Dobrze, pani, zaprowadzimy.

– Ten człowiek mnie zaprowadzi, was już nie potrzebuję, dosyć narobiliście zamieszania.

– Pani, ale ci ludzie mogą być niebezpieczni.

Wzruszyła ramionami i odeszła do centrum kolumny. Tam poprosiła Toma i cztery dziewczęta, aby jej towarzyszyli.

Wieś była w następnej dolinie. Zola kazała mężczyźnie pokazać swój dom. Była to duża chata kryta łupkami. Wewnątrz dużą izbę dzielił ustawiony centralnie komin, pod którym było palenisko. Do środka weszła z dwiema koleżankami, reszta stanowiła wartę.

Mężczyzna usadził ich przy stole, wrzucił dwie szczapy do palącego się jeszcze ognia i usiadł naprzeciwko nich.

Sięgnęła po sakiewkę, wyjęła dwie złote monety, jedną podsunęła bliżej mężczyzny.

– Ta moneta jest za to, że moi ludzie ciebie sponiewierali. Drugą dam ci, jak będziemy szczerze rozmawiać.

– Możecie mnie zabić, nie powiem gdzie się ukryli.

– Nie mam zamiaru o to pytać. Każdy broni się, jak umie. Wy, na widok wojska, chowacie się w lesie. Biorąc pod uwagę zachowanie moich Turków, macie rację. Oni u mnie są niedawno i nie nawykli do moich rządów. Ja nie rabuję, zaopatruję się w miastach. Mam inny problem, powinnam ukryć na pół miesiąca całą swoją armię, a nie znam gór. Pomożesz, a zarobisz. Możecie również nas zaopatrywać, zapłacimy złotem. Zechcecie, obejmiemy was ochroną, abyście nie bali się żadnej bandy, ale ja mam dużo ludzi, których chcę ukryć tak, by inne wojska ich nie znalazły.

– Pani, najpiękniejsze twoje słowa nie zapewnią nam spokoju, gdy w pobliżu będziecie stacjonować. Sama stwierdziłaś, że inni mogą was szukać, ich też będziemy się bali. Ci, co mnie pobili, to muzułmanie. Wokół są Mongołowie i Turcy, a im najbardziej potrzebni są niewolnicy. Wybacz, pani, ale chcemy tu spokojnie żyć, a góry wystarczająco nas chronią.

– Pod kogo należycie?

– Nie mamy pana. Raz w roku jedziemy do miasta Anazarba i składamy daninę dla króla Hetuma. To wszystko, czego od nas wymagają.

– Znacie Anazarbę? Tam będę musiała załatwić kilka spraw. Zapłacę jak dla przewodnika.

– Pani, boimy się. Twoje słowa nie dają nam gwarancji na zachowanie spokoju.

– Przypuszczam, że jesteś ojcem tej wsi, słuchaj uważnie. Jestem Ormianką, tak jak większość mojego oddziału, ale wśród nas są Saraceni i Turcy. Muszę w tych górach zakwaterować swoje wojsko. Obóz powinien być tak usytuowany, by w razie zagrożenia miał przynajmniej dwie drogi ucieczki. Możesz pomóc mi znaleźć takie miejsce i wtedy ciebie wynagrodzę. Jeżeli nie zechcesz, to obóz założę tutaj, w waszej wsi. Przypuszczam, że twoi ludzie ukryli się wewnątrz tej doliny, a więc tamtędy będę miała drugą drogę wyjścia.

– Przecież założyliście już obóz – powiedział przez łzy.

– Nie mogę trzymać wojska na otwartej przestrzeni. Nie znam tych gór. Każda dolina może być pułapką. Byłam dzieckiem, gdy mnie zniewolono, dlatego nie chcę niewolić innych. Muszę jednak ukryć swoich żołnierzy. Nie będę wiedziała gdzie, to jutro będę rozkładała obóz w waszej wsi.

Patrzył na nią ze strachem na twarzy. Ona nie naciskała, poczekała aż się opanuje i zacznie mówić.

– Nie mogę sam podjąć decyzji. Jakbyś, pani, dała mi w nocy spokój, to jutro bym odpowiedział.

Milcząc, posunęła drugą monetę mężczyźnie. Zwołała swoich przyjaciół i wróciła do obozu.

Bezpieczne siedlisko było obecnie najważniejszą sprawą dla armii Zoli. Wczesnym rankiem przyjechała do wsi z Wilamem i całym oddziałem dziewcząt. Przed osadą czekał znajomy mężczyzna z młodziutkim chłopcem. Zeskoczyła z siodła i podeszła do nich.

– Jaką decyzję podjęliście? – spytała.

– Pani, musimy porozmawiać, chcemy mieć jakąś gwarancję bezpieczeństwa. Idźmy do mego domu, porozmawiajmy spokojnie.

Przytrzymała wzrok na mężczyźnie, nie wyglądał na zmieszanego, uznała, że propozycja była szczerą. Odwracając się, krzyknęła w tył:

– Wilam, pójdziesz ze mną! Dziewczęta zaopiekujcie się naszymi końmi i rozejrzyjcie się, czy nie ma zagrożeń.

Młodzian drgnął i pochylił głowę. Mężczyzna również się stremował.

– Pani – zaczął mówić trwożliwie – tu jest kilka osób w okolicy, ale oni nie chcą walczyć.

– Nie dajcie się sprowokować! – krzyknęła ponownie w tył. – Kilku ludzi się zaciąło, dogadajcie się, znają armeński. – Uśmiechnęła się do mężczyzny. – No to prowadź, czas porozmawiać.

W izbie czekała młoda kobieta. Gdy usiedli do stołu, postawiła przed wszystkimi kubki i napełniła je winem.

– Wypijmy, by nam się lepiej rozmawiało – powiedział gospodarz, ujmując w dłoń swój kubek.

Zola z Wilamem wymienili uśmiech i wypili po dużym łyku.

– Smaczne – stwierdził Wilam. – Jak już przekonaliście się, że nie jesteśmy islamistami, to możemy porozmawiać.

– To jeszcze nic nie znaczy – powiedział mężczyzna łagodnym głosem.
– Znałem Saracena, który wyznawał islam i pił wino.

– Przestań, człowieku! Te twoje podejrzenia do niczego nie doprowadzą. Jak bym chciała ciebie oszukać, to już wczoraj byłabym tu z armią. Mówiłam ci, że oprócz Ormian służą u mnie Saraceni i Turcy. Są również i inni, ale jest ich bardzo mało. To nic nie znaczy, bo wszyscy będą postępować tak, jak my postanowimy – wskazała na siebie i Wilama. – Przyszłam tu z armią, by służyć waszemu królowi. Jak on mnie nie zechce, wycofam się i pójdę na Konstantynopol. – Dopłała swoje wino i podsunęła pusty kubek. – Smakuje, takie Azabaj sprowadzał z Kaukazu.

Gospodarz machnął na kobietę, ta napełniła wszystkie kubki.

– Wybacz, pani, zamyśliłem się. Jesteś młoda i wierzyć mi się nie chciało, że kobieta w twoim wieku może rządzić tysiącem ludzi.

– Ludzi jest więcej, a dowódcą jest on. To krzyżowiec z Europy, nie wszystko rozumie na naszym terenie, więc ja sprawuję nadzór.

– Skąd, panie, pochodzisz? Chyba nie jesteś Francuzem, bo tych ostatnio biją.

– Sporo wiesz jak na zwykłego rolnika. – Wzrok Zoli spoczął na rękach mężczyzny, nie wyglądały na spracowane.

– Nazywam się Krysten. Ta wieś należy do mnie. Niedawno byłem na dworze Hetuma, tam dowiedziałem się wielu nowych wieści. Jedna dotyczy zbuntowanej armii chana, która chodzi po okolicy. Nasz król ostatnio jest w dobrych stosunkach z wielkim chanem, nie chciałby z nim zatargów.

– Ta rozmowa do niczego nie doprowadzi – oznajmiła dziewczyna i podeszła do drzwi. Otwierając je, krzyknęła: – Karle jak sytuacja na zewnątrz?!

– Znaleźliśmy kilkunastu łuczników. Niestety jeden był nadgorliwy, lekko raniliśmy, ale już wszystko w porządku. Zebraliśmy ich na placu, przy tym wielkim budynku.

– To nie jest twoje mieszkanie – powiedziała do mężczyzny, siadając ponownie na krześle. – Nie jesteś szczery. Miałeś odpowiedzieć na pytanie, czy wskażesz nam miejsce na obozowisko. Jakoś wzbranasz się przed odpowiedzią.

– Jak pani by postąpiła, gdyby miała narazić się na zarzut króla, że ukrywamy zbuntowane oddziały?

– W Anazarbie mamy spotkać się z wysłannikiem króla, Markiem.

– Jest on nadwornym lekarzem, na dodatek nie ma go na dworze, wyjechał do Edessy.

– Był u szpitalników Marii Panny – włączył się do rozmowy Wilam – ale już na pewno wrócił, mamy się z nim spotkać w Anazarbie. Ma nas umówić na rozmowy z królem.

– Króla nie ma w Anazarbie!

– To nie przeszkadza, żebyśmy spotkali się z Markiem.

– Nie tłumacz mu się, Wilamie – Zola podniosła się z krzesła. – Idziemy po wojsko. Zajmujemy wieś, z nim się nie dogadasz.

– Pani, poczekaj! Powiem wszystko – Krysten był przerażony. – Ta dolina przechodzi aż na drugą stronę gór. Tu są trzy moje wsie. W centralnej części, tuż przy niskiej przełęczy, jest rozległe błonie. Tam będziecie mogli założyć obóz na dłużej.

– Wozy dojadą? – spytał Wilam.

– Tak, dojadą. Ten chłopak was doprowadzi.

Zola przywołała Jane.

– Pojedziesz z tym młodzieńcem, pokaże ci pole obozowe. Obejrzysz i przeanalizujesz niedogodności. Weź z pięć dziewczyn dla bezpieczeństwa. Ja z Wilamem jadę po ludzi, zanim tu wrócę, chcę wiedzieć, czy mamy gdzie mieszkać. – W drzwiach odwróciła się do mężczyzny. – Będziesz naszym przewodnikiem do Anazarby. Wyjedziemy jutro.

Chłopak na imię miał Lok. Mówił, że ma szesnaście lat, a Krysten jest jego dziadkiem. Jane trafiła do niewoli, mając dziewięć lat i dobrze pamięta swoich rodziców. Ojciec pełnił funkcję w magistracie. Ten Krysten, podający się za przedstawiciela wsi, był starannie ubrany i przystrożony, przypominał jej ojca, natomiast Lok miał brudne ręce i koszulę w kilku miejscach przetartą. Uważała, że chłopak kłamie. Była ciekawa dlaczego, ale nie drążyła tematu.

Niecałe pół godziny za wsią, po prawej stronie od drogi, znajdowała się przestronna polana, wskazana przez młodzieńca na miejsce obozowe.

Wyjechała na środek błonia, trawa pod kopytami była bujna, nadawała się do wypasu. Dalej, schodząc w dół, rozciągał się rzadki las, w którym można było ukryć wozy.

Jane zaniepokoiły jednak skały po lewej stronie drogi. Sterczały ścianą na dwadzieścia łokci wysokości. Z brzegu był żleb, przy którym prowadziło wydeptane podejście.

– A gdzie woda? – spytała chłopaka.

– Niżej w lesie płynie potok – odpowiedział, wskazując kierunek.

– A innej polany tu nie ma?

– Wyżej za zakrętem drogi jest kotlina. Trzeba by zboczyć wzdłuż strumienia, ale tam nie ma takiej bujnej trawy.

– W porządku, Lok, wracaj do dziadka. My tu trochę odpoczniemy i się rozejrzemy.

Gdy chłopak odjechał, dziewczęta rozeszły się we wszystkich kierunkach. Jana wdrapała się na skały. Tuż przy urwisku rozciągała się polana, świetny teren dla łuczników, którzy chcieliby ostrzeliwać drogę. Dalej teren lekko się obniżał i za niecałe pięćdziesiąt kroków przylegał do wygodnej drogi. Wróciła na polanę. Dziewczęta również wychodziły z lasu. Okazało się, że za strumieniem była droga, która biegła wzdłuż potoku.

– Jeżeli te drogi znają seldzuccy bojownicy, to bardzo szybko nas zlikwidują – stwierdziła Jana. Trzeba poszukać czegoś innego.

– Chłopak mówił coś o kotlinie – powiedziała Irga. – Warto obejrzeć.

Milę dalej natrafiły na potok, który przecinał ich szlak. Wzdłuż niego prowadziła droga: wąska, ale przejezdna. Wjechali w przestronną kotlinę, otoczoną ostrymi graniami. Między skałami strumień spływał niewielkim wodospadem i przemierzał błonie przez środek. Z boku widać było drugą drogę, jakby cofającą się do kierunku ich marszu.

– To dobre miejsce. Z tych szczytów nikt nas nie zaatakuje. Trzeba tylko zobaczyć, gdzie prowadzi ta druga droga.

– Pojedźmy nią, może uda się wrócić.

Po niecałej mili, teren wydał się bardzo znajomy. Zatrzymali się. Jane podjechała kawałek w górę stoku i za moment przywołała koleżanki. Stały nad urwiskiem, widząc poniżej polanę, na której niedawno były.

– Coś mi się zdaje, że ten wójt ma zakusy na nasze dobra – powiedziała Eza.

– Nie uda mu się. Zola przywiąże go do siebie, nie będzie mógł kombinować – odpowiedziała Jana.

Dalsza część drogi doprowadziła je ponownie do doliny, którą przyjechały. Szybko minęły wieś. Jak wyjeżdżały z regła, zbliżały się tabory Samuela. Irga podjęła się doprowadzić je do kotliny. Reszta dziewcząt pojechała na spotkanie Zoli.

Główną kolumnę zastały nieco dalej. Zola z Wilamem jechali na przedzie. Jana zaczęła im tłumaczyć:

– Ten przywódca wsi coś kręci. Wyznaczył nam miejsce, w którym w każdej chwili mogło nas otoczyć kilka oddziałów.

– Nie mamy miejsca na obóz? – spytał Wilam.

– Mamy, trochę dalej znalazłam ładną kotlinę. Tam kazałam zaprowadzić tabory. Myślę, że jest bezpieczna, ale nie zbadałam okolicy. Są dwie drogi wyjazdu. Jak Tom starannie ustawi katapulty, to nikt nas nie ruszy. Polana, którą wskazał nam chłopak ma soczystą trawę. Ustawiłabym na niej obóz Turków, którzy pilnowaliby wszystkich koni.

Wilam się uśmiechnął.

– Myślałem, że tylko Zola ustawia sprawy militarne, ale wy wszystkie umiecie.

– Mówiłam, że każda z nich może mnie zastąpić. – Zola się roześmiała, a do Jane powiedziała: – Poprowadzisz nas na obozowisko. Wyślij do Turków dwie dziewczyny, niech przestawią ich na koniec kolumny i poprowadzą inną drogą, by nie widzieli, gdzie poszliśmy. Wieczorem przyprowadzimy im nasze konie. Trzeba tylko uważać, by z nimi nie uciekli.

– Jest dobre stanowisko do ich obserwacji i pilnowania koni. Mogą jednak pomyśleć, że zostali wystawieni na wabia.

– Na razie ma wyglądać, że rozcłónkowaliśmy obóz. Jutro przy śniadaniu porozmawiam z Dzarhidem i ustalimy sygnały. Chodzi przede wszystkim o to, aby ci ze wsi byli przekonani, że zajęliśmy ich miejsce.

Rano, ścieżką przy żlebie, Karle przyprowadziła Dzarhida do głównego obozu. Zaproszono go na śniadanie przy stole dowódców. Zola spytała o opinię na temat jego miejsca obozowania.

– Pani, nawet konie są tam zagrożone. Widzę, że klif jest przez was broniony, bo pani Karle mnie tędy przyprowadziła. Ale z drugiej strony, za lasem, jest rozwidlająca się droga. Jak pójdziemy w prawo, to dojdziemy do następnej doliny, gdzie jest wieś pasterzy. Rozwidlenie w lewo prowadzi wzdłuż strumienia do tego obozu. Jak pójdziemy na zachód główną drogą, to znajdziemy podejście na szczyty, które są nad wami, ale o tym chyba wiecie, bo pani Jana szła przed moją czujką.

Wilam uśmiechnął się, natomiast Zola wciąż miała poważną minę.

– Musisz być bardzo ostrożny – powiedziała. – Twoi ludzie, którzy przyprowadzili do Wilama tego właściciela wsi, prawdopodobnie za dużo mu powiedzieli. Miejsce, na którym obozujesz, jest właśnie wskazanym przez niego na nasz obóz. Podejrzewam go o taką samą zachłanność, jaką wyście okazali, napadając na mnie. Obecnie nic nie mogę zrobić, musimy tu obozować. Dam tobie jeszcze trzy puste wozy. To kamuflaż, który ma spowodować iluzję, że w lesie siedzi nasza cała armia. Nie mam zamiaru

wystawić was na przynętę. Zajmę Krystena tak, by nie miał czasu nic zorganizować. Pomimo to, musicie mieć się na baczności. Ja z Wilamem i Tomem zaraz wyjeżdżam, by załatwić pertraktacje z królem. Ty, Samuel i te dwie dziewczyny jesteście dowództwem. Decydują one! Ustalcie między sobą sygnały ostrzegawcze i możliwości wspierania się w boju. Ja wrócę za kilka dni albo i dwa tygodnie.

Miasto Anazarba było oddalone o dwa dni drogi od miejsca obozowania. To sporo czasu, zwłaszcza gdy się nie wie, jak szybko dojdzie do planowanego spotkania. Mark polecił im pozostawić wiadomość w cechu handlarzy przyprawami, ale nie powiedział, z kim mają się tam skontaktować. Widocznie wszyscy go znali. Według Krystena Mark był uzdrowicielem. Możliwe, że jako uzdrowiciel był popularny w szerszych kręgach. Mając pewne uzgodnienia króla, mógł ich umówić z kimś ważniejszym, nie narażając monarchy na paktowanie z podejrzanymi oddziałami.

Trzon ich delegacji stanowił Wilam, Tom i Zola. Jako obstawę zabrali dziesięć dziewcząt i tyleż samo byłych mameluków Toma. Wszyscy byli chrześcijanami.

W podróży towarzyszył Krysten z dwoma służącymi, który już nie podawał się za rolnika. Wyjaśnił, że mieszkał w wielkim domu na końcu wsi wraz ze swoją żoną, dwojgiem dzieci i trojgiem wnuków. Był właścicielem całej doliny. Podlegało mu pięć wsi, w tym dwie zajmowały się tylko hodowlą owiec. Sądząc po nowo wybudowanym domu, powodziło mu się dobrze. Jedynym jego zobowiązaniem był podatek obliczany od wypracowanego zysku. W tym znajdowały się również datki na utrzymanie kościołów. Wysokość daniny określał urzędnik, który co roku przeprowadzał inspekcję gospodarstwa.

W podróży Krysten okazał się człowiekiem mniej skrytym, a nawet życzliwym, choć Zola wciąż uważała, że coś przed nią zataił. Mimo to, dzięki jego towarzystwu, podróż była spokojniejsza. Umiał wyjaśnić wszelkie problemy z napotkanymi patrolami.

Pierwszy nocleg zorganizowali w przydrożnym lesie. W trakcie kolacji rozmowa zeszła na sprawy związane z utrzymaniem gospodarstwa Krystyna. Zagrażały mu bandy, zwłaszcza Tureckie, które korzystając z bliskości granicy, uzupełniały swoje zapasy. Nie mniej zmartwień stanowili rodzimi urzędnicy. Każdy z nich żądał jakiś datków na ich prywatne cele. Żeby nie to, gospodarstwo przynosiłoby dużo większe zyski. Zola przed snem rozmawiała z Jane, poruszając temat dochodów Krystana. Ta stwierdziła, że obszarnicy wyolbrzymiają problemy, by ukryć prawdziwe zyski. Zazwyczaj prawda jest taka, że to ziemianin daje łapówkę dla poborcy, aby ten zaniżył jego dochód.

Przed samą Anazarbą zakwaterowali się w zajeździe dla karawan. Pora była wczesna, po rozlokowaniu ludzi ruszyli do miasta. Był to średniej wielkości gród, otoczony niskim murem. Zwarta zabudowa wytyczała wąskie ulice, jedynie trakty prowadzące od bram do centralnego placu były szersze. Mogły się tu bez trudu mijać wozy, nawet z szerokimi zaprzęgami.

Poszukiwany cech znaleźli przy głównym placu. Ze względu na późną już porę drzwi były zamknięte. Przy nich wisiał sznur. Tom pociągnął za niego. Na górze otworzyło się okienko, wyjrzał szczupły mężczyzna.

– Państwo do kogo? – spytał.

– Szukamy pana Marka – odpowiedział Tom w języku Ormian.

Mężczyzna przez moment wydawał się zaskoczony, potem widać coś sobie przypomniał, bo spytał ponownie:

– Jesteście może od kawalera von Janhalera?

– To ja jestem – odpowiedział Wilam.

– Poczekajcie, zaraz zejść.

Pojawił się w drzwiach okryty grubą opończą.

– Pan Mark był dzisiaj, ale już pojechał – zakomunikował. – Wróci pojutrze po południu. Powiedział, abyście określili miejsce spotkania. Najlepiej, by nikt nie widział, że z wami będzie rozmawiał.

Wrócili do zajazdu. Przy kolacji rozmawiali, gdzie można zorganizować spotkanie. Jedyny pomysł przychodzącym im do głowy, to wynająć w karczmie pokój. Krystyn napomknął o gospodzie, w której są małe sale konsumpcyjne.

– Trzeba to obejrzyć. Zostawmy sprawę do jutra. W mieście się zastanowimy – stwierdziła Zola.

Do miasta wyruszyli po śniadaniu. Skierowali się w stronę karczmy, o której mówił Krysten. Tom zwrócił uwagę, że boksy w gospodzie umieszczono za salą główną, goście zorientują się, kto będzie tam wchodził. Zaczęto rozważać wynajem pokoi noclegowych. Gdy oglądano jeden z nich, Wilam zauważył przez okno pusty lokal po drugiej stronie ulicy. Spytał karczmarza, czyj to budynek.

– To był sklep z wełną i skórą. Właściciel zmarł, a wdowa szuka kupca na cały dom, bo sama przeprowadziła się do swoich rodziców.

Wyszli z karczmy, nie rezerwując pokoju. Szybko ustalili, gdzie mieszka wdowa. Kobieta zażądała za lokal dwadzieścia złotych florenów. Targowano się dla zachowania pozorów. Zola wypłaciła żadaną kwotę i zaraz ruszono do urzędu, aby przepisać działkę.

Lokal był umeblowany i miał spore okno wystawowe. Z tyłu było wyjście do zaułku przy drugiej ulicy. Na piętrze znajdowało się mieszkanie z czterema sypialniami. O ile planowali zadomowić się w Cylicji, to taki dom był im niezbędny.

Krysten zaczął marzyć o sprzedaży własnej przędzy i innych artykułów rolnych, ale Zola tylko się zaśmiała.

– Sklep jest mój, jeszcze nie wiem, co w nim urządzę. Będzie to coś przynoszącego korzyści mojej armii.

Jeszcze tego dnia wyznaczono miejsce spotkania w wejściu do zaplecza sklepu. Mogli sprawdzić, kto będzie towarzyszył rozmówcy. Byli przekonani, że Mark nie mógł podjąć żadnej decyzji bez osób bardziej znaczących. Te osoby w początkowym stadium uzgodnień nie zechcą się ujawniać, ale po pewnym czasie wejdą, aby omówić szczegóły.

Mark czekał w zaułku dłuższą chwilę. W tym czasie zajrzały jakieś dwa oprychy, ale wycofali się natychmiast. Bardzo wątpliwe, żeby donieśli o jego bytności. Jego ubiór nic nie mówił, mało prawdopodobne, by był rozpoznany. Z drugiej strony ulicy przechadzał się komendant tutejszego garnizonu. Miał włączyć się do rozmów, gdy będą wstępne uzgodnienia. Wieczór był ciepły. Księżyc w pełni tworzył przyjemny nastrój, pomimo to oczekiwanie było nużące.

Zola przyszła sama.

– Gdzie Wilam? – spytał.

– Pójdziemy do niego. On tu nie przyjdzie. – W jej głosie wyczuł pewność siebie.

Podeszli do drzwi zaplecza. Zastukała trzy razy. Otworzył żołnierz, odsunął się na bok, przepuszczając ich do mrocznego korytarza. Prowadziła, idąc przodem, miał okazję przyjrzeć się jej. Szczupła, ale silnie zbudowana. Spod rękawów wystawały umięśnione przedramiona. Kark również pełen, a nie gibki jak u innych kobiet. Gdyby miała na sobie bojowy strój, mogłaby uchodzić za mężczyznę. Uprzednio widział ją trzy razy, zawsze stała na uboczu, jednak przysłuchiwała się każdej rozmowie. Odnosił wrażenie, że oceniała to, co mówili dowódcy. Była bystra, raz

włączyła się do dyskusji, wyjawiając ważne kwestie, które Wilam pominął. Jej uroda przyciągała wzrok. Myślał jak zagać rozmowę, gdy wskazała wejście do pokoju.

Pomieszczenie było duże. Przy stole siedział Wilam z młodym mężczyzną. Widział już go, ale nie przypominał, w jakich okolicznościach. Zaskoczył go widok trzech uzbrojonych kobiet. Siedziały w rogu pokoju, nie zwracając uwagi na pozostałych. Każda z nich miała dwa krzywe miecze, a na plecach kołczan pełen strzał. Rozmawiały szeptem, jakby nie chciały zwracać na siebie uwagi.

Zola wskazała mu krzesło przy stole, sama usiadła między kobietami. Wszystkie głowy skierowały się w jego kierunku.

– Bóg z tobą – powitał go Wilam. – Ten obok mnie to Tom, Ormianin wyzwolony od mameluków. Panie siedzące w rogu, to nasza obstawa.

Teraz przypomniał sobie, gdzie widział Toma. Recytował „Ojcze nasz” przed bramą Edessy. Przypominał sobie dwie zbrojne kobiety, trzecią widział po raz pierwszy. Nie wyczuwał zagrożenia, całe towarzystwo wydawało mu się życzliwe.

– Dziękuję, że z bogiem mnie witasz – zaczął wypowiedź. – Twoi bracia zakonnici mówili o tobie życzliwie. Mam nadzieję, że życzliwość spotkasz również z naszej strony.

– Umiesz ładnie mówić. Niestety, ci w białych płaszczach, to nie moi bracia, nie jestem zakonnikiem. Byłem rycerzem cesarza Niemiec, dopóki Mongołowie nie wcielili mnie do swojej armii. Teraz mam swoją armię, z którą nie wiem, co robić.

– Ludzie mówili, że straciłeś armię w potyczce z Turkami. Zostały ci tureckie niedobitki i spore stado koni.

Wilam uśmiechnął się. Jego wzrok uciekł w kierunku Zoli. Zrozumieli się bez słów. Wstała i wyszła z pokoju.

– Panie Mark! Zola zaraz przyprowadzi pańskiego generała. Noc się zbliża, zmarzłoby w tym zaułku. Będzie nam wygodniej wyjaśniać sprawy na bieżąco, a nie powtarzać wszystko po dwa razy.

– Ja nie mówiłem o żadnym generale.

– My nie wiemy czy to generał, ale przyszedł pan z drugim mężczyzną. Gdy pan czekał na Zolę, ten pan przechadzał się po drugiej stronie ulicy. Myślę, że to żołnierz lub człowiek, który zna się na wojsku. Przypuszczam, że informacje o naszych niedobitkach posiada pan od niego.

– My jednak jeszcze nic nie ustaliliśmy, jego obecność tutaj będzie krępująca.

– Ustalimy wszystko w jego obecności. Zapewniam pana, że nie trzeba nas się obawiać. Jak nie dojdziemy do porozumienia, wycofamy się niezauważenie...

Wypowiedź przerwała Zola wprowadzając gościa. Usadzono go na krześle na wprost Toma.

– Co uzgodniono? – spytał przybysz Marka.

– Jeszcze nie zaczęliśmy rozmowy. Przypuszczam, że zirytowały ich pańskie informacje dotyczące stanu ich armii. Wiedzieli o pańskiej obecności, musieli nas obserwować. Zawołali pana bez mojej zgody.

Mężczyzna niepewnie rozejrzał się po zebranych. Widocznie stwierdził, że nic mu nie grozi, bo wypowiedź zaczął butnie.

– Chcieliśmy się z wami spotkać, ponieważ obiecano nam ponad tysięczną armię, jednak moi ludzie stwierdzili, że z tej armii pozostało wam około dwieście osób, na domiar złego to Turcy. To zdecydowanie za mało, by rozmawiać o tym z królem.

– Jest pan w wielkim błędzie. Dwieście osób i trochę koni zdobyliśmy w potyczce z Turkami. Nasze oddziały w walkach poniosły nieznaczne straty, a ich wielkość pan Mark widział pod miastem Edessa.

- Gdzie ukryliście armię, że żaden z obszarników jej nie widział.
- Czy do tych obszarników należy również pan Krysten?
- Przecież na jego terenie stoją te wasze niby liczne oddziały. –

Mężczyzna roześmiał się tryumfalnie.

Kobiety w rogu parsknęły śmiechem. Na twarzy Wilama i Toma również zagościł szeroki uśmiech.

– Nie ma się z czego śmiać. Moi ludzie byli w dolinie Krystena wczoraj przed południem.

– Może trzeba spytać pana Krystena.

– Nie będę jechał dwa dni do jego domu, by zadać mu jedno pytanie, moi ludzie wiedzą, co widzieli, a ja im wierzę.

– Nie musi pan jechać. Karle poproś pana Krystena.

– Krysten przyjechał tu z wami? Znam tego jegomościa, on za darmo nic nie robi.

Zolę zainteresowało zachowanie Marka. Przez całą rozmowę Wilama z przybyszem przyglądał się jemu, jakby nie dowierzał własnym uszom, jednak o nic nie pytał.

Nastała cisza spowodowana oczekiwaniem. Po chwili wszedł Krysten. Niczym nieskrępowany usiadł na szczycie stołu. Zobaczywszy obcego mężczyznę, od razu wybuchnął potokiem słów.

– Pan komendant Wiren, witam uprzejmie. Myślałem, że spotkam pana u króla, ale tam pana nie było. Nie bardzo zrozumiałem pana list. Kazał pan umieścić na polanie przybyłą armię, ale nie napisał jaką. Domyśliłem się, gdy pani Zola kazała Turkom mnie uwolnić. Wysłałem chłopca, by wskazał im błonia, które pan wyznaczył, ale oni uznali je za niebezpieczne. Trawa tam obfita, więc zostawili swoich jeńców tureckich, by paśli ich konie...

– To gdzie ta armia? – przerwał mu komendant.

– Zaszyli się w źródlanej kotlinie. Tam nie muszą wystawiać wart, tylko dwie drogi, a wokół na szczyty nikt nie wejdzie...

– To czemu pan mnie nie powiadomił?

– Panie komendancie, nie było wzmianki, abym kogokolwiek powiadamiał. Zresztą nie było kiedy, zaraz na następny dzień ci państwo zabrali mnie ze sobą. Jestem tu, ale każdy w mojej wsi wie, gdzie stacjonuje armia. Jest ich trochę więcej i są poważnie uzbrojeni, za wszystko płacą złotem.

– Panie Wiren! – włączył się do rozmowy Mark. – Pan jako komendant garnizonu nie wie, jaka armia stacjonuje na jego terenie? Nie dziwię się, że tak często Turcy napadają na naszych gospodarzy. Kto panu powiedział, że armia pana Wilama zginęła w potyczce z Turkami?

– Nie mogłem znaleźć tej armii, więc sam doszedłem do takiego wniosku. Był wysłannik z emiratu, przy obiedzie opowiadał, że jacyś dezterterzy naprowadzili ich na bogatą niezrzeszoną armię. Uznali ich za bandę, więc wysłali trzy szable, by złupić im złoto. Myślałem, że to o nich chodziło.

– Wyznaczył więc pan nam obozowisko, które można było otoczyć ze wszystkich stron? – spytał Wilam. – Zapewne obiecali panu część łupów?

– Jak pan śmie? – komendant zdradzał irytację.

– Kłótnia do niczego nie doprowadzi – włączył się Mark. – Królowi zależy na najemnych oddziałach. Nasza armia jest związana traktatami, a Turcy popadają w samowolę. Panie Wiren, powinien pan dokładniej zbadać sprawę armii, którą polecili nam bracia zakonni. Nikt pana nie zobowiązywał do wyznaczania miejsc jej stacjonowania. Ja we wstępnej rozmowie z panem Wilamem sugerowałem, aby ukrył swoje oddziały, a pan chciał tę sprawę upublicznić... Dzisiaj chyba już niczego nie ustalimy. Jutro zaraz po śniadaniu zajrzę tutaj.

Następnego dnia Mark przyszedł sam. Zola z Janą omówili skład armii oraz potyczkę z Turkami.

– Oni nie byli przygotowani na nasze możliwości bojowe. Szkoda ludzi, zostawiliśmy grób z czterystu bojownikami – wyjaśnił Wilam.

Mark zasugerował im obronę północno-wschodnich rubieży państwa, ale asekurował się słowami:

– Państwo wybaczą, nie mam możliwości zagwarantować wam wiążących decyzji, proponuję jednak, byście chcieli jutro wyruszyć ze mną do Sis. Przy spotkaniu z królem nieodzowna jest obecność pani Zoli.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Dysponuje pan dobrym wywiadem – stwierdziła.

– Nie trudno się domyślić – odpowiedział. – Niech się pani jednak nie boi, król lubi rządzące kobiety.

Zapowiedź rozmowy z królem Hatumem była informacją niezwyklej wagi. Uświadomili to sobie dopiero po wyjściu Marka.

Gdy mężczyźni zastanawiali się, co mogą wyjawic w rozmowach z monarchą, największym zmartwieniem Zoli był brak stroju na taką okazję. Wilam ani Tom nie zwracali uwagi na jej biadolenie. Jedyną osobą, która to zrozumiała był Krysten.

– Nie tylko ty, ale i dziewczęta stanowiące świtę powinny być godnie ubrane.

– Znajdzie pan krawców, którzy za dzień uszyją coś dla nas?

– Takich krawców nie znajdę, ale istnieją sklepy z gotową odzieżą, w czasie przymiarki wszystko dopasują. Chciałbym również zwrócić uwagę na tych panów, wątpię, żeby mieli zmienne ubrania.

Odwiedzili trzy sklepy i w każdym z nich były ładne suknie. Proponowano ubrania europejskie, perskie, a nawet chińskie. Szukała czegoś dla swoich dziewczyn, w czym mogłyby walczyć, a jednocześnie

wyglądały ładnie, problemem była ilość. Sklepy mogły znaleźć po kilka kompletów, a potrzebowała dwadzieścia osiem. Ich mongolskie stroje nie przeszkadzały w posługiwaniu się dwoma mieczami. Nowe stroje powinny zapewnić komfort ruchu, ale Zola marzyła, aby oprócz tego były ładne. Sama nie chciała o tym decydować, wróciła do domu po Karle i Jane.

Doradzanie Krystena w wyborze damskich strojów było irytujące. Pozwoliły mu wybrać coś dla siebie. Kosztował drogo, ale mogły spokojnie się rozejrzeć. Znalazły stroje mandżurskich bojowników nocy. Spodnie i długie kimona wykonane były z ciemno granatowego jedwabiu. Bardzo lekkie buty odgradzały duży paluch w każdej stopie, co zapewniało wspaniałe przywieranie nogi do podłoża. Za każdy strój żądano jednego złotego persa. Strojów było pięć, ale sprzedawca obiecał, że mogą sprowadzić większą ilość. Zażądał jednak zaliczki. Gdy już miały wychodzić, kupiec spytał:

– Czy wszystkie stroje mają być w tym samym kolorze?

– Jeden mógłby być inny – zażartowała Zola.

Sprzedawca od razu podchwycił.

– Pani, jeżeli chodzi o ciebie, to mam w kolorze białym.

Rzeczywiście, strój pasował. Był typowo męski, ale niewymiarowe spodnie i luźne kimono prezentowało się wspaniale. Czarny pas i buty świetnie pasowały do jej włosów. Wszystkie stwierdziły, że w tym będzie mogła pokazać się przed królem. Przepięła miecze i już się nie przebierała. Z pozostałymi strojami wróciły do domu.

– Umiesz podkreślić swoją urodę – powiedział Wilam.

– Jak kupię suknię, to wtedy porozmawiamy o mnie. Teraz pytam, czy wy macie w czym wystąpić przed królem?

– Przecież to ma być zwykła rozmowa.

– Zwykłą rozmowę możesz prowadzić ze swoim cesarzem, bo on ciebie zna i wie, ile jesteś wart. Idziemy jednak do obcego monarchy. Jak pokażemy się w łachmanach, będziemy traktowani jak łachmaniarze.

Mężczyźni uznali za słuszne odbyć spacer po sklepach z odzieżą. Wilam wybrał sobie europejski ubiór dworzanina, a Tom ormiańskiego mieszcza. Zola zaakceptowała oba ubrania, potem wszyscy wybierali jej suknię.

W podróż do Sis zabrali ze sobą tylko pięć dziewczyn, które miały nowe odzienie. Mark twierdził, że bez zbędnego taboru dotrą tam następnego dnia w południe. Cały bagaż zmieścił się na dwóch jucznych koniach.

W lesie, po godzinie drogi, kilkunastu zbirów próbowało ich zastraszyć. Dziewczęta zasypały bandę strzałami, pięciu ranili, reszta uciekła między drzewa.

Mark kazał rannych ściągnąć w jedno miejsce.

– Chyba wiem, kto zlecił tę napaść – powiedział. – Zostawimy was przy życiu, ale powiedźcie zleceniodawcy, żeby złożył dymisję zanim król to uczyni.

Rozmowa ta utkwiała w ich pamięci. Mark nie był zwykłym uzdrowicielem.

Sis było siedzibą monarchy, tu znajdował się jego dom. Według słów Marka, król bardzo rzadko udzielał gościny w swoim pałacu. Kto chciał się z nim spotkać, musiał poszukać sobie pokoju w mieście. Mark miał swoją kamienicę, ale była zbyt mała, by pomieścić ich wszystkich. Wyszukał karcznię z wygodnymi pokojami i ładną gospodą. Zapowiedział, że zjawi się u nich na kolacji, by móc omówić szczegóły wizyty.

Po rozlokowaniu się w pokojach wyszli na spacer. W mieście panował ruch, przy jezdniach rozstawiono mnóstwo stoisk. Karle zwróciła się do Zoli:

– Chcemy się zabawić, puść nas same.

Wręczyła każdej po dwie złote monety.

– To nie prezent, potrączę wam z żołdu.

– A kiedy będzie żołd? – zażartował Tom.

– Jeden dostałeś, zastanowię się na tym, kiedy będzie następny.

Dziewczęta zniknęły w drzwiach najbliższej gospody. W mandżurskich strojach, z mieczami przy pasie reprezentowały się imponująco.

Spacerowali wolnym krokiem, odwiedzając niemal każdy stragan. Tom zatrzymał się przy stoisku z bronią, aby pooglądać chińskie miecze.

– Chcąc takim władać, trzeba ćwiczyć ze dwa lata – powiedziała Zola.

– Przyglądałem się wam przy bagnach, u was każdy ruch eliminuje przeciwnika. Rzadko tępicie ostrza, parując ciosy wroga. Najpierw zaatakowałyście stu, potem natarła na was druga setka, też nie mieli szans.

– Chcesz powiedzieć – włączył się Wilam – że one wyeliminowały dwustu bojowników.

– No, nie wszystkich zabijały, ja byłem jej jeńcem, Samuel też. Nikt nie miał już ochoty do dalszej walki. Potem szybko się z nimi dogadaliśmy. Jakbyśmy wrócili do Muzaboka, to kara by nas nie minęła. Ona podjęła się go zabić. Nie wierzyliśmy, że jej się to uda, a jednak sama pokonała całą armię.

– Hamel Ahat powiedział, że stworzyłaś, Zolu, sytuację bojaźni, każdy bał się każdego, a ty przejęłaś inicjatywę i stałaś się przywódczynią trzech armii. Jak to się tobie udało, nie mogę dojść do tej pory.

– Taborzy były przyszłością Muzaboka. Gdybym tego nie zrobiła, ruszyłby na nas ze wszystkich stron. Może i straciłby trochę ludzi, ale nas by powyrzynał. Nie rozumiem, po co wspominać niedobre czasy, jutro czeka nas optymistyczna rozmowa.

– Nie wiem czy jutro – stwierdził Wilam. – Król musi najpierw się zapoznać ze wszystkimi sprawami, które nas dotyczą, omówić z doradcami warunki i dopiero potem poprosi nas na rozmowę. Jestem ciekaw, o czym Mark chce rozmawiać z nami przy kolacji.

– Myślę, że on nie zechce z nami nic omawiać. Chce dowiedzieć się, jak przedstawić nas królowi. Spotkanie w Anazarbie było mu potrzebne, aby mieć pewność, że my się zdecydowaliśmy. Królowi przekazał wiadomość o nas. Przemaszerowaliśmy przez całą Edessę. Dokładnie się nam przyjrzał. Potem zakonnicy z czarnym krzyżem wyciągnęli z nas resztki informacji. Coraz częściej przychodzi mi na myśl, że Mark znalazł się Edessie, szukając wolnych oddziałów. Miał szczęście trafiając na nas.

Chodzili po mieście do późnego popołudnia. Pod wieczór wrócili do karczmy. W gospodzie zastali swoje dziewczęta, które przy połączonych stołach zabawiały dziesięciu mieszczan. Widać było nadmiar wypitego wina. Zola nie zwracała na nie uwagi. Usiedli przy odległym stoliku, oczekując przyjścia Marka.

Pojawił się po pół godzinie. Zniesmaczony popatrzył na grupę dziewczyn bawiących się z mężczyznami.

– Pani dziewczęta nie za dużo sobie pozwalają? – spytał Zoli.

– Takie samo pytanie mogłabym zadać panu. Czy zamożni mieszkańcy tego miasta nie pozwalają sobie za dużo z obcymi kobietami? Moje dziewczyny nie poznały jeszcze życia. Wojska chana oddzieliły je od rodziców w wieku dziecięcym. Sześć lat walczyły jako bojowniczk, nie

wiedząc, za jaką sprawę. Dużo nas zginęło. W tym roku pożegnałyśmy wiele kolegów. Takie chwile jak ta, zdarzają się im niezmiernie rzadko.

– Wybacz, pani. Trudno sobie wyobrazić, że takie ładne kobiety są zarazem bezwzględnyimi żołnierzami.

– Nie wiem, kim pan jest – włączył się Tom – więc nie wiem, czy może pan sobie wyobrazić ich bezwzględność w walce. Od dziecka byłem w armii mameluków, ale tak sprawnych zabójców jeszcze nie widziałem...

– Przepraszam, że panu przerywam – wszedł w słowo Mark – ale was chyba coś łączy – wskazał palcem jego i Zolę.

– Razem nas porwali z miejscowości Orba, ona została w armii Muzaboka, a nas, chłopców, sprzedano Saracenom. Spotkaliśmy się przypadkiem w czasie rozłamu armii Muzaboka. Walczyliśmy ze sobą, wzięła mnie do niewoli. Gdy krzyczała na ludzi, potarła kciukiem dół nosa, po tym gościę ją poznałem. Potem dziewczyny wołały na nią po imieniu, nie miałem już wątpliwości. Jak ścięła Muzabokowi głowę...

– Ona ścięła głowę głównemu dowódcy? – przerwał mu Mark.

– Tak! Zrobiła to na oczach całej armii. Wtedy zażądała od dowódcy mameluków, by oddał jej wszystkich Ormian. W ten sposób znalazłem się w jej armii.

– A więc to pani armia, a nie pana Wilama – Mark uśmiechnął się.

– Może armia jest moja, ale głównym dowódcą jest Wilam.

– To też niezupełnie prawda – uśmiechnął się Wilam. – Gdy napadli nas Turcy, kazała mi pilnować tylko jednego skrzydła, resztę sama załatwiła.

– Wmawiacie we mnie jakieś historie. Ty broniłeś jednego skrzydła, oddziały Samuela drugiego, ja zajęłam się środkiem.

– Samuela wysłałaś na zewnątrz – Wilam był nieustępliwy.

– Żeby nie moja ciężka praca, to wszyscy byście przegrali – powiedział Tom, uspokajając dyskusję.

– To prawda, bitwę wygrały wyrzutnie Toma – powiedziała spokojnie.

– Pani Zolu, jak mam panią przedstawić królowi? Powiedziałem mu, że jest pani ochraniarzem pana Wilama.

– Powinien pan powiedzieć o mnie jako o przywódczyni. Moim naczelnym dowódcą jest ten Niemiec. Ten młodzian odpowiada za stan techniczny armii i za ludzi z pochodzenia ormiańskiego. Mam jeszcze dwa oddziały. Jeden to Saraceni, a drugi Turcy. Tamci są wyznania islamskiego, jednak na pewno będą nam podporządkowani.

– Wiem już chyba wszystko. Będziecie przyjęci przez króla jutro przed południem, w pałacu powinniście być po śniadaniu...

Wypowiedź przerwały mu okrzyki na sali. Spojrzeli na zestawione stoły. Tańczyła na nich Eza z oddziału Zoli, wykonując dziwne ruchy biodrami i głową. Jej pas z bronią trzymał jeden z mężczyzn.

– To perski taniec, skąd ona go zna? – spytał Wilam.

– Mieliśmy wielu nauczycieli – odpowiedziała Zola, wstając z miejsca. Podeszła do stolika dziewczyn.

– Powinniście iść spać, jutro rano mamy być w formie.

– Pani wybaczy! – Od stołu dziewczyn podniósł się mężczyzna. – Te panie są w naszym towarzystwie. My trochę zainwestowaliśmy i chcemy popatrzeć, jak wszystkie zatańczą.

Cios Zoli był wymierzony w pierś rozmówcy. Uderzenie przytknęło mu oddech, ale szybko się opanował. Odskoczył, sięgając za długi kindżał.

Zola omiotła wzrokiem stół. Wszystkie dziewczęta wstały z miejsc. Eza stojąc jeszcze na stole, przypinała swój pas z mieczami. Inni mężczyźni

nie sięgali po broń. Uznała, że sytuacja jest stabilna. Splotła ręce na piersi. Mówiła spokojnie:

– Uspokój się pan. Żadnej z tych niewiast nie jesteś w stanie kupić, a na pewno im coś kazać. Każda z nich ma przy sobie więcej pieniędzy, niż ty zarobisz w tydzień.

Eza sięgnęła do kieszeni spodni, pokazując dwie złote monety. Uśmiechnęła się i zeskoczyła ze stołu. Mężczyzna z nagim kindząłem nie był jednak uspokojony.

– Jeszcze żadna kobieta mnie nie uderzyła! – wykrzyczał.

– Obraziłeś moje dziewczęta – odpowiedziała mu natychmiast.

– Zapłacisz za zniewagę – rzucił się na nią ze sztychem.

Zola nie oderwała nóg od ziemi, jej lewa dłoń odbiła uzbrojoną rękę, a prawa pięść wylądowała na brodzie przeciwnika. Cios powalił mężczyznę na ziemię. Kindzał upadł nieco z boku. Podniosła go i podała Janie, która stała obok.

– Schowaj go, to zdobyczna broń.

– Jak mi go nie oddasz, to nie wyjedziesz żywa z miasta... – Przy ostatnim słowie urwał gwałtownie, wpatrując się w osobę stojącą za dziewczyną. Obejrzała się, obok stał Mark.

– Napadłeś na emira Zolę, która jest gościem naszego króla. Będę musiał z nim to omówić – powiedział uzdrowiciel.

Mężczyźni siedzący przy stole gwałtownie zaczęli usuwać się na bok, większość z nich kierowała się do wyjścia.

– Panie Marku, zostaw pan go, jest podpity, nie orientował się w sytuacji.

– On jest dowódcą straży miejskiej, zawsze musi orientować się w sytuacji, że był podpity to wina, a nie usprawiedliwienie.

Mężczyzna klęknął przed Zolą na kolana.

– Wybacz, pani! – powiedział zupełnie trzeźwym głosem. – Byłem rozbawiony, nie zwracałem uwagi na sytuację. Proszę weź i pochwę – wyjął zza pasa futeł kindżał – ona jest więcej warta niż sama broń.

Jana odebrała od mężczyzny pochwę.

– Idź do domu i staraj się nie narażać mnie ani żadnej z tych dziewcząt, bo to ty możesz nie wyjść żywy – powiedziała Zola.

Król przyjął ich delegację poza czasem audiencji. Przy wejściu czekali chwilę na Marka, a ten poprowadził ich do sali przyjęć. Po dłuższym czasie odzwierny zaanonsował:

– Król Małej Armenii, jego wysokość Hetum.

W drzwiach ukazał się mężczyzna w średnim wieku, w towarzystwie pięciu osób. Zajął miejsce na tronie i tylko to wskazywało, że jest królem. Nikt z przybyłych nie przedstawił się. Monarcha odezwał się pierwszy.

– Za dwie godziny rozpoczynam oficjalne audiencje, mamy mało czasu. Panie Mark, wiem tylko tyle, że ci państwo pochodzą z rozbitej armii Muzaboka. Proszę niech pan powie, dlaczego oddziały Muzaboka rozproszyły się i przedstawi mi obecne tu osoby.

Mark wysunął się pół kroku na przód. Przykładając rękę do piersi, pochylił się w ukłonie.

– Jaśnie panie, o ile zostałem dokładnie poinformowany, a pytałem u kilku źródeł, jedna z armii wielkiego chana, dowodzona przez Muzaboka, podzieliła się na trzy mniejsze armie. Ponad połowa wzmocniła siły mameluków. Około półtora tysiąca młodych żołnierzy zabrał Azabaj, prawdopodobnie ukrył się w górach Kaukazu. Ponad tysiąc ludzi zgromadziła przy sobie emir Zola.

Dziewczyna wysunęła się o krok, skinęła głową i cofnęła się na swoje miejsce.

– Mała armia jak na stanowisko emira, poza tym pierwszy raz spotykam się z żeńskim przywódcą.

– Jaśnie panie, dowódcą tych oddziałów jest pan Wilam von Junhaler. To były rycerz cesarza Niemiec. Pani Zola przyjęła tytuł przywódcy, ja ją nazwałem emirem.

Król chwilę się zastanowił, popatrzył po osobach stojących przed nim, coś go nurtowało. Po chwili padło następne pytanie:

– Dlaczego armia Muzaboka uległa podziałowi? Jak się orientuję, dowodził on kilkunastoma tysiącami ludzi. To on podbił państwa Armenii.

– Armia uległa podziałowi w momencie, gdy pani Zola zabiła Muzaboka i jego zastępcę.

– Nikt jej nie powstrzymał, nie zabił? – pytanie króla było bez odpowiedzi. Po krótkiej ciszy powiedział: – Mark, przedstaw mi pozostałe osoby i omów skład tej armii.

– Ten młody mężczyzna to Tom, odpowiada za stan techniczny, ponieważ oddziały dysponują sprzętem oblężniczym, którego używają do walk polowych. Pięć pań, które stoją za nami, stanowią osobistą ochronę pani Zoli. Należy nadmienić, że wszystkie mają staranne wykształcenie. Armie o liczbie ponad tysiąca trzystu bojowników w zdecydowanej większości stanowią ludzie pochodzenia ormiańskiego. Jest stuosobowy oddział Saracenów i ostatnio dołączono ponad dwustu Turków.

– Usłyszałem dużo informacji, ale zbyt mało, bym mógł podjąć decyzję. Dzisiaj mam mało czasu, by o tym rozmawiać. Mark przyprowadzisz tych państwa do mnie na kolację. W luźnej rozmowie wyjaśnimy kilka kwestii. Wiążące rozmowy będą jutro.

Po wyjściu z pałacu Mark stwierdził:

– Coś musiało się wydarzyć, o czym nie wiem. Prosi was jednak na kolację, więc nie jest wam przeciwny. Postaram się dowiedzieć o problemie.

Odwiedzę was po południu, wtedy powiem, o której kolacja i kto będzie w niej uczestniczył.

Mieli sporo czasu. Postanowili przejść się po mieście. Zwiedzili kilku rzemieślników, zatrzymywali się prawie przy każdym straganie. Gdy doszli do sklepu z ozdobami, Zola powiedziała:

– Warto zainwestować w swoją reprezentację. Kupmy jakieś drobiazgi, które przykują uwagę króla. Musimy mu pokazać, że nie liczymy na zarobek u niego. To on nas potrzebuje, nie my jego, przynajmniej ma tak myśleć.

– Co proponujesz?

– Powinniście mieć po ładnym pierścieniu na palcu i wisiorze na szyi, jak jego kanclerz. Poza tym nie możecie iść w tych samych ubraniach.

– Przecież te stroje kupiliśmy specjalnie na tę okazję.

– Kupiliście na spotkanie z królem, a teraz macie iść na kolację, to duża różnica.

Zola miała już suknię, ale diadem, kolia i bransoleta wykonane z białego złota powinny przykuć uwagę pozostałych gości. Wilam z Tomem kupili sobie stroje na modłę tutejszych dworzan. Każdy z nich zaopatrzył się w złoty pierścień i łańcuch z krzyżykiem na szyję. Zakupy poważnie nadszarpnęły stan sakiewek Zoli, ale uważała, że warto.

– To nie przepadnie – tłumaczyła. – Ozdoby przydadzą się na inne okazje, a w trudnych czasach będzie można je spieniężyć.

Dziewczętom nic nie kupiła, ich stroje uważała za mundury, w których mają występować.

Mark przyszedł, gdy kończyli południowy posiłek. Mówił bardzo zmieszonym tonem:

– Przy stole będzie dla was tylko sześć miejsc. Z tego wynika, że możecie ze sobą wziąć tylko trzy kobiety z obstawy. Jest obawa, że nie zleci

wam służby... – po tych słowach zrobił dłuższą przerwę. – Takich osób jak ja, działających w terenie było kilka. Każdy miał znaleźć jakiś oddział broniący ziem na pograniczu sułtanatu. Pomimo że mamy pakt z wielkim chanem, Turcy z jego wojsk zaopatrują się w naszych przygranicznych wsiach. Nie chcemy wysyłać swego wojska, by nie posądzano nas, że występujemy przeciw oddziałom chana. Obcy, działający na zlecenie, zawsze się wytłumaczy. Potrzebny jest tylko jeden oddział, a mój kolega sprowadził przedwczoraj ośmuset Francuzów. Król musi wybrać między wami a Francuzami, którzy również będą na kolacji. Decyzję podejmie do końca biesiady. Możliwe, że poprosi o pokaz siły z ćwiczebnym orężem.

– Ci Francuzi widzieli Turków? – spytał Wilam.

– Obawiam się, że nie. To część armii Ludwika, który popłynął na Egipt.

– Ilu ich będzie na kolacji? – spytał Tom.

– Zapowiedziało się sześciu rycerzy, z tego powodu kanclerz polecił ograniczyć wasz stan, aby żadna z delegacji nie miała przewagi.

– To może jednak oznaczać, że kanclerz stronniczy za Francuzami – stwierdziła Zola. – Zrobimy inaczej, wezmę tylko dwie dziewczyny. Niech tamci mają przewagę liczebną, to przecież nic nie znaczy. Ważne, jakimi argumentami będą dysponować obydwie strony.

– Przekażę im tę wiadomość. Przyjdę tutaj za trzy godziny i zaprowadzę was bezpośrednio na ucztę...

Wypowiedź przerwał karczmarz. Stojąc dwa kroki od stolika, mówił pokornym tonem:

– Wybaczcie państwo moją śmiałość, ale przy drzwiach stoi mężczyzna, który chce pilnie przekazać coś pani Zoli. Mówił, że się bardzo śpieszy i nie może czekać.

Popatrzyli w kierunku drzwi, stał tam młody bojownik. Był bez kasku, ale nie trudno było się domyślić, że pochodził z mameluków.

– Tomy, chyba przyszedł twój kolega – powiedziała Zola. Zaraz zwróciła się do karczmarza: – Jaką monetą panu zapłacił za przekazanie nam tej wiadomości?

– Ależ pani! – obruszył się karczmarz.

– Pytanie nie było trudne? Czy podarował panu srebrnego z Nikozji? Pokaże pan tę monetę?

Zaskoczony karczmarz wysunął otwartą dłoń, w której leżała srebrna nowo bita moneta.

– Podaruj mi ją, potem dolicz do rachunku, może być z procentem. – Delikatnie uniosła palcami monetę z ręki karczmarza, on nie zaprotestował. – Dziękuję – powiedziała i ruszyła w stronę drzwi.

Karczmarz natychmiast zniknął za kontuarem. Wszyscy przy stoliku obserwowali dziewczynę. Bojownik wręczył jej rulon wyjęty z długiej torby, ona wręczyła mu papier. Potem pokazała mu monetę trzymaną w ręku. Mężczyzna coś jej tłumaczył. Schowała monetę do sakiewki, z niej wyjęła złotą i wcisnęła mężczyźnie w rękę. On pokłonił się i wyszedł.

– Utrzymujecie kontakty z mamelukami? – spytał zdziwiony Mark.

– Ona utrzymuje korespondencję z jednym z ich dowódców – odpowiedział Wilam.

– Ależ to nasi wrogowie.

– Nasi też, ale oni chyba pałają sympatią do siebie. – Wilam się roześmiał.

– Znam ją i jego – wtrącił Tom. – Myślę, że on do niej pisze po to, aby mogli uniknąć spotkania na jednym polu bitwy.

Wilam nagle spoważniał.

– To bardzo możliwe – odpowiedział.

Mark na widok Zoli w strojnej sukni był wyraźnie onieśmielony. Dłuższą chwilę wpatrywał się w nią. Pierwsze słowa wypowiedział tak cicho, że ledwo było go słyszeć.

– Wybacz, pani, zawsze uważałem ciebie za ładną kobietę, a teraz wyglądasz pięknie.

Komplement skwitowała uśmiechem.

Przyjechał po nich powozem. Był przeznaczony dla sześciu podróżnych, nie licząc miejsca obok woźnicy. Wyjechali natychmiast, nigdzie po drodze nie przystając, pomimo to, na salę audiencyjną weszli ostatni. Przy wejściu zaanonsował ich kanclerz.

– Emir Zola i jej dowódcy.

Dziewczyna obrzuciła urzędnika kwaśnym spojrzeniem, ale nic nie odpowiedziała. Podeszli do tronu króla i złożyli pokłon.

– Nie widziałem tak strojnego żołnierza – stwierdził monarcha. – Powinnaś w tym stroju chodzić na pole bitwy. Mężczyźni nie zabijają kobiet, które pragną.

Przyjęła żart z uśmiechem, ale zaraz dodała:

– Wybacz, królu, wrogowie, których znam, raczej się mnie boją, a nie pożądata.

– Słyszałem o Turkach, których zniewalasz.

– Nie tylko Turcy, ale i mamelucy wolą nie wchodzić im w drogę – dopowiedział Mark.

– Mameluków podjął się zwalczyć król tych kawalerów – wskazał ręką sześciu rycerzy stojących z boku podium.

– Obawiam się królu, że oni powinni szybko płynąć na ratunek swojemu królowi. Ich statki są przechwytywane przez flotę egipską, która dopiero tworzy się ich kosztem. Ta armia nie ma szans wygrać wojny, którą

się podjęli. Ich bojownicy w przyszłym roku zasilą armię mameluków, która ruszy na Arabię i Persję.

– Wybacz, królu, że zadam tej niewieście pytanie – odezwał się jeden z rycerzy. Gdy król wyraził gestem zgodę, zwrócił się do Zoli: – Pani, kto przekazał tobie takie wyssane z palca informacje?

Zola sięgnęła do kieszeni swojej sukni. Podeszła do Francuza, wręczając mu monetę.

– Takie pieniądze były bite prawie przez rok na potrzeby armii francuskiej. Przypuszczam, że każdy z panów takie trzyma w sakiewce. Tę monetę miał dzisiaj kurier z Egiptu.

– Może ktoś z naszych zapłacił mu za jakąś przysługę. Skąd pani może to wiedzieć?

– Zapłacił, ale własnym życiem, jak również reszta płynąca tym statkiem. Wiem, bo ten człowiek dostarczał mi korespondencję.

– Pani koresponduje z wrogami?! Może nas pani wszystkich wprowadzić w poważne tarapaty.

Dziewczyna uśmiechnęła się do Francuza.

– Kurier, który dzisiaj przekazał mi list, najpierw dostarczył trzy przesyłki dla stojącego tu kanclerza. Nie posądza pan chyba tego pana o cokolwiek złego?

Francuz zacisnął szczęki, a król roześmiał się w głos.

– Rzeczywiście, jesteś pani niebezpieczna, za dużo wiesz. Może również korespondujesz z wielkim chanem.

– Nie, królu, obawiam się, że nie miałby czasu przeczytać mego listu. Zresztą panuje tam bezkrólewie. Jak wybiorą kogoś znajomego, kto wie... może odważyć się napisać.

Wszyscy się roześmieli, oprócz francuzów. Król wstał.

– Mam nadzieję, że stół został już nakryty. Prosimy do jadalni. Tam będziemy mogli żartować dalej.

Stoły były ustawione w podkowę. Główną część zajął król ze swoją świtą. Pojawiła się królowa i niewiasta, która jej towarzyszyła. Ich, razem z Markiem, usadzili przy bocznym skrzydle. Na wprost, w drugiej odnodze, usiedli Francuzi. Im również towarzyszyła kobieta oraz dworzanin.

Przez dłuższą chwilę każda grupa zajęła się rozmowami w swoim towarzystwie. Służący napełnili puchary białym winem. Gwar przy stołach przerwał król, wznosząc toast za pomyślną przyszłość, potem wdał się w dyskusję ze swoim kanclerzem. Sądząc po minie, nie wszystko w tej rozmowie mu się podobało.

Zola rozsiadła się w fotelu. Trzymając pusty puchar w lewej dłoni nie spuszczała wzroku z króla. Wychwytywała każdy jego gest. W pewnym momencie zauważyła wpatrzoną w siebie królową. Uśmiechnęła się do niej i stremowana zwróciła się do Marka:

– Co to za kobieta siedząca przy Francuzach? – spytała.

– To najmłodsza siostra królowej. Miesiąc temu wzięła ślub z kawalerem Franko. To ten, przy którym siedzi. Jest ich przywódcą.

Chciała zadać kolejne pytanie, ale przy stole monarchy wstał kanclerz, zabierając głos:

– Proszę państwa, król poprosił was tutaj, ponieważ musimy zadecydować, którą armię wynajmiemy do obrony naszych północno-wschodnich granic.

Przy stołach zapanowała cisza, nikt nie odważył się zabrać głosu.

Oficjalne rozmowy rozpoczął król.

– Wiadomo państwu, że mam kłopoty na granicy z sułtanatem. Powoduje to poważne straty w moim państwie. Niektóre oddziały tamtejszych emirów zaopatrują się, łupiąc nasze przygraniczne wsie. Całe

pogranicze ubożeje. Razem z kanclerzem wpadliśmy na pomysł, by ustawić tam najemną armię. Działałaby na nasze zlecenie, ale nas by nie reprezentowała. Traktat podpisany z Mongołami byłby nienaruszony, a wsie mogłyby spokojnie pracować.

– Nam rycerzom mógłbyś zaufać – powiedział Franko.

– Czy panowie walczyli już kiedyś z Turkami? – włączyła się Zola. – Walka z nimi, to nie wydawanie walnych bitew, a stałe czuwanie, nawet w nocy...

– Pani wybaczy – przerwała jej królowa – że zabiorę głos w sprawie rycerskiego rzemiosła. Umie pani ładnie mówić, słyszałam panią na sali audiencyjnej, ale czy pani w ogóle zna się na dowodzeniu i walce.

Towarzystwo przy stole dziewczyny roześmiało się. Było to niegrzeczne wobec monarchini. Zola próbowała naprawić gafę przyjaciół.

– Wybacz, królowo, wesołość grona kolegów, ale oni wiedzą, na co mnie stać. Odpowiadając na pytanie jaśnie pani dotyczące dowodzenia, chcę poinformować, że dwa tygodnie temu, niedaleko Hromkli, rozgromiłam trzy szable Turków. To liczebnie więcej niż proponuje wystawić rycerstwo Francuzów. Na pytanie, czy znam się na walce, odpowiem w ten sposób: żaden z tu siedzących rycerzy nie dorówna mi w boju, obojętnie, na jaką broń.

– Pani próbuje z nas żartować. Żeby nie pani suknia, żądałbym satysfakcji – wtrącił Franko.

– Przyszliście tu panowie w eleganckich kolczugach, by pokazać, jacy z was dzielni rycerze. Ja przyszłam w sukni, by pokazać się jako kobieta. Jakby król udostępnił nam ćwiczebną broń, to z łatwością udowodniłabym, że moja suknia w walce mniej przeszkadza niż pana kolczuga.

– Pani Zolu – król mówiąc, podniósł się z miejsca. – Nie da się cofnąć pani słów. Na żart one też nie wyglądały. Muszę zażądać, aby udzieliła pani

satysfakcji dla kawalera Franko. Przynieście ćwiczebną broń – zwrócił się do służby.

Broń leżała prawdopodobnie tuż za drzwiami, bo dwóch służących natychmiast wniosło ją na salę. Były to drewniane miecze, zamiast głowni miały deski z twardego drewna, tempo ścięte o kanciastych krawędziach. Obok ułożono sześć owalnych tarcz, również wykonanych z drewna.

Zola ułożyła swoją biżuterię na stole. Włosy związała z tyłu w węzeł. Podeszła do mieczy, uniosła jeden i wolno zakręciła go przed sobą. Rycerz najpierw starannie przypiął tarczę, potem wybierał miecze. Trzeci uznał za właściwy. Wyszedł między stoły, stając na wprost dziewczyny, która trzymała miecz przed sobą, skosem w dół.

– Pani będzie walczyła bez tarczy? – spytał.
– Tarczy nie używam. Zwykle walczę dwoma mieczami.
– Proszę w takim razie wziąć drugi miecz. Inaczej nie dam pani pełnej szansy i będzie pani miała wykręt, dlaczego przegrała.

Dziewczyna bez słowa podniosła ze stosu drugi miecz. Trzymając go, wykonała wolny ruch dłonią, jakby chciała wypróbować nadgarstek. Stanęła przed mężczyzną, oznajmiając swoją gotowość. Gdy król powiedział: –Zaczynajcie! – oni nadal stali nieruchomo. Po chwili powiedziała:

– Ktoś musi zacząć. Chyba pan się nie boi?

Słowa te sprowokowały rycerza. Uniósł miecz do ciosu, jednocześnie podnosząc nieznacznie tarczę. Na to czekała. Jej lewa klinga zasłoniła się przed ciosem, a prawa, tuż pod tarczą, uderzyła sztorcem w dół splotu żeber. Odbicie spadającego ciosu nie sprawiło jej trudności. Pochylony Franko nie mógł złapać oddechu.

Odstąpiła krok w tył, mówiąc do mężczyzny:

– Niech pan się wyprostuje i na siłę wciągnie powietrze, to szybko minie.

Zaczerwieniona twarz rycerza uniosła się do góry. Wolno wrócił mu oddech. Po chwili powiedział:

– Pani nie przestrzega żadnych zasad.

– Podstawową zasadą w walce jest wyeliminować przeciwnika, zrobiłam to.

Podeszła do ściany i odłożyła swoje miecze. Gdy usiadła, poprosiła Karle, aby przypięła jej kolię i rozwiązała włosy. Starannie nakładała diadem i bransoletę. Unosząc głowę, zauważyła, że Franko na swoim miejscu rozmawiał z żoną. Zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna go przeprosić, ale słowa króla wyrwały ją z odrętwienia:

– Pani Zolu, była to mało malownicza walka, ale bardzo skuteczna. Czy inne pani dziewczęta też tak potrafią?

– Owszem, tylko są mniej delikatne.

Król przyjął żart uśmiechem, za moment dodał:

– Może któryś z kawalerów poprosi inną panią?

Mężczyzna siedzący z brzegu rycerskiego stołu powiedział:

– Podoba mi się ta wyższa pani – wskazał na Jane. – Z nią bym się zmierzył.

– Mnie tu nikt nie chce? – spytała płaczliwym głosem Karle.

Po śmiechu towarzystwa zgłosił się następny mężczyzna. Dziewczęta zamieniły z sobą kilka słów, po czym Karle szepnęła coś na ucho Zoli. Ona zwróciła się do króla:

– Łaskawy panie, by nie przeciągać pojedynków w nieskończoność, moje dziewczyny proponują walczyć na raz z czterema rycerzami. Naturalnie, o ile pozwolą im trzymać po dwa miecze.

– Czy to uczciwe? – zapytał król, na chwilę się zamyślił, a za moment sam odpowiedział na swoje pytanie. – Skoro pani tak mówi, to znaczy, że mają szanse. Zaproponuję jednak, aby każda z pań walczyła z dwoma, a nie jednocześnie dwie z czterema.

Pierwsza wyszła Jana. Gdy obydwaj mężczyźni stanęli na wprost niej, powiedziała do mężczyzny mówiącego na jej temat:

– Uważaj pan, bo swoich adoratorów bardzo zaskakuję.

Gwałtownie uniosła obydwa miecze do góry. Rycerze unieśli tarcze do parowania ciosów, jednak ona nie uderzyła z góry. Pochyliła się w pół, sztorcem głowni uderzyła brzuch stojącego z lewej, wciskając się jednocześnie pod tarczę amanta. Przylegając do niego ciałem, pocałowała go w usta. Gdy ręce mężczyzny opadły, walnęła go czołem w nos i odskoczyła na krok w tył. Stwierdzając, że żaden nie chce już jej atakować, powiedziała w kierunku króla:

– Bardzo szybko się rozpraszają. – Ukłoniła się i w odgłosach śmiechu odeszła.

Rycerzowi, który otrzymał cios w brzuch, trzeba było pomóc wrócić na miejsce, drugi zaczął krwawić z nosa. Jana podbiegła do niego, przykładając mu chusteczkę do twarzy.

– Weź tę chusteczkę na pamiątkę, ale wytrzymaj się pan, bo zachlapiesz ubranie i stół.

Gest ten był nagrodzony przez króla oklaskami, za moment klaskała większość biesiadników.

Do Zoli nachylił się Wilam. Szepnął jej do ucha, ona powiedziała coś do Karle, po czym zabrała głos:

– Łaskawy królu, przerwijmy te pojedynki, które niczemu nie służą. Szkoda zdrowia tych panów. Próbkę naszej siły zobaczyliście. Bronią dwa razy na tego samego przeciwnika nie machamy. Karle – wskazała koleżankę

– mogłaby pokazać na co ją stać. Bije dużo silniej, nawet drewnianą bronią można wyrzucić krzywdę...

– Przecież tą deską mnie nie zabije – przerwał jej rycerz szykujący się do pojedynku.

– Karle, pokaż panu, co potrafi twoje ostrze.

Dziewczyna przypięła swój pas z mieczami i podeszła do mężczyzny.

– Nastaw pan tę deskę przed sobą i trzymaj dwoma rękoma – mówiła z powagą na twarzy. – Utrzymasz ją, gdy uderzę swoim mieczem.

– Nie jesteś w stanie zbić mi broni, gdy trzymam ją oburącz.

Trudno było zauważyć, kiedy wyjęła broń. Stał błysnęła w powietrzu. Gdy ostrze chowała do pochwy, o ziemię uderzyła połowa drewnianej głowni. W ciszy usiadła na swoim miejscu. Po chwili król się odezwał:

– Różne rzeczy ludzie opowiadają, ale to trzeba zobaczyć. Pokazałyście panie swoją siłę. A pani mężczyźni, co sobą reprezentują, czemu pani ich oszczędza?

– Nie oszczędzam ich, ale cenię. Dla reszty towarzystwa nie byli oni przedstawieni. Ten przy mnie, to Wilam von Junkaler, był zaufanym rycerzem cesarza Niemiec. Jego monarcha wysłał go tu jako tłumacza z grupą Francuzów, która miała przygotować poprzednią krucjatę. Delegacja została rozbita, a on dwukrotnie odsprzedawany trafił do armii Muzaboka jako dowódca oddziału jazdy. Ten młodszy pan, to Tom – Ormianin. Jako niewolnik trafił do mameluków i walczył w ich szeregach ponad dziesięć lat. U mnie jest odpowiedzialny za funkcjonowanie miotających machin...

Franko zauważył oddalającą się szansę na otrzymanie zlecenia króla, a po to przyplął tu ze swoją chorągwią. Do tego namówiła go żona. Wiedzieli, że będą mieli konkurenta, ale nie poświęcał temu dużo uwagi. Żona to siostra królowej, a ta miała przekonać kanclerza, kogo król

powinien wybrać do obrony północno-wschodniego garnizonu. Żadna praca, wystarczyło wyznaczyć trzy pododdziały i ustawić je wzdłuż granicy. Nikt z tutejszych nie odważy się uderzyć na dobrze uzbrojonych rycerzy europejskich.

Teraz okazuje się, że konkurenci są lepsi od nich. Mają rozległe znajomości i bardziej mobilną armię. Liczył na popisy szermiercze, ale dziewczęta są sprawniejsze od jego ludzi. Zaświtał mu pomysł, aby udowodnić, że ta armia jest bandą, a z bandą nikt nie będzie podpisywał porozumień.

– Przepraszam, ale jestem ciekaw – przerwał wypowiedź Zoli – skąd taka młoda osoba zgromadziła taki majątek, by zebrać armię doświadczonych ludzi i, jak się dowiadujemy, tak bardzo dobrze wyposażoną.

– Ja ich nie zbierałam. Dobrowolnie do mnie przystali razem ze sprzętem i znacznym majątkiem. Uwierz, panie, nikogo nie namawiałam.

– Pani żartuje, na zorganizowanie armii trzeba mieć pieniądze. W Europie tylko hrabia może sobie pozwolić na własne oddziały.

– W naszym przypadku nikt nie gromadził żołnierzy – włączył się do rozmowy Wilam. – Nasza armia powstała z podziału dużego skupiska wojsk Muzaboka. On miał trzy armie i wszystkie sprzedał mamelukom za spore ilości złota. One – wskazał na dziewczęta – były w armii Azabaja, który sprzeciwił się knowaniom przywódcy. Doszło do bitwy. Był tam również tysięczny oddział Hamel Ahata, byłego pośrednika mameluków w transakcji sprzedaży armii. Zola opanowała tabory i znalazła złoto. Zaszantażowała Muzaboka, że zatopi skarb w bagnie, o ile on nie puści ich z życiem. W trakcie rozmowy pozwolił jej podejść bliżej siebie, a ona ścięła głowę jemu i jego zastępcy. Zaproponowała ludziom dobrowolne przyłączenie się do któregośkolwiek oddziału. Azabaj z półtora tysięczną armią wycofał się

w kierunku Kaukazu. Wszyscy, którzy go zdradzili i walczyli przeciw niemu przyłączyli się do mameluków. Przewaga Zoli polegała na tym, że zdobyła tabory, w których było złoto, żywność i sprzęt. Przyłączając się do niej, otrzymywałem wolność, nie martwiąc się o zaopatrzenie. Wielu pomyślało tak jak ja, tym bardziej że ona zażądała od mameluków uwolnienia wszystkich ludzi pochodzenia ormiańskiego. Hamel Ahat podarował jej pięciuset swoich bojowników. Pomimo to był zadowolony, ponieważ przyłączył do siebie czterotysięczną armię. Sam słyszałem, jak mówił do Zoli, że do złota pretensji nie ma i słusznie jej się należy.

– Dziwne rzeczy pan opowiada. Wojska tak sobie się rozeszły w zgodzie, bez bitwy – drążył temat Franko.

– Zola wypłaciła wszystkim żołd i zaopatrzyła w żywność na drogę – odpowiedział Wilam.

– Trudno w to uwierzyć – rycerz na potwierdzenie swych słów uderzył dłonią w stół.

Wilam zwrócił się do monarchy:

– Królu, byłem rycerzem cesarza Niemiec. Większość dworów europejskich zna moje nazwisko, jeszcze nie zdarzyło się, by ktoś zarzucał mi kłamstwo.

– Panie Franko, proszę przeprosić mego gościa!

Rycerz poczerwieniał na twarzy, ale pokornie schylił głowę.

– Przepraszam pana, to nadmierne emocje po pojedynkach z paniami. Pomimo wszystko dla mnie wiele rzeczy jest niejasnych. Pani Zolu, dlaczego nie poszliście z Azabajem na tereny Armenii? Jest pani Ormianką, tam był pani dom.

– Gdzie jest pana dom, czemu pan nie wraca do swego? – spytała poirytowana Zola.

– Przepraszam, pani Zolu – odezwał się król – ale ja również jestem zainteresowany odpowiedzią na to pytanie.

Zola rozejrzała się po zgromadzonych. Łzy napłynęły jej do oczu. Delikatnie wytarła kąciaki powiek.

– Panu – zwróciła się do Franka – bardzo zależy na służbie u króla. Jest to dziwne, bo jest pan Francuzem i powinien pan służyć swojemu królowi, który potrzebuje od pana pomocy. Nie wiem, dlaczego pana decyzja jest taka, ale nie będę panu zadawała krępujących pytań, jak pan mnie. Chcę powiedzieć, że przyszliśmy tu na zaproszenie pana Marka. Nie musimy tu zostawać, możemy iść do Bizancjum, tamta armia przyjmie nas bez zbędnych pytań... Powiem prawdę... – zawiesiła głos, zbierając się na odwagę. – Jestem z Orby, to pierwsza miejscowość, którą zawojował CzynGis-chan w Armenii. Armia Muzaboka spaliła miasto, a wszystkich żywych wzięła w jasyr. Dorosłych i chłopców sprzedali. Nas, czterdzieści pięć dziewcząt zaczęli szkolić na bojowniczeki, uczyli, jak zabijać ludzi. Miałam siedem lat, gdy pierwszy raz wyprowadzili nas na pobojewisko i kazali dobijać rannych. To byli Ormianie... Nie wrócę na tamte tereny, wstydzę się. Jakbym popatrzyła na tamte wioski i miasta, dostałabym chyba obłędu. Nie chcę jednak walczyć po stronie islamu, dlatego jak mnie nie przyjmiesz, królu, pójdę do Bizancjum. Mnie obojętne czy to kościół wschodni, czy zachodni.

Zapadła cisza, jakby oczekiwali na dalsze jej słowa, ale ona już się nie odezwała. Otarła chusteczką oczy i popiła wino. Po krótkiej przerwie głos zabrał król:

– Wiele nieprawości zalewa ziemię świętą. W tym natłoku spraw ciężko odróżnić dobro od zła. Wyprawy krzyżowe przyjeżdżają tu z twardo postawionym celem, a potem z trudnościami walczą o byt. Wszyscy się dzielą zamiast łączyć. Katolicy na wybrzeżu zakładają pełno małych

państwerek i walczą o przetrwanie. Nie tylko oni, przykładem jest armia pani Zoli. Zrodziła się z zawieruchy wojennej, a teraz nie ma gdzie się podziać. Żeby te wszystkie drobne organizacje chciały się zjednoczyć, stanowiłyby siłę, jednak każdy walczy o własne wpływy. Jak patrzę na wasze dwie grupy, to rozumiem trudności, które zagrażają porozumieniom. Ludzie powinni się jednać od samego początku, wtedy tworzyliby rodzinę. W rodzinach też są rozłamy i kłótnie, pomimo to ludzie związani z nią są jednością. Wielmożny panie Franko, gdyby porozmawiał pan z tą miłą dziewczyną wczoraj, nie byłoby jej na tej kolacji. Jak pan słyszał, poszłaby do Bizancjum. Pan Mark również był pozbawiony informacji o was. Uważał pan, że wystarczy pokazać się z grupą rycerstwa i wszyscy inni będą gorsi. Pomylił się pan. Jednak to, co chciał pan zrobić przed chwilą, było dużo gorsze. Zapewniam pana, nie rozmawiałbym z panią Zolą, gdybym nie sprawdził dziejów jej armii. Dzisiaj nie podejmę decyzji, kogo wybiorę. Jutro po śniadaniu spodziewam się waszych listów, w których wyrazicie swoje oczekiwania dotyczące wynagrodzenia za służbę. Na wspólnym obiedzie zaznajomię was ze swoją decyzją.

Decyzja była wielką niewiadomą. Co prawda król zdradzał sympatię do armii Zoli, ale konkurent reprezentował sobą wpływy na dworze i w wypadku powodzenia krucjaty Ludwika IX, stosunki z silnym państwem europejskim. Wybór króla może zależeć od ceny, którą zaproponują, ale nie jest to argument ostateczny. Inne czynniki były również bardzo istotne. Zola postanowiła przespać się z problemem. Zapowiedziała, że swoje żądania omówi przy śniadaniu, w którym miał uczestniczyć Mark.

Zanim rano zeszli na posiłek, Mark już siedział przy zastawionym stole.

– Gdybyście wygrali ten przetarg, to by ustawiło mnie wysoko na dworze – powiedział. – W Edessie spadliście mi z nieba. Jako pierwszy

zgłosiłem się u króla, mogąc zaproponować mu armię. Wtedy jeszcze nie byłem pewny, że się zgodzicie. Kilka dni temu czułem sukces i teraz nie umiem oderwać się od marzeń. Chciałbym, żebyście przyjęli tę służbę, jednak nie będę na was naciskał. Ludzie szanują mnie jako uzdrowiciela, mam za co się utrzymać. Miesiąc temu marzyłem o założeniu szpitala w Anazarbie. Sam nie wiem, czego chcę.

Zola uśmiechnęła się. Rozbawił ją. Nigdy niedane jej było przeżywać takich rozterek. Była bojowniczką, codziennie ryzykowała życiem. Owszem, liczyła na uznanie, ale wiązało się to z dożyciem kolejnego dnia, a nie awansem na przyszłość. Pomimo to, wywalczyła awans. Jest przywódcą armii, mówiąc językiem tureckim, zrobiła z siebie emira.

Postanowiła teraz nie odpuścić, ale nie będzie walczyła za wszelką cenę. Nie żąda dużo, chce zapewnić wojsku godne życie. Żaden z jej żołnierzy nie będzie niewolnikiem, służba powinna być wynagradzana.

– Moim zdaniem powinienesz założyć ten szpital – powiedziała do Marka. – Gdy staniesz się dworzaninem, stracisz wolność. Będziesz musiał wykonywać zalecenia króla i podporządkowywać się urzędnikom kanclerza. To tylko z boku wygląda dobrze, w rzeczywistości jest bardzo niewygodne. W szpitalu będziesz panem, tobie będzie podporządkowany personel. Będziesz miał satysfakcję, że lecznica funkcjonuje.

– Aby założyć szpital, należy mieć pieniądze, a król tłumaczy się brakami w kasie.

– Potem o tym porozmawiamy. Na razie powiedz, czego możemy zażądać od króla i wyjaw przypuszczenia, na co liczą rycerze.

– Czego żądają rycerze, to najlepiej spytać twego dowódcę armii.

– Ja od cesarza dostałem ziemię, pięć wsi, za to musiałem stawiać się na każde żądanie – wyjaśnił Wilam.

– Ich chorągiew to osiemset ludzi, nie wyglądają na skorych zarządzać majątkami – wtrącił Tom.

– Myślę, że zażądają złota, ale ograniczą swoje dochody do minimum – dopowiedział Wilam.

– Czego w takim razie powinniśmy zażądać? – spytała Zola.

– Załadaj ziemi, co najmniej dziesięciu wsi i zwolnienia z podatków – kontynuował Wilam. – To pozwoli wyżywić armię. Dysponując takim terenem, wypracujemy dodatkowe zyski na żołąd. W czasie wypraw wojennych, żołąd i zaopatrzenie powinien zapewnić monarcha.

– Podoba mi się – stwierdziła Zola. – Tak właśnie napiszmy. Jak się zgodzą, to dobrze, jak nie, to idziemy dalej. Mark, o ile zostanę, to postaram się, by twój szpital zaistniał.

Mężczyzna nie odpowiedział, ale widać było jego zadowolenie.

Przy obiedzie stoły były zastawione podobnie jak przy poprzedniej biesiadzie. Zola zrezygnowała ze swojej sukni, przyszła w stroju mandżurskim. Biały jedwab, przylegając do ciała, uwidaczniał silne barki i ramiona, jednocześnie podkreślał jej smukłą sylwetkę. Zrezygnowała z kolii i bransolety, tylko diadem przytrzymał jej rozpuszczone włosy. Zajmując miejsce czuła się swobodnie, czym przykuła uwagę króla.

– Widzę, pani, że jesteś pewna swego sukcesu – powiedział.

– Nie przyszłam tu, królu, po sukces. Zaoferowałam tobie służbę, ty ofertę możesz przyjąć lub nie. Nie przeczę, że chciałabym tu służyć, bo tu jest język i wiara mego dzieciństwa.

– Jesteś młoda, a umiesz jasno wyrażać swoje myśli. Żeby nie to, że w swoich oddziałach zatrudniasz Saracenów i Turków, przyjąłbym ciebie na obywatelkę. Zyskałbym mądrego poddanego, od którego mógłbym wiele wymagać. Zorientowałem się w twoim zarządzaniu. Tych wszystkich ludzi

skupiłaś bo wyzwoliłaś ich z jarzma niewolnictwa. Jeżeli odejdiesz, oni również się rozejdą, a mnie potrzebna jest twoja armia. Zatrudniam ciebie do obrony ziem wschodnich na warunkach, jakie podałaś w liście. Tam przede wszystkim zagrażają Turcy Seldżuków. Na północy natomiast rozrasta się sułtanat konijski. Nie walczymy z tamtą armią, ale ich Turcy często rabują nasze wsie. Tym odcinkiem zaopiekuje się chorągiew pana Franko, pod warunkiem że się skoszarują w obozach, który sami sobie wystawią. Nie zezwalam na zamieszkiwanie całych oddziałów w osadach lub miastach.

– To znaczy, że nas również król zatrudnia? – Franko wyraził swoje niedowierzanie.

– Przedstawiliście dosyć znośne warunki. Według opinii mego kanclerza będę w stanie was utrzymać. Armia pani Zoli utrzyma się sama. Przydzielę im trzy doliny w górach, gdzie założą swój emirat i nie muszą sięgać do szkatuły. Mam tylko prośbę do pana Wilama. Jako dowódca armii mógłby pełnić funkcję dowódcy garnizonu. Słyszałem, pani Zolu, o waszym domu w Anazarbie, więc spełnione byłyby wszystkie warunki, by zaistniała tam siedziba garnizonu. Naturalnie pod dowódcę garnizonu należałby cały wojskowy porządek w regionie. Miałby również możliwość ogłaszania mobilizacji. To wpłynie na służbę pana Franko, który terytorialnie podlegałby pod pana Wilama.

– My też moglibyśmy pełnić ten urząd – włączył się Franko.

– Oni mają lokal, gdzie mogą utworzyć biuro. Pan Wilam jest rycerzem, nie umniejszy to waszej pozycji, kiedy będziecie się z nim kontaktować.

Zola poczuła dumę, a półgłosem wymamrotała:

– Bóg nad nami czuwa.

Król musiał dosłyszeć jej słowa, bo powiedział.

– Rzeczywiście, Bóg nad tobą czuwał. Zaszłaś nad wyraz wysoko. Od początku miałaś wiele szczęścia. Poznałem Azabaja, to ja mu pozwoliłem na ostatni werbunek na terenach byłej Armenii. To powód, dla którego przeciwstawił się Muzabokowi. Siostrę Azabaja zabiła armia Kazachów, co wpłynęło na jego decyzję wstąpienie do wojsk chana, ale również odbiło się na waszym losie, dbał o was jak o siostry. Oprócz starannego wykształcenia, zrobił z was zabójczynie nie do pokonania. Na koniec pozwolił tobie odejść z armią. Bóg ci pomógł, musiałaś modlić się do jego miłosierdzia.

– Nie odważyłam się prosić Boga o cokolwiek. Przed każdą bitwą recytowałam dziesięć przykazań, to pozwalało mi nie zatrać się w boju.

– Ale zabijać potrafiłaś i to w taki sposób, że zaskakiwałaś swoich wrogów.

– Zabijać uczyli mnie od dziecka...

Teren emiratu był dla nich bardzo dogodny. Dowiedzieli się, że w czasie ich nieobecności, u ziemianina Krystena zjawił się wysłannik króla. Rozpytywał o armię Zoli i stosunek jego gospodarstwa do ich bytności. Wyrażano się o niej bardzo pochlebnie, to zdecydowało, że jego ziemie i sąsiednie doliny będą stanowiły lenno emiratu. Trzynaście wsi to godne zabezpieczenie utrzymania armii. Ponadto Wilam za prowadzenie biura dowódcy garnizonu otrzymywał stałe wynagrodzenie. Zola korzystając z funkcji swego dowódcy do lokalu w Anazarbie, przeprowadziła biuro armii. Na stałe zamieszkał tam Dzonchin z trzema swoimi pomocnikami i pięcioma dziewczętami. Stał się szefem komendanta garnizonu. Obsługa, którą zgromadził, pozwoliła mu utrzymać stałe kontakty w terenie.

Zola potrzebowała trzech dni, by z zapoznać się właścicielami gospodarstw. Krysten posiadał pięć wsi. W sąsiednich dolinach gospodarowali Pasembot i Listen, którzy posiadali po cztery wsie. Nie

wyznaczyła im haracz dla siebie, zaproponowała natomiast wspólne gospodarowanie. Właściciele nie chcieli na to przystać, ale ich przekonała.

– Nie straciecie na tym – tłumaczyła. – Moi ludzie pomogą, a nawet będą mogli wnieść coś do gospodarstwa, na przykład zdobyczne konie lub mój sklep w Anazarbie. Zdobędziecie źródło dodatkowych zysków. To powinno się wam i mnie opłacać.

– A jaki będzie podział tego zysku?

– Trzeba to rozważyć, nie powinniście zarabiać mniej niż do tej pory. Jakbym was opodatkowała stałą kwotą, to być może bylibyście stratni. O ile będziemy gospodarzyć razem, to będę się starała, aby zyski były większe, wtedy i ja więcej zarobię. Porozumienie spisano na ogólnej biesiadzie. Wszystkich satysfakcjonowało, chociaż właściciele rozchodzili się niepewni swojej przyszłości.

Dwa miesiące byli pochłonięci budową obozów dla wojska. Zbliżał się okres zimy, która zawsze była wielką niewiadomą. Rzadko występowały tu mrozy, ale zimne wiatry potrafiły być bardzo dokuczliwe. Budowano trzy osiedla i szałas na pastwiskach.

W majątku Listena zmarł gospodarz. Nie miał dziedziców, budynek został pusty. Zaoferował Zoli, by przyjęła go na mieszkanie. Odmówiła, tłumacząc się, że powinna mieszkać z koleżankami, natomiast Wilam nie odmówił. Spodobał mu się dom. Stwierdził, że w podobnym mieszkał w Niemczech. Zola nie miała nic przeciw temu, ale kazała za posiadłość zapłacić.

Gdy zaczynały się suche miesiące jesieni, Wilam wysłał ludzi na równiny z poleceniem zakupu dodatkowego stada owiec. Wszyscy uważali, że w głębokich dolinach zwierzęta przeżyją zimę, a wiosną będą warte dwa razy tyle. Tego zadania podjęli się Turcy. Przed ich wyruszeniem ostrzegł, aby nic nie rabowali i na wszystkie owce mieli pokwitowania.

Po dwóch tygodniach przyprowadzili dwa tysiące. Nikt nie był przygotowany na taką liczbę zwierząt. Nie mieli zapasów siana. Długo zastanawiali się, jak rozparcelować stado na pastwiskach, aby zapewnić im przeżycie zimy.

Znajdowali się daleko na południe, tu klimat był znacznie łagodniejszy niż w górach podkaukaskich. W okolicach masywu Ararat i na wyżynie armeńskiej wschodnie wiatry zimowe przynosiły duże ochłodzenie. Tutaj nawet w zimie owce i kozy znalazły zawsze coś do jedzenia, a w osłoniętych kotlinach trawa potrafiła być nawet bujna. To pozwalało na rozwijanie hodowli. W całej armii na rolnictwie znał się tylko Wilam i kilku Turków, dlatego Zola podejmując jakiegokolwiek decyzje gospodarcze, opierała się na ich opiniach. Jedno potrafiła na pewno, nie dopuszczać do kłótni z właścicielami ziemskimi. Ludzie ją lubili i tym wygrywała wszelkie spory.

1250 rok

Zima to okres, gdy dzikie ordy gnębiły odosobnione osiedla i wsie. Ich służba polegała na obronie tych osad, a więc wszystkie przygotowania musiały iść w tym kierunku. Wytypowano cztery oddziały pięćdziesięcioosobowe do pełnienia służby na granicy. Z wojskiem tym wysłała Toma i Samuela, którzy mieli rozmieścić w terenie poszczególne zastępy i ustalić sygnały z ludnością wzywającą pomocy. Wszystkich dowódców wyposażono w glejty z pieczęcią komendanta garnizonu.

Miasto Hromkla leżało poza granicami Małej Armenii, ale zachowywało bliskie stosunki z tym państwem. Gród ten znajdował się przy drodze prowadzącej na północny wschód. O ile zachodziłoby zagrożenie z tej strony, to przez nich mogli być najszybciej powiadomieni. Miasto utrzymywało kontakty z oddaloną Edessą, dzięki czemu informacje o ruchach obcych wojsk uzyskiwali dużo wcześniej. To skłoniło Wilama i Zolę do złożenia im wizyty.

W podróż wybrali się w towarzystwie dwudziestu dwóch dziewcząt, stanowiących ich ochronę. Tę drogę przemierzali tylko raz, szukając schronienia dla swojej armii. Teraz na trasę patrzyli inaczej, ponieważ byli wyposażeni w mapy poprzedniego komendanta garnizonu. Wyczytali z nich, że niedaleko miejsca, gdzie mieli potyczkę z oddziałem Dzarhita, były dwie wsie. Teren znajdował się w granicach Cylicji. Pierwsza wieś leżała niedaleko głównego traktu. Tak jak się spodziewali, nie było w niej ludzi. Domyślali się gdzie są, bo na dość równym terenie zobaczyli niewielki zagajnik. Przejechali wieś kilkakrotnie, nawołując osobę, którą mieszkańcy zostawili do pilnowania dobytku. Po pewnym czasie wyszedł staruszek. Od razu zaczął krzyczeć:

– Możecie mnie zabić i tak nie powiem, gdzie oni są!

Zola zeszła z konia i podeszła do mężczyzny.

– Jesteś kobietą? – zapytał lękliwie.

– Co w tym nadzwyczajnego? – spytała.

– Turcy, którzy nas obrabowali latem mówili, że rozbiły ich wojska, którymi dowodziła kobieta.

– Prawdopodobnie mówili o mnie, ale teraz mam was objąć ochroną...

– Pani, nic nie mamy, co byśmy mogli ci dać – mówił płaczliwym głosem. – Tamci w lato zabrali niemal wszystko. Nie wszyscy przeżyją tę zimę.

– Nie przyjechaliśmy od was brać. Jesteśmy na służbie króla Cylicji. Przyjechaliśmy ustalić, co robić, by Turcy już was nie rabowali. Kto tu jest właścicielem?

– My wolni, nie mamy właściciela. Mój syn dowodzi wsią, ale go nie zawołam.

Zola przywołała Wilama.

– Masz jeszcze glejty komendanta, to daj jeden temu człowiekowi. Przeczyta go z synem, będzie wiedział, co my za jedni. – Ponownie zwróciła się do staruszka: – Nic od was nie chcemy, zajedziemy tu w powrotnej drodze, to porozmawiamy.

– Gdzie jedziecie pani? – spytał.

– Do Hromkli, chcemy tam omówić kilka spraw.

– Pani, oni chcą od nas podatku. My nie możemy płacić królowi i im.

– Czemu chcą od was pobierać podatek?

– Mówią, że nas chronią i muszą mieć jakiś datek z tego tytułu, ale latem nas nie ochronili.

Sytuacja i rozmowa w drugiej wsi była podobna do poprzedniej. Tu był właściciel ziemski, ale problemy takie same. Wiedzieli już, o czym w szczególności mają porozmawiać z władzami miasta. Na głównym trakcie

zrobili postój. Na mapach zorientowali się, że w okolicy Hromkli są jeszcze trzy wsie. Do jednej postanowili zajechać teraz, a wracając odwiedzić pozostałe. Przodem wysłali dwie dziewczyny, by zapowiedziały ich przyjazd. Całą obstawę zostawili przed wsią, między zabudowania wjechali tylko Zola i Wilam. Na powitanie wyszedł im właściciel ziemski. Okazało się, że dwie pozostałe wsie znajdujące się po drugiej stronie traktu, również są jego. Zaprosił ich na poczęstunek do swego domu. Wilam się wzbraniał, ale Zola przekonała go.

– Do miasta mamy jeszcze z trzy godziny drogi, zbliża się wieczór. Porozmawiamy spokojnie z tym panem, może i nocleg się dla nas znajdzie.

Gospodarz zaproponował dziewczętom nocleg w stodole, a dla nich gościnny pokój. Byli zadowoleni. Zola sięgnęła po monetę, aby zapewnić dziewczętom ciepły posiłek na kolację. Mężczyzna odmówił przyjęcia pieniędzy.

– Pani, jeżeli macie stanowić naszą obronę, to nie możecie od nas kupować jedzenia. Władze z Hromkli też zapewniają nam bezpieczeństwo, ale każą sobie płacić złotem. Ten rok był dla nas dobry, przyniósł spore zyski i nie było napaści. Obok przechodziła tylko jedna wielka armia, ale ci z miasta dali nam znać, więc zdążyliśmy wszystko pochować. Nie było to jednak potrzebne, ponieważ oni poszli dalej, nie zatrzymując się przy nas. Mieli olbrzymie tabory i wlekli jakieś maszyny.

– Prawdopodobnie była to nasza armia – wyjaśniła Zola.

– Chyba nie pani, bo armia, która wtedy szła, następnego dnia miała bitwę z Turkami. Wielu padło, został tam olbrzymi grób z martwymi. Myśmy na tym zarobili. Przybiegła do nas prawie setka koni, to spory zysk.

– To rzeczywiście nie mam wam za co płacić. Myśmy stoczyli tę bitwę.

Mężczyzna był zaskoczony. Jego rozbiegane oczy obserwowały rozmówców, jakby spodziewał się kary. Za moment zaczął mówić błagalnym głosem:

– Prawo mówi o bezpańskich koniach na terenie posiadłości. One tu przyszły. Myśmy wzięli ze swojego terenu. To były siodła Turków.

– Na pewno tak było, jak pan mówi, bo myśmy swoich koni nie stracili – uśmiechnęła się do niego. – Zarobiliście dzięki nam, więc nie będę miała wyrzutów sumienia, jak poczęstujecie nas kolacją.

Dla dziewcząt specjalnie przyrządzono gulasz. Zola z Wilamem zasiadła do suto zastawionego stołu. Mężczyzna nazywał się Warin i był kuzynem Listena, właściciela jednej z dolin, w której zasiedlili się z armią. Informacja ta bardzo ułatwiła ustalenie systemu kontaktów z wojskiem.

Przy wyjeździe otrzymali prowiant na drogę, a Warin przy pożegnaniu nie ukrywał sympatii do Zoli. Na pożegnanie powiedział:

– Jesteś, pani, młoda, ale ważna i mądra. To bardzo rzadko się zdarza.

Do miasta dotarli długo przed południem. Podjechali pod pałac władzy, tak tutejsi nazywali budynek, w którym obradowała rada miasta. Poprzednio należeli do enklawy krzyżowców, potem rościł do nich pretensję sułtan z północy. W tej chwili prawa do nich rościł król Cylicji. Miasto jednak nie uznało żadnej przynależności, ale cierpieli od wszystkich. W ostatnich czasach najwięcej niepokoju sprawiały im ordy Turków Seldżuckich.

W pałacu zaanonsowali się, prosząc, by ich delegacja była przyjęta przez władze miasta. Służący wrócił, informując, żeby wrócili po południu, wtedy dowiedzą się, kiedy będą mogli być przyjęci.

Wiedzieli już, że muszą poszukać noclegu. Było ich dwadzieścia cztery osoby, żadna karczma nie miała tylu miejsc. Po dłuższym czasie znaleźli

dziewczętom miejsce w stodole, a sobie dwa pokoje. Po południowym posiłku Karle i Jana dostały od Zoli po trzy monety, by mogły się zabawić. Ona z Wilamem wrócili do ratusza. W holu spotkali tego samego służącego.

– Jeszcze nie wiadomo, kiedy władze będą mogły was przyjąć. Przyjdźcie jutro – zakomunikował i zasugerował im wyjście.

– Gdzie wasza kancelaria? – spytał Wilam.

Mężczyzna wskazał drzwi, ale zaraz dopowiedział:

– Tam jest tylko jeden pisarz. Sekretarz poszedł już do domu.

Nie zwracając uwagi na protesty, weszli do pomieszczenia. Rzeczywiście była tylko jedna osoba przepisująca kopie. Wilam poprosił o arkusz papieru i rysik, skreślił kilka słów:

Mamy za mało czasu, by dłużej czekać. Skoro nie możemy się domówić, to jestem zmuszony zamknąć na okres zimy drogę prowadzącą na tereny Cylicji.

Zatytułował się: „Komendant garnizonu” i użył swojej pieczęci.

Pismo przekazali służącemu i wrócili do karczmy. W gospodzie, dziewczęta w skąpych strojach, na podwyższeniu składającym się z dwóch złączonych stołów, popisywały się swoimi tańcami. Duża grupa mężczyzn klaskała im do rytmu, na stół sypały się monety. Gdy wchodzili do sali, podeszła do nich Karle i oddała sześć monet, mówiąc:

– Masz, szkoda twoich pieniędzy, one zarobią więcej.

Wilam uśmiechnął się.

– Usiadźmy, też z chęcią popatrzę.

– Kiedyś pochwycono oddział przewożący tancerki z Persji. Miałam trzynaście lat. Utworzyli z nas oddział ochrony Azabaja. Dowodziła nami

Jerba, była najstarsza. Miała tyle lat, co ja teraz, może trochę starsza, ale umiała rozmawiać z wodzem. Poprosiła o te tancerki. Były z nami dłużej niż pół roku. Pod koniec ich bytności robiliśmy zawody, kto lepiej wykona jakiś taniec. Było fajnie, chłopcy składali się, byśmy mogły im wieczorem zatańczyć. Potem tancerki sprzedali, chyba dla ikonijskiego sułtana. Nam przydzielili chińskich nauczycieli. Były dwie kobiety i mężczyzna. Nauczyli nas walki krzywymi mieczami, łukiem i wręcz. Dwa lata męczyli nas swoimi naukami. Po tym okresie nazwali nas zabójczyniami.

– Jesteście wszechstronnie wykształcone. W Europie każdy możnowładca chciałby mieć taką żonę.

– Nie wiem, czy którakolwiek z nas nadaje się na żonę.

Zamówili butelkę wina. Przy rozmowie i oglądaniu tańców czas upływał przyjemnie. Nie zauważyli, kiedy karczmarz doprowadził do nich młodego mężczyznę. Wskazując ich ręką, powiedział.

– Ci państwo są przedstawicielami Cylicji.

Spojrzeli zaskoczeni na przybysza, on również był speszony.

– Wybaczcie państwo – mówił łagodnym głosem – przekazali nam, że jakaś para chce się z nami spotkać, a tu widzę dojrzałego mężczyznę i młodziutką niewiastę. Nie tak sobie państwa wyobrażałem.

– Jestem Wilam von Junkaler, król Hetum wyznaczył mnie komendantem garnizonu Anazarby, jednocześnie dowodzę armią, ta pani to mój emir.

– Nie wiem, jak się do państwa zwracać, ale teraz nasi zarządcy mogliby z państwem porozmawiać. Mam was zaprowadzić do pałacu.

– Pan wybaczy – powiedział do mężczyzny Wilam – ale właśnie mieliśmy zamiar zjeść kolację, możemy wyjść za godzinę. Jutro rano wyruszamy w powrotną drogę, a jeszcze zakupów nie zrobiliśmy. Do pałacu drogę znamy, trafimy. Powie pan zarządcom, że zjawimy się za godzinę. –

Odwrócił się do karczmarza i powiedział: – śpieszymy się, proszę przynieść coś treściwego. Dziewczęta też pan nakarmi, noc się zbliża, niektóre pójdą z nami.

- Czy może być pieczeń wołowa z kaszą?
- O ile będzie szybko podane, to jak najbardziej.

Mężczyzna, który z nimi rozmawiał, ruszył zirytowany do wyjścia. Karczmarz ciągle stał przy stoliku, jakby oczekiwał aż tamten się oddali.

– Czy te dziewczęta mogłyby potańczyć jeszcze jutro? Ściągają bardzo dużo gości. Miałyby kolację za darmo.

- Przykro mi, jutro wyjeżdżamy.

W pałacu oczekiwało ich trzech mężczyzn. Karle i Jana wyposażone w torby sekretarza, miały zrobić notatki ze spotkania. Gdy zasiedli przy konferencyjnym stole, głos zabrał najstarszy z gospodarzy. Miał na sobie drogi strój na modłę wenecką.

– Wybaczcie państwo, że zwlekaliśmy z przyjęciem was, ale jesteśmy ludźmi zajętymi – zaczął przymilnie mężczyzna.

– Byliśmy tu dwa razy, a przed pokojem przyjąć nikogo nie zauważyliśmy. Nikt nawet nie zapytał, w jakiej sprawie przybyliśmy – odpowiedział Wilam.

– Tak się złożyło, że człowiek, który miał przyjmować petentów zachorował, my mieliśmy inne zadania.

– Szkoda, bo straciliśmy wiele czasu. Rano szykujemy się do drogi powrotnej. Wiemy jedno, wolnym ordom Seldżuków brakuje już zaopatrzenia. Ich armia szykuje się do wojny. Nie chcę wspominać o zastępach wielkiego chana, który dosyć ma ich samowoli. Przyjechaliśmy, by zawrzeć z wami układ obronny, ale widać czujecie się pewni, skoro nawet od naszych wsi ściągacie haracz za obronę.

- Skoro wy ich nie bronicie, ktoś musi ich bronić.

Wilam nabrał dużo powietrza, chcąc opowiedzieć ostrym tonem, lecz Zola go powstrzymała.

– Wybaczcie panowie – zaczęła łagodnie. – Minionego roku pobraliście haracz od wsi, ale ich nie broniliście. Co prawda powiadomiliście pana Warima o przejściu naszej armii, ale nic mu nie zapewniliście, tak jak dalszym dwóm wsiom, które były złupione przez Turków.

– Nie wiadomo, kto ich złupił.

– My wiemy i możemy nawet podać imię dowódcy, który nimi dowodził. To my walczyliśmy z tymi Turkami, a teraz jesteśmy na służbie króla Cylicji.

– Pani jest za młoda, by nam coś kazać! – odezwał się drugi mężczyzna z grona gospodarzy.

– Ma pan rację, jestem młoda, jednak jestem emirem. Mężczyzna, który obok mnie siedzi, jest starszy od pana, ale wykonuje moje polecenia. Przyjechaliśmy tu z własnej woli, by porozmawiać o wzajemnej pomocy i powiadamianiu o różnego rodzaju zagrożeniach. Widzę jednak, że jesteście samodzielni, nie chcecie pomocy. W takim razie nie musimy dalej rozmawiać. Nie pozwalamy ściągać haraczu od naszych wsi. Zamykamy granicę do Cylicji. Wystawiamy warty i oddziały siedem mil od was. Przepuszczeni będą tylko ci, których cel podróży będzie wiadomy.

– Pani nie może tego zrobić. Myśli pani, że te kilka tancerek obroni panią, gdy zechcemy panią tu zatrzymać – powiedział poprzedni rozmówca.

Zola zwróciła się do Karle.

– Zanotowałyście, co ten pan powiedział. Idziemy! Ta rozmowa nie ma sensu.

W karczmie uświadomili sobie jednak groźbę sytuacji.

Napad na nich był możliwy, dlatego starali się jak najszybciej wyjechać. Rano poruszali się dwiema dużymi grupami. Zakupili dwa wozy, trochę dobytku i owiec. Po załadunku niezwłocznie ruszyli w powrotną drogę. Po godzinie zamajaczył przed nimi oddział jazdy, byli w zbrojach Turków.

– Turcy jadący z tego kierunku? To nie są Seldżukidzi. Może uda się z nimi dogadać? – zapytał zaniepokojony Wilam.

– Myślę, że nie najechali wsi Warina. Trzeba to sprawdzić. Będzie trudno, jest ich co najmniej sześćdziesięciu – stwierdziła Zola.

– Może uciekać?

– Oni tylko na to czekają, mają wyższe konie. To nie mongolskie konie, to wierzchowce jazdy europejskiej. Zaraz sprawdzimy czy to Turcy. – Odwróciła się do dziewczyn. – Karle i Jana ustawcie kolumnę piątkową, a wy obydwie bliżej mnie.

Odległość między oddziałami wyraźnie się zmniejszyła. Dziewczęta w kolumnie piątkowej przegrodziły całą drogę. Oddział z naprzeciwnika ustawił klin.

– Miałaś rację, to nie Turcy – zauważył Wilam. – To może być straż z miasta. Nie chcą byśmy z naszymi informacjami dotarli do króla. Mieli stały dochód z okolicznych wsi, a my chcieliśmy im to zabrać. Liczebnie przewyższają nas trzykrotnie, trzeba uciekać...

– Chyba pan żartuje – włączyła się Karle. – Jak rzucimy się do ucieczki, to nas dogonią i rozsiekają. Płaski teren, nie ma gdzie się ukryć...

– Oni zaraz uderzą – przerwała im Zola. – Stworzycie szereg i półksiężycem otoczycie ich z prawej strony, tam równiejszy teren. Zejdźcie z siodła, wtedy uderzą na was ławą. Wierzchowce nie mają ochraniaczy, strzelajcie w konie. Jak połowa będzie na ziemi, reszta też ruszy pieszo.

– Słyszałem o waszych wyczynach, ale ich jest trzy razy tyle – Wilam był zaniepokojony.

– Za dużo narzekasz – fuknęła Zola. – O dziewczyny się nie martw. My dwoje musimy zostać na drodze i odwrócić wozy, by nie poranili naszych koni.

Wozy ustawili na obydwu brzegach drogi. Sami stanęli między nimi. Gdy Zola sięgnęła po łuk, dziewczęta już jechały wielkim szeregiem w bok. Wilam przypiął tarczę i wyjął swój długi miecz.

– Weź raczej włócznię – Zola wskazała burtę wozu, gdzie przypięli pęczek świeżo zakupionej broni.

– Miecz będzie lepszy. Jak nadjadą, schowamy się pod wozy i pierwszym koniom podetniemy golenie, przynajmniej kilku wywróci się przez nich.

– Ja wywrócę pierwszego, gdy będzie jeszcze daleko od nas. Potem sięgnę po miecze.

Dziewczęta były już na błoniach, objeżdżając nieprzyjaciela. Gdy ustawiły półksiężyc, zeskakiwały na ziemię, stając między końmi. Wróg całą kolumnę skierował na nie, ale czoło klina, stanowiące ośmiu jeźdźców, parło wprost na wozy, gdzie stała Zola z Wilamem. Ona razem z łukiem trzymała pęczek strzał. Wypuściła trzy, zanim padł pierwszy koń, przewrócił następnego. Pozostałych sześciu wojowników ciągle jechało na nich, szykując swoje miecze do ciosów. W ostatniej chwili wskoczyli pod wozy, podcinając koniom nogi. Rozpędzone wierzchowce wywracały się jeden przez drugiego. Jednemu udało się zatrzymać w siodle, ale dziewczyna z tyłu wozu cięła jego nieosłonięte kolano. Jeździec zawył z bólu. Drugi miecz bojowniczką wbił mu się pod pachę. Zdolnych do walki zostało pięciu pieszych przeciwników. Wilam przyjął na siebie dwóch. Zola

szybko uporała się z pozostałą trójką. Nie chowając mieczy, oparła się o burtę wozu, przyglądając się walce przyjaciela.

– Może byś pomogła! – krzyknął zziębnięty.

Nie odpowiedziała, patrzyła jak sprawnie operował tarczą i mieczem, który był za długi do walki między wozami. Przerwać walkę postanowiła dopiero po chwili.

– Wojacy! – krzyknęła. – Jak chcecie żyć, to rzućcie miecze!

Dwóch mężczyzn odskoczyło od dyszącego Wilama. Rozejrzeli się wokół. Ktoś przywalony koniem poruszył się. Zola bez zastanowienia wbiła mu ostrze w oko. Wystraszeni wypuścili miecze. Wyjęła dwa rzemienie i powiązała im ręce za plecami. Dalej od wozów kazała im położyć się na brzuchu.

Przyglądali się walczącym dziewczętom, które powoli zyskiwały przewagę. Walczyły wszystkie, choć przeciwnika wyraźnie ubyło. Utrzymywały równy szyk półksiężyca, stojąc między własnymi końmi, które osłaniały im boki. Przed ich frontem leżał wał martwych lub rannych koni i przeciwników. W pewnym momencie dwóch jeźdźców próbowało rozpędem wcisnąć się między obrończynie. Bojowniczkę salwowały się, chowając pod własne rumaki. Jeden z wierzchowców wywrócił się z podciętym gardłem. Jeździec został dobity i dziewczyna pokazała się z przodu szyku. Drugi przejechał na drugą stronę linii półksiężyca z odciętą nogą. Pomimo to, wykręcił konia, jednak silny wpływ krwi nie pozwolił mu uderzyć. Wywrócił się bezwładnie na dziewczynę. Ona uskoczyła, ale koniec jego miecza zaczepił za ochraniacz jej ramienia. Uderzenie było silne i uszkodziło bark. Lewy miecz wypadł jej z ręki.

Zola wskoczyła na stojącego obok konia.

– Pilnuj wozów! – krzyknęła.

Pogalopowała w kierunku rannej dziewczyny. W ostatniej chwili uzupełniła lukę w obronie. Dziewczyna na jej koniu wróciła do Wilama. Chciał obejrzeć jej ranę, ale zaprotestowała.

– Mogę walczyć jedną ręką. Trzeba uważać. Jak zechcą uciekać, to właśnie wtedy, gdzie stoimy. Przyprowadź sobie konia, musimy być zdolni do walki, a w razie czego do ucieczki.

Ich uszu doleciały cztery głosy gwizdka Karle. Pięć dziewcząt razem z końmi wycofały się z szyku. Dziewczęta wskoczywszy na siodła i podjęły próbę objechania na tyły napastników. Część zwróciło się w ich stronę. Przeciwnie skrzydło półksiężycy zaczęło nacierać na pozostałych. W szeregach wroga powstało zamieszanie. Przeciągłe gwizdnięcie sprawiło, że wszystkie bojowniczkę z okrzykiem natarły do środka. Siły były wyrównane, ale przeciwnik prawie w całości otoczony. Nieobstawione przejście stanowiło wąskie gardło w kierunku drogi i w tym kierunku zaczęły uciekać pojedynczy wrogowie.

– Przesuńmy się za wozy – powiedziała dziewczyna do Wilama. – Oni nie przejadą galopem przez te ścierwa koni. Będziemy mogli ich atakować z boków. Bij w konie, nie pozwól im uciec! Zola mówiła, że potrzebni nam jeńcy.

– Kiedy to powiedziała?

– Mówiła, że półksiężyc mamy ustawić z boku. Jak byśmy miały ich pozabijać, to atak byłby na wprost.

– Dla mnie to nie takie oczywiste, może zaraz tu przyjedzie, to porozmawiamy z nią.

– Tak szybko nie przyjedzie. Karle dowodzi bojem, w czasie bitwy zmiana dowódcy jest niemożliwa. Zola w tej chwili jest trzecia w rzędzie i musi paść komenda, by mogła z niego wyjść.

Bitwa długo nie trwała. Poddano się czternastu napastników. Wyłuskano jeszcze zranionych, którzy mogli samodzielnie chodzić. Razem do niewoli trafiło dwudziestu jeden jeńców. Rannych, niewyrokujących szybkiego uzdrowienia, dobiły. Grupa jeńców pozносиła ciała martwych w jedno miejsce.

Wśród dziewcząt były cztery ranne, dwie z ranami kłutymi, jednej odcięto dwa palce dłoni. Liza, którą podmieniła Zola, miała wybitą bark. Wilam nastawił go, ale był zmuszony usztywnić całe ramię.

Przy przeglądaniu poboju i zbieraniu łupów Wilam spytał Zoli:

– Jak to jest? Dziewczyny zabiły trzydziestu, dwudziestu jeden wzięły do niewoli, a ich było tylko dwadzieścia dwie i żadna nie poległa.

– Czemu się dziwisz? Ja i ty pokonaliśmy ośmiu, nasz stosunek był dużo większy niż dziewczyn.

Wilam już się nie odezwał. Podeszedł do wozu, usiadł na koźle, nalał sobie dużą szklankę wina.

Wyjaśnienia szukał w rozmowie. Gdy ruszyli w dalszą drogę spytał Zoli:

– Kim one są i czy ja dowodzę?

Uśmiechnęła się.

– Dziewcząt nie oddałam ci pod dowództwo. Jakbym zginęła, któraś z nich będzie emirem. Walczymy dobrze, bo na życiu nam nie zależy. Ty jesteś dowódcą normalnych żołnierzy. Wiesz, w co ich uzbroić i jak ćwiczyć, aby dali radę na polu bitwy.

Słowa te przyjął jak uwagę, ponieważ od dłuższego czasu nie organizował grupowych ćwiczeń.

Zmierzali w kierunku wsi Warina. Droga im się znacznie spowolniła, ponieważ pieszo pędzili jeńców. Na milę przed wsią rozbili obóz, wysłali

dziewczynę do ziemianina z zaproszeniem. Przyjechał po pół godzinie, wyglądał na wystraszonego.

– Nie wiem, czy mogę z państwem rozmawiać. W nocy przybył tu duży oddział straży miejskiej z Hromkli. Przebrani byli za Turków. Mówili o dwójce ludzi w towarzystwie dwudziestu tancerek, podając się za oddział dowódcy garnizonu z Anazarby. Mieli zrobić z wami porządek i kazali za to zapłacić dziewięć złotych monet.

– Czemu aż tyle? – spytała Zola.

– To ich normalna stawka, po trzy monety za wieś. Nie miałem przy sobie tyle, to dałem sześć. Powiedzieli, że po resztę przyjadą za tydzień. Boję się. Jak ktoś im powie, że z wami rozmawiałem, to nałożą na mnie większy haracz.

– Nie obawiaj się – uspokajał go Wilam. – Jest pan pewny, że to była straż z Hromkli?

– Tak, panie, znam dowódcę, to syn naczelnego zarządcy miasta.

– Ile przyjechało strażników? – spytała Zola.

– Sześćdziesięciu pięciu, na pewno tylu, bo częstowałem winem i dałem im tyle kubków. Z początku brakowało naczyń.

Dziewczyna wymieniła z Wilamem spojrzenia.

– Sześciu uciekło. Zarząd miasta już wie, co tu się stało.

Zola wbiła wzrok w ziemianina, jakby chciała przyłapać go na kłamstwie.

– Ile osób liczy straż miejska w Hromkli? – spytała.

– Zawsze mówili, że utrzymują osiemdziesięciu. W razie zagrożenia każdy dom miał wystawić jednego do obrony murów.

– Rozpoznasz osoby, które w nocy były u ciebie.

– Naturalnie, dolewałem im wina, rozmawialiśmy.

– Idziemy, popatrzymy na nich.

Warin od razu rozpoznał ludzi straży i ich dowódcę.

– Pani, pytałem ich, czemu mają na sobie tureckie stroje, ale nie chcieli wyjaśnić.

– Za to miecze i konie mieli europejskie. – Dziewczyna chwilę się zastanowiła, za moment spytała: – Handlujecie koniną?

– Tak, pani, Turcy bardzo cenią to mięso.

– Musicie wykonać pewną pracę. Po drodze do miasta leży stos martwych strażników i dużo więcej koni. Ludzi macie pochować zgodnie z sumieniem chrześcijan. Ich broń, zbroje i martwe konie są waszym wynagrodzeniem za tę pracę. Poszukamy twoich pieniędzy – dodała.

Dowódcę straży wywleczono poza zagrodę z jeńcami. Dziewczęta dokładnie go przeszukały. Miał przy sobie osiem złotych monet. Zola dla Warina oddała sześć, dwie pozostałe włożyła do swojej sakiewki.

– Przenocujemy tu dzisiaj – mówiła. – Ich i nas trzeba nakarmić. Potrzebne nam trzy duże wozy, do rana je dostarczysz.

– Do czego mają być te wozy? – spytał ziemianin.

– Oni – wskazała jeńców – chodzą bardzo wolno. Chcę ich załadować na wozy.

– Pani, co mam mówić, kiedy przyjadą z Hromkli?

– Powiesz im prawdę, nic nie ukrywając. Oprócz tego dopowiedz, że zabroniłam im brać od was haracz, a jak zechcą uwolnić jeńców, to muszą ich wykupić.

– Ile musimy wam zapłacić?

– Nic! Nam płaci król Cylicji. Za posiłek i wozy zapłacimy.

W następnych dwóch wsiach również byli wysłannicy z Hromkli. Dali im po jednej złotej monecie. Zola oddała im pieniądze.

Zastanawiali się, co robić dalej. Bez uzgodnienia z królewskim dworem nie chcieli podejmować żadnych decyzji. Byli ciekawi wiadomości od Toma i Samuela. Starali się jak najszybciej wrócić do swojego siedliska.

Informacje z terenu nie były pocieszające. Okazało się, że wschodniej granicy należy bronić nieustannie. Tamte wsie nachodziły zwykłe bandy. Samuel miał trzy potyczki, przeganiając grabieżców. Tom wrócił za dwa dni i miał podobne wieści. Jeden oddział piechurów wyruszył na północ, ponieważ tam również zanotowano niepokoje.

- Tego odcinka miały bronić oddziały Francuzów – oburzyła się Zola.
- Francuzi są wysunięci dalej na zachód, tutaj musimy wystawić patrole – tłumaczył Wilam, wskazując miejsca na mapie.
- Mamy za mało ludzi, a teren jest rozległy – dziewczyna okazywała rozdrażnienie – chyba zbyt beztrosko podjęliśmy się tej funkcji.
- Włączmy jeńców do oddziałów, już dosyć za darmo jedzą – dodał Samuel.
- Będą uciekać.
- Pani, przydziel ich Dzarhitowi, on umie wykorzystać niewolników.

W Anazarbie mieli większą liczbę map, przy których można było omówić wszystkie zagrożenia. Wezwali do siebie Wirena, byłego komendanta garnizonu. On znał drogi napaści Turków, utrzymywał z nimi kontakty, ale uszczelnienie granicy przed napadami uważał za rzecz niemożliwą.

- Mają swoich ludzi wszędzie, nawet wśród waszych – tłumaczył. – Chodzą po całym terenie i wyszukują co bogatsze osady. Jak coś im wpadnie w oko, to podjeżdżają nocą i z samego rana uderzają. Naturalnie sprawdzają najpierw, które drogi są pilnowane. Kiedyś w gospodzie przysiadłem się do dwóch takich. Mieli na sobie peleryny, jak ci z karawan, a pod spodem

obszyte blachą tuniki. Wiedzieli, kim jestem i w oczy mi się śmieli, że ich nie złapię. Król może mówić, co chce, ale temu trudno zaradzić. Ja mogłem zwać winę na wojsko, wy musicie całą odpowiedzialność przyjąć na siebie.

Zola przypuszczała, że ten człowiek czerpał korzyści ze swego stanowiska. Prawdopodobnie był i jest w zмовie z Turkami, ale powiedział prawdę. To ona podpisała zobowiązanie obrony wschodnich granic Cylicji i nic ją z tego obowiązku nie zwolni.

Po wyjściu Wirena analizowali jeszcze mapy. Niebawem pojawił się Dzonchin, podniecony wiadomościami o napaści na nich.

– Pani, ja jestem muzułmaninem, ale wiem, że za Mojżesza istniało prawo zęb za zęb. Ci ze straży miejskiej napadli na was, uważając twoje dziewczęta za tancerki. Nadjechali z trzykrotnie większą siłą, chcąc was wyciąć w pień. Wszyscy twierdziliby, że to Seldżukidzi was napadli. Mieliby czyste ręce i robili dalej swoje. Teraz na ciebie kolej, powinnaś napaść Hromkę i ustanowić tam swój emirat. Miasto kontroluje spory teren, wiele naszych osad byłoby pod jego ochroną.

– Masz rację, ale to może wywołać wojnę między Cylicją a krzyżowcami. Bez wiedzy króla nie możemy podejmować decyzji wybiegających poza granice państwa.

– Jeżeli to prawda, co mówił Wiren, to Francuzi na pewno sobie nie radzą – Wilam znów zmienił temat. – Oni nie potrafią działać w wojnach podjazdowych. Na polu bitwy się sprawdzą, ale w ciasnych wąwozach i między kępami lasu nie mają szans. My kilka wsi obroniliśmy. Trzeba zebrać informacje, ile oni ponieśli porażek. Jak u nich jest gorzej, to król na nas tak bardzo nie nakrzyczy. Kto wie, może sfinansuje wyprawę przeciw Hromkli?

Na następny dzień wysłano czujki w kierunku granicy bronionej przez chorągiew Francuzów. Wyposażono ich w wozy, aby udawali obwoźnych kupców. Mieli zebrać informacje, ile było tureckich napadów. Wszystkie czujki wróciły po pięciu dniach. Zakupy były mizerne, ale informacje obfite. Na tamtym odcinku było dwadzieścia sześć napadów. Złupiono wszystkie przygraniczne wsie. Zdarzył się przypadek, że rycerze czuwali przy wsi, która w nocy została okradziona. Zanim drużyny do niej wjechały, sprawców już nie było.

Te informacje poprawiły samopoczucie Zoli.

Przed wyjazdem do Sis postanowiła jeszcze rozwiązać problem sklepu dla gospodarzy. Podatek nie był wysoki, ale były inne niuanse prawne związane z własnością lokalu. Według urzędników lokal powinien być wynajmowany posiadaczom ziemskim. Nie był ich własnością, a to oni mieli w nim handlować. Za wynajem lokalu również powinien być płacony podatek. Dwa podatki bardzo ograniczały zyski.

Rozmowom przysłuchiwał się Dzarhit.

– Urzędnicy burmistrza chcą panią naciągnąć na dodatkowy podatek – włączył się.

– Takie ustanowili prawo – przerwał mu Wilam. – Lokal jest Zoli, a handlować w nim będą rolnicy, powinni odkupić lokal lub wynająć, a od tego jest podatek.

– Niby się zgadza, ale w lokalu nie będą handlować obcy rolnicy, a z ziem przydzielonych emirowi Zoli, która jest zwolniona z podatków. Są to jej towary, które będzie sprzedawała w sklepie, jak organizacyjnie to zrobi, to jej sprawa.

– Jesteś przebiegły Dzarhit – powiedziała Zola. Chwilę zastanowiła się i spytała: – Powiedz, czy to ty naprowadziłeś swoich krajan na osady Francuzów?

– Pani, na wszystkie owce, które kazaliście mi kupić, miałem kwity zakupu. Żadnej nie ukradłem ani nie zrabowałem.

– Zaraz potem napisałeś wiele listów do swego byłego emira.

Zamilkł gwałtownie, lustrując ich trwożnym spojrzeniem, odpowiedział już spokojnie:

– Piszemy do siebie, bo to mój kuzyn.

– Dobrze się urządziłeś. Mnie służysz, a donosisz tamtym.

– Pani, służę ci dobrze, staram się nie zawieść.

– Staraj się! Niedługo pojedziemy do króla, a ty pojedziesz z nami.

– Nie zasłużyłem byś oddała mnie w jego niewolę.

– Jesteś moim człowiekiem. Nie sprzedaję swoich ludzi ani nie przekazuję w niewolę. Będą tam potrzebne informacje na temat twoich byłych kolegów.

– Chcesz bym zdradzał ludzi, którym służyłem?

– Chcę byś opowiedział, jak i kiedy napadają. Teraz służysz temu krajowi i mamy bronić jego granic. Nie masz opowiadać o swoich dawnych kolegach, masz powiedzieć, co mamy robić, by ustrzec się przed napaściami.

Twarz Turka spochmurniała. Zrozumiał, czego od niego wymagają i czuł się winny.

– Pani, o ile jedziesz do króla – zmienił temat – to powinnaś z sobą zabrać trzech jeńców z tych, których daliście mi na bojowników. Nie umieją poprawnie włączyć broni ani ustawić się w szyku, tylko krzyczą i chcą rozkazywać. To nie żołnierze, to synalkowie elity burmistrzów. Odgrają się, że jak ich ojcowie wykupią, to nas załatwią. Niech wykupią ich z rąk króla, wtedy będzie wiadomo, kto jest winny napaściom na wschodzie.

Zola uśmiechnęła się, zauważyła w tym mężczyźnie nie tylko dowódcę, ale i zręcznego polityka.

Do Sis wyruszyli za dwa dni. Jako doradców wzięli ze sobą Dzarhita i Samuela oraz czternaście dziewczyn. Zabrali jeden odkryty wóz, na którym wieźli swój bagaż i trzech wskazanych przez Turka jeńców.

Do stolicy dojechali o późnej porze i mieli problemy z zakwaterowaniem. Na szczęście Marka zastali w domu. On bez trudu znalazł im zajazd, gdzie zostawili wóz, konie i dostali salę dla wszystkich dziewcząt, a obok w karczmie cztery pojedyncze pokoje. Jeńców natomiast zaprowadzono prosto do ratusza. Za sprawą jednego z urzędników osadzono ich w lochu.

– Mieliśmy być wykupieni! – krzyczał zszokowany syn burmistrza.

– Jak tylko przyjadą z wykupem do króla, natychmiast zostaniecie wypuszczeni – zaśmiała się Zola.

Niestety, trafili na okres wyjazdu króla na prowincję. Miał wrócić dopiero za kilka dni. Znudzone i rozbawione dziewczęta zaczęły popisywać się swoimi tańcami. Już po jednym dniu były popularne. Właściciele gospód płacili im za te popisy.

Po dwóch dniach ich występów, Zolę zaprosił dziekan kościelny. Oznajmił, że patriarcha nie jest zadowolony z popisów jej koleżanek.

– Ojcze, znam dobrze dziesięć Bożych przykazań – odpowiedziała. – Zwraca się tam uwagę, by nie mówić fałszywie o innych, nie pożądać cudzego, nie cudzołożyć, ale niezabronione jest popisywanie się tańcem przed innymi. Możliwe, że momentami tańce są frywolne, lecz dziewczęta nie namawiają nikogo do grzechu, nie idą do domów żonatych, nie kradną, nie mówią o nikim źle.

– Kobieta powinna poszukać sobie męża, a nie tańczyć na stole.

– Żadna z tych kobiet nie nadaje się na żonę. Wszystkie mają niespokojne noce i krzyczą przez sen. Ponadto mają wyćwiczone w walce niezdrowe odruchy. Taka raczej skrzywdzi mężczyznę, niż zapewni mu

spokój rodzinnego domu. Ale są ludźmi i należy im się trochę rozrywki i uciechy, choćby w tańcu.

– Nie wiem, co pani odpowiedzieć, ale ktoś ze straży miejskiej doniósł do patriarchy, że pani dziewczęta sieją zepsucie w mieście.

– Przy pierwszym naszym pobycie w Sis dowódca straży miejskiej kazał moim dziewczętom tańczyć na stołach, przy których siedział z kolegami. To był pierwszy raz, gdy odważyły się tańczyć w gospodzie. W ten sposób dowiedziały się, że ich taniec podoba się ludziom. Ze względu na późną porę, przerwałam im te występy, a on zagroził mi śmiercią. Moja pięść i słowo pana Marka przemówiły do jego rozsądku. Teraz widzę, że szuka wsparcia u patriarchy.

– Już wiem, jaką odpowiedź zanieść naszemu ojcu.

Rozmowa z królem odwlekła się o kolejne dwa dni. Dziewczęta przez ten czas wyspecjalizowały się w tańcu. Podzieliły się na mniejsze grupki i obsługiwały kilka gospód. Choć głównym ich dochodem były datki od publiczności, każdy z karczmarzy dawał im wynagrodzenie i darmową kolację. Moźnowładcy chcieli zatrudnić je na dworach, ale one odmawiały.

W dniu, w którym powrócił monarcha, Mark powiadomił ich, że są zaproszeni na jutrzejszy obiad. Spodziewają się od nich sześcioosobowej delegacji. O taką liczbę osób Zola prosiła na audiencji. Cały wieczór zastanawiali się, jakie poruszyć tematy. Postanowili przemilczeć niepowodzenia Francuzów, natomiast uwypuklić napaść na nich przez straż Hromkli. Zastanawiali się tylko, czy zasugerować królowi zdobycie tego miasta.

Całe przedpołudnie dyskutowali na te tematy. O konieczności przebrania się przypomnieli sobie przed samym wyjściem. Zola zrezygnowała z sukni na korzyść mandzurskiego stroju. Tym razem oprócz

diadem nałożyła bransolety i medalion. Król, gdy zobaczył Zolę w spodniach i kimonie, powiedział.

– Dużo słyszałem o pani tancerkach popisujących się w mym mieście. Czyżby pani również chciała nam coś zademonstrować?

– Jesteś królem, skoro taka twoja wola, postaram się sprostać zadaniu, chociaż dawno tego nie robiłam.

– Muszę przyznać, że bardzo bym chciał zobaczyć, jak pani tańczy.

– To może potem, jak opowiemy kilka dowcipów.

Monarcha zaśmiał się.

– Umie pani wyjść z opresji, choć nie wiem, czy nie powrócę do tematu.

W jadalni ustawiono na wprost siebie dwa długie stoły. Jeden zajął król z żoną i dworzanami, przy drugim usiadła delegacja Zoli i Francuzów. Odległość między stołami była znaczna, ale nie przeszkadzała w swobodnym prowadzeniu rozmów, a nawet je ułatwiała, ponieważ rozmówcy mogli sobie obserwować.

Przy pierwszym daniu trwały luźne rozmowy, ale gdy zmieniano zastawy, król spytał wprost:

– Co było tak niecierpiące zwłoki, że przyjechała pani z tak liczną delegacją? Wywiązuje się pani nadzwyczaj dobrze. Wszyscy ziemianie panią chwalą. Nie zbiera pani haraczu, a zrabowane pieniądze oddaje. Chyba nie chce się pani skarżyć, że ponosi zbyt duże straty?

– Poza trzema rannymi koleżankami, nie miałam żadnych strat.

– Nie przechwala się pani? Przed obiadem przesłuchałem jeńców, których mi pani podarowała. Ich było sześćdziesięciu pięciu, a pani miała dwadzieścia dziewczyn...

– Dwadzieścia dwie, nie licząc mnie i mojego naczelnego dowódcy – dodała. – To nie była wielka bitwa, królu. Tamci znali jedynie podstawy, ale nie umieli walczyć w polu. Niektórzy ginęli, spadając z siodła. Ja z panem Wilamem pokonaliśmy ośmiu, dwóch biorąc do niewoli...

– Ona mówi nieprawdę królu – przerwał jej z uśmiechem Wilam. – Ja zdążyłem jednego podciąć i dwóch związać walką, resztę ona załatwiła. Dwóch, z którymi walczyłem, ona wzięła do niewoli i zaraz pojechała w wir walki podmienić koleżankę w szyku, której jakiś nieudacznik wybił staw barkowy.

– Naprawdę nie mieliście śmiertelnych strat? – dopytywał z niedowierzaniem król.

– Nie, królu – kontynuował Wilam. – Te dziewczęta tną bez litości. Nie dowodzę nimi, mogłem obserwować. To nie była sprawiedliwa walka. Przed ich szykiem powstał wał z ludzkich ciał i martwych koni. W sumie zniewoliliśmy dwudziestu trzech ludzi. Kilku udało się uciec. Około trzydziestu pochowali ludzkie ziemianina Krystena.

– To rzeczywiście nierówna walka – bąknął do siebie król. Po krótkiej przerwie dodał: – Tydzień temu dostałem list od zarządców Hromkli. Skarżyli się, że jakaś banda napadła ich strażników, kontrolujących drogi. Żądali odszkodowania i zwrotu jeńców. Natychmiast wysłałem zwiadowców w tamten teren. Rolnicy wyjawili mi prawdę. Dzisiaj otrzymywałem meldunki od oddalonych osad przygranicznych. Okazuje się, że wszystkie obroniliście. U panów kawalerów francuskich nie poszło tak dobrze... – zawiesił głos, ale nikt nie chciał mu przeszkadzać. Akurat podano drugą potrawę i przerwa w rozmowach się przeciągnęła.

Dopiero po dłuższej chwili, król znowu zabrał głos:

– Już kiedyś miałem zatargi z Hromklą. Nie chcą się do nas przyłączyć, a krzyżowcom również odmówili posłuszeństwa. Powinienem wam

wyjaśnić to wcześniej, ale nie spodziewałem się, że zechcecie z nimi rozmawiać na tematy bezpieczeństwa przygranicznego. Mieliście rację, siła seldżuckich Turków rośnie. Nie przestrzegają żadnych norm, napadają na wszystkich. Okazuje się, że sprawujący władzę w Hromkli nie są lepsi od Seldżuków. Ściągają haracz z naszych wsi i napadają na moich poddanych. Uprzedzę pani prośbę i wydam zezwolenie na przyłączenie Hromkli do naszego państwa. Zdobędzie pani to miasto dla mnie. Dostanie pani wyposażenie jak na wyprawę wojenną. Oprócz tego pod pani rozkazy oddeleguję chorągiew francuską. Potem obsadzi pani ten teren Francuzami i wycofa się. Mnie się przyda chorągiew europejska na tamtym terenie. Krzyżowcy również nie będą mogli mieć pretensji. Podaruję dla potrzeb pani emiratu gospodarstwa dwóch posiadaczy ziemskich, to osiem wsi. Przejmie pani ochronę nad terenem, który bronili kawalerowie.

– Kiedy powinniśmy wyruszyć na Hromklę? – spytała Zola.

– Zbieram już środki. Przypuszczam, że możecie ruszać wiosną, ale granicę Francuzów obejmijcie ochroną jak najszybciej. Od tej chwili ich oddziały leżą na terenie waszego garnizonu. W czasie najazdu może pani nimi dysponować, ale oni nigdy nie wejdą w skład pani armii.

Popatrzyła na Francuzów. Po ich minach było widać, że tę decyzję już znali. Jej wzrok padł na Dzarhita, on również wiedział, co to znaczy dla niego.

– Rozumiem, że po zdobyciu Hromkli, ochrona granicy na wschodzie spocznie na rycerzach? – spytała.

– Myślę, że rozszerzy pani granice garnizonu. Odległości będą spore, więc wskazane byłoby założyć drugie biuro w tamtym mieście. Jednak są to tylko sprawy organizacyjne. Pani dowódca, a mój komendant garnizonu na pewno sobie z tym poradzi.

– Jesteś przebiegły, królu – powiedziała z uśmiechem.

Te słowa nie były dobrze przyjęte przez wiele osób przy stole monarchy, wielu z nich wyprężyło karki, ale on się tylko roześmiał.

– To nie wszystko, czego spodziewam się po was – wskazał Karle i Janę. – Chciałbym zobaczyć jak panie tańczą, od kilku dni mówią o tym w całym mieście.

– Królu, przyjechało ze mną czternaście dziewcząt. Myślę, że nawet w tej chwili tańczą w jakiejś gospodzie. Lubią jak je ludzie podziwiają i ich się nie boją. Ja również mogłabym tobie zatańczyć, ale dobry taniec wymaga muzyki.

– Drugi raz się spotykamy i powinnaś wiedzieć, że zawsze jestem przygotowany na wszystko. Jak chcę zobaczyć taniec, to zapewniam muzykę. Wiem, że tańczycie rytmy perskie i hinduskie. Co chcecie zatańczyć?

Jana wychyliła się nad stołem, patrząc na Francuzów.

– Ten pan poprzednio powiedział, że mu się podobam. Jemu zatańczyłabym coś perskiego.

Rycerze i nie tylko oni buchnęli śmiechem. Król również się uśmiechnął.

– Pokażą więc panie taniec perskich dworów. Dużo o tym słyszałem, ale nie widziałem. Zaraz przyjdzie orkiestra.

– Musimy się przygotować – kontynuowała Jana.

– Tamten boks jest pusty – król wskazał drzwi. – Nikt wam nie będzie przeszkadzał.

Zola wiedziała, na czym będą polegały ich przygotowania, chciała im zabronić, ale powstrzymała się. Przecież wszyscy wiedzieli, w jakich strojach tańczą tancerki na dworach kalifów i sułtanów.

Z boku stołów ustawilo się czterech muzyków. Trzech z nich posiadało instrumenty szarpane, czwarty trzymał w dłoniach dwa płaskie bębny, które wokół obwodu miały przyczepione dzwoneczki.

Karle i Jana po dłuższej chwili wróciły w samych kimonach, nawet bez butów. Kimona sięgały kolan, ale z boków miały rozcięcia do bioder. Wykonane z jedwabiu, pobudzały wyobraźnię.

Obydwie podeszły do orkiestry, chwilę rozmawiały, zabrały od chłopaka bębny. Zaczęły wystukiwać rytm, orkiestranci zaraz podjęli melodię. Barki tancerek niemal drgały, a biodra falowały, nogi wykonywały ruch posuwisty. Za moment drgały biodra, a barki z rękoma falowały. Wszyscy byli zapałzeni. Nagle orkiestra umilkła. Tancerki wykonały jeszcze kilka ruchów w rytm bębnowy, którymi wydzwaniały lub wystukiwały rytm i zaraz zaprzestały. Ukłoniły się i pobięły do boksu. Cisza, jaka nastała, wyrażała zachwyt widzów. Przerwał ją król.

– Pani Zola też chce zatańczyć nam perski taniec.

– Nie odważę się, królu. Jakbym miała coś pokazać w formie tańca, to wybrałabym hinduskie melodie.

– Trzeba więc zmienić muzyków.

Mężczyzna trzymający harfę stanął za fotelem króla, reszta odeszła. Na ich miejsce przyszły dwie osoby z fletami. Zola uśmiechnęła się, tego monarchę trudno było nie doceniać. Odpięła swój pas z bronią i ułożyła przed sobą na stole. W tym czasie wyszły ubrane dziewczęta. Francuz, dla którego tańczyła Jana, zaczął klaskać, inni podchwycili ten aplauz.

– Co chcesz mu powiedzieć? – spytała Zolę Karle.

Wilam nachylił się do jej ucha i wyszeptał.

– Król zatrzymał muzyka, by tłumaczył twoje ruchy.

– Ty znasz język Hinduszu.

– Byłem tam, trochę się nauczyłem, ale nie wszystkie znaki odróżniam.

– To prosta mowa – odparła z uśmiechem.

Stała przy muzykach, przodem do przerwy między stołami, by wszyscy mogli oglądać jej gesty. Wilam wyjął kawałek kartki i rysik. Chciał uchwycić przekaz gestów. Zawsze była to łamigłówka, więc postanowił zapisywać kolejność pozycji.

Muzycy zaczęli grać. Ona przyjęła wyjściową pozycję, obrazującą wyraz „władco”. Za moment zaczęła wykonywać wiele ruchów, które według Wilama zamykały się w słowie „jestem”. Potem, przy uniesionych ramionach, jej głowa jakby przesuwiała się wzdłuż barków. Na kartce przybył wyraz „nie”, potem „żona” i zaraz „kochanka”. Nie umiał zinterpretować gestów między żoną a kochanką, za to końcówka była prosta. Słowa ułożyły się w zwrot: „zrobię to, czego wymagasz i za co mnie wynagrodzisz”. Zatrzymała się w pozycji zgoda i pojednanie. Szybko wróciła na miejsce, przypięła pas i usiadła. Nie zwracając uwagi na oklaski, pochyliła głowę i zamarła w tej pozycji.

Król zaraz spytał, okazując poirytowanie:

– Co miały znaczyć słowa żona i kochanka?

Uniosła głowę i uśmiechnęła się.

– Tego rodzaju tańce są na weselach lub zaręczynach. Taki taniec jest wyrazem uczuć kobiety, bo mówić jej o tym nie wypada. My jesteśmy w innych relacjach. Zamień słowo „żona” w „poddana”, a „kochanka” w „najemnik” i zrozumiesz.

Król zrobił poważną minę, analizując zapamiętane teksty. Wilam przepisał cały przekaz, powstało zdanie: „nie jestem poddaną, a najemnikiem, taką mnie uczyniłeś, wykonam to, czego wymagasz i za co mnie wynagradzasz, niech zapanuje zgoda i pojednanie”.

Monarcha pokiwał głową.

– Powinnaś być poddaną i moim osobistym doradcą. Prawdopodobnie popełniałbym mniej błędów.

Francuzi czekali na nich przed pałacem. Gdy się spotkali, Franko zaczepił:

– Pani, poprzednie nasze spotkanie u króla wyszło niefortunnie. Chcieliśmy ciebie i twoich towarzyszy przeprosić. Proponujemy wspólną kolację w miejscu dowolnie przez was wybranym.

– Szkoda! – jęknęła Jana. – Myślałam, że to z mojego powodu.

– Chciałem powiedzieć – kontynuował Franko – że kawaler Karol miał znaczący wpływ na pomysł spotkania z wami. Ten trzeci pan, to Paul. Na kolację jeszcze dosiadłoby się dwóch panów, których okładałyście deskami.

– Gdzie dzisiaj występują nasze dziewczęta? – zwróciła się do Karle Zola.

– W waszej karczmie wieczorem powinno być cztery.

– To tam się spotkamy.

Samuel i Dzarhir wykręcili się z przyjęcia. Było to do przewidzenia, jako muzułmanie nie lubili biesiad zakrapianych dużą ilością wina. Francuzi zjawili się o umówionej porze. Elegancko ubrani, bez kolczug wyglądali dużo przystojniej. Przy stole czekała na nich Zola z Karle i Janą oraz Wilam. Zarezerwowali dodatkowe miejsca dla tańczących dziewcząt. Niespodziewanie Franko pojawił się z żoną, co znacznie skomplikowało sytuację, ponieważ niewiadome było, gdzie panią usadzić. Zola zadecydowała, że ona z nią usiądzie na szczycie stołu, z brzegu przy niej usiadł jej mąż.

Wszyscy zajęli miejsca tylko z jednej strony, aby móc oglądać tancerki. Paskal i Henry to rycerze, którzy wzbogacili grono Francuzów. Okazali się miłymi ludźmi, pochlebnie wyrażającymi się o armii Zoli. Tancerki występowały po dwie, dlatego druga dwójka mogła siedzieć przy gościach, co urozmaiciło rozmowy. Żartowano, wszyscy świetnie się bawili. Po niedługim czasie dziewczęta siedziały między mężczyznami, co wpłynęło korzystnie na nastrój.

Żona Franko, Cecylia, nachyliła się do Zoli.

– Zazdroszczę, jesteście zupełnie wyzwolone.

– To ja ci, pani, zazdroszczę. Masz męża i będziesz mogła poświęcić się dzieciom. Nam niedane domowe ognisko.

– To tylko tak na odległość wygląda. Dom zamożnej mężatki to nuda i obowiązki, a ubogiej to praca ponad siły i obowiązki. Bardzo szybko mija uczucie miłości, a rodzi się poczucie przynależności.

– Bardzo chciałabym zasnąć w objęciach mężczyzny. Kiedyś jedną z naszych upatrzył sobie wódz, Grejs miała na imię. Wiele razy chodziła do niego na noc, była jedną z nielicznych, które nie krzyczały przez sen.

– Gdzie jest teraz?

– Zginęła w boju, tak jak wiele innych.

Wilam rozmawiający z Franko, wyczuł temat rozmowy, przerwał jej pytaniem:

– Zolu, ile was walczyło przy taborach?

– Trzydzieści osiem.

– Straty były duże? – spytał Franko.

– Osiem kobiet zginęło, dwie pracują u sekretarza, nie nadają się do walki.

– To ile teraz liczy pani oddział?

– Mój oddział nie był i nie jest częścią armii. Dziewczeta stają do walki na każde zawołanie, ale mają również inne zadania. Jak wydobrzeją ostatnio ranione, zdolnych do walki będzie dwadzieścia osiem.

– Przepraszam za ciekawość – kontynuował Franko – ale pani dowódca twierdzi, że przy taborach walczyłyście przeciw dwustu. To chyba niemożliwe.

– Pan i tak nie uwierzy. Były dwa oddziały, razem z obsługą było więcej niż dwustu. Walka była prostsza, bo odbywała się między bagnem a wozami. W niewoli mieliśmy ich więcej, niż było nas, przeważnie islamiści, bali się zginąć z ręki kobiety.

– Coś słyszałem o tym, ale nie wiem, o co chodzi.

– Jedyne uzasadnione przypadki śmierci mężczyzny z ręki kobiety, to zabójstwo w czasie snu. Gdy mężczyzna jest w butach, to znaczy, że czuwa. Jeżeli w czasie czuwania mężczyznę zabije kobieta, to jego dusza jest potępiona. Wierzy w to zdecydowana większość, choć nie wszyscy.

– Dlatego łatwiej wam z nimi zwyciężać.

– Jak dojdzie do walki, to bronią się bardziej zaciekle. Raz miałyśmy dziwny przypadek. Trafiłyśmy na oddział Turków mniejszy od naszego. Gdy zobaczyli, że jesteśmy kobietami, pozdejmowali buty i uciekli. Już ich nie goniłyśmy, rozbawili nas.

– Pani Zolu! – Franko zaczął oficjalnie. – Król chce żeby to pani dowodziła oblężeniem Hromkli...

– Król chyba nie użył słowa oblężenie – przerwała mu Zola.

Rycerz chwilę się zastanowił.

– Prawda, powiedział: „zdobyła miasto”, ale żeby zdobyć, trzeba najpierw oblegać.

– Zdobędziemy to miasto, ale nie chcę tracić czasu na jego obleganie.

– Pani jest jedną wielką zagadką, a ja nie umiem zgadywać pani myśli.

– Pan chce ze wszystkimi walczyć. Ja uważam, że skoro nie musimy, to nie walczmy.

– Na tych terenach walczymy przeciw islamowi.

– Wyznawcy islamu wierzą w tego samego Boga co my, tylko inaczej ustalili swoje kanony wiary, ponieważ wywodzą się z innej kultury. Ziemia święta jest tak samo ważna dla muzułmanów, izraelitów i dla nas. Jakby się wszyscy dogadali, to jedynym wrogiem byłby wielki chan. Wojny wyznaniowe powodują, że wszyscy chcą układać się z chanem i wojować między sobą. Dwa lata temu, gdy naszym wodzem był Muzabok, wrogami byli wszyscy, których napotkaliśmy. Gdzie się obróciliśmy, był wróg. Chcę tego uniknąć. My nie chcemy zniszczyć Hromkli, a przyłączyć ją do królestwa Cylicji.

– Uważa pani, że oni się temu poddadzą?

– Oblegać nie będę. Jak ludzie zechcą, to niech uciekają. Nam chodzi o teren, a nie o tysiące nieboszczyków. Przed chwilą mówiliśmy o zdobyciu taborów przez moje dziewczyny. Walka była trudna, ale wrzucenie dwustu martwych ciał do rzeki było wyczerpującą pracą.

Powrót do domu był czasem narady. Zastanawiano się nad przyszłością. Przede wszystkim omawiali, jak współpracować z Francuzami. Wilam określił ich zachowanie przy kolacji jako nieszczerze.

– Im zależało na wyciągnięciu informacji. W zasadzie nie mieli zamiaru nas przeprosić i zρέcznie tego uniknęli – zakończył swoją wypowiedź.

Dla Zoli wydawali się mili, ale wierzyła w opinię swego dowódcy.

– Czy myślisz, że będziemy musieli na nich uważać? – spytała.

– Myślę o czasie terażniejszym. Przegrali z nami w ochronie granicy, czują się urażeni. Nie wiedzą, jak my walczymy, że nie ponosimy strat. Pod

jednym względem on miał rację, twój sposób myślenia jest nieraz trudny do zaakceptowania.

– Ty tak uważasz?

– Jesteś młoda. Młodzi ludzie są przesiąknięci ideami, ale twoje wyrastają z balastu życiowego. Nie jesteś fanatyczką, umiesz realnie stąpać po świecie, nadajesz się na monarchę. Król Hetum zauważył to. On musi tolerować Francuzów, bo pochodzi z dynastii łacińskiej, ale już drugi raz wywyższa ciebie nad nimi.

– Ile razy miałem kontakt z królem, zawsze wyrażał się o tobie z uznaniem – do rozmowy włączył się Mark. – Wczoraj z rana powiedział: to co ona przewidzi, to może tylko wytrawny polityk.

W następnym szeregu jechał Samuel z Dzarhitem oraz Karle z Janą. Jana w czasie wczorajszej kolacji cały czas flirtowała z Karolem, który stwierdził, że Franko nigdy nie podporządkuje się Wilamowi. Nie chodzi o to, że jego nie docenia, ale byłoby to dla niego uwłaczające, by służący kobiety wydawali mu polecenia.

– Ja też to tak odebrałem – powiedział Wilam.

– Do kiedy oni będą mieli nadzór nad północną granicą? – spytał Darhit.

– Byłeś wczoraj u króla – przerwała mu Zola. – Powiedział, że już dzisiaj odpowiadamy za tamten odcinek.

– To znaczy, że ich odcinka też musimy bronić – powiedział z rezygnacją Turek.

– Niestety i to ty obstawisz tamten teren – powiedziała Zola. – Myślę, że rabunki w tamtym sektorze ustaną.

– Pani, jakbym śmiał cokolwiek...?

– Nie mówię o tobie, ale mam nadzieję, że twój kuzyn również się zniechęci. Naturalnie myślę tylko o cywilnych osadach ... – zawiesiła głos, jakby chciała coś dodać.

Rozmowa o francuzach zajęła ich do wieczora. W zajeździe, przy kolacji, Mark nakierował ich na temat szpitala w Anazarbie.

– Jak obiecałam, to pomogę – odpowiedziała Zola. – Muszę jednak usłyszeć konkrety, co chcesz.

Wiem, co chcę, ale moim marzeniem byłoby, aby co najmniej połowę szpitala poświęcić dla ludzi ubogich, oni za leczenie nie płacą.

– Na razie musimy porozmawiać, co trzeba zrobić, żeby szpital zaistniał?

– Duży budynek, przynajmniej trzech uzdrowicieli i z dziesięć kobiet do opieki. Naturalnie trzeba jeszcze powiedzieć o wyposażeniu. To jest umeblowanie, kuchnia, no i znowu obsługa i służący.

– Zrozumiałam, że na początek budynek i meble.

– Tak! Ale z tym wiąże się dzierżawa i podatek...

Zola się uśmiechnęła.

– Podatek od dzierżawy jest wysoki. Niedawno omawialiśmy utworzenie sklepu, stąd znam ceny. Rozumiem, że upatrzyłeś sobie jakąś posiadłość, która by się do tych celów nadawała.

– Jest taki obiekt na peryferiach, przy wjeździe do miasta. Po drobnych remontach spełni wymagania.

– Jak zorientuję się co do kosztów uruchomienia, to porozmawiamy na ten temat. Natomiast co do działalności, konieczna jest rozmowa z władzami miasta i królem.

Marka nie zadowolila jej odpowiedź.

– Król jest zainteresowany powstaniem szpitala, ale twierdzi, że trudno mu będzie znaleźć środki na finansowanie leczenia ubogich. Władze miasta upatrują w szpitalu raczej zysków, a nie kosztów.

– Lokal, o którym mówiłeś, należy do miasta?

– Tak, to ich magazyny na wypadek oblężenia, ale mają dwa takie obiekty. Twierdzą, że jeden im wystarczy.

Zola pytająco popatrzyła na Wilama.

– Nie interesowałem się tym – odpowiedział, zgadując jej myśli. – Jesteśmy daleko od granicy i na razie nic nam nie zagraża.

– Sprawdź, jakimi zapasami dysponują oraz jak mają zamiar je uzupełnić. Chcę wiedzieć, bo oni mają zapewnić bezpieczeństwo swoich ludzi, a nie w razie zagrożenia pozbawić ich środków do życia. Potem wina spadnie na nas. To my odpowiadamy za bezpieczeństwo rejonu.

Z rana, jeszcze przed posiłkiem, gdy wyszła zaczerpnąć świeżego powietrza, Dzarhit znalazł się przy niej.

– Wczoraj pani coś mi zasugerowałaś, nie wiem, czy dobrze zrozumiałem.

– Nie wiem, co masz na myśli. Rozmawialiśmy o bezpieczeństwie ludności cywilnej. Chciałabym, aby mieszkańcy osad czuli się bezpiecznie. To nasze zadanie. Więcej mnie nic nie interesuje. Francuzi są naszymi sprzymierzeńcami, w tej chwili nie mają zajęcia, to powinni zadbać o siebie.

– Chyba zrozumiałem pani. Myślę, że jutro nie będę ci potrzebny w Anazarbie. Pozwolisz mi od razu jechać do naszego siedliska. Trochę czasu zajmie mi zorganizowanie wyjazdu pod granicę.

– Będziesz musiał gdzieś spać. Francuzi przygotowali sobie trzy obozy. Przyjrzyj się im, oni niedługo je opuszczą.

– Tak zrobię, pani, ale u nas na pastwisku zostanie dużo koni. Ktoś będzie musiał ich pilnować.

– Powiem Wilamowi, aby przesunął kogoś od Toma.

– Rozmawiałem z Samuelem. Oni na naszym miejscu lepiej by się czuli. Poza tym mieliby pod opieką własne konie.

– Masz rację, wszystko jest do uzgodnienia. Możesz od razu jechać do siedliska, ale weź ze sobą z dwie dziewczyny. Rażniej będzie ci jechać. Nie jest bezpiecznie podróżować samotnie.

– Tak zrobię, pani – skłonił się i odszedł.

Ruszył w drogę zaraz po śniadaniu, przyłączyły się do niego trzy dziewczęta. Zola zorientowała się, że coś zaplanował i chciał jak najszybciej wdrożyć to w życie.

Wjeżdżając do miasta, Mark poprosił ich, aby obejrzel budynek, który upatrzył sobie na szpital. Dojechali do dwóch długich budowli. Widać było, że są to pomieszczenia magazynowe. Małe okienka, mała liczba wejść nie podobały się Zoli jako pomieszczenia dla obłożnie chorych. Nie wyraziła opinii, za to ponowiła polecenie, aby Wilam, jako komendant garnizonu, zainteresował się organizacją zapasów na wypadek zagrożenia. Markowi nie dała odpowiedzi. Gdy zaproponowała mu nocleg w ich budynku, nie odmówił.

Sekretarz biura czekał z przykrą wiadomością. Na pograniczu sułtanatu konijskiego, w czasie ich nieobecności złupiono dwie wsie.

– Jak Dzarhit o tym się dowiedział, to pomimo późnej pory pojechał dalej – tłumaczył Dzonchin.

– Zabrał ze sobą dziewczyny? – spytała Zola.

– Liza się zbuntowała i została. Dwie pojechały z nim, zabrał również ludzi, którzy przyjechali z tą wiadomością.

– To obydwie nasze wsie? – włączył się Wilam.

- Nie! Jedna na terenie chronionym przez Francuzów.
- To skąd znalazł się tam nasz człowiek.
- Nie wiem - sekretarz wzruszył ramionami. - Dzarhit też się zirytował jego obecnością.

Wilam popatrzył na Zolę. Ona pokiwała głową.

- Z samego rana Liza będzie musiała jechać. Ma go dogonić nim on dotrze do tych wsi. Najpierw muszę z nią porozmawiać.

Wilam wymienił spojrzenia z Samuelem.

Dziewczęta były mózgiem armii. Zola za każdym razem planowała liczbę kobiet towarzyszącą w wyprawach i rozdzielała zadania wywiadowcze. Kobiety łatwo wnikały w tłum i dużo prościej było nawiązać im rozmowę, nawet gdy grały rolę tancerek. Stanowiły wytrawną siłę bojową, były wykształcone i dobrze orientowały się, jakie wiadomości są przydatne. Wilam uświadomił sobie skąd Zola czerpała informacje. Zawsze wiedziała, co się wokół dzieje i teraz skoro coś poszło nie po myśli Dzarhita, chce dowiedzieć się o tym z niezależnego źródła.

Z rana wysłała dwie dziewczyny, a po śniadaniu jeszcze cztery.

- Pani też zaraz wyjedzie? - spytał Mark.
- Chyba jednak będę musiała ustalić tu kilka spraw. U siebie nie mam jak analizować map. Poza tym chcę zainteresować się pana szpitalem. Jeżeli w obozach coś się wydarzy, dziewczyny dadzą mi znać. W pana interesie jest umówić nas jutro z władzami miasta.

Zawołała obydwie dziewczyny, które pracowały z sekretarzem Dzonchinem. Przy kubku wina zaczęły od zwykłych pogaduszek, ale zaraz skierowała rozmowę na tematy pracy kancelarii i przyjezdnych informatorów, których zabrał z sobą Dzarhit.

- Wszyscy czterej byli z oddziału Dzarhita - wyjaśniała Willa.
- Czterech? Dzonchin mówił o dwóch.

– Dwóch przyszło do sekretarza, a dwóch nocowało w zaułku. Przybyli parami. Widać, tak pilnują wsi.

– Czyli Dzarhit wie, co dzieje się na granicy?

– Obawiam się, że wie dużo więcej niż my – odpowiedziała Krystyn. – Przychodziły do niego listy jego byłego emira.

– Teraz będzie miał z nim ciągły kontakt. Zrobiłam go odpowiedzialnym za tamten odcinek granicy.

– Biedny człowiek, już nic nie będzie mógł złupić – odpowiedziała dziewczyna.

Zola zawoła do siebie Janę. Interesowała ją sprawa podatków i opinii mieszkańców, co do utworzenia szpitala Marka.

– Rozpuść dziewczęta. Weźcie od Dzonchina po dwie srebrne i jednej złotej monecie. Udawajcie bogate. Odwiedźcie każdą gospodę. Zaczepiajcie rozmową straganiarzy, chcę mieć pełne opinie.

Na resztę dnia, do kolacji przesiedziała z Wilamem w kancelarii. Omawiali możliwości założenia biura w Hromkli.

– Nie wiem, na ile będzie to nam przydatne, tym bardziej że władze nas nie lubiły. Po walce z ich strażą będziemy musieli się bardzo pilnować.

– Pani, kobiety zawarły wiele przyjaźni i twierdziły – wtrącił się Dzonchin – że ludność tamtego miasta, miała złą opinię o swoich władcach. Obłożyli ich mocno podatkami, a strażnicy byli bezkarni, wymuszali różne haracze i kary.

– Skąd to wiesz?

– Jak jechaliście do Sis, to dziewczęta opowiadały, co was spotkało. Powiedziały kobietom z mojej kancelarii, a one powtórzyły mnie.

– Umiesz zbierać informację – uśmiechnęła się Zola.

– Wracając do biura w Hromkli – mężczyzna przyjął poważny ton – o ile go tam nie będzie, to nie będziemy wiedzieli, co robią Francuzi. Dla

garnizonu byłoby niebezpieczne. Władzami radziłbym się nie przejmować. Ludzi w zarządzie miasta można wymienić na takich, którzy będą nam przychylni.

– Obstawmy je naszymi ludźmi – stwierdził Wilam.

– To nie wyjdzie, panie – odpowiedział Dzonchin. – Władze muszą znać miasto i mieszkańców. W ślepo nie da rady kierować. Ale jakby pani Zola włączyła do ich rady kobiety, to na pewno stanowiłyby gwarancję podporządkowania naszej armii.

– Czy możemy z miasta czerpać jakieś korzyści? – spytała dziewczyna.

– Dużo większe niż ze wsi. Możemy pobierać opłaty od targowisk, myto od przejeżdżających. Część podatku od handlu również powinna do nas trafiać.

– Te opłaty powinny iść do króla, to będzie jego miasto.

– Myślę, pani, że królowi należałoby część tych opłat oddać, ale skoro byśmy mieli biuro garnizonu, to na pewno sporą część powinniśmy zatrzymać sobie. Jesteś, pani, emirem, należy się tobie wynagrodzenie od terenu, który zabezpieczasz.

– Co z Francuzami? Muszą się z czegoś utrzymać, to miało być ich miasto.

– Część powinniśmy im płacić, a drugą część niech biorą z zysków króla.

– To znaczy, że w Anazarbie też część finansów powinna trafiać do mnie?

– Słusznie zauważyłaś, pani.

– Miałaś przeszkolić dziewczyny, które znałyby się na kancelarii i zarządzaniu.

– Miałem taki zamiar, nawet zacząłem nauki, ale teraz one są w górach, a ja tutaj.

– Trzeba będzie coś zmienić, na razie będziesz szkolił mnie...

Wieczorem dziewczęta wraz z Zolą usiadły w gabinecie Dzonchina. W ciszy i spokoju rozpatrywano wiele spraw, przewodnictwo w naradzie przejęła Jana. Jej ojciec był urzędnikiem w mieście. Co prawda straciła z nim kontakt, mając dziewięć lat, ale zapamiętała układ stanowisk. Dalsze nauki pozwoliły jej na rozwijanie wiedzy związanej z zarządzaniem. Na przywódcę nie nadawała się, była zbyt frywolna i za dużo mówiła, jednak zebrane na ulicach informacje umiała połączyć w całość. Wszyscy podporządkowali się jej koncepcji prowadzenia jutrzejszych rozmów z władzami miasta.

Dzonchin był Mongołem, wyznającym perski islam. Długo był urzędnikiem na dworze. Trafił do Persji, jako zdolny chłopiec szybko zdobył wykształcenie i pracę. Najpierw stał się chłopcem na posyłki, prznosił listy, potem sporządzał notatki. Pod koniec zrobili z niego poborcę podatków. W czasie podróży napadła ich banda. Zostali sprzedani mamelukom. Tu też szybko awansował, do momentu wysłania ich po nabór wojska Muzaboka. Po przewrocie Zoli został w jej armii. Nie żałował tej decyzji, mimo że była wymagająca, zapewniała spokojną służbę.

Samuel dowodził oddziałem jazdy i jednocześnie był dowódcą taborów. To olbrzymia karawana, mogła zabezpieczyć zaopatrzenie dla dwukrotnie większej armii. Duże zapasy, zwłaszcza żywność, trzeba było administrować i nie marnotrawić. Już wtedy, gdy wyznaczył go na skrybę, czuł się sekretarzem całej armii, zwłaszcza jak dołączyły do niego dwie kalekie kobiety. Jedna miała sztywną nogę, druga nie mogła się wyprostować po krzywym zrośnięciu obojczyka, ale obydwie miały zdolny umysł i były wszechstronnie wykształcone, jak wszystkie dziewczęta z oddziału Zoli. Znalazł jeszcze dwóch mężczyzn umiających pisać i liczyć. Już mógł rozumem objąć całe zgrupowanie. Gdy przyjęli garnizon, stał się

sekreterzem emiratu. Musiał przypomnieć sobie wszystko, co pamiętał o podatkach, zarządzeniach, rozpatrywaniu skarg i innych sprawach. Z początku zdarzały się pomyłki. Zola nie na wszystkim się znała, jednak była bystra.

– Czy to na pewno jest dobrze załatwione? – nie raz padały takie pytania.

Forma ich mówiła o tym, że darzyła go zaufaniem, a on miał świadomość, że często zawodzi, bo nie zawsze wie, jak załatwić.

Teraz stanie przed wielką próbą. Jego przywódczyni poleciła mu brać udział w jutrzejszych rozmowach z władzami miasta. Mówić będzie ona, ale on powinien umieć podpowiadać na każdy temat. Wieczorem wzniosł prośby do Allaha, by dał mu siły i rozum. Pamiętał nauczyciela z Persji, który twierdził: największą mądrością jest mądrze postawione pytanie.

Spotkanie było umówione w godzinę po południu. Mieli rozmawiać z całą radą miasta. Z burmistrzem przy stole zasiadło siedem osób. Oni usiedli naprzeciwko nich. Dzonchin usiadł między Markiem a Zolą, dalej siedziała Jana i Wilam. Gospodarze sprawiali wrażenie pewnych siebie. Pierwszy przemówił burmistrz:

– Witam was, szlachetni państwo! Myślę, że będziemy w stanie odpowiedzieć na wszystkie wasze pytania. Z ust pana Marka słyszeliśmy, że interesuje was lokal na szpital. Wiemy również o waszej chęci wydzierżawienia właścicielom ziemskim sklepu na sprzedaż artykułów rolnych.

Wilam chrząknął, Dzonchin poprawił się na krześle, Zola zaczęła mówić dopiero po chwili.

– Źle panowie słyszeli. Nie interesuje nas lokal na szpital, a założenie szpitala w tym mieście. Nie mam również zamiaru dzierżawić swojego budynku dla rolników, a założyć swój sklep...

– To nie pani towary będą sprzedawane w tym sklepie – przerwał jej burmistrz.

– Czemu pan tak sądzi? – pytanie zadał Dzonchin.

– Pani Zola nie uprawia ziemi.

– Ale posiada pięć majątków, razem dwadzieścia wsi – sekretarz był nieustępliwy. – Ma prawo sprzedawać nadwyżki płodów rolnych.

– To są majątki właścicieli ziemskich, którzy odprowadzają podatki dla emira.

– To są ziemie przydzielone emirowi... –przerwała sekretarzowi Zola.

– Biorąc wasz punkt widzenia, panowie, podatki mogą być dawane w naturze. Musi mieć miejsce, by te towary zbywać...

– Chyba panowie wiedzą, że w mieście istnieje dowództwo garnizonu – zmieniła temat Jana. – Wszystkie obiekty administracyjne są zwolnione od podatku. Pracownicy pana sekretarza twierdzą, że wciąż jest odprowadzany podatek od budynku.

– Pani wybaczy, ale w tym budynku mieszkacie – odezwał się jeden z członków rady.

– Nie znacie nas – odezwała się z drwiną Jana. – Pan Wilam jest dowódcą garnizonu, pan Dzonchin jego sekretarzem. Pani Zola jest ich emirem, odpowiadającym za wasze bezpieczeństwo. Pan Mark, to urzędnik króla. Ja natomiast interesuję się siłami militarnymi na naszym terenie i nawet nie wiem, ile liczy stan waszej straży.

– Odbiegamy od tematu. – Burmistrz poprawił się na krześle.

– Niezupełnie – ponownie włączyła się Zola. – Kilka dni temu rozmawialiśmy z królem. Francuzi niedługo wyprowadzą się z tych ziem, do obrony będziecie mieli tylko nas. Dowódczyni oddziału powinna wiedzieć wszystko na temat obrony miasta. Doszły mnie słuchy, że zalegacie z opłatami na cele militarne terenu. Mój dowódca, a wasz komendant

garnizonu, jest zaniepokojony ograniczonymi zapasami miasta na czas oblężenia. Jak to wszystko przemyślicie, to wrócimy do tematu budowy szpitala. Szpital powinien być wasz, nie króla ani mój. Jestem w stanie pomóc przy jego powstaniu, jednak należy się zastanowić nad jego działalnością. Myślę, że za dwa dni spotkamy się z gotowymi koncepcjami. Powiadomcie nas o dogodnym dla was terminie.

Dzonchin nie spodziewał się tak szybkiego zakończenia narady. Nie zapadły żadne ustalenia, pomimo to wygrali sprawę. Ta przebiegła lisica Jana, zastraszyła ich. Teraz będą mieli dużo do przemyślenia i muszą się z nimi liczyć. Nie mają prawa nawet pisać skargi do króla. Zola jest wspaniałym politykiem. Na pewno z Janą ustaliła scenariusz rozmowy. Jana jest bezpośrednia w rozmowach, ale zna się na zarządzaniu. Ją szybko nauczyłyby, na czym polega praca w kancelarii. Jest jednak dowódcą drużyny, Zola nie odda jej na przeszkolenie.

Odniósł wrażenie, że kobieta – emir nie mówi mu wszystkiego. Z tym pytaniem zwrócił się do Krysty, która pracowała w kancelarii.

– Zola już taka jest – tłumaczyła mu. – Jak coś mówi, to ma cel. Nie papie jęzorem jak my wszystkie. Nie chodzi o ukrywanie czegoś przed panem. Ona jeszcze nie wymyśliła koncepcji. Jak ją opracuje w swoim umyśle, to na pewno pana o tym poinformuje. Jak w boju zginęła Jerba, nasza poprzednia dowódczyni, to Azabaj wyznaczając Zolę na dowódcę, powiedział: „Ona wie co mówi, nie skrzywdzi was nieprzemyślanymi posunięciami”. My jej wierzymy i ty, panie, powinienes.

– Ja zawierzyłem jej dawno, gdy do niej przystałem. Nie wiem tylko skąd w niej tyle wiedzy i rozumu.

– Gdybyś przeszedł tyle nauk co my, to byś się nie dziwił. Zdarzyło się, że nauczyciel uczył nas w przerwie bitwy.

– Dużo tych nauczycieli mieliście?

– Nie pamiętam, po każdej bitwie przybywało kilku. Zdarzało się, że Azabaj ściągali nam szkolących z dalekiego wschodu. Oni wyciągali nas z pola bitwy i tłumaczyli, jakie błędy popełniamy w walce. Wśród nich była kobieta, która przecinała podrzuconą w górę wykałaczkę.

– Słyszałem o waszej bitności.

– To tylko rzemiosło. Umiemy dużo więcej.

Ta rozmowa utkwiała w pamięci Dzonchina. Nie tylko emir była wybitną jednostką, wybitne były wszystkie dziewczęta z jej oddziału.

Następnego dnia przybył Saracen, przynosząc list z Egiptu od Bahrytów. Na kopercie widniał napis: „Emir Zola”. Więc Hamel Ahat wiedział już o jej oficjalnym tytule. Był ciekaw, co dzieje się w jego byłych oddziałach, korciło go, by otworzyć przesyłkę, ale powstrzymał się do powrotu Zoli z miasta. Czytała list w jego obecności. Był długi, pisany na kilku kartkach. Po przeanalizowaniu drugiej stronicy powiedziała do niego:

– Siadaj, Dzonchin, na pewno jesteś ciekaw informacji o twojej byłej armii. Jak przeczytam, to ci opowiem.

Gdy była przy końcówce, wróciła do poprzedniej kartki, wyszukując interesujący ją fragment. Po przeczytaniu zwinęła kartki i przewiązała sznurkiem od pieczęci, jakby bała się, że ktoś go przeczyta. Przyglądał się jej, chciał coś odkryć z jej miny. Wyczuła jego wzrok, spojrzała mu w twarz.

– Jesteś mi wierny, Dzonchin, cenię to. Przystąpiłeś do mnie, by nie być mamelukiem. Oni chyba też niedługo się wyzwolą. Tak jak przewidywałam, Francuzi przegrywają tę wojnę. Stracili wiele okrętów. Na Nilu wymordowali im rannych, więc swoje wojska wycofują do Akki. Nie wiem, czy ci mówiłam, że w zeszłym roku zmienił się u was sułtan. Al-Adill Ayyub odszedł, jego miejsce zajął Turanshah. Mamelucy są bardzo niezadowoleni z nowego szacha. Coraz częściej mówi się o zamachu. Nie wiadomo, kto będzie jego następcą. Jedyny prawowity potomek tronu to

Al-Ashraf II, ale on ma dopiero dziesięć lat. Mój szlachetny wróg, Hamel Ahat twierdzi, że nie uniknie wojny z nami, jednak nie nastąpi to szybko. Najpierw będziemy musieli się zmierzyć z Turkami. Wielki chan też ma ich dosyć. Chcą poczekać, aż my osłabimy Turków, wtedy oni zawojują ziemię od Arabii do Cylicji. Twój były wódz jest szczery i chyba czuje do mnie sympatię, skoro mówi mi o takich rzeczach. Myślę, że tutaj wojna nigdy się nie skończy. Nie wiadomo kto i o co ma do innych pretensje. Zrozumiałabym, gdyby walczyli o łupy czy ziemię, ale oni walczą o religię, często o tę samą. Wschód z zachodem walczy o chrześcijaństwo. Północ z południem o islam. Islam walczy z chrześcijanami, a wszyscy zwalczają Żydów. Przecież wszyscy wierzą w tego samego Boga, po co ten rozlew krwi? Ilu ludzi traci życie dla złudnego fanatyzmu? Ty wierzysz w nauki Mahometa, ja w nauki Chrystusa, jednak nie toczymy walki między sobą...

Przerwał jej:

– Myślę, pani, że jesteś święta dla wszystkich religii. Dla buddystów również. Ty, pani, nawet z Chińczykami byś się dogadała.

Zachichotała, spodobała się jej ta wypowiedź.

– Bo widzisz Dzonchin, my w naszej armii nie rozważamy, która religia jest ważniejsza, myślimy, jak uczciwie przeżyć. To prawda, że mamy środki, które nam na to pozwalają. Gdyby inni nie myśleli skąd brać złoto na akcje militarne przeciw innym, to ich naród żyłby w dostatku. Potem powstają takie jednostki jak mamelucy czy ja. Do niczego się już nie nadaję, tylko do walki. To moje rzemiosło i życie, które nie wiem, jak skończę. Nie wiem również czy bóg mi wybaczy, bo nie mam pojęcia, z czego mam się spowiadać.

Układy w Anazarbie były ważne, zapewniały spokojny byt i pozycję w hierarchii politycznej.

Najprostszą sprawą okazało się zezwolenie na otwarciu sklepu w budynku komendanta garnizonu. Burmistrz stwierdził, że sklep taki może istnieć, pod warunkiem że dochody z jego działalności służyłyby utrzymaniu armii Zoli. Wówczas podatek od nieruchomości powinien być utrzymany, ponieważ posiadłość służyłaby do działalności gospodarczej.

– W takim razie – wtrąciła Jana – miasto powinno płacić dzierżawę za wynajem pomieszczeń na cele komendantury.

– Proszę pani – włączył się burmistrz – podatek jest niewielki. My nie chcemy ciągnąć z was zysku. Chcemy, aby inni kupcy tego grodu nie czuli się pokrzywdzeni. Możemy podatek ograniczyć tylko do powierzchni sklepu.

Dzonchin uznał taki układ za uczciwy, więc Zola wyraziła zgodę.

Osobną sprawą było otwarcie szpitala. Burmistrz przyznał, że planował zmniejszyć zapasy żywności, oddając jeden budynek magazynowy na cele tworzonego szpitala.

– Jedyne co mi się podoba w tym budynku – zaczęła Zola – to to, że jest na uboczu, oddalony od gwaru targowisk, jednak te malutkie okienka są pomyślane o magazynach. Dla obłożnie chorych i uzdrowicieli będą uciążliwością...

– Nie mamy innych budynków w mieście – wszedł jej w słowo burmistrz.

– Królowi zależy na otwarciu tego szpitala – włączył się Mark. – Specjalnie wysłał mnie do Edessy, bym zorientował się w wymaganiach budowli i obsługi. To będzie pierwsza taka placówka w naszym państwie. Ma być wzorcowa i służyć zabezpieczeniu przed rozszerzaniem się ewentualnej zarazy. Z tego powodu duża część obiektu powinna być przeznaczona dla ludzi ubogich, którzy będą leczeni nieodpłatnie. To

spowoduje wysokie koszty działalności, o których rozmawialiśmy w zeszłym roku.

– Nie wiem, czy miasto znajdzie tyle pieniędzy, by sprostać takim wyzwaniom – odpowiedział członek rady miasta. – Jestem skarbnikiem rady odpowiedzialnym za finanse. Państwo z pewnością unikacie podatków i chcecie wynagrodzenia za obronę. Tych kosztów nie przewidywaliśmy w naszych wydatkach.

– O finansach porozmawiamy potem – zabrała głos Zola. – Na razie pomyślmy o terenie, na którym moglibyśmy wybudować szpital. To ma być nowy budynek, który sprosta wszelkim wymaganiom. Ogrodzony, aby w razie potrzeby można było go izolować.

– Jedyne co mi przychodzi do głowy, to plac przy samych murach – włączył się drugi członek rady.

– A budynki, które w zeszłym roku strawił pożar? – spytał burmistrz.

– Właściciele nie stać na odbudowę. Zalegają z podatkami, twierdząc, że nie będą płacili od nieużywanej nieruchomości.

– Czy pan uważa, że byłby to dobry plac pod budowę szpitala? – zapytała urzędnika Zola.

– Tak, pani, na pewno można byłoby postawić duży obiekt. To są cztery wolno leżące parcele w dzielnicy produkcyjnej. Trzeba je jednak odkupić i odgruzować. Budowniczowie wezmą dużo pieniędzy za uprzątnięcie placu.

– Szpital ma być własnością miasta, więc wy musicie wykupić teren. Moje wojsko może go odgruzować, o ile wskażecie miejsce na wysypywanie odpadów. Mogę się również zastanowić się nad częściowym sfinansowaniem budowy według projektu, który wy dostarczycie.

– Projekt też kosztuje, nie wiem, czy w tym roku zgromadzimy na to pieniądze – odezwał się skarbnik.

– Moje dziewczęta przeliczyły, że pieniądze wam giną – powiedziała z uśmiechem Zola. – O ile pan pozwoliłby zajrzeć do swoich ksiąg rachunkowych temu człowiekowi – wskazała Dzonchina – to on powie, jaka jest różnica w tym, co pan powinien otrzymać. Moje kobiety w tej chwili analizują źródła wycieku z kasy miasta. Co do finansów należnym nam, skontaktujemy się za trzy dni.

Skarbnik wyglądał na zadowolonego, ale burmistrz zrobił kwaśną minę.

Dziewczyny przeanalizowały wystarczającą liczbę gospodarstw, by obliczyć podatek, który powinno pobierać miasto. Wyszła bardzo duża kwota, od której około jednej trzeciej trzeba odprowadzić do skarbu króla. Nieodprowadzenie należnych królowi pieniędzy było przewinieniem rady miasta. Zarzut niewywiązywania się wobec skarbu króla brzmiał groźnie. Burmistrz obawiał się odpowiedzialności za to zaniedbanie. Zola w czasie oficjalnej narady powiedziała za dużo, zorientowała się po niewczasie, dlatego po zakończeniu zebrania poprosiła burmistrza o słowo na osobności. Gdy zostali sami, stwierdziła:

– Nie mam zamiaru doszukiwać się nieścisłości w pracy pana biura. Mój sekretarz był w przeszłości poborcą podatkowym. Jego zdaniem tutejsi celnicy okradają kasę miasta. O ile wyraziłby pan zgodę, to moi ludzie w miesiąc doszliby, kto ile sprzeniewierzył. Naturalnie zachowalibyśmy poufny charakter dochodzenia. Zdaje się, że nigdy nie prowadzono takich kontroli, dlatego poborcy podatkowi czują się bezkarni.

Wywód przekonał burmistrza.

– Czy moglibyście dokonać tych kontroli po cichu, by ogół społeczeństwa się nie dowiedział?

– Jak powiedziałam, kontrolę dokonamy poufnie.

Do kontroli Zola zaangażowała dwadzieścia dziewcząt. Miały tłumaczyć ludziom, że rozmowy nie wpłyną na wysokość ich podatku, obliczają jedynie zobowiązania miasta dotyczące obrony rejonu. W czasie narady przewidziano odpowiedzi na ewentualne dodatkowe pytania. Ruszyły w teren z wystawionymi glejtami burmistrza.

Praca była mozolna. Każda z dziewczyn odpowiadała za rewir jednego celnika. Spisywały wysokość pobranego podatku, częstotliwość pobierania opłat i ostatni pobór.

Kobiety z biura sekretarza bez przerwy spisywały i podliczały dane a Dzonchin porównywał wyniki z księgami skarbnika. Niedostatki wpływów do kasy miasta zaobserwowali już po kilku dniach. Zola spotkała się z burmistrzem, by to omówić. Różnice między poborem a wpływami do miasta były zbyt duże, by na nieuczciwość celników przymknąć oko.

Rozpoczęła rozmowę, gdy do gabinetu wszedł niższy urzędnik, informując, że mężczyzna z biura garnizonu chce coś zakomunikować. Burmistrz nie był zadowolony z przerywania narady, ale pozwolił wejść.

– Marduk!? Czemu nas nachodzisz? Nie mogłeś poczekać do mego powrotu? – spytała Zola.

– Pani, może bym mógł, ale Kana powiedziała, że o tym powinien dowiedzieć się burmistrz miasta.

– Wyrażaj się jasno. Nie wiem, o czym mówisz?

Mężczyzna przełknął ślinę.

– Powiem po kolei. Przyszła pani Kana z nowymi danymi. Po niej weszło do biura sześciu osiłków z długimi mieczami. Kazali wydać wszystkie dokumenty dotyczące podatków. Ja z Dzilisem zaryglowałem się w sąsiednim pokoju. Słyszeliśmy huk walki, a potem pani Kana kazała nam wychodzić. Pokazała sześciu powiązanych mężczyzn i poleciła zwalić ich do piwnicy. Sturlaliśmy ich po schodach, ale wszyscy żyją. Kana powiedziała,

że przynajmniej trzech jest ze straży miasta i trzeba o tym jak najszybciej powiedzieć burmistrzowi.

– Chcesz powiedzieć – odezwał się burmistrz – że jedna kobieta powiązała sześciu uzbrojonych strażników.

– Nie jedna, pani Kryste i Wila jej pomogły...

– Przecież te panie są kalekami – przerwał mu Burmistrz.

– Panie, kalectwo im nie przeszkadza, by kogoś stłuc. Broni nie miały, rozbiły dwa krzesła i nogami od nich potłukły napastników do nieprzytomności.

– Kto im pomógł? – dociekał burmistrz.

– Przecież ich było tylko sześciu, z długimi mieczami w ciasnym pomieszczeniu – tłumaczyła Zola. – Dwóch na jedną to żadna siła dla moich dziewcząt.

– Ostatnio zginęło dwóch moich strażników, czy to może mieć związek z tą sprawą.

– Możliwe, wiem o czterech napaściach na dziewczyny. W zawyżone prowizje dla celników są zaangażowane inne służby w tym mieście. W niektórych przypadkach prowizja poborców z dziesiątej części wzrosła prawie do połowy. Umiecie skrupulatnie żądać podatków, to jest wykonywane dokładnie i dosyć uczciwie, jednak w urzędzie miasta ktoś powinien liczyć planowane wpływy do kasy. Miasto opiera się na ściąganiu podatków przez poborców, ale nie ustanowiliście nad nimi kontroli.

Po miesiącu rozpoczęły się rozprawy sądowe nieuczciwych urzędników. Zolę już to nie interesowało, ponieważ przyszedł królewski rozkaz zdobycia Hromkli. Jednak sprawa ściągania podatków nie była rozwiązana, Zola tymczasowo przydzieliła burmistrzowi dziesięć dziewcząt, aby mógł uzupełnić braki wśród celników.

Wyprawa na Hromkę nie wymagała skomplikowanych planów. Miasto otoczone murami, z trzema bramami wyjazdowymi, można było spokojnie objechać dwiema drogami zewnętrznymi. Mury były solidnej konstrukcji, ale Zola nie miała zamiaru ich forsować. Posiadając sprzęt ciskający kulami ognia, uważała, że miasto wystarczy zastraszyć, by się poddało. Przygotowywała się nie tyle do walki, co do przejęcia władzy. Gród miał stanowić własność Francuzów, ale ona również miała mieć w nim swój udział. Garnizon rozszerzony był na tamten teren, a komendantem jest jej dowodzący. Nie miała zamiaru odpuścić choćby najmniejszej części władzy. Była emirem, a nad nią był tylko król.

Wiedziała, że król miał trudny układ z Francuzami, w razie zatargów będzie ich bronił. Chcąc okazać dobrą wolę, przodem wysłała rycerstwo, zalecając im rozbić obozu przy bramie miasta. Sama jeszcze dwa dni zajmowała się sprawami garnizonu. Wyjeżdżając, zabrała ze sobą tysięczną armię i dwanaście dziewczyn pod dowództwem Jany. Garnizonem w Anazarbie miała dowodzić Karle.

Nie śpieszyła się. Bardziej zależało jej na bezpieczeństwie swoich ludzi niż uporaniem się z nieswoim miastem.

Francuzi na pewno narobią głupot. Byli dzielni, ale nie znali się na sposobach walki Saracenów, Mongołów czy Turków. Rycerstwo atakowało na wprost lekką jazdę, która rozjeżdżała się przed nimi, aby z boków zasypać ich strzałami. Rycerz bez konia był łatwym celem dla lekko uzbrojonego piechura.

Ostatni nocleg wypadł im między dwoma pagórkami, w miejscu stoczenia bitwy z Turkami Dzarhita. Nie zabierała ze sobą jego oddziału, ale i tak miejsce to przywoływało smutne wspomnienia. Mogiła dla czterystu bojowników zarosła trawą, była jednak widoczna nawet z oddali. Przy kolacji Wilam wspomniał bitwę:

– Turcy przybyli tu po złoto. Nie ciągniesz go ze sobą, zostawiłaś w siedliskach, nie boisz się, że ciebie okradną.

– Przyjrzałam się Dzarhitowi, jest dwulicowy, ale nie oszuka swego emira. Choć zdaje mi się, że w tej chwili służy dwóm – zaśmiała się. – Na pewno dogada się z emirem Turków i nasza północna granica będzie bezpieczna, a główny zapas złota zasypany jest w zamurowanych piwnicach. Gdzie one są, wiedzą tylko ludzie jadący z nami.

– Zawsze umiałaś wszystko rozstrzygać jednym cięciem – uśmiechnął się, uważając, że żartuje.

– Nie przypominaj mi tamtego. Muzabok bardzo mnie skrzywdził, zawsze życzyłam mu źle. To że chciał całą armię sprzedać mamelukom było mi obojętne, ponieważ i tak byłam niewolnicą, jednak zabicie jego nie było chwałą. Widziałam strach u wielu ludzi, którzy stali obok. Zabiłam ich monarchę i nie wiedzieli, co ich czeka. Mogli złapać za broń i uderzyć na mnie, ale wtedy znaleźliby się jeszcze w większej próżni. Było to jednak jedyne rozwiązanie dla bezpieczeństwa mych kobiet i ludzi, których wzięliśmy w niewolę.

– Co myślisz zrobić jutro? Czekają nas bitwa?

– Nie myślę walczyć, chociaż przypuszczam, że Francuzi już próbowali. Trzeba przywołać ich do porządku. Rozbijamy obóz przy zachodniej bramie, rozstawiamy sprzęt miotający i czekamy.

– Na co chcesz czekać? Rycerstwo już na pewno rozpoczęło szturm na mury. Mogą nie wykonać naszych poleceń.

– Będą próbowali to zrobić, chcą być górą. Jak sami zdobędą miasto, zaczną dyktować warunki.

– I co wtedy poczniesz?! – Wilam się zirytował. – Nie założymy kancelarii garnizonu, nie będziemy mieli dodatkowych zysków.

– Czy kiedykolwiek ciebie zawiodłam? Byłeś przy rozmowach. Król polecił nam zdobyć Hromkli, ale nam na tym nie zależy. Król o tym wie, jednak pochodzi z dynastii łacińskich, jego żona również i szwagier także. Ten ostatni dowodzi francuską chorągwią. My mamy swoją armię, która ma bronić granic państwa. Moi ludzie wojowali całe życie, nie mam zamiaru narażać ich znowu na śmierć...

– Nie masz innego wyjścia, musisz zdobyć miasto.

– Masz rację, ale to ja mam go zdobyć. O ile rycerstwo nie podporządkuje się moim rozkazom, wycofamy się do granic Cylicji i będziemy go bronić, przed Francuzami również. Królowi postaramy się donieść o tym w jak najszybszym czasie. Franko niech rządzi w Hromkli, my będziemy mieli spokój i król także.

– Jesteś przebiegła, oby szczęście ciebie nie opuściło.

– Szczęście to przypadek, nigdy nie wiesz, co wróg wymyśli. Zazwyczaj najgorsi wrogowie są tuż pod bokiem.

Pod Hromklę dojechali we wczesnych godzinach popołudniowych. Tak jak Zola przewidywała, Francuzi otoczyli miasto i pilnowali wszystkich bram. Próbowali nawet forsować mury, tracąc przy tym dwunastu ludzi, sukcesu jednak nie odnieśli.

Kazała odszukać i przywołać do siebie Franko.

– Poleciłam panu, żeby stanął pan obozem przy tej bramie i zaczął negocjacje – mówiła wzburzonym głosem.

– Wybacz, pani, ale mam więcej doświadczenia w zdobywaniu miast od ciebie. Jak oni będą mieli możliwość wydostania się, to ściągną takie posiłki, że nie będziemy mieli szans.

– Nie dyskutował pan ze mną na ten temat. Liczyłam właśnie na to, że ich posiłki tu się zjawia. To miasto jest samodzielne i nie mamy pojęcia, z kim mają układy. Jak teraz się tego nie dowiemy, to potem będziemy mieli

kłopoty. Król mnie polecił zdobyć miasta, miał w tym jakiś zamysł. Mogę mu donieść, że pan się z jego zamysłem nie zgadza... – Zawiesiła głos, czekając na jego odpowiedź.

– Co pani robi, jak to ja zdobędę miasto?

Wytłumaczyła mu, co zamierza i co będzie robiła z jego korespondencją.

– Każdy list od pana będzie kontrolowany i dopisywany mój komentarz – tłumaczyła. – Nie po to ciągnęłam tu wojsko, by teraz podporządkować się panu.

– Mam zaprawioną w boju chorągiew. Nie ma pani szans z nami.

– Zbiera pan tę swoją chorągiew. Ja wycofuję się na granicę Cylicji. Tylko proszę pamiętać, nie przepuszczę pojedynczego jeźdźcy, nie mówiąc o pana chorągwi.

– Czemu pani zawsze jest taka uparta?

– Bo znam swoją siłę. Krzyżowcy przybywali tu tysiącami, a zostały ich setki. Pana król umiera, nawet nie wie pan, kto będzie nowym monarchą, jednak chce się pan tu zadomowić. Tutaj ja jestem emirem, jedynym w królestwie, pan nim nie będzie.

Uśmiechnął się, chcąc zminimalizować napiętą atmosferę.

– Czemu pani się mnie nie boi? Przecież jesteśmy groźną jednostką.

– Jak przeżyje pan pierwszą bitwę na tym terenie, to dowie się pan dlaczego. Tu nie ma szarż europejskich. Gdy spadnie pan z konia, pana długi miecz stanie się nieprzydatny. Walczę kilka lat dłużej, znam sposoby walki i teren, a pan nie wie nic.

Usiadł na krześle i nic nie mówił, potem powiedział niemal szeptem:

– Jesteś przebiegła, ale wciąż nie wiem, jak planujesz dostać się do środka tego grodu.

– Poczekam aż otworzą mi bramę.

– Żartujesz ze mnie, pani?!

– Ściągnie pan swoich ludzi i na błoniach z drugiej strony rozbije pan obóz. Niech pana rycerze trochę odpoczną. Mam nadzieję, że martwych już pan pochował?

– Jeszcze nie. Niektóre ciała leżą przy samych murach.

– Jutro umożliwię panu, by je pozbierać. Każdy grzebie swoich, ja panu nie pomogę. Pozostawienie ich martwych krukom to grzech.

– Pani służyła u Mongołów, oni nie grzebali swoich.

– Mało pan wie, poza tym jestem Ormianką.

Tego dnia zajęli się organizacją obozu. Tom ustawiał rząd miotających machin. Przy każdej katapulcie umieszczał zapas pocisków zapalających. Wysłał również dwa wozy do zbierania kamieni, które miały być pociskami. Z boku, trochę dalej, ustawiali swoje namioty Francuzi. Gdy były widoczne granice obozowiska, przywołała Samuela i Janę.

– Cały oddział Saracenów jest odpowiedzialny za bezpieczeństwo obozu. Samuelu, swoje czujki umieszczaj daleko. Umów sygnały tak, byśmy z dużym wyprzedzeniem wiedzieli o napaści. Jeżeli nie będzie bezpośredniego kontaktu ze mną, to ona będzie mnie zastępować – wskazała palcem Janę. – Dostaniesz od niej osiem dziewczyn, które będą zwiadem i łączniczkami. Uważaj na Francuzów. Nie chciałabym, by wymykali się po cichu z jakimiś misjami. Pilnuj na wszelki wypadek drogi powrotnej. Stamtąd również może nadejść zagrożenie. Emir Turków na pewno już wie, gdzie jesteśmy, może zechcieć zrobić nam niespodziankę i zrewanżować się za porażkę Dzarhita. Jesteśmy za granicami państwa, tu może nas napaść. Przygotuj ludzi, przed nocą warty muszą zająć stanowiska.

Odczekała aż dowódca wyjdzie i zwróciła się do Jany:

– Dziewczyny, które jemu przydzielisz, podzielisz na dwie grupy. Od rana po dwie objeżdżają miasto i obozowisko, utrzymując cały czas kontakt z Samuelem. Niech go informują, co gdzie zauważyły. Ty i trzy dziewczęta ubierzcie się teraz w swoje jedwabne stroje. Przygotujcie białą chorągiew, pójdziemy pod mury miasta. Dziś długich rozmów nie będzie, chyba że oni na nas czekają. Najprawdopodobniej umówimy się na rozmowę jutro po śniadaniu, ale jeszcze dzisiaj musimy ułożyć plan działania. Porozmawiaj z dziewczynami, każda ma sobie przypomnieć, co jest za tą bramą. Pamiętam, że była tam stajnia, ale jeszcze jakieś magazyny, pomost podejścia na mury. Wszystko jest ważne, każdy szczegół może mieć znaczenie. Nie chcę im palić całego miasta, trzeba ich tylko zastraszyć. Przyjdiesz na kolację do Wilama, razem z Tomem ułożymy strategię działania.

Idąc pod bramę, zabrały ze sobą tarcze. Pomimo białej chorągwi, nie były pewne, jak zachowają się łucznicy na murach. Jeszcze dziś rano Francuzi szturmowali to miasto, na pewno nastawienie obrońców nie będzie przychylne. Tak jak się spodziewały, gdy tylko znalazły się w zasięgu łuku, w ich kierunku wyleciały dwie strzały, ale one szły dalej. Zatrzymały się dopiero, gdy mogły spokojnie porozmawiać z tymi, co stali nad bramą.

– Chcę rozmawiać z burmistrzem. Mamy sporo waszych jeńców z okresu, gdy opuszczałam to miasto. Chcę was przyłączyć do królestwa Cylicji. Trzeba to omówić, inaczej będę zmuszona zniszczyć miasto i przejąć teren.

– Już tu jedni byli przed tobą i nic nie wskórali.

– Czy ty jesteś burmistrzem?

– To nie twoja sprawa, kobieto.

– Przyjdę tu po śniadaniu. Jak nie zastanę burmistrza, to jego syn i dwóch innych zginą, a ja i tak przejmę to miasto.

Powiesiły sobie tarcze na plecach i poszły w powrotną drogę.

Przy kolacji wszyscy byli zgodni, że obrońcy dobrowolnie się nie poddadzą. Do rozmów poproszono również Samuela.

– Mają dwie niepilnowane bramy, z których w każdej chwili mogą wyjechać nawet całymi armiami – mówiła Zola. – Są zbyt słabi, aby nas zaatakować, ale mogą próbować narobić nam szkód. Ta noc dla ciebie Samuelu jest najważniejsza, bo nie mamy rozeznania. Od rana dziewczęta będą donosiły tobie o wszelkich ruchach. Po śniadaniu ja z dziewczętami pójdę na rozmowy, bo dobry obyczaj tego wymaga. Damy im ze dwie godziny do namysłu i zaczniemy ostrzał. Brama tak szybko nie spłonie, jest z grubych bali...

– Wymyśliłem na nią sposób – przerwał jej Tom. – Mam dzbany z olejem skalnym. Jak od czasu do czasu rozbiją taki garnek o bramę, to będzie się palić jak pochodnia.

– Dobry pomysł – wszedł w słowo Wilam. – Jednak na pewno z drugiej strony będą polewali ją wodą.

– Nie tylko będą polewali wodą – włączyła się Jana. Wyjęła kilka kartek papieru i zaczęła rysować. – Przy bramie dziewczyny widziały ich katapulty. Oni już na pewno nastavili swoje pociski na nas.

– Czym to grozi? – spytała Toma Zola.

– Jak mają coś palącego, mogą spalić naszą amunicję.

– Musisz przez noc ją zabezpieczyć, a pierwszy swój ostrzał skierować na to miejsce. Zastanówmy się – Zola wzięła rysik i zaczęła kreslić – tu mają stajnię, nad nią jest drewniane wejście na mury. Jak podpalamy stajnię, to żar będzie taki, że nie będą mieli możliwości lania z góry wody na bramę. Musieliby wodę nosić z innego podejścia. Z drugiej strony wejścia stoją szopy magazynowe kryte gontem. Podpalenie ich utrudni im dojście do katapult.

– Zróbmy tak – stwierdził Wilam. – Podpalmy najpierw wszystko za bramą, a potem będziemy palić bramę.

– Może lepiej posłać kilka pocisków w centrum miasta, tam gdzie jest ratusz? – spytał Tom.

– Spalisz burmistrza, nie będzie z kim rozmawiać – zaśmiała się Zola.

Rano podjechały konno pod bramę. Na murach zobaczyła przewodniczącego zarządu miasta.

– Czego chcesz od nas, kobieto? Wiedziałem, że poprzednio nie przyjechałaś ot tak sobie...

– Przyjechałam omówić bezpieczeństwo nasze i twego miasta, a ty nie chciałeś nas wysłuchać i napadłeś nas, gdy wracaliśmy.

– Napadli was Turcy!

– Nie kłam! Twój syn dowodził członkami twojej straży. Trzydziestu pochowano. Dwudziestu trzech wzięłam do niewoli. Twój syn i ten drugi jest w lochach króla Hetuma. Pozostali są bojownikami mojej armii. Dowodzi nimi Turek, na pewno nie uciekną. Jak przyłączę was do królestwa Cylicji, to ich zwolnię, o ile będą sobie tego życzyli. Na razie daję ultimatum. Albo otworzycie bramę i wjadę tu jako zarządca, albo zniszczę miasto. Hromkła będzie należała do królestwa Cylicji, a zarządzać nim będzie chorągiew krzyżowców francuskich. Ja rozszerzę tu swój garnizon i będę ich nadzorować.

– Pani za dużo chce, a za mało potrafi...

– Potrafię dużo więcej, niż się tobie zdaje. Odpowiada pan za bezpieczeństwo ludzi, którzy tutaj żyją. Zostawiam dwie niepilnowane bramy, którymi każdy może wyjechać, oprócz członków zarządu miasta. Może pan wyprowadzić mieszkańców, ale zaznaczam, przejmę każdy majątek pozostawiony bez nadzoru. Najpierw pozwoli pan francuskim

rycerzom pozbierać swoich martwych. Potem na otwarciu bramy daję panu godzinę. Po niej nie będę już prosić o rozmowy.

Odwracając się, przewiesiła tarczę na plecy i odjechała. Towarzyszące jej bojowniczkę zrobiły to samo.

Dojeżdżając do obozu, dała znać wozom Francuzów, by pojechali zbierać martwych. Sama z Janą i Tomem zaszyła się w namiocie Wilama.

– Zmierzyłem odległość. Nie wiem, czy uda mi się podpalić coś, co jest zaraz za bramą. Pociski łukiem będą leciały dalej – tłumaczył Tom.

– Może uda ci się rozbijać pociski o koronę muru? – spytała Zola.

– Uda się, ale pociski co sam robię, nie rozbijają się w pył jak poprzednie. Tamte były sprowadzane z Persji, miały inną glinę. Moje też się rozbijają i nie gasną, ale dalej lecą w kilku kawałkach.

– Mówiłeś o dzbanach z olejem. Dużo ich masz?

– Kilkadziesiąt, mam również baryłki. Też się rozbijają jak uderzą w bramę, ale nie wiem, jak będą leciały, są trochę cięższe.

– Poszukaj takich kamieni, by się wstrzelać. Czy ich katapulty możesz sięgnąć od razu?

– To zależy. Oni mogą strzelać wysokim łukiem, ja stoją za daleko, by móc to zrobić.

– Jeżeli mają takie nastawy, to ich pociski do nas nie doleczą – włączył się Wilam.

– Najprawdopodobniej są ustawione po to, by razić nieprzyjaciela za murami – odpowiedział Tomy. – W tej chwili mogli odciągnąć je dalej w uliczki, aby zmniejszyć kąt i tym samym strzelać dalej.

– Trzeba obserwować, skąd strzelają – znów włączyła się Zola. – Wyślij ludzi po drewno, niech zbudują wysoką ambonę. Chcę widzieć dachy wewnątrz miasta...

– Pomyślałem już o tym, wozy z dłużycami powinny niedługo wrócić. Francuzi mieli drabiny do forsowania murów. Wykorzystam je, budowa wieży nie zajmie dużo czasu.

– Ustaw ją na drodze, niech myślą, że to będzie machina oblężnicza.

– Mówiłaś, że nie będziesz forsować murów.

– Po co narażać swoich ludzi, jak możemy spalić całe miasto. Mnie na nim nie zależy, to miasto Francuzów – zaśmiała się, jakby opowiadała dowcip.

– Masz dziwne podejście – powiedział Wilam. – Tam też są ludzie.

– Dlatego zostawiłam dwie bramy bez nadzoru, mogą uciekać. Nie będę ich zatrzymywać ani ścigać. Nie pozwolę jedynie uciec burmistrzowi. Byłaś Jana ze mną przy bramie, dziewczyny widziały, kto z nami rozmawiał. Zaraz wyjedziecie. Weźcie ze sobą prowiant, zaszyjcie się w krzakach przy tamtych bramach i obserwujcie. Burmistrz nie ma prawa uciec. Jak złapiecie innych członków zarządu, to też dobrze. Ludzi nie zatrzymujcie, niech sobie idą.

Nie rozpoczęła ostrzału dopóki nie wybudowano ambony i nie mogła obserwować, gdzie spadają ich pociski. Tom używał pięciu wyrzutni. Bardzo szybko wystrzelał się kamieniami w koronę muru nad bramą. Potem poleciały pociski zapalające. Za bramą widać było ruch. Ludzie próbowali gasić ogień w zarodku, ale gdy o mur rozbijały się dzbany z olejem, w niebo wystrzelały fontanny ognia. Nawet Tom nie spodziewał się takiego efektu. Posłał jeszcze kilka dzbanów za mury i dwie katapulty ustawiał na bramę. Brama zapłonęła bardzo szybko i ilekroć ogień na niej przygasał, słał tam kolejny dzban z olejem.

Wilam wdrapał się do Zoli. Stwierdzili, że ogień się nie rozprzestrzeni. Płonęło wszystko, ale tylko w okolicy bramy. Prawdopodobnie w mieście mieli sprawną służbę na wypadek takich

katakлизмów. Coraz rzadziej wysyłali tam pociski, zależało im tylko na niedopuszczeniu ratowników w rejon bramy.

Po drugiej godzinie ostrzału pod ambonę podszedł Samuel.

– Jana przyprowadziła trzech ludzi z miasta, chcą z panią rozmawiać.

Kazała Tomowi wstrzymać ostrzał i zeszła na dół.

– Gdzie oni są?

– W moim namiocie. Chciałem ich podprowadzić tutaj, ale Jana powiedziała, że lepiej jeśli nie będą oglądać naszego sprzętu.

Trzech mężczyzn siedziało przy stole, jednego widzieli po raz pierwszy. Jana usiadła na krześle przy wejściu, ona z Wilamem i Samuelem zajęli miejsca na wprost przybyłych.

– Co panów sprowadza? – spytała.

– Pani, przyszliśmy prosić o wstrzymanie ostrzału – zaczął mówić nieznany mężczyzna.

– Nie znam pana.

– Jestem członkiem zarządu miasta.

– Rozmawiałam w towarzystwie tego pana – wskazała na Wilama – ze wszystkimi członkami zarządu. Pana wśród nich nie było, byli ci panowie. Może oni będą mówili.

– Pani! – odezwał się drugi przedstawiciel delegacji. – Dla nas będzie lepiej jak ten pan będzie mówił.

– Gdzie burmistrz? – spytała.

– Naprawdę lepiej będzie, gdy ten pan będzie rozmawiał – mężczyzna okazywał strach.

Zola odwróciła się do Jany.

– Bramy są pilnowane?

– Tak jak kazałaś, po dwie dziewczyny przy każdej.

– Panowie – zwróciła się do przybyłych. – Nie będę z wami rozmawiać. Ma tu przyjść burmistrz.

– Przecież my możemy rozmawiać w jego imieniu – zaprotestował nieznajomy.

– Nie możecie, aresztuję was. Przekażę tę wiadomość dla mieszkańców. Poczekam na burmistrza jeszcze pół dnia. Nie zjawi się, zacznę ostrzelać centrum. Jak jeszcze się nie zjawi, rano otoczę miasto.

– Czemu pani nie chce z nami rozmawiać? – znów odezwał się nieznany jej mężczyzna.

– Ponieważ nie rozumiem układów, jakie w tym mieście panują. Mam przejąć władzę i przekazać ją francuskim rycerzom. Oni nie są tacy grzeczni jak ja, chcieli was brać siłą. Mnie jest obojętne, w jaki sposób przejmę ten teren, mogę spalić całe miasto. Nie zdążycie ugasić pożarów. Jak myślicie, że będę próbowała forsować mury, to się mylicie. Mam dużo amunicji i czasu. Jest wiosna, do zimy wytrzymam pod namiotami.

– Seldżukidzi ci na to nie pozwolą.

– Pan też jest Turkiem. Liczy pan na ich pomoc. Nie doczekacie się ich, obstawiłam granice. – Odwróciła się do Samuela – Uwięzi ich pan, każdego osobno, by nie mogli się porozumieć. Potem ich przesłucham. Jana, jedź do dziewczyn, prawdopodobnie burmistrz chce uciec z miasta.

Wznowiono ostrzał bramy. Zola zabrała dwie dziewczyny oraz dziesięcioosobową obstawę męską i pojechała do bramy północnej.

Rozwinęli białą chorągiew i podjechali na trzydzieści kroków od muru. Wrota były zamknięte, a na murze stało kilku wartowników, tym razem nikt nie strzelał.

Zeskoczyła z siodła i podeszła bliżej.

– Czy jesteście w stanie przekazać wiadomość dla burmistrza? – spytała.

– Kto mówi?! – odezwał się strażnik na murze.
– Jestem Zola, emir wojsk, które was atakują.
– Wysłano do was trzech ludzi, oni mogą przekazać wiadomość.
– Nie mogłam się z nimi dogadać, dlatego ich zamknęłam. Wypuszczę dopiero, kiedy się wszystkiego dowiem.

Mężczyzna zniknął za flanką muru, dłuższy czas się nie pokazywał. Gdy się ponownie wychylił, spytał.

– Co mam przekazać?
– Jeżeli on osobiście nie zgłosi się do mnie na rozmowy, to po obiedzie zacznę palić budynki w centrum. Ludzie mogą uciekać do świtu, ponieważ rano otaczam całe miasto i już nikogo nie wypuszczę. – Wsiadła na konia i ruszyła w drogę powrotną. Na rozstajach zatrzymała drużynę.

– Irga! – przywołała dziewczynę. – Weź pięciu mężczyzn i zostań. Gdzieś w krzakach siedzą dwie nasze, wiedzą, co mają robić. Kana, pojedziesz do bramy wschodniej i sprowadzisz do obozu Janę.

Wdrapała się na ambonę. Za bramą ogień wszystko już strawił, pomimo to Tom od czasu do czasu posyłał tam dzban z olejem, by nikt z drugiej strony nie próbował ratować wrót. Interesowały ją tereny położone dalej. Nie było trudne zrobić wielkie ognisko, ale żał jej było ludzi. Sama pochodziła ze spalonej Orby. W tym mieście było jednak coś nienormalnego. Panował trudny do odgadnięcia układ. Wiedziała, że się nie poddadzą, potrzebna im była zachęta. Najlepszą zachętą byłoby podpalenie domów ludzi możnych, czyli wywołać pożar w centrum miasta, bo tam mieszkają najbogatsi. Rozmyślanie przerwało nawoływanie Jane.

– Zola! Co chciałaś ode mnie?
– Weź kawałek papieru i chodź do mnie. Tom, jak znajdziesz chwilę czasu, też możesz do nas dołączyć.

Trójka przyjaciół przyglądała się miastu z góry.

– Budynek ze ściętą wieżą to ratusz. Przy ratuszu będą domy wysoko postawionych. Dalej mieszkania zwykłych urzędników, na nich szkoda ognia, bo to domy wynajmowane. Tego wyższego domu, gdzie w dachu są oficynki, nie spal, karczmarz był miłym człowiekiem.

– Postaram się.

– Tom, dostrzelisz do domów władców?

– To z ćwierć mili, trudno będzie, na taką odległość celność jest ograniczona. Narysujcie mi to na kartce i ponumerujcie budynki. Gdy będę na dole, będziesz krzyczała, w co trafiam.

– Jana, idź do więźniów, których przyprowadziłaś. Chcę wiedzieć, czego się boją urzędnicy i czemu wszystko ma tłumaczyć człowiek, który nie jest we władzach miasta. Obiad u Wilama w namiocie, tam omówimy, co robić dalej.

Przy posiłku Jana stwierdziła, że gość nie jest z miasta, to seldżucki Turek.

– Nic nie chciał powiedzieć – tłumaczyła – ale gdy przebiłam mu piętę, to trochę zmiękł. Gadatliwy się zrobił, gdy przyłożyłam miecz do drugiej stopy – westchnęła i mówiła dalej. – W mieście zakwaterowała się szabla bojowników. Przytrzymują rodziny członków zarządu, grożąc, że pozabijają kobiety i dzieci na ich oczach. Głównym zamysłem jest przejęcie terenu. Mają tu zgromadzić armię, aby uderzyć na Cylicję i sułtanat konijski. Dwaj panowie z rady potwierdzili słowa tamtego. Urzędnicy z rodzinami są przetrzymywane w budynku zarządu miasta. Turcy zajęli ich domy i każą sobie przynosić jedzenie. Zdarzało się, że z ulicy zgarniali kobiety. Młodych chłopców też zabierają, mówią, że zrobią z nich wojów.

– Długo już tam są? – spytał Wilam.

– Pól szabli odwiedziło miasto tuż przed naszym poprzednim przyjazdem, ale gdy się dowiedzieli o nas, to się ukryli. To oni kazali nas zlikwidować. Teraz zjechała cała szabla i siedzą już trzy tygodnie.

– Na razie nie zmieniamy planu – do głosu doszła Zola. – Oni nie muszą wiedzieć o naszych planach. Powiadomiłam ich, że chcę rozmawiać z burmistrzem. Nie przyślą go tu, raczej zabiją, ale przyda się im żywy. Jak zobaczą nasze możliwości spalenia miasta, to uciekną, zabierając go jako zakładnika. Miasto zostanie bez władzy, to niedobrze.

– Zaczną się przepychanki w cechach – skwitowała Jana.

– Tomy, wyślij kogoś do Francuzów, niech zawołają Franko. Czas zaprzęgnąć go do roboty.

Przejęcie miasta zależało od wygnania Turków. Oni zastraszali jednak mieszkańców, w rzeczywistości mogli pogonić ich przeciw nim. Na ucieczkę Seldżukidów również nie można było pozwolić. Tym zadaniem Zola obarczyła chorągiew francuską, wysyłając ich w kierunku wschodniej bramy. Poleciała, aby ustawili się w odległości mili od miasta. Tym razem wytłumaczyła Frankowi swoją decyzję.

– Bramę północną zastawię dużym oddziałem piechoty, nie odważą się tamtędy uciekać. Bliżej im będzie przez bramę wschodnią. Trzeba pozwolić im wyjść. Zaatakujecie, gdy zamkną za nimi bramę. Zadanie jest trudne, ponieważ należy odbić mieszkańców miasta, na pewno wyprowadzą sporą grupę.

– Skąd pani wie, że oni będą uciekać? – spytał Franko.

– Co pan by zrobił, gdyby siedział w mieście, które zaraz w całości spłonie?

– Najpierw chciałbym dowiedzieć się, czy to możliwe.

– Właśnie im to pokażę, ale jak pan będzie na miejscu.

Po obiedzie Zola poprosiła na ambonę obydwu zatrzymanych ludzi z zarządu miasta, aby pokazali, w których budynkach zamieszkali Turcy. Najpierw posypał się grạt kamieni, a potem pociski zapalające. Palącą się bramę również obsypali kamieniami. Nadwęglone drewno rozsypało się w dogasające szczapy. Za bramą stała zaporowa krata, ale nikt jej nie pilnował. Posłała tam dziesięciu konnych, którzy rozbili ją toporami. Wjazd do miasta był wolny.

Niedługo po tym przybyły dziewczęta ze wschodniej bramy, informując, że około trzystu konnych bojowników pędzi pięćdziesięciu mieszkańców. Mają dziesięć wozów i ponad setkę luźnych koni. Kazała Tomowi przerwać ostrzał, a Wilamowi przygotować szturmowe wejście do miasta. Sama pojechała do Samuela.

– Ściągnij odległe posterunki, niech przyprowadzą ludzi, których zatrzymali. Przesłucha ich Jana, a delegacje przyprowadzisz do mnie. Ja pojedę do miasta, zamieszkać w karczmie, którą Jana zna.

– Skąd pani wie, że moi ludzie kogokolwiek zatrzymali?

– Dziewczęta mi doniosły.

Sześciuset piechurów ustawionych w trzy rzędy przechodziło przez spaloną bramę. Zaraz za nią rozpierzchali się uliczkami w głąb miasta. Nie natrafiali oporu. Ulice były puste, mieszkańcy pochowali się w domostwach. Zola nakazała napotkanym ludziom powtarzać: „przyszliśmy was wyzwolić i przyłączyć do Cylicji”. Informacje nie wywoływały entuzjazmu, choć zdecydowana większość przyjmowała je spokojnie. Na końcu pochodu szła Zola z dwoma uwolnionymi urzędnikami. Kierowali się w kierunku magistratu. Nikogo tam nie zastali. Domy urzędników strawił pożar. Oni rozpytywali się o swoje rodziny. Nikt nie umiał im odpowiedzieć, ale sąsiedzi twierdzili, że pozostałych członków zarządu Turcy zabierali wraz

z rodzinami. Należało przypuszczać, że ich rodziny również zostały uprowadzone.

– Jeżeli są w grupie jasyru, to Francuzi ich wyzwolą – pocieszała ich Zola.

– Nawet jak rodziny wrócą, to nie będziemy mieli gdzie zamieszkać – rozpaczali na widok swoich domów.

Ich biadolenie zirytowało dziewczynę.

– Możnowładcy myślą, że prosty naród idzie na wojnę i oddaje życie za ojczyznę, a możnowładców to nie dotyczy – tłumaczyła w gniewie. – Teraz zrozumiecie, wojna jak śmierć, nie wybiera, sięga po wszystkich. Chcąc przypodobać się Turkom, wysłaliście oddział straży, aby pozabijał moje dziewczyny. Ja was nie będę ścigała z mieczami, ale jakoś do tego miasta musiałam wejść. Wasze domy to najmniejsze straty, jakich mogłabym dokonać.

Francuzi walczyli do późnego wieczoru. Oddział przeciwnika rozbili w pierwszym natarciu, ale lekka jazda Turków, władająca łukami w siodłach, świetnie się broniła przed ciężko zbrojnym rycerstwem, które licznie miało przewagę. Zola, po opanowaniu miasta, wysłała im na pomoc dwuosobowy oddział piechoty, a ten szybko opanował tabor i jasyr. Turcy widząc, że nie ma już czego bronić, próbowali uciec. Większość z nich zginęła, kilkunastu dostało się do niewoli.

Ludzie Franka również ponieśli straty. Ośmiu zginęło, a ponad trzydziestu nie było zdolnych do władania bronią.

Rycerstwo zakwaterowało się w zajeździe dla karawan.

Zola planowała iść do burmistrza, ale ostatecznie odłożyła oficjalne rozmowy na następny dzień. Pora była późna, a ludzie powinni pojednać się z rodzinami i odpocząć.

Rano skierowała kroki do zajazdu. Bez trudu odnalazła Franko.

– Współczuję panu – powiedziała na powitanie – Poniósł pan straty. Jana też jest smutna, lubiła Karola, a on nie żyje.

– Karol żyje, ale przeszyły go dwie strzały. Będzie musiał trochę poleżeć, pomału się wyliże. Nie wiedzieliśmy, że te groty przebijają nawet kolczugę. Miała pani duże straty?

– Ja nie walczyłam.

– Przecież opanowała pani miasto i tabory.

– Opanowałam! Weszłam i rozstawiłam kilka posterunków, ale walki nie było. Żeby pan na mnie poczekał i nie szturmował murów, też miałby dwunastu ludzi więcej. Teraz to pana miasto i mieszkając tu, będzie się pan zastanawiał, kto zabił pańskich kolegów. Byli tu Seldżukidzi, jest na kogo zwalić winę.

– Już się przyzwyczaiłem do pani wyniosłości – zaśmiał się, chcąc swoje słowa zamienić w żart. – Pod Anazarbą pilnowałem granicy przed Turkami, którzy ponoć do nas byli przyjaźnie nastawieni, a łupili wsie. Tutaj dowiedziałem się, że ci Turcy chcieli napaść na tamtych Turków. Gubię się, nie wiem, kto z kim walczy.

– Tutaj się po prostu walczy. Walczyłam jak miałam trzynaście lat. Byłyśmy wtedy w gwardii w Azabaj. On był odważnym człowiekiem, często mieszał się w tłum, a my go broniłyśmy. Walczyć uczyli nas Chińczycy. To wymagający nauczyciele. Cały czas nam powtarzali: „dobry wojownik, to zmęczony wojownik”. Obojętnie, czy był bój, czy nie, wieczorem miałyśmy być zmęczone. To jednak nie polegało na bezmyślnym wykonywaniu jakichś ćwiczeń. Każdy ruch musiał być przemyślany. Nasza armia walczyła dla wielkiego chana. Większość było Mongołami, ale przyłączali się do nas Turcy. Teraz to są prawie sami Turcy. Seldżukidzi to plemiona pochodzenia arabskiego, opanowały Syrię i mają chęć na więcej, choć w przeszłości walczyli z krzyżowcami przeciw sułtanatowi. Gdy

miałam piętnaście lat, przyjęłam zasadę, że bijemy każdą napotkaną armię, w którąkolwiek stronę się obrócimy. Dopiero jak Azabaj zaczął wysyłać nas do boju, zrozumiałam, że chodzi o utrzymanie terenu zdobytego przez wielkiego chana. Muzabok zdradził Mongołów, zabijając go mogłam iść gdzie chciałam. Trafiłam na Cylicję. Dobrze trafiłam, nie narażam się dla Mongołów, ponieważ król Hatum ma protokół rozmów swego brata z wielkim chanem. Brat króla – Sembat dotarł już do stolicy z gwarancjami uznania kościoła ormiańskiego. Nadal jestem po stronie chana i mogę nie kryć się ze swym wyznaniem.

– Jednak w swojej armii masz i Saracenów.

– Ty, panie, zdajesz sobie sprawę, o jakim terenie rozmawiamy? Gdzie jest Karakorum, obecna siedziba wielkiego chana? Trzeba pół roku, by umówić się z nim na rozmowę, a Mongolia jest jeszcze dużo dalej. Po drodze jest Persja, Kaszmir, Indie, Chiny i wiele innych monarchii i państewek. Te narody wyznają wiele religii, wielki chan respektuje je wszystkie. Tutaj jednak biją się bojownicy tego samego Boga, choć różnie go nazywają. Jedni na drugich krzyczą niewierni. Pomijając przykazanie dekalogu: „nie będziesz używał imienia pana swego nadaremno” – idą w bój, wykrzykując imiona Stwórcy.

– To skomplikowane, ale prawdopodobnie zjawiliśmy się tutaj w samą porę – Franko umiejętnie zmienił temat.

– Dla Cylicji tak. Przypuszczam, że sułtan konijskich Turków również będzie zainteresowany, gdy mu o tym napiszę.

– A czemu nie napiszesz do sułtana Egiptu? – zaśmiał się, uważając to za żart.

– Bo go już nie ma – odpowiedziała poważnie Zola. – Sułtan Egiptu nie żyje. Kairski regiment mameluków pokonał najpierw krucjatę twojego króla, a potem zabił własnego sułtana. Jest niby następca tronu Al-Ashraf II,

ale ma dopiero dziesięć lat. Faktyczną władzę sprawują mamelucy z Bahrydów.

– Dużo wiesz. Może wiesz, co się dzieje z moim królem?

– Ludwik umiera chory, są zamysły, że zrobią z niego świętego, ale te informacje mam od Saracena, nie wiem, czy są prawdziwe.

– Ty naprawdę korespondujesz z mamelukami?

– Jest jeden taki, chyba się we mnie zadłużył. Twierdzi, że dojdzie między nami do wojny, ale minie kilka lat zanim unormują się sprawy po zamachu stanu. W modlitwach prosi Allaha, byśmy nie spotkali się na jednym polu bitwy.

– Szlachetny wróg?

– Uważa, że darowałam mu życie. Chyba ma rację, w chwili gdy zabiłam Muzaboka, powinnam i jego pozbawić życia, stał w zasięgu ciosu. Był jednak przystojnym mężczyzną i nie sięgał po broń.

Franko roześmiał się.

– Coś mi się widzi, że chyba obydwójce przypadliście sobie do gustu.

Odwzajemniła uśmiech, a wychodząc powiedziała:

– Po śniadaniu będę rozmawiać z radą miasta, chcę, aby pan przy tym był.

Wszystkich członków miejskiego zarządu, ich urzędników i personel obsługi zgromadzono w jednej sali. Zola zaczęła zebranie słowami:

– Celem naszego spotkania jest ustanowienie władzy. Nie ulega wątpliwości, że w tej chwili jesteśmy w granicach państwa Cylicji. To fakt, do którego musimy się dostosować. Orientuję się w waszym dążeniu do samodzielności. Już od kilkudziesięciu lat nie mieliście żadnego monarchy nad sobą. Myśleliście, że dzięki temu wasze dochody były wyższe, ale podatek dla władcy nie płaci się za darmo. Monarcha ma zobowiązania

wobec swoich poddanych. Gdyby Hromkla podlegała pod Cylicję, Turcy nie mieliby możliwości zaszyć się w tym mieście i je zniewalać.

– Nie wiem, pani, kto będzie władał tym miastem – odezwał się burmistrz, starając się wyrażać spokojnie. – Do tej pory mieliśmy swój zarząd. Nie mieliśmy monarchii, staraliśmy się rządzić metodami demokratycznymi. Jeżeli mamy podlegać pod króla, to musimy wiedzieć, jakie wymogi ma spełniać biuro burmistrza.

– Niekoniecznie – wszedł w słowo Samuel. – Jeżeli razem stwierdzimy, że miasto Hromkla dobrowolnie przyłącza się do królestwa Cylicji, to będziecie mogli zachować swój model zarządzania. Należy jednak wyjaśnić napaść straży miejskiej na oddział gwardii pani Zoli.

– Pani, nie mieliśmy wyboru. Przy poprzedniej naszej rozmowie ich dowództwo siedziało tam – wskazał rząd okienek przy stropie sali. – Wiedzieli, że na południu pilnujecie granicy Cylicji, podpowiedzieli, aby nasi strażnicy nałożyli czapy tureckie i was napadli. Wsie, które wam się poskarżyły, miały być ukarane. W stosunku do właścicieli ziemskich ograniczyliśmy się do dodatkowego haraczu. Was mieliśmy zastraszyć i sprowadzić tu jako jeńców, potem z jakimś kłamstwem odesłać do króla Hartuma. Nie wiedzieliśmy, że za miastem czeka wasze wsparcie.

– Nie mieliśmy wsparcia. Każda moja kobieta może na siebie przyjąć czterech przeciwników, waszych było mniej. Po drugie, dlaczego pan uważa, że ktoś miał uwierzyć w pana kłamstewka? – Zola się roześmiała.

– Pani przedstawiła nam się jako emir króla. Który monarcha by się układał z emirem kobietą?

– Jest pan w wielkim błędzie – przerwał mu wypowiedź Franko. – Pani Zola wygrała współzawodnictwo o emirat wschodu, mając za przeciwnika mnie, a ja jestem kuzynem króla... – zawiesił głos, jakby chciał kontynuować wypowiedź, ale uznał, że wszystko już powiedział.

Ciszę przerwał Wilam.

– Musimy jeszcze jedno wyjaśnić. Dowództwo wojsk tutaj stacjonujących przyjmuje na siebie pan Franko – wskazał Francuza ręką. – Ale na ten teren emir Zola rozszerza swój garnizon, a dowódcą garnizonu jestem ja. Będę decydował o miejscu zakwaterowania wojska. Na razie macie tutaj francuskie rycerstwo i myślę, że inne wojsko na waszym terenie nie stanie. Będzie tu funkcjonować biuro garnizonu i będziecie musieli je utrzymać.

– Nie mamy odpowiednio przeszkolonych urzędników. – Burmistrz próbował ratować się wykrętem.

– Nie musi pan mieć. Zostawiam tu, jako swojego zastępcę, panią Janę. Jej biuro będzie się składało z pięciu kobiet.

– Kobiety urzędnikami garnizonu? Na pewno pan nie żartuje. Chorągiew rycerstwa się jej nie podporządkuje...

– Co Allah potrafi uczynić z kobiety, to pan się dopiero przekona – włączył się do rozmowy Samuel. – Tym bardziej że ta pani zasiądzie jako członek pana rady.

– Czyli uważacie państwo, że rada w generalnym kształcie będzie składała się z poprzednich członków. My często przekazywaliśmy sobie informacje listownie, ta pani musiałaby umieć czytać...

– Ta pani –przerwał mu Wilam – na pewno ładnie tańczy. O czym już panu doniesiono. Radzę jednak uważać, aby pan przed nią nie musiał wstydzić się swoją wiedzą. Wszystkie kobiety, które tu zostaną, mają bardzo staranne wykształcenie i doświadczenie bojowe. Proszę uwrażliwić dowódcę straży miejskiej, by również poważniej rozmawiał z paniami.

– Powiedzcie, czego od nas oczekujecie? – zapytał zawiedziony burmistrz.

– Myślę, że jak najszybciej powinniście zacząć działać dla dobra swego miasta – mówiła spokojnie Zola. – Poczyniłam pewne zniszczenia, przede wszystkim zabudowania przy bramie zachodniej, nie licząc samej bramy. W drugiej kolejności wasze mieszkania zniszczone na wskutek działań bojowych. Możecie je odbudować z funduszy miejskich. Od jutra w waszej radzie będzie zasiadać pani Jana i jako członek rady ma być we wszystko wtajemniczana. Uzgodnię z królem, byście byli zwolnieni z rocznego podatku, jednak musicie utrzymać oddział rycerstwa. Jedyne, co mogę obiecać, to przyłączyć pod wasz nadzór rolników Warina i sąsiadujące z tym gospodarstwem wsie.

– Pani łatwo obiecuje, ale to wszystko trzeba uzgodnić z królem.

– Jeżeli coś mówię, to albo już uzgodniłam, albo nie widzę przeciwwskazań, by król się na to zgodził. Musicie przyjąć do wiadomości, że stajecie się strażnicą przed Turkami seldżuckimi, dlatego sprawy obronności powinniście rozpatrywać poważnie. Ja jeszcze kilka dni tu będę, muszę rozeznać się w okolicy i zorientować w siłach wroga. Skorzystam z waszych lochów, by móc przesłuchać jeńców. Potem ich zabiorę.

Jana z niecierpliwością oczekiwała końca narady. Dopiero teraz powiedzieli jej, że Karol żyje. Koniecznie chciała go zobaczyć, ale ta narada była zbyt ważna, by mogła z niej wyjść. Zola obarczyła ją podwójną odpowiedzialnością. Miała czuwać nad siłami militarnymi na tym terenie, a oprócz tego mieć baczenie na poczynania zarządu miasta. Techniczne prowadzenie biura garnizonu przejmą na siebie koleżanki. Instrukcja opracowana przez Dzonchina sprawiała z tej pracy proste zadanie, chyba że pojawiały się problemy. Praca w radzie miała tylko pozorny charakter. Nie powinna angażować się w żadne poczynania uprzednich członków, dopóki nie szkodziły królestwu ani funkcjonowaniu emiratu. Podstawowym jej zadaniem na tym terenie był wywiad. Bezpośrednio zagrażali Seldżukidzi,

a Zola chciała wiedzieć wszystko o ruchach wojsk nieprzyjaciół. Jana dostała dwudziestu pięciu konnych Ormian, stanowiących wywiad i kurierów. W mieście najpilniejszym problemem był lokal na biuro garnizonu i koszary dla Francuzów.

Zarządcy miasta zorientowali się, że bez militarnego wsparcia długo by nie funkcjonowali. Ochrona królestwa Cylicji była dużo mniej uciążliwa niż dostosowanie się pod panowanie emiratu tureckiego. Byli pozostałością enklawy krzyżowców, dlatego większość z nich to chrześcijanie. Przejście pod Turków zmieniłoby bardzo proporcje wyznaniowe. Jana nie angażowała się w obrządki religijne, ale wiedziała od ojca, że sprawy wyznaniowe to ważna domena w społeczeństwie. Z uwagą słuchała zarządców miasta, jaki mają pogląd na te sprawy.

Po zakończeniu narady spytała Franko, gdzie przebywa Karol. Wytłumaczył jej położenie zajazdu, a gdy się oddaliła, z uśmiechem powiedział do Zoli:

- Coś mi się zdaje, że stracę kawalera.
- Oni wspólnego domu nie założą, choć bardzo chciałabym się mylić.

Przy bramie do zajazdu Jana spotkała Paskala. Spytała o Karola, wskazał jej odosobnione skrzydło budowli. Leżał w pięcioosobowej izbie. Łóżka oddzielone były parawanami, co zapewniało ograniczoną intymność. Znalazła go w ostatnim przedziale. Spał. Przysiadła na skraju łóżka, przyglądając się jego twarzy. Nie mogła zrozumieć, co ją w nim pociągało. Był przystojny, ale wielu mężczyzn było przystojnych, a nie zwracała na nich uwagi. Pierwszy raz spotkali się u króla, powiedział, że z chęcią będzie się z nią pojedynekował, ponieważ mu się podoba.

Przywalała mu i to dobrze, ledwo łapał oddech, ale ciągle jej się przyglądał. Na koniec uczył się z nią umówić. Nie mogła tego zrobić, nie wiedziała jakie będą ustalenia. Przy następnej wizycie w Sis umówili się

i długo ze sobą rozmawiali. Potem mieli kilka schadzek, o których nikt nie wiedział. Wczoraj ludzie Toma wracający z pobojuwiska powiedzieli, że widzieli go martwego na wozie. Odeszła w zaułek i płakała. W niewoli strach i rutyna nie pozwalały na łzy. Teraz płacz przyniósł jej uspokojenie. Użaliła się Zoli. Ta obiecała, że się dowie, gdzie go pochowają. Czując osamotnienie, poszła do swojej izby i zasnęła, mimo głośnych rozmów koleżanek. Że żyje powiedzieli jej dopiero przed wejściem na naradę.

Teraz przyglądała się jego zarośniętej twarzy, nie wiedząc, czy może go obudzić. Rozważania przerwał męski głos:

– Co pani tu robi?! Niech pani natychmiast opuści to pomieszczenie – powiedział mężczyzna i próbował złapać ją za ramię.

– Odejdź, chłopie, bo jak przyłożę, to będą pana leczyć – odpowiedziała, odpychając go.

Osobnik zlustrował ją wzrokiem i pośpiesznie oddalił się w stronę wyjścia. Znowu zrobiło się cicho. Wpatrywała się w Karola, odgarniając kosmyk włosów zsuwających się na jego czoło. Usłyszała zbliżające się kroki, za nią stał Franko z gościem, którego przed chwilą odprawiła.

– Panie dowódco, ta kobieta zakłóca tu spokój – tłumaczył.

Franko uśmiechnął się.

– Ta pani od teraz jest członkiem rady miasta. Jeżeli chciałby pan utworzyć tu swoją lecznicę, to właśnie będzie zależało od tej pani.

Zaskoczenie mężczyzny wyglądało groteskowo, jednak szybko się opanował.

– Jak kobieta może być członkiem rady miasta? – spytał.

– Teraz będziecie mieli trochę inne porządki. Ta pani będzie radnym i od niej będzie zależało, gdzie mnie zakwaterują i czy pan będzie miał swoją lecznicę.

– Bardzo przepraszam – powiedział uniżony mężczyzna, po czym odszedł.

Zachowanie to wywołało u dziewczyny śmiech. Franko był powściągliwy.

– To jedyny znachor w tym mieście, należy się z nim liczyć. Co pani mu zrobiła, że był taki oburzony?

– Próbował mnie wyprosić, więc mu powiedziałam, by sobie poszedł.

– Przybiegł do mnie, twierdząc, że pani ma zamiar krzywdzić rannych.

– Przysiadłam tylko na łóżku, a on od razu zaczął się awanturować. Jest zarozumiały, nie wierzę w jego umiejętności. Jakby pan pozwolił, to bym zabrała Karola do swojej karczmy, przy mnie szybko by doszedł do siebie.

– To mój rycerz!

– Ja go panu nie zabiorę, chcę go tylko wyleczyć.

Franko długo się zastanawiał. Jak pozwoli, to w przyszłości będzie musiał rozstrzygać podobne sprawy, a to mogło doprowadzić, że jego rycerstwo będzie mieszkało we wszystkich kamienicach tego miasta. Po dłuższej dyskusji zgodził się, pod warunkiem że po wyzdrowieniu Karol będzie mieszkał z pozostałym składem rycerstwa. Janie to odpowiadało. W karczmie wynajęła rannemu osobny pokój.

Karol spał nawet wtedy, gdy go przenosili do innego budynku. Obudził się po południu. Leżał na szerokim wygodnym łożu, a obok na krześle drzemała dziewczyna z oddziału Zoli. Gdy się poruszył, natychmiast otworzyła oczy.

– Zbudził się pan. Zaraz zawołam Janę.

– Ona tu jest? – spytał mimo woli.

– Tak, w sąsiednim pokoju.

– To gdzie ja jestem?

– W naszej karczmie. Przenieśli pana przed południem. Na pewno pan zgłodniał. Jana temu zaradzi.

Niemal wybiegła przez drzwi, nie domykając ich. Słyszał jak wchodzi do sąsiedniego pokoju i od wejścia mówiła.

– Zostaw te pisanie, ten twój się obudził. Idź do niego, bo gotów nam uciec.

– Nie żartuj, idź do karczmarza, by przyniósł dla niego kubek rosołu.

Słyszał krzątanie i inny kobiecy głos. Po dłuższej chwili w drzwiach ukazała się Jana. Poczuł się skrępowany i zawstydzony swoją niemocą.

– Dlaczego tu jestem? – spytał.

– Postanowiłam wyrwać cię z rąk szarlatana, który nazywał siebie uzdrowicielem.

– Franko na to się nie zgodzi.

– Jakoś go przekonałam. Na kilka waszych problemów będę miała wpływy, więc zbytnio nie przeciwstawiaj się. Tutaj ciebie wyleczę. Zdrowego odeślę z powrotem pod jego rozkazy, byś mógł za mną tęsknić.

Roześmiała się radośnie. On również chciał się uśmiechnąć, lecz na twarzy ukazał się grymas bólu.

– Nie nabieraj dużo powietrza, nie napinaj karku i nie podnoś wysoko rąk. Rany miałeś byle jak opatrzone. Dobrze, że powyjmował z ciebie groty. Jak wy walczyście, że dałeś się tak podziurawić?

– Walczyliśmy z tymi, co byli z lancami i mieczami, a ci z tyłu strzelali do nas bezkarnie.

– Tu walczysz z Arabami, Turkami i Mongołami, u nich podstawową bronią są łuki. Pierwsza linia służy tylko do powstrzymania wroga, śmiertelne ciosy zadaje druga linia. Strzelają, gdy się odsłaniacie. Na drugi raz masz powstrzymać pierwszą linię, a tarcza ma ci służyć do obrony

przed tymi stojącymi dalej. Tarczą przed moimi mieczami nie obronisz się, jednak przed nadlatującą strzałą owszem.

– Dlaczego nazywają was zabójcami Azabaja?

– Bo nie pozostawiamy za sobą żywych. Naszych pokonanych zazwyczaj nie leczą – powiedziała smutnym tonem. Opuściła głowę i chciała wyjść, jednak w drzwiach napotkała chłopca z parującym kubkiem. Odebrała naczynie, odprowadzając służącego. Przysiadła na brzegu łóżka, unosząc mu głowę.

– Musisz to wszystko pomału wypić. Nie przełykaj szybko, bo się spocisz i bez tego jesteś słaby.

Podporządkował się jej poleceniom. Pił małutkimi łydkami, a i tak zlał się potem. Gdy wypił połowę, odstawiła kubek.

– Odpocznij – powiedziała.

Siedziała, przyglądając mu się w milczeniu.

– Trzeba to wypić do końca, normalnego jedzenia dzisiaj ci nie dam. Jutro powinno być lepiej.

Uniosła mu głowę i podała resztę rosołu.

– Teraz do wieczora możesz spać... Nie nazywaj mnie zabójczynią, źle się z tym czuję.

Obudził się przed świtem. Było jednak na tyle widno, że mógł się rozejrzeć po pokoju. Ruch głową nie sprawiał już trudności. Samodzielnie wyjął rękę spod nakrycia, ale gdy chciał głęboko wciągnąć powietrze, poczuł duszności. Nagły kaszel wywołał ból. Nad jego głową pojawił się mężczyzna, który odwrócił go na bok – pomogło, kaszel ustał.

Przyjrzał się nieznajomemu. Był w jego wieku, ubrany w długą, płócienną tunikę, przez Ormian używaną do spania.

– Kim pan jest? – spytał.

– Na imię mam Asab. Jana prosiła, abym tej nocy przy panu czuwał.

– Przesiedział tu pan całą noc?

– Spałem – wskazał róg pokoju przy drzwiach, gdzie rozłożony był materac z nakryciem. – Do śniadania zostało trzy godziny, może pan jeszcze spać.

– Mam potrzebę. Nie wiem jak to załatwić.

– Po to tu jestem, zaraz pomogę.

Przed śniadaniem był odprężony i wymyty. Asab podjął się również ogolenia go. Czuł się o wiele lepiej, broda nie swędziała i nie będzie skrępowany, gdy Jana wlepi w niego oczy jak wczoraj. Rozmyślenia o niej zamieniły się w marzenia. Poczuł wdzięczność, gdy mężczyzna zwinął swój materac i odszedł, potrzebował chwili samotności.

Najpierw przyszedł chłopak z kuchni. Przyniósł tacę z jedzeniem i ustawił ją na zydłu przy łóżku. Przyjrzał się jej zawartości. Był kubek rosółu i pszenny placek, ale reszty potraw nie znał. Chciał sięgnąć po placek, gdy w pokoju pojawiła się ona.

– Nie jedz sam – powiedziała – jeszcze się udławisz. Pomogę ci teraz, ale cały dzień mam zajęty. Poproszę jakiegoś mężczyznę, by dotrzymał ci towarzystwa. Wrócę na kolację, to porozmawiamy.

Nakarmiła go, dała napić się francuskiego wina.

Odstawiając puste naczynia, uśmiechnęła się i odgarnęła mu włosy z czoła.

– Moja żona tak mnie nie pieści – powiedział Franko, stając w drzwiach.

– Na pewno ma dosyć pana na co dzień – zaśmiała się Jana.

– Myślałem, że umieściła go pani w swoim pokoju, ale dziewczęta za ścianą zaklinają się, że śpi pani razem z nimi.

– On nie wytrzyma ze mną nocy – mówiąc to, wstała. – Już idę. Pan – zwróciła się do Franko – w południe powinien być w budynku rady miasta. Porozmawiajcie sobie, niedługo przyjdzie tu ktoś z moich mężczyzn.

Dowódca był zaskoczony nagłym powrotem formy Karola. On również nie umiał tego wytłumaczyć.

– Wczorajszego dnia nie pamiętam, prawie cały przespałem, nawet nie wiem, kiedy mnie tu przenieśli.

– Przyszły wszystkie, które tu mieszkają, razem z nią sześć dziewczyn. Ona najpierw nawbiła ci jakieś igły w ciało. Mówiła, że dzięki temu będziesz dobrze spał. Potem pod tobą splotły ręce. Nie miały żadnych kłopotów, by cię unieść i ułożyć na wózku. Po godzinie jakiś chłopak odstawił wózek na miejsce przy zajeździe.

– Czemu pozwoliłeś jej mnie tu zabrać?

– Wątpiła w zdolności tamtego uzdrowiciela, teraz widzę, że miała rację. Twój kolega mniej ranni czują się dużo gorzej, a z Janem jest źle. Chciałem zobaczyć, co z tobą.

– Dziś rano był tu chłopak z ich armii. Twierdził, że one wszystkie umieją uzdrawiać, ale się tym nie chwala. Tom, ten dowódca od wyrzutni, był kolegą Zoli z czasów dzieciństwa. Mówił, że uzdrawiania uczyli je Chińczycy, ci sami, co ćwiczyli z nimi walkę. Żadna o tym nie powie, ale Jana wygadała się kiedyś, że uderzeniem kciuka może zabić i uzdrowić.

– Może to jakieś czary?

– Wątpię. Ponoć wszystkie przed bitwą recytują Dziesięć przykazań. Jana jest mało religijna, jednak zawsze powtarza, że wiara w Chrystusa jest ich narodową tarczą. Dzięki niej Armenia nigdy nie przestanie istnieć. Nie przywiązują jednak wagi do obrządku. Uważają, że Prawosławni i Rzym powinny sobie podać ręce, a nie doszukiwać się różnic.

– Gdyby to było takie proste, to by się na pewno już dawno stało.

– Zola twierdzi, że tu wszyscy biją się o tego samego Boga.

– To niczego nie dowodzi. W Europie książęta i królowie biją się między sobą, choć podlegają temu samemu obrządkowi...

Rozmowę przerwało pukanie do drzwi. Po zaproszeniu wszedł Asab, skłonił głowę, krzyżując ręce na piersi.

– Jana poprosiła, abym posiedział z panem do kolacji, ale jak przeszkadzam przyjdę później.

– Niech pan zostanie – Franko podniósł się z krzesła. – Ja już muszę iść, a jemu samemu na pewno się przykrzy.

Po wyjściu Franko, mężczyzna pomógł mu się umyć, zmienić tunikę i napełnił dwa kubki winem. Podając mu jeden, usiadł na krześle przy jego łóżku, upił duży łyk i ze zdziwieniem stwierdził.

– To wino Zoli, skąd się tu wzięło?

– Nie wiem, Jana przyniosła. To francuski trunek, skąd Zola go miała?

– Też nie wiem. Jak przekazywała nas Janie, to na pożegnanie nalała tego z dużej beczki. Ma inny smak niż nasze, dlatego je zapamiętałem.

– Nie wiem czy to francuskie, ale takie wina robią u nas... – zawiesił głos, jakby nad czymś się zastanawiał. Za moment zmienił temat. – Dlaczego Jana znów ciebie do mnie przysłała?

– Powiedziała, że pan na mnie się nie skarżył, więc mogę tu być. To dobrze, bo pozostali pojechali w teren, a ja mogę sobie odpocząć.

– Gdzie pojechali?

– Nie powiem! Byłaby zła, jakby pan wiedział, co ona planuje. One takie są, chcą wiedzieć wszystko i nikomu nie mówić, co planują.

Roześmieli się. Po chwili Karol spytał:

– Skąd znaleźliście się w ich armii.

– To skomplikowana sytuacja. Walczyłem po stronie Muzaboka. Razem walczył oddział Hamel Ahata, od mameluków. Dziewczyny

opanowały tabory, nas wysłano, aby je odbić. Stałem się jeńcem. Już wcześniej trzymały Toma i Samuela z ich ludźmi. One walczyły po stronie Azabaja, a Muzabok wygrał z nim bitwę. Boju już nie było, ale myśmy siedzieli w taborach na wyspie między bagnem a rzeką. Wąska grobla to był jedyny dojazd do nas. Dziewczyny chciały uciekać przez rzekę, nasz los też nie był pewny. Muzabok by nas pozabijał. Zawsze twierdził, że trzeba walczyć do końca, a nie błagać o życie. Zola wpadła na głupi pomysł, by zabić przywódcę. Nikt nie wierzył w powodzenie takiej akcji. Towarzyszyły jej Karle, Jana, Hana i Eza. Przeszły przez bagna i skierowały się prosto na tron Muzaboka. Nie wiem jak, ale zabiły wodza i jego zastępcę. Gdyby zabiła Hamel Ahata, to cała armia byłaby jej, a tak, to podzielili się na trzy mniejsze i każdy poszedł w swoją stronę.

– Mówiłeś, że was było kilkunastu, a w waszej armii jest dużo ponad tysiąc.

– To zagrywka Zoli. Oddała mamelukom wszystkich, którzy zdradzili Azabaja, a zażądała od Hamel Ahata wszystkich pochodzenia ormiańskiego i tych, którzy chcą się do niej przyłączyć. Do mameluków odeszło prawie pięć tysięcy ludzi, nie chcieli służyć kobiecie. Przy niej zostali wszyscy Ormianie, Samuel ze swoimi Saracenami i jeden oddział z chanatu. To była jazda Wangena, ale on długo u nas nie nabył. Zola go zabiła a jego zastępcą wyprowadził oddział w step.

– Słyszałem, że macie oddział Turków.

– To było potem. Napadli nas po drodze, niedaleko stąd. Nasiekliśmy ich bardzo dużo. Dwustu Zola przyłączyła do naszej armii, a drugie tyle uciekło.

– Jak się wam służy?

– Każdy by chciał mieć taką służbę. Regularnie wypłaca żołd, załatwia zaopatrzenie i pyta, czy w nocy nie marzniemy – przy ostatnich słowach się roześmiał.

– Płaci żołd jak rycerzom?

– Ona mówi, że jesteśmy wolni, to za służbę należy się wynagrodzenie.

– Jeszcze jedno mnie interesuje. Dlaczego one twierdzą, że nikt z nimi nie zechce spać?

Asab przyjrzał mu się, nic nie mówiąc. Wstał i odstawił swój kubek. Po dłuższej chwili spytał:

– Czy mógłbym panu coś załatwić?

– Nie odpowiedziałeś na pytanie.

– I nie odpowiem. Jest dużo domysłów, ale żaden mężczyzna nie chce tego sprawdzić. Ponoć jedna spała z ich naczelnym, ale jako pierwsza zginęła. Te, co zostały, nie tak prosto zabić, one nawet gołą ręką zabijają. Co tu mówić, to są zabójczynie Azabaja.

– Obrażają się za to określenie.

– To dlatego, że są religijne i wzbraniają się przed określeniem „zabójczynie”. Pomimo to, ciężiej rannych dobijają bez mrugnięcia oka, widziałem to na pobojuwisku. Ale jak trafiliśmy do nich do niewoli, to zaczęły nas traktować jak swoich. Jak pobiliśmy Turków, którzy nas napadli, to Zola dla ich dowódcy dała przepustkę, aby mógł pożegnać się ze swoim emirem. Wszyscy byli pewni, że nie wróci, a on na czwarty dzień się zjawiał.

– Teraz na pewno donosi na nią swoim byłym zwierzchnikom.

– Ona o tym wie, nieraz mówi, co powinien im powiedzieć, a nieraz sama pisze listy do sułtana.

– Skąd wiesz?

– Używa nas jako pośłańców. Z mamelukami też utrzymuje kontakty, ale tam jeżdżą ci od Samuela.

– Jaką rolę w ich oddziale odgrywa Jana?

– One są jednością. Wśród nich nie ma władczyni. To, co powie Jana, jest tak samo ważne jakby powiedziała Zola. Byli tacy, co chcieli to sprawdzić, nic dobrego to im nie dało. One chyba nawet myśli swoje nawzajem czytają. To nie są zwyczajne bojowniczkі, to zabójczynie Azabaja.

Biuro garnizonu w Hromkli miało tylko pozornie podlegać pod garnizon Anazarby. Priorytetowym problemem tutaj było bezpieczeństwo przed naporem Seldżukidów. Ich emir zagarniał tereny na własne potrzeby. W ten sposób Hromkla straciła wszystkie południowe wsie, które teraz zapewniały zaopatrzenie tureckich oddziałów. Wokół miasta pozostało mało terenów rolniczych zaopatrujących w żywność. Ratowali się współpracą z Edessą, ale tamten gród miał podobne problemy.

Zola obiecała miastu przyłączenie do nich najbliższej położonych wsi zachodnich, oprócz tego postanowiła odebrać Turkom południowe gospodarstwa. Nie było to proste zadanie, wiązało się z przesunięciem i umocnieniem granicy. Powinna to omówić z królem, ale było za mało czasu. Nie chciała jednak sama podejmować decyzji, dlatego w południe, w budynku rady miasta, zorganizowała spotkanie. Jana posiadała już informacje dotyczące seldżuckich oddziałów. Wróciła czujka z Artach. Dowiedzieli się, że emir z Aleppo gromadzi armię z zamiarem podbicia północnych ziem. Informację należało sprawdzić, ale na pewno nie można było jej lekceważyć. Wilam twierdził, że nie wystarczy wysłać oddziały, które przejmą wsie i potem ustawić wzmocnione posterunki. Żeby przejąć nawet nieduży teren, należy wystąpić do bitwy, a dopiero potem bronić tego terenu. Dopóki nie osłabimy wroga, nie obronimy terenu.

– Mogę poza linią wsi wystawić swoją chorągiew – wtrącił Franko.

– Twoi rycerze nie mieliby żadnych szans – odpowiedziała Zola. – Już mieliście z nimi styczność. Przy pierwszym uderzeniu możecie ich rozgromić, ale to nie znaczy, że wygracie bitwę. Wasze bojowe konie przejadą przez każdy szyk, jednak zanim nawrócą, to ci z boków podziurawią was strzałami. Każda bitwa wymaga taktyki. Problemem jest, jak doprowadzić do dużej bitwy w miejscu, gdzie my się zaczaiemy.

– Gdzie są ich główne siły? – spytał Franko.

– Między Artach a Aleksandrettą – odpowiedziała Jana.

– Na razie nic nie planujemy. Gdzie wysłałaś czujki? – spytała Zola.

– Dziś z rana wysłałam sześciu mężczyzn pojedynczo. Mają przeczesać cały teren. Wrócą za cztery dni.

– To powrócimy do rozmowy za cztery dni. Na razie omówmy tematy dotyczące miasta.

– Co panią interesuje? – ożywił się burmistrz.

– Budynek zarządu miasta przy karczmie Waleta. To duża budowla, a mieszkają w niej tylko dwie rodziny.

– To rodziny naszych urzędników.

– Ale w budynku administracyjnym przy urzędzie są cztery wolne mieszkania.

– Ponieważ niektórzy urzędnicy mieszkają w swoich domach w mieście.

– To mnie nie interesuje, chcę kupić tamten budynek na potrzeby biura garnizonu.

– Jak to? Chce pani zapłacić za budynek, który ma służyć za biuro.

– Tak! Będziecie mieli część pieniędzy na odbudowę swoich spalonych domów. Poza tym interesuje mnie zniszczony teren przy bramie zachodniej. Tam były stajnie i jakieś magazyny.

– Dla miasta to nieduża strata. Stajnia była stara, wymagała remontu, a magazyny służyły jako zaplecze dla naszych katapult. Od trzech lat ten sprzęt nie posiada obsługi i nie był konserwowany. Na skutek waszych bombardowań częściowo się spalił, chyba ma małą przydatność.

– Moi ludzie twierdzą, że będzie można je naprawić. Natomiast teren przy bramie chciałabym przeznaczyć na budowę koszar dla chorągwi francuskiej, bo to ona ma was bronić. Problemami budowy zajęłaby się ta pani – wskazała na Janę.

– Kobieta inwestorem? – burmistrz okazał zdziwienie.

– Jest sekretarzem biura garnizonu, będzie musiała podołać tej sprawie. Ponadto chciałam panu przypomnieć, że na tym terenie będzie moim zastępcą, dlatego należy się liczyć z jej zdaniem.

Następnego dnia Karol samodzielnie wstał z łóżka. Pomimo to, przysłano mu do pomocy Asaba. Mężczyźni nudzili się, wyszli przed budynek, by obserwować przechodniów. Nie posiedzieli długo, po chwili zjawiała się Jana.

– Kto wam pozwolił wychodzić na zewnątrz? Czy myślicie, że mam tyle czasu, by was pilnować?

– Nie wiedziałem, pani, że to zakazane – odpowiedział Asab. – Pan Karol powiedział, że tyle przeleżał i chciałby pooglądać coś innego niż sufit.

– Nie umiesz myśleć. Ściągnęłam go do siebie, tamci z chorągwi, jak się dowiedzą, że on zbyt szybko zdrowieje, to przyślą mi pozostałych.

– Franko już to zauważył – włączył się Karol. – Ponoć Jan jest umierający, on bardzo martwi się o niego. Mogłabyś tam zajrzeć?

– Jestem naprawdę bardzo zajęta, przyszedłam tu, bo mi donieśli, że wyszliście z budynku.

– Weź mnie do biura, może w czymś pomogę, a ty skoczysz do zajazdu. Oni mają tam trudne warunki, większość śpi w stodołach i stajni, zerknęłabyś na Jana.

– To niezły pomysł, ale na jutro. Dzisiaj nie chcę, by was widziano, wracajcie do pokoju. Muszę spotkać się z Franko, przy okazji zajrzę do Jana.

Po południu Karola odwiedził Franko.

– To prawda, że chcesz pracować w biurze Jany? – spytał od wejścia.

– Mówiłem, że mogę jej pomóc, jak zajrzy do Jana – Karol zdradzał zmieszanie.

– Obejrzała go! – Franko był podenerwowany. – Okazało się, że ten uzdrowiciel przegapił w brzuchu Jana grot strzały. Stąd te bóle i temperatura. Wyjęła mu to żelazo, ale strasznie klęła, że straciła tyle czasu. Co do sposobu leczenia innych też ma wiele wątpliwości. Przed kolacją ma przysłać dwie dziewczyny, ale ciebie i Paula chce na stałe w swoim biurze.

– Co będziemy u niej robić?

– Planować zaopatrzenie i pilnować budowy koszar. Jest bardzo skrupulatna i wie jak wyegzekwować to, czego chce, będę musiał was oddelegować.

– A co z Janem?

– Uśpiła go tymi swoimi igłami. Mówiła, że rano powinno być lepiej. Nie dziwisz się, że chcę was oddać?

– Ty z Zolą masz częstszy kontakt, powinienesz o nich wiele wiedzieć. Te damy nie są zwykłymi kobietami, jednak Jana mi się podoba i ja jej też. W rozmowie nigdy nie kłamie, chociaż nie mówi wszystkiego.

– Dzisiaj wieczorem te dziewczyny chcą z nami zjeść kolację, tutaj, w tej karczmie. Mają problemy, chcą je omówić. Będzie ich piątka, ja przyjdę z Paulem.

W gospodzie czekały cztery dziewczęta Jany. Gdy ona weszła z Karolem, jadły już posiłek.

– Co tak śpieszycie się z jedzeniem? – spytała, siadając do stołu.

– Karczmarz poprosił o popisy na stole, powiedział, że kolację będziemy mieli za darmo.

– On wie, że chcemy kolację wystawną dla ośmiu osób.

– Przypuszczam, że mu się to opłaci, bo przy tamtym stole – Fana pokazała przeciwną stronę sali – burmistrz będzie podejmował Zolę z całym dowództwem. Ponoć Zola obiecała zatańczyć dla Toma.

– Zola dawno nie tańczyła.

– Dziewczyny mówiły, że wieczorami ćwiczyła w swoim namiocie. Widocznie wcześniej się do tego przygotowywała.

W wejściu pojawił się Franko ze swoim towarzyszem. Gdy siadali, dwóch chłopców wyniosło z zaplecza szeroki stół z grubym blatem i ustawili go na środku sali. Przy nich zjawił się karczmarz.

– Panie, to podium jest zrobione specjalnie dla was. Powinno być stabilne.

– To wy tu codziennie bywacie? – spytał Franko.

– Karczmarz mówił o naszej poprzedniej wizycie w mieście – odpowiedziała Fila. – Wtedy pierwszy raz tu tańczyłyśmy, chciał nas zatrudnić na stałe.

– Była pani u moich rannych? – spytał Franko, zmieniając temat. – Czy ta wizyta wpłynie na ich stan zdrowia?

– Uśpiłam ich. Rany bolały, były zaniedbane. Wyczyściłam je. U Dorta musiałam przeciąć nabrzmiały ropień. Wasz uzdrowiciel strasznie się awanturował.

– Co mu pani powiedziała?

– Uśpiłam go, do rana będzie spokojniejszy.

– Pani wszystkich usypia? Mnie też pani może uśpić?

– Dla niej żaden problem – odpowiedziała Fila – ale wtedy nie obejrzy pan naszych tańców – dziewczyna roześmiała się, lecz gwałtownie ucichła.

W drzwiach ukazała się Zola z burmistrzem, a za nią trzech mężczyzn dowództwa. Tom na koszulę nałożył jak z haftowanym smokiem. Zola przyszła w swoim kimonie, miała piękne perskie buty z zadartymi nosami i ciężką kolię z czarnych kamieni.

– Ta to się umie ubrać – skwitowała Jana. – Jak dojadę do Edessy, to też pobuszuję po sklepach. Wrócę w takim ubraniu, że jej oczy na wierzch wyjdą.

– Jedziecie do Edessy? – zdziwił się Franko.

– Po to potrzebne mi wasze towarzystwo – skwitowała Jana. – Tam duże wpływy mają rycerze zakonu Czarного Krzyża. Nie pamiętam ich prawdziwej nazwy, Wilam to wie. Zresztą to jego ziomkowie, Niemcy. Mnie widzieli, ale nie znają. Zola ani Wilam nie mogą teraz wyjechać, a trzeba załatwić medyka i zdobyć kilka informacji.

– Przecież czekamy na informacje, aby uderzyć na emira Seldżuków.

– To zupełnie inna sprawa. Moi wywiadowcy wrócą za dwa dni i wtedy ty panie z Wilamem będziesz mógł trochę powojować. Ja zabieram sześciu swoich ludzi i tych dwóch panów – pokazała na siedzących przy stole mężczyzn i jedziemy do Edessy.

– Ja o tym nic nie wiem – zaprotestował Karol.

– Nie musisz wiedzieć, funduję ci tę wycieczkę jako niespodziankę. Oni będą wojować na południu, więc mamy wolną drogę na wschód – zaśmiała się.

W gospodzie zaczęło robić się tłoczno. Nie wszyscy mieli miejsca przy stolikach, niektórzy stali przy kontuarze lub pod ścianami.

Na podium pojawił się karczmarz.

– Proszę państwa, bojowniczkę, które gościmy w naszym mieście, obiecały zatańczyć kilka tańców perskich i hinduskich. Wielmożna pani Zola jest emirem wojsk, które stacjonują pod naszym miastem. Pomimo to, zgodziła się zademonstrować obydwa rodzaje wymienionych tańców.

Zanim zszedł z podwyższenia, obok rozstawiła się trzyosobowa orkiestra. Najwięcej miejsca zajmowały przestronne cymbały, był również mężczyzna z bębenkami i flecista. Zaczęli wygrywać spokojną melodię z rejonu Kaukazu, co wielu przybyłym przypadło do gustu.

Zola pozdejnowała z siebie wszystkie ozdoby oraz buty. Spodnie podwiązała dołem, powyżej kostek. Weszła na podium. Jej stopy i dłonie były dobrze widoczne, kontrastując ze śnieżnobiałym jedwabiem. Ukłoniła się we wszystkich kierunkach i powiedziała coś orkiestrze. Melodię zaczął prosty flet, a za nim ściszony rytm bębenków. Cymbały włączyły się po dłuższym czasie, tworząc podkład akompaniamentu. Zola prawą stopę oparła o kolano lewej nogi, obydwie ręce uniosła do góry. Unosząc się na palcach, zamarła chwilę w tej pozycji. Po chwili zaczęła ruszać się w rytm muzyki, jej nogi i ręce przyjmowały szereg pozycji, zrozumiałych dla wtajemniczonych.

– Ten taniec ma przekaz słowny – zaczęła tłumaczyć Jana. – Ona mówi: przyjechałam tu nie z zemsty, a z miłości. Zdobyłam was siłą, żeby zapewnić wam spokojne życie. Nie wiem, czy do śmierci to zagwarantuję, ale kilka lat będziecie żyć bez zaborców. Ja wam to obiecuję i król.

Na dłużej zatrzymała się w pozycji „król”. Gdy orkiestra ucichła, wyprostowała się i ukłoniła. Jakiś mężczyzna stojący pod ścianą krzyknął:

– Dziękujemy ci, pani, za przekaz nadziei, ale oprócz tego obiecałaś zatańczyć.

Zola uśmiechnęła się, zabrała od orkiestranta mały bębenek i zaczęła wybijać rytm, za moment włączyły się cymbały oraz zawtórowały inne

bębenki. Biodra Zoli zaczęły wirować w rytm muzyki, zadrżały ręce oraz barki i pomimo że weszły w rytm bębenków, to tempo ruchu było szybsze niż bioder. Jej stopy zdawały się muskać blat podium, wreszcie muzyka gwałtownie ucichła, a tancerka zatrzymała się. Wiele osób krzychało:

– Jeszcze! Jeszcze!

– Więcej pokażą koleżanki – wskazała ręką na stół Jany.

– Obiecałyśmy, trzeba tańczyć – powiedziała Liza i odeszła z Filą od stołu.

Ich taniec nie był tak szybki jak Zoli, ale równie się podobał. Co chwila wybuchały oklaski.

Franko dłuższy czas rozmyślał, potem spytał Jany:

– Pani uważa, że przekaz tańca Zoli tutejsi ludzie zrozumieli?

– Tutaj jest to dosyć popularne, choć pochodzi z Indii. Przypuszczam, że burmistrz z Zolą ustalili treść tego przekazu. W tańcu każda pozycja określa słowo, nieraz ciężko dopasować do tego, co chcemy powiedzieć, bo to mowa zakochanych. Takie tańce wykonuje się zwykle na weselach, w ten sposób można niezauważenie przekazywać informacje. Jak jest zmowa pewnych znaków, to nawet układ dłoni czy rąk może przekazywać zawiłe słowa. Zwykle dla ogółu znane jest kilkadziesiąt wyrazów. Jest to o tyle skomplikowane, że ruch ciała trzeba wpleść w rytm muzyki.

– Skąd indyjski taniec znalazł się tutaj?

– Mongołowie podbili Indie, Turcy również tam bywali, kultury się przeplatają. Kobiety tańczą dla króli, szachów i sułtanów. Pan powinien ten dzień zapamiętać, bo widział tańczącego emira.

Informacje wywiadowców były zatrważające. Emir Aleppo zgromadził około czterech tysięcy ludzi, by opanować tereny należące do Hromkli. To miasto Turcy upatrzili jako bazę dla podbicia dalszych ziem, nie tylko

Cylicji, ale również sułtanatu konijskiego i kalifatu perskiego. Należałoby przewidywać, że i Edessa w najbliższym czasie stanie na ich drodze. Zola uważała, że trzeba porozmawiać z tamtymi władzami, by znaleźć dla siebie sprzymierzeńców.

Problemem była obrona przed tak dużą armią nieprzyjaciela. Mieli tysiąc bojowników, Franko dysponował siedmiuset zdolnymi do boju rycerzami, a burmistrz mógł zgromadzić trzystu strażników. Wróg miał dwukrotną przewagę. Liczyli na katapulty Toma, ale jeden z wywiadowców doniósł o nowych armatach tureckich. Co prawda mieli tylko pięć takich urządzeń, ale nikt nie wiedział o ich możliwościach bojowych w polu.

– Mają one służyć do kruszenia muru – tłumaczył kolejny wywiadowca. – W warunkach polowych są mało manewrowe.

Informacja nie była pocieszająca, wróg przygotowywał się do uderzenia na miasto. Posiada możliwości kruszenia murów, nie będzie tracił siły na ich forsowanie. Jedyny ratunek to rozbić wroga, aby nie mógł szybko znów się zgromadzić. Przy dwukrotnie mniejszych siłach nie stanowiło to łatwego zadania, ale przy korytowych tarczach Wilama i wyrzutniach Toma było możliwe.

– O ile piechota powstrzyma konnicę, to lekka jazda nie zorganizuje natarcia, gdy ją zasypię ogniem – twierdził Tom.

– Turcy to przede wszystkim łucznicy na koniach, nie powstrzymają uderzenia rycerstwa i gradu ogniowych kul – twierdziła Zola.

Ta myśl przeważała za koncepcją podjęcia walki w polu. Zaczęto się przygotowywać i rysować strategiczne mapy. Jana musiała odłożyć swój wyjazd do Edessy, potrzebne były nowe informacje i na niej spoczywał ten obowiązek. Aby nie przedłużać wysyłania zwiadowców w nieskończoność, zorganizowała cztery czujki składające się z dziewczyny i bojownika. Mieli za zadanie pochwycenie kogokolwiek z dowodzących i dostarczenie go do

Zoli. Czujki wróciły, przywożąc pięciu dowódców o bardzo różnej randze. Pozwoliło to zebrać informacje o rozłożeniu zgrupowania w terenie.

Turcy nie spodziewali się napadu, swoje siły zgromadzili aż w ośmiu obozach. Oddalone były od siebie w niedużych odległościach, co pozwalało na udzielanie wzajemnej pomocy.

– Uderzyć na nich, to samobójcza misja – stwierdził Franko.

– Nie mam zamiaru tracić ludzi – odpowiedziała Zola. – Wystarczy jak rozbijemy ich zgrupowanie. Nie musimy wielu zabijać, część z nich to na pewno niewolnicy, po rozbiciu głównych szyków sami pouciekają. Zajmie im wiele czasu nim zgromadzą następną armię.

– Tutaj mają swoje główne tabory – Jana pokazała na mapie. – Na pewno wyznaczyli do obrony nie więcej niż szablę wojowników.

Zola uśmiechnęła się.

– Masz rację, to rozwiązałoby nasze problemy.

– O czym wy mówicie? Przecież to jest w środku. Zaatakujemy i pozostałych ściągniemy na siebie.

– Ale gdy ukradniemy im armaty, nie będziemy bali się oblężenia – skwitowała Zola.

– Skąd wiecie, że w tych taborach są armaty, tu też jest duże skupisko wozów – Franko wskazał na mapie zaznaczone pozycje.

– Tu jest dowództwo i ich tabory – wyjaśniła Jana. – Prawdopodobnie przetrzymują w nich zapasy żywności. To też warto by im ukraść, ale dwóch taborów naraz nie uda się odprowadzić.

– Nie możemy liczyć na uprowadzenie całego taboru przy tak przeważającej ich sile – stwierdził Wilam. – Mają na pewno umówione sygnały i zlecą się pozostali. Otoczą i zniszczą nas doszczętnie. Możemy jedynie uderzyć i uciekać.

– Armaty to łakomy kąsek – włączył się Tomy. – Słyszałem o ich sile uderzenia. Proch, dzięki któremu strzelają, też jest bardzo cenny, prawdopodobnie potrafi kruszyć skały. Trzeba byłoby tylko złapać kogoś, kto wytłumaczy jak to działa.

– Nie musimy – stwierdziła Jana. – Mam u siebie dowódcę obsługi tych miotaczy.

– Szkoda, że zostawiliśmy Turków Dzarhita w Anazarbie, teraz byliby przydatni – stwierdziła Zola. – Co tu zaznaczyliście? – spytała pochylona nad mapą.

– To duża kępa leśna, ale nie wiemy co w środku.

Zola popatrzyła na Jane, ta zerwała się z miejsca.

– Zaraz się dowiem. Mamy takiego, co stacjonował obok, na pewno wie, co tam jest.

Zola bez przerwy studiowała mapę, nie odrywając od niej wzroku, zwróciła się do Samuela:

– Ilu masz strzelców na koniach?

– Stu pięćdziesięciu.

– Ile czasu trzeba, by nasza piechota tam dotarła.

– Dwa pełne dni – odpowiedział Wilam. – Ich wywiadowcy doniosą o takim ruchu naszego wojska.

Wróciła Jana.

– W tym lasku nic nie ma, używają go jako latryny.

– To znaczy, że ciągle przebywa w nim kilkanaście osób – skwitowała Zola. – Tomy, czy możesz strzelać ze swoich katapult, gdy będą stały na kołach?

– Tylko z tych metalowych, ale celność będzie przypadkowa.

– Mamy więcej informacji o nich niż oni o nas. Dokładnie przygotowana akcja ma szanse powodzenia.

Operacja zdobycia taboru była opracowana z najdrobniejszymi detalami. Franko powątpiewał w jej skuteczność.

– Wystarczy, że ktoś nie stawi się na czas – argumentował.

– Plan jest elastyczny – skwitował Wilam. – Poza tym nie mamy innego wyjścia, musimy ich zaatakować. Oni na pewno wiedzą, ilu nas jest i nie spodziewają się ataku z naszej strony, to daje nam przewagę. Jak im zamieszymy szyki i pozbawimy armat, będą musieli zmienić koncepcję. To da nam czas na przygotowania, a im podwyższy koszty.

Pierwsza wyruszyła Jana. Zabrała pięć swoich dziewcząt i dziesięciu jeźdźców Samuela, wszyscy przebrani w stroje Turków.

Opanowanie lasu przy taborach nie sprawiło żadnych trudności. Dokonali tego przed czasem, mogli odpocząć. W zagajniku zostawiła pięciu mężczyzn i wszystkie konie. Z pozostałą grupą udała się do obozu przeciwnika. Warty nie zwróciły na nich uwagi. Wejście między tabory nie sprawiło trudności, szybko ustalili, które wozy ich interesują. Konie niestety były przegonione w dość oddalone miejsce, ale mężczyźni bez trudu przyprowadzili dziesięć koni, meldując dla dowódcy, że wozy ze sprzętem mają przeprowadzić pod obóz dowództwa. Naiwne kłamstwo nie wzbudziło podejrzeń. Jednak dowodzący taborami polecił im zabranie ze sobą obsługi armat, a to stanowiło dwadzieścia osób. Szczęście, że wszyscy byli piechurami, więc nie powinni stanowić zagrożenia.

Wyruszyli z obozu, gdy na umówionym drzewie w lasu pojawiła się biała płachta. Na kozłach wozów siedzieli ludzie obsługi, w ten sposób nie musieli ich pilnować. Gdy minęli połowę odległości, zza drzew wyłoniła się jazda rycerstwa, a na wprost wyjechała reszta grupy Jany z końmi. Niektórzy z obsługi chcieli zawracać wozy, ale szybko pozbawili ich chęci do walki. Trzech musieli zabić, reszcie kazali gnać konie. To zamieszanie

zauważyły odległe warty Turków, zabrzmiały piszczałki. W ich kierunku wyjechało trzydziestu konnych, a inna grupa szykowała wierzchowce. Jednak z naprzeciwka nadjeżdżał szyk trzystu francuskich rycerzy.

Jane nie interesowała odsiecz, mieli pędzić konie dziesięciu wozów, by dołączyć do głównych sił. Odgłosy bitwy świadczyły, że rycerstwo wbiło się między obóz taborów. Dziewczyna przesuwiała się od wozu do wozu i powtarzała wszystkim obcym:

– Nie będziecie fikać, to czeka was lepsze życie od dotychczasowego.

Franko nie wierzył w powodzenie tej akcji. Jego zdaniem była szalona. Przekonał się jednak, że tutaj wojna wyglądała inaczej niż w Europie. Po raz pierwszy spotkał się z oddziałami konnych łuczników. Tak jak Zola powtarzała, walczyć trzeba było z pierwszym szeregiem, a bronić przed następnymi. To trudne dla rycerza walczącego na ciężkim bojowym koniu, odzianego w kolczugę. W szarży mieli jednak przewagę. Żadna lekka jazda nie wytrzymała ich naporu, to miał wykorzystać. Gdy minął Janę na czele kolumny dziesięciu wozów, wiedział, że wszystko zależy od niego. Za uprowadzonymi wozami ukazała się grupa pościgowa. Zobaczywszy ich, wypuścili po strzale i ruszyli do ucieczki. Oni byli na to przygotowani, każdy miał tarczę przed sobą, ale z boku kolumny wywróciły się dwa konie. Parli jednak dalej. Uciekająca przed nimi grupa pościgowa zasłoniła ich przed ostrzałem łuczników w taborach. Bez strat wjechali między wozy. W ostatniej chwili obejrzał się, zobaczył oddział Saracenów Samuela. Dmuchnął dwa razy w róg, co miało znaczyć: przejeżdżamy obóz, nie zatrzymując się. Wykluczyli z walki co najmniej stu pięćdziesięciu wrogów. Reszta pochowała się po wozach i namiotach, na pewno planowali za ich plecami ustawić szyk łuczników. To zadanie Samuela, by nie oddali żadnej salwy. On pół mili za obozem rozgania odległe warty i nawraca szarżę. Teraz jeźdźcy Samuela jadą przed nim i on ma osłaniać im plecy.

Z naprzeciwka nadjeżdżają dwa oddziały rycerstwa, aby nie dopuścić nadjeżdżających z boków. Zatrzymuje oddział. Przyglądają się jak tamci przejeżdżają przez grupy, które miały ich atakować. Na błoniach trwają gonitwy, nikt już nie jest w stanie bronić taboru. Zawraca razem z oddziałem Samuela, zaprzęgają wszystkie wozy oraz spędzają luźne konie. Pięćdziesięcioosobowa grupa ładuje swoich rannych na wozy. Gdy tabor oddalił się, daje potrójny sygnał rogiem. Wszyscy uciekają z pola bitwy.

Zorganizowany pościg wroga zauważyli dopiero po dwóch godzinach. Konie były już spienione, ale wytrzymają. Dwie mile przed nimi zobaczył ciemną linię korytowych tarcz piechurów Wilama.

W czasie, gdy dojeżdżał do własnej linii obrony, w górze pojawiły się smugi pocisków. Byli uratowani. Mogli odpocząć, ale to nie koniec operacji, muszą bronić skrzydeł, a jutro jeszcze dzień drogi do Hromkli.

Zola kazała wybudować ambonę. Siedziała na niej razem z Wilamem, przyglądając się nadjeżdżającemu taborowi, otoczonemu przez prawie dziewięćset jeźdźców ich armii. Zdecydowana większość, to rycerstwo chorągwi Franka. Bojownicy Samuela pilnowali stu wozów taboru i dużego stada koni. To niezły zysk i wielka strata dla przeciwnika grupującego armię, jednak najważniejsze musi się dopiero dokonać. Rycerstwo jest doganiane przez ponad tysięczną chmarę tureckich bojowników. Na pewno zdążą uciec za tarcze obrony Toma, ale tamtych trzeba przytrzymać do zachodu słońca i zadać takie straty, by sama konnica dała z nimi radę, lub ustawiać następną linię obrony w odległości dziesięciu mil. W tym przypadku wycofywanie będzie trwało jeszcze dwa dni. Liczy jednak na to, że wróg nie otrzyma posiłków i będą mogli w jeden dzień skryć się za murami Hromkli.

Taborów nie oddadzą. Wozy prowadzone przez Janę już pojechały. Jutro w południe będą bezpieczne. Te, co nadjeżdżają, po krótkim odpoczynku też pojadą do przodu. Oni zapewnią im bezpieczną drogę.

Gdy uciekinierzy wjeżdżali za linię obrony, ścigający wróg mijał właśnie odległość ostrzału katapult. Szczęknięto pięć rygli, w górę wzniosły się smugi dymu. Milę dalej, w pierwszej linii nadciągającego nieprzyjaciela, rozbijały się języki ognia. Tam gdzie trafiły, jazda traciła impet. Spłoszone konie rozbiegały się na boki, wywracając swoich sąsiadów. Za moment szczęknięto kolejne cztery rygle. Pociski wylądowały w innych miejscach. Pięć innych wyrzutni było już napiętych.

Szyk najeźdźców był szeroki. Rogi natarcia półksiężyca sięgały daleko poza linię obrony piechurów. Oskrzydlenie było nieuniknione. Rycerstwo jeszcze nie odpoczęło, a już formowało swoje szyki. Rozjechali się daleko na boki, gotowi w każdej chwili uderzyć w skrzydła Turków. Wróg zatrzymał się. Na to czekali łucznicy Samuela, wypuszczając salwę strzał. Tom wypuścił jednocześnie dziewięć kul w środek ich kolumny. Konie nacierających oszalały, rozpierzchły się. Wróg stracił zdolność dowodzenia. Niektórzy jeźdźcy dojeżdżali do linii obrony piechurów, ale ginęli od strzał czy długich lancy. Żadna tarcza zaporowa nie uległa wywróceniu. Wśród Turków odezwały się gwizdki. Jeźdźcy zaczęli uciekać, pozostawiając na polu rannych i martwych towarzyszy. Jeszcze dwa razy sięgnęły ich ogniowe kule, ale zdecydowana większość zdołała się wydostać poza strefę ostrzału.

Nie wszczynano pościgu. Po naradzie postanowili wycofać się pod Hromklę.

Pierwsi wyruszyli piechurzy ze wszystkimi taborami. Trzy katapulty zostawiono dla obrony jazdy. Ustawione były na kołach, dzięki temu łatwe

do manewrowania. Nad ranem nie widać było pościgu. Zanim tamci się zorganizują, oni dotrą do miasta.

Przed wieczorem wjeżdżali między mury Hromkli.

Zola sprowadziła swoich Turków z rejonu Anazarby. Okazali się świetnymi wywiadowcami. Po kilku dniach dowiedzieli się, że wróg zrezygnował z zajęcia Hromkli i swoje główne zgrupowanie postanowili umiejscowić w okolicach Edessy. Mała Armenia tymczasowo będzie nienaruszona.

1251 rok

Turcy seldżuccy dominowali. Byli największą siłą na bliskim wschodzie. Wszystkie organizacje państwowe chrześcijan i sułtanaty musiały liczyć się z ich możliwościami bojowymi. Oni najchętniej współpracowaliby z Egiptem, ale tamten sułtanat był po wyczerpującej wojnie z Francuzami i po wewnętrznym zamachu stanu. Turan-Szaha został zabity i nie było z kim rozmawiać. Sułtanem ogłoszono dziesięcioletniego Al-Ashrafa II, ale faktyczną władzę sprawował dowódca zamachowców Aybak, z bahrydzkich mameluków. Seldżukidzi nie czuli się zagrożeni, nie mając sprzymierzeńca. Posiadali swoją organizację państwową, a ich emirowie gromadzili poważne siły. Dotychczasowe podboje ograniczały się do grabieży sąsiadujących osad, ale przygotowywali się do zorganizowanej ekspansji.

Państwo Cylicji znalazło się w niezręcznej sytuacji. Podstawowym zagrożeniem była granica z Syrią. Poseł, a zarazem brat króla Hatuma, podpisał w Karakorum traktat poddaństwa za cenę pomocy w walkach z Seldżukami. Karakorum jednak było daleko a Seldżukidzi obok.

Zola świetnie rozumiała te układy i wracając do swojej siedziby, wysłała gońca z prośbą o audiencję u króla. W Hromkli zostawiła zespół Jany jako biuro garnizonu. Opodal posiadłości Warina kazała Dzarhitowi rozbić obóz dla dwustu tureckich bojowników, którzy mieli zapewnić wywiad i stałą łączność z garnizonem w Anazarbie. Turek miał również służyć jako doradca dla chorągwi Franko.

Jana do Edessy pojechała z drużyną Turków i listem Wilama do brata zakonu szpitalników von Krysvangena. W odpowiedzi otrzymali podziękowania za informacje, a Jana powiększyła swój skład biura o brata Lorchosa z Ormian, który był uzdolnionym szpitalnikiem.

Armia Zoli wróciła do obozowiska w górach. Ona sama na kilka dni przeniosła się do Anazarby, oczekując zaproszenia od króla. Po czterech dniach otrzymała list od emira Seldżuków.

Na kopercie widniał napis: EMIR ZOLA Z ANAZARBY. To świadczyło, że człowiek, który pisał ten list, miał świetny wywiad. Treść listu, pisanego w języku arabskim, ograniczała się do kilku zdań:

Pani!

Dwukrotny przejazd twoich niedużych oddziałów przez moje obozy, z jednoczesnym wystawieniem wsparcia na skrzydłach ewentualnej odsieczy, moi taktycy będą jeszcze długo analizować. Jesteś godnym przeciwnikiem, z którym należy się liczyć. Szkoda, że zamiast porozmawiać z tobą przy wspólnym stole, przyjdzie nam walczyć.

List ją zaskoczył. Mimo że nie rozumiała jego przysłania, to miała potrzebę napisania odpowiedzi. Nie umiała jednak zacząć. Poradziła się Dzonchina, jako sekretarz garnizonu na pewno stykał się z podobnymi listami. On odpowiedział z uśmiechem:

– Pani, ten list napisał dowódca Turków. To są ludy z tradycją koczowniców, którzy bez przerwy walczą. Dla nich godny przeciwnik zawsze zasługiwał na uwagę. Porażka z godnym przeciwnikiem to nie wstyd. Jakby nie uznał ciebie za wytrawnego dowódcę, znaczyłoby, że czegoś nie dopatrywał lub coś zaniedbał. Z godnym przeciwnikiem zdarza się ponieść porażkę.

Te słowa zapadły Zoli w pamięci, zmąciły jej światopogląd, już drugi człowiek uważa ją za godnego wroga. W odpowiedzi napisała tylko jedno zdanie:

Dziękuję, że uznajesz mnie za godnego przeciwnika.

To pochlebstwo nie powinno przysporzyć chwały autorowi listu ani nie umniejszyć jej pozycji.

List od króla otrzymała następnego dnia. Prosił o jak najszybsze spotkanie. Do Sis pojechała z drużyną Karle.

Audiencje odbywały się około południa, lecz dla Zoli czas spotkania wyznaczył zaraz po śniadaniu. Dla niej było to wyróżnieniem. Król wiedział już o potyczce z Turkami i gratulował jej udanej akcji. Zainteresowany był, co zrobiła ze zdobycznymi armatami. Gdy dowiedział się, że zostały w Hromkli, uznał to za słuszne, stwierdzając:

- Dobrze, że taki sprzęt będzie bronił naszych granic.
- Zostawiłam im wóz zapalających kul do ich katapult oraz oddział Turków do spraw organizacyjnych. Myślę, że chorągiew Francuzów nie będzie miała żadnych trudności z utrzymaniem tego przyczółka.
- Dziękuję za troskliwość o mego szwagra, ale tych Turków w najbliższym czasie wycofaj, niech Frank sam sobie radzi. Mnie interesuje, co myślisz o zamiarach Seldżuków.
- Na pewno szykują ekspansję. Nam jednak na razie dadzą spokój. Muszą opracować taktykę przeciw pociskom ogniowym, rzucanym pod kopyta ich koni. Katapulty są znane, ale walka w polu ogniowymi pociskami to ciągle nowość. Turcy są łucznikami na koniach. Nie sposób strzelać z łuku, gdy koń spłoszony. Pociski są z Persji. Wielki chan miał z nimi układ, który oni zerwali. Chan obiecał rozwiązać sprawę Seldżuków. Myślę, że trzeba z nim ponownie umówić się na rozmowy, tym bardziej że na tym stanowisku nastąpiły zmiany.
- To zajmie sporo czasu.

– Obojętnie, ile czasu to zajmie. Nie powinno się być podkomendnym kogoś, kto nie wywiązuje się ze swych zobowiązań.

– Chyba masz rację. Jakbym prosił ciebie o posła, kogo byś mi zaproponowała?

– Przypuszczam, że pododdział Ormian sprostałby zadaniu.

Najbliższy okres był spokojny. Zola nie wyszukiwała problemów, ale i nie powstawały nowe sprawy. Na obydwu granicach z sułtanatami panował spokój. Wsie zaczynały pierwsze zbiory i nikt ich nie niepokoił. Swoich Turków spod Hromkli odwołała dopiero po miesiącu, gdy król poprosił ją o obstawę dla jego posła z listem do Mongołów.

Stanowisko wielkiego chana pełnił Mongke, wyznaczony przez wdowę po Gujuku. Kajmusz zaakceptował tę kandydaturę. W Cylicji jednak nie mogli zgadnąć, jaką politykę przyjmie wielki chan i czy nie nastąpi walka o sukcesję, dlatego dobór ludzi do delegacji był bardzo ważny. Dwa dni rozmawiała z Tomem, aby wybrać bojowników, którzy będą chronić królewskiego posła i nie narażą się po drodze dla innych Mongołów. Droga do Karakorum była daleka, ich podróż, przy niesprzyjających warunkach, mogła trwać nawet pół roku.

Co tydzień otrzymywała list od Jany. Wiedziała na bieżąco, co dzieje się w Hromkli. Seldżukidzi nie niepokoiли miasta, a rycerstwo było zajęte budową własnych koszar.

Budowa szpitala w Anazarbie zajmowała Zolę o tyle, że zobowiązała się do pomocy w pracach porządkowych oraz transporcie. Organizacja prac i przydzielanie grup biorących w nich udział spoczywała na sekretarzu Dzonchinie, Zola była bezczynna. Pewnego razu postanowiła zwiedzić plac budowy. Rozmiar i zaawansowanie prac zafascynowały ją. Budowla zajmowała spory teren. Budynek główny wznosił się na wysokość połowy

okien, a dobudówka, która w przyszłości miała stanowić wozownię i stajnię, była w całości pokryta dachem i wykorzystywana przez cieślę i robotników obrabiających kamień. Na placu znajdowało się wielkie składowisko obrobionych bloków. Okazało się, że pochodzą z kamieniołomu znajdującego się na terenie jej emiratu, konkretnie z majątku Krystena. Tutejszy rzemieślnicy opracowują jedynie bloki potrzebne na zwieńczenia okien, gzymsy lub narożniki.

Zola pierwszy raz w życiu oglądała plac takiej budowli. Niby wszystko takie samo jak przy budynku mieszkalnym, jednak rozmach budowli i liczba pracujących ludzi wymagał przemyślanego planu. Podszedł do niej mężczyzna, który przedstawił się, jako mistrz budowlany.

– Witam emira tych ziem! Co panią sprowadza, czym mogę służyć? – wyrażał się starannie, ale dumnie.

Miała przed sobą mężczyznę w sile wieku. Praca na wietrze i w kurzu poorwała twarz zmarszczkami, ale był przystojny.

– Chciałam zorientować się jak przebiegają prace, pracują tu moi ludzie – odpowiedziała z uśmiechem.

– Stanowią bardzo dużą pomoc. Pan Dzonchin starannie dobiera mi robotników, dzięki temu prace szybko dają efekty. Budowaliśmy z ziemi i stojąc na kozłach. Obecnie musimy wznosić rusztowania. Te bloki kamienne trzeba będzie podawać wysoko. Dzięki pani ludziom praca będzie przebiegała płynnie, ale to wymaga większej liczby pomocników.

Popatrzyła na mężczyznę. Kiedyś Jana stwierdziła, że jeżeli urzędnik stara się być grzeczny, choć podkreśla swoją znajomość rzeczy, to na pewno chce coś wymusić. On na pewno chciał robotników, za których nie musiał płacić.

– Co na to Dzonchin? – spytała.

– Pan Dzonchin powiedział, że do tego potrzebna jest pani decyzja.

– Porozmawiam z nim, ale wyrażę zgodę, gdy zobaczę rusztowania i będę wiedziała, na czym ma polegać praca moich ludzi. Teraz, jak pan może, proszę mnie oprowadzić po całym terenie. Chcę wiedzieć, co będzie robione w najbliższym czasie i czy można przewidzieć termin zakończenia całości prac.

Mężczyzna pokazał jej cały teren budowy, tłumaczył wiele zawiłych dla niej problemów. O niektórych słyszała już w przeszłości, ale dopiero teraz zauważyła ich wagę. Temat budownictwa ją wciągnął. Zaczęła zadawać pytania, a mistrz cierpliwie na nie odpowiadał. Ponieważ zbliżało się dopiero południe, postanowiła jeszcze dziś porozmawiać ze swoim sekretarzem.

– Pani – zaczął tłumaczyć Dzonchin – z początku chętnie dokładałem mistrzowi ludzi. Kiedyś poszedłem na budowę i ze zdziwieniem zobaczyłem, że nasi ludzie kryją dach nad stajnią. Mieli pomagać przy porządkowaniu placu i transporcie, a nie wykonywać roboty budowlane. Powiedziałem, że potrzebna jest pani zgoda, bo myślałem, że on nie odważy się pani prosić.

– Sama poszłam na budowę. To wyszło w trakcie rozmowy.

– Pani, nasi ludzie nie mogą pracować za darmo, gdy on będzie brał za to pieniądze.

– Kto mu płaci za pracę?

– Biuro burmistrza. Karle to sprawdziła, za pokrycie dachu stajni odebrał wynagrodzenie. Gdy go spytałem, odpowiedział, że wziął wynagrodzenie tylko za ten kawałek, który pokryli jego robotnicy. Ja na tym się nie znam, ale mnie się zdaje, że on oszukuje.

– Gdzie jest Karle?

– Zaraz będzie jadła obiad w gospodzie, w której tańczą.

– To one ciągle tańczą?!

– Tak, pani! Mają za to całodzienne wyżywienie, oprócz tego zawsze przynoszą rano wiele grosza. Tylko, że potem śpią do południa.

– Jutro nie potańczą, będą musiały zrobić dla mnie rozeznanie. Ty natomiast dowiedz się, kto płaci za kamień. Pojutrze postawią już rusztowania, będzie trzeba porozmawiać z panem mistrzem.

Tak jak Dzonchin się spodziewał, mistrz budowlany brał pieniądze za każdą wykonaną pracę, nie odliczając za prace wykonane przez ludzi z armii. Za kamień płacił bezpośrednio Krystenowi, ale przy rozliczeniu z urzędnikami doliczał również transport. Było to oszustwo, które podlegało karze. Zola nie chciała pisać oficjalnej skargi, ale nie miała zamiaru puścić tego płazem.

Na plac budowy wybrała się razem z Karle, która miała przygotowane notatki wszystkich wypłat pobranych przez mistrza. W niektórych przypadkach były opisane czynności podlegające wynagradzaniu. Postanowiły najpierw zwiedzić plac budowy. Rusztowania stały tylko z jednej strony. Budowane były schodkowo, aby łatwiej podawać ciężkie kamienie na odpowiednią wysokość. Mistrz budowlany się nie pokazał, od jego zastępcy dowiedzieli się, że jest w urzędzie burmistrza. Został tam pilnie zawołany. To mogło świadczyć o tym, że chciano go poinformować o zbieranych przeciw niemu dowodach. Zawyżanie rachunków zamieniło się w spis.

Dziewczęta przeliczyły na budowie wszystkich pracujących robotników i osobno ludzi ich armii, po czym z tymi informacjami udały się do burmistrza. Przyjął je natychmiast.

– Dobrze, że panie przyszły – powiedział na przywitanie. – Chciałem pochwalić się tempem prac przy budowie szpitala.

– Właśnie przyszedłam w tej sprawie. Nie wiem, co robić, by to tempo gwałtownie nie spadło – odpowiedziała chłodno.

– Co pani ma na myśli?

Zola opowiedziała o odkryciach dotyczących rozliczeń poszczególnych etapów prac, grożąc, że wycofa wszystkich swoich bojowników z placu budowy.

– Nie jestem w stanie wszystkiego dopilnować – tłumaczył się burmistrz. – Nie interesowałem się, kto za co bierze pieniądze. Nie wiedziałem, że pani ludzie pracują za darmo.

– Płacę im regularnie żołd, praca na budowie utrzymuje ich w kondycji, jest jednak problem wypłaty pieniędzy mistrzowi za czynności, których nie wykonał.

– Pani Zolu, tempo prac jest zadowalające. Wysłałem list do króla o wynikach budowy. Nie chciałbym, aby spowolniono prace lub je zatrzymano. Z pani śledztwa wynika, że doszło do nadużyć, a na pewno niedopilnowania przez moich urzędników. Jeżeli ja to wyjaśnię, to mistrz budowlany nie wycofa się z zobowiązań, inaczej zaskarżę go do sądu królewskiego. Obiecuję pani, że część pieniędzy zwróci. Dobrze by było, aby ktoś od pani zasiadł wśród moich urzędników i na bieżąco obliczał, jakie wynagrodzenie należy się za pracę pani ludzi. Będziemy to pani wypłacać. Niech pani da dla mistrza tyle ludzi, ile mu potrzeba i wszyscy będą zadowoleni. Mam nadzieję, że pan Mark niebawem wróci i podzieli mój pogląd.

– Gdzie Mark pojechał? – spytała.

– Do Edessy. Wyjechał ponad miesiąc temu.

– Tam mogą już być Seldżukidzi.

– Miejmy nadzieję, że go przepuszczą. Szpital to jego budowla i on powinien jej pilnować.

Karle zasiadła w radzie miasta, jako honorowy członek. Nie wiązało się to z dodatkową władzą, a raczej z reprezentacją biura garnizonu.

Do kasy armii zaczęły napływać pieniądze za wykonane prace budowlane. Nie były to środki, które mogłyby pokryć wypłatę żołdu, jednak zamazały poczucie niesprawiedliwości przy rozliczeniach budowy szpitala.

Zola dała spokój i nie żądała wyższych opłat, musiała wyjechać w góry, aby omówić kilka spraw z Wilamem. Wszystkie problemy związane z armią w Anazarbie spłynęły na Karle. Nie miała z tym kłopotów, ponieważ uprzednio czuwała nad ściągalnością podatków dla burmistrza i znała większość mieszkańców. Jednak sprawy budowy i reprezentowania garnizonu zmusiły do zaprzestania tańców w gospodzie. Karczmarz nadal nie brał od niej zapłaty za posiłki, prosił jedynie, by reszta dziewcząt nie rezygnowała. Często przesiadywała w gospodzie, kibicując koleżankom, jednak nie siedziała do późnej nocy, rano musiała być dyspozycyjna.

Taniec poznały bardzo dawno. Kiedyś instruktorka walki, widząc ich tańce zawołała wszystkie do siebie. Przypuszczaly, że zabroni im tego rodzaju rozrywki, a stało się wprost przeciwnie.

– Jak znacie rytm tańca, to o wiele łatwiej przyswoicie szermierkę. Walka dwoma mieczami ma coś z rytmiki, opanujecie ruchy i będziecie mogły ćwiczyć przy muzyce.

Po kilku dniach przyniosła instrument strunowy. Miał małe pudło, za to długi gryf. Chińska muzyka była inna niż perska czy czarnomorska, jednak szybko przyzwyczały się do niej, a nawet polubiły. Można było znaleźć analogię do tańca hinduskiego, choć tamten był do przekazywania wzniosłych treści, a nie do zadawania śmiertelnych ciosów.

Chińscy nauczyciele ćwiczyli z nimi przez dwa lata. To wystarczający okres, by poznały podstawy władania mieczem, lancą, łukiem, a nawet pięściami. Azabaj po zwolnieniu instruktorów, nakazał im w grupach ćwiczenia doskonalące, aż stały się niezawodnymi bojownikami.

Swoich rodziców Karle nie pamiętała. Ojca zabrali do armii, gdy miała sześć lat, a matka umarła przy jej porodzie. Wychowywała ją stryjenka. Kochała ją jak własną córkę, nawet opłacała jej nauczycieli, którzy uczyli ją podstaw pisania i liczenia. W jasyr trafiła, mając dziewięć lat. Była starsza od Zoli, jak wiele innych, ale po sześciu latach żadna nie dorównywała dowódczyni. Zola była najlepsza w każdej dziedzinie, a co najważniejsze, potrafiła być zawsze opanowana. Nigdy się nie złościła i postępowanie każdej potrafiła wytłumaczyć przed wodzem. Wszyscy ją lubili. Gdy zginęła Jerba, z uznaniem przyjęły Zolę jako dowódcę.

Karle wraz z Jane stały się drużynowymi. To w dużym stopniu ułatwiło dowodzenie, jednak nie wywyższało je. Odkąd nastała Zola, wszystkie dziewczęta były sobie równe. Każda miała prawo wyrażać swoje myśli, a Zola starała się, by wszystkie wiedziały tyle samo, co ona. Weszło w nawyk, aby przy śniadaniu wymieniać się informacjami. Dziewczęta często rozmawiały z innymi żołnierzami, a nawet z ludźmi z dowództwa. Gdy powstała ich armia, Zola pomimo stanowiska emira, dzieliła się swoimi informacjami z resztą dziewcząt. Mogła sobie na to pozwolić, ponieważ grupa dziewcząt nigdy nie była włączona do armii. One stanowiły elitę. Każda z nich mogła zastąpić Zolę, choć żadna tego nie pragnęła.

Teraz Karle sama musiała podejmować decyzje. Zola była dwa dni drogi od niej, nie było kogo pytać. Poprzednio, gdy armia stacjonowała w Hromkli też była sama, ale wtedy miała pomagać burmistrzowi, nie podejmowała decyzji, najwyżej doradzała. Obecnie jej wypowiedź była tyle samo warta, co słowo Zoli.

Rano została poproszona do budynku rady miasta. Dowiedziała się, że jesienią król chciałby uroczyście otworzyć działalność pierwszego szpitala w Cylicji. Czasu zostało mało, a robót budowlanych dużo. Mistrz budowlany zwrócił się bezpośrednio do niej, żądając zwiększenia robotników.

– Nie wiem, czy naszą armię na to stać. Muszę się zastanowić. Wojownicy to nie robotnicy, którzy mają żony. Trzeba ich gdzieś zakwaterować i przygotowywać posiłki, to wszystko kosztuje. Poza tym powinni cały czas odbywać ćwiczenia taktyczne, stąd częste zmiany osobowe pracujących osób. Obozy są oddalone o dwa dni drogi, co utrudnia zmiany grup ćwiczących i pracujących. Muszę wszystko przemyśleć i zorganizować.

– Z panią Zolą łatwiej się rozmawiało – stwierdził mistrz.

– Zola jest emirem, gdy powie, my wykonamy. Tutaj jestem ja, dlatego chcę mieć czas na zastanowienie, aby wiedzieć, jak to wykonać.

– Kiedy pani Zola wróci do Anazarby? – spytał burmistrz.

– Powinna być za kilka dni.

– Czy pani mogłaby przekazać jej naszą prośbę?

– Naturalnie, ale i tak potrwa zanim biuro garnizonu nie obliczy kosztów wynajmu bojowników do pracy przy budowie. Zola obiecała również wspomóc budowę szpitala w Hromkli. Przypuszczam, że łatwiej by jej było wspomóc budowę złotem niż własnymi ludźmi.

Zola przyjechała za trzy dni i zaczęła rozważać wycofanie z budowy wszystkich bojowników. Gdy to zakomunikowano burmistrzowi, Karle stała się kimś ważniejszym w radzie miasta.

Przyjazd Marka wraz z delegacją rycerzy zakonu szpitalników, wprowadził wiele zamieszania. Edesę zdobyli Seldżukidzi. Sułtanat konijski wzmocnił oddziały graniczne w tamtym rejonie. W każdej chwili między Turkami mogło dojść do wojny, w której najwięcej ucierpią miasta graniczne. Rycerze zakonu jechali do króla, aby prosić o interwencję. Mark przyprowadził ich do Zoli.

– O ile będziecie rozmawiać z królem, on oprze się na opinii tej pani – słowa skierował do Franca von Krysvangena, który przewodniczył delegacji.

– Pamiętam tę panią, była bojownikiem armii Wilama von Junkalera.

– Ta pani jest emirem, z której opinią król bardzo się liczy. Pan Wilam natomiast jest jednym z dowódców mianowanych przez tę panią.

Rycerz mówiąc do Zoli, cedził słowa:

– Von Junkaler przedstawił panią jako ormiańskiego bojownika.

– Nie skłamał – dziewczyna się roześmiała. – Nie powiedział jedynie, że jest moim dowódcą. Umyślnie postanowiliśmy w Edessie tego nie mówić, by zapobiec ewentualnym komplikacjom. Zależało nam wtedy na szybkim przemarszu przez miasto i dokonaniu niezbędnych zakupów. Byliśmy w trakcie organizacji armii, nie chcieliśmy wywoływać sensacji, tym bardziej że nie mieliśmy sprecyzowanego celu naszej działalności.

– Teraz macie? – pytanie wypowiedział z dozą złośliwości. – Seldżuków przegoniliście prosto na nas.

– Broniliśmy się, oni mieli znaczną przewagę.

– Ich emir, Sadżagak powiedział, że zabroniliście przebywać im w okolicach Hromkli.

– Takie było nasze życzenie, choć nie rozmawialiśmy z nim. Nie sugerowaliśmy, by szli na Edesę, mieliśmy zamiar z waszym hrabstwem zawrzeć przymierze.

– Była jakaś dziewczyna, ale nikt nie będzie się układał z kobietą...

– Teraz pan musi – przerwała mu – choć właściwie jest za późno. Jesteście zbyt daleko, by udało nam się przyłączyć was do naszego państwa. Mamy za małe siły, aby walczyć z Seldżukami. Z nimi mamelucy podpisali porozumienie...

– Nie słyszałem, by sułtan Egiptu podpisał z nimi porozumienie – przerwał jej wypowiedź. – Pani próbuje na mnie wymusić jakieś ustępstwo. Ja chcę się zobaczyć z panem Wilamem von Junkaler.

– Ma pan przestarzałe dane. Sułtana Egiptu nie ma już prawie od roku, rządy przejęli tam mamelucy. – Widząc zniecierpliwienie rozmówcy, zmieniła temat. – Ciężko panu ze mną rozmawiać, dam panu przewodnika, aby zaprowadził do Wilama, ale to dwa dni drogi stąd. Ja przekażę królowi, co myślę o sytuacji w regionie. Panie Mark, zechce pan mnie umówić z królem.

Mark popatrzył zdziwiony na rycerzy zakonnych, ale wzruszył ramionami, do Zoli odpowiedział:

– Muszę zorientować się w sytuacji przy budowie szpitala, dawno mnie tu nie było, zajmie to z dwa dni. Naturalnie jak najszybciej postaram się powiedzieć królowi, że zachodzi potrzeba rozmowy z panią. Wiadomość o terminie przekażę gońcem.

To był koniec rozmowy z delegacją Niemców. Po posiłku pojechali w kierunku gór, by spotkać się z Wilamem. Mark wrócił wieczorem, aby omówić sytuację w byłym hrabstwie Edessy. Był zachwycony postępem budowy szpitala w Anazarbie. Podziękował za inicjatywę przy założeniu lecznicy w Hromkli. Kończąc spotkanie, powiedział:

– Rozwahałem z królem podległości miejskich lecznic. Takie placówki nie są w stanie objąć opieką wszystkich potrzebujących w regionie i ktoś musi decydować, kto powinien być przyjęty do szpitala w czasie epidemii i jak należy postępować przy zagrożeniach grupowych. Jest sugestia, aby nadzór nad szpitalem przejął dowódca garnizonu, zapobiegnie to różnym niesnaskom spowodowanym kumoterstwem lub przekupstwem. Szpital powinien służyć wszystkim, a nie tylko warstwie zamożnych, powinien również zabezpieczać przed rozszerzaniem się zarazy...

Zola nie rozumiała, na czym miało polegać zwierzchnictwo garnizonu nad szpitalem, ale postanowiła omówić to z Wilamem.

Król nie wyznaczył jej ścisłego terminu spotkania, ale nakłaniał, aby przyjechała wspólnie z rycerzami zakonu szpitalników. Nie musiała nawet wysyłać do nich gońca, ponieważ pojawili się w Anazarbie w dniu otrzymania listu od monarchy.

Wilam, chcąc zażegnać nieporozumienie, jakie zaistniało między rycerzami a Zolą, zamówił w gospodzie uroczystą kolację, na którą zaprosił obydwie strony. Dziewczyna pojawiła się z Karle. Obydwaj rycerze wraz z Wilamem czekali na nie przy zastawionym stole, ale gdy one zajmowały swoje miejsca, towarzystwo mężczyzn nadal rozmawiało po niemiecku. Kobiety poczuły się nieswojo. Nietakt mężczyzn potraktowały milczeniem. Obydwu rycerzy widziały w Edessie, Zola spotkała się z nimi kilka dni temu, ale nie byli sobie oficjalnie przedstawieni. Mark wspominał, że oni wywyższają się nawet w obecności władz miasta. Właściwie nie posiadali żadnej władzy. Prowadzili szpital i jako rycerze bronili zakonu Marii Panny. W Edessie istniał ich dom zakonny, w którym w tej chwili pozostało ośmiu braci.

Dziewczyny przez pewien czas przyglądały się mężczyznom, po chwili Zola głośno powiedziała do Karle:

– Zmienimy gospodę. Popatrzymy jak nasze dziewczęta tańczą, tam będziemy rozmawiać po naszymu.

Słowa te otrzeźwiły Wilama.

– Poczekaj, Zolu, tym panom trzeba pomóc. Jeżeli nie ruszymy im na ratunek, w ciągu miesiąca staną się muzułmanami.

– Nie zauważyłam, aby panowie prosili mnie o pomoc. Prowadzicie rozmowy w niezrozumiałym nam języku, jestem tu niepotrzebna.

– Przepraszam, tak dawno nie używałem ojczystego języka, że się zapomniałem.

– Zaprosiłeś mnie w celu omówienia istotnych spraw tych panów. Oni przy poprzednim spotkaniu zasugerowali, że nie chcą ze mną rozmawiać i do tej pory nawet mi się nie przedstawili. Wiem kim są, ponieważ przysłuchiwałam się waszej rozmowie pod Edessą. Może ty z nimi porozmawiaj, jednak nic nie obiecuj, bo i tak nie mamy możliwości im pomóc. Napaść na nich jest prowokacją, aby nas wywabić. Sułtanat konijski nam nie pomoże, a wielki chan jest za daleko.

– Ale Seldżukidzi uznają dżihad. Nie pozwolą zakonowi istnieć w wierze katolickiej.

– Jakby byli tacy bezwzględni, nie pozwoliliby im wyjechać z miasta. Emir Sadżagak napisał do mnie, że jego taktycy analizują nasze posunięcia w ostatniej bitwie. Dał mi do zrozumienia, że drugi raz tego nie powtórzymy. Zresztą Edessa jest za daleko, król musiałby użyć całej swojej armii, by tam dojechać i wrócić, a Francuzi ledwie sobie radzą w Hromkli. Pamiętasz nasze początki, broniliśmy wsi przed zaprzyjaźnionymi Turkami. Teraz nie tylko im – wskazała gości palcem – ale i nam grozi ekspansja Seldżukidów. Król musi podjąć decyzję, ale na pewno nie wyśle im kogoś do pomocy.

– Przecież chodzi o obronę chrześcijaństwa – włączył się von Kryswangen.

– Im chodzi o obronę islamu i w tym jest problem. Nikt nie jest w stanie przekonać ich ani nas, która wiara jest ważniejsza, chociaż odnosi się do tego samego Boga. Około sto lat temu, gdy Francuzi tworzyli hrabstwo krzyżowców, ich wódz kazał wymordować w Edessie wszystkich muzułmanów, w tym kobiety i dzieci. Oni to pamiętają i teraz przyjmują władzę, ale panów jakoś nie mordują. Należy jednak rozwiązać problem

tych Turków, o ile państwo Cylicji ma nadal istnieć. Jutro pojedziemy razem do Sis. Po drodze wiele omówimy, a decyzja i tak będzie zależała od króla.

Zostali przyjęci na następny dzień po przyjeździe. Król ugościł ich obiadem. Gdy usiedli do stołu, monarcha spytał Zoli, czy przyjechała ze swoimi dziewczętami, bo mieszkańcy miasta stęsknili się za ich tańcami.

– Niestety, królu – odpowiedziała z uśmiechem. – O ile ktoś zechce je oglądać, musi jechać do Anazarby, tam występują codziennie.

– To niesprawiedliwe, aby w stolicy zaniechać takich pokazów – roześmiał się. – Chociaż moja żona twierdzi, że mi nie przystoi oglądać takich wygibasów.

– Może i ma rację – dziewczyna grzecznościowo schyliła głowę w stronę królowej – ale jakby małżonka zmieniła zdanie, to przyślę na dwór kilka dziewcząt, by cię zadowolili swymi umiejętnościami, choć mało ich zostało, ponieważ część bawi w Hromkli.

– Pokazałaś tam swoje umiejętności. Nawet de Franko napisał bardzo pozytywny list o twoich zdolnościach bojowych, nie mówiąc o emirze Seldżuków, chyba Sadżagak ma na imię.

– Tak, do mnie też napisał ...

– Korespondujecie z naszymi wrogami – wypowiedź Zoli przerwał von Krysvagen.

Król spojrzał na rycerza uważnie. Jego spojrzenie przez chwilę spowodowało milczenie przy stole, ale zaraz powiedział:

– Specjalność korespondowania z wrogami, to zdolność tej dziewczyny, która siedzi przy panu. Moi urzędnicy odkryli, że Zola utrzymuje stałą korespondencję z mamelukami. Nic dziwnego, skoro jeden z ich dowódców zawdzięcza jej życie i honor. Taka korespondencja ma zalety, wiemy, co się dzieje w wrogim nam świecie. Przyjaźń pani Zoli

z wrogami potrafimy wykorzystać w różnych dziedzinach. Ostatnio brak stabilności w Egipcie wzmocnił nasz rynek handlu przyprawami.

– Tu nie chodzi o przyprawy. Naszym braciom zakonnym zagraża przejście na wiarę islamu – wtrącił von Krystvangen.

Król znów zawiesił wzrok na rycerzu, za moment zwrócił się do Zoli.

– Co pani jako emir o tym myśli?

– Królu, emir Sadżagak, tuż przy granicy, dysponuje ponad pięcioma tysiącami bojowników. Ma ich dużo więcej i w każdej chwili może prosić o pomoc sąsiada. Nie wiadomo, jakie siły Seldżukidzi zgromadzili na wschodzie. W tej chwili nie mamy możliwości wspomóc Edessy militarnie.

– Po obiedzie chciałbym porozmawiać na temat zwrotu: „w tej chwili”. Powiedz jednak, co możemy zrobić w obronie braci zakonu Marii Panny.

– Miałam dziewiętnaście lat, gdy rozbiłam armię Muzaboka. Azabaj poszedł ze swymi rekrutami do Gruzji. Hamel Ahat zabrał prawie pięć tysięcy ludzi, by przeciwstawić się armii Ludwika. Mnie przypadło ponad tysiąc bojowników mieszanego wyznania, bez planów na przyszłość. Jestem Ormianką i to mnie skierowało na zachód, by przyłączyć się do chrześcijan. Trafiłam na znakomitego dowódcę – wskazała Wilama. Musieliśmy przejść przez krainy Turków, czyli muzułmanów. Nie bałam się muzułmanów. Trzon mojej jazdy to Saraceni. Szanowaliśmy ich, a oni szanują nas. Wtedy martwiliśmy się, czy nasza nieduża armia przetrwa. Nie mogąc ominąć Edessy, pojechaliśmy na rozmowy, by pozwolono nam przejechać przez miasto. Ten pan – wskazała von Krysvangena – zaczął nas egzaminować ze znajomości wiary chrześcijańskiej, mnie spytał o znajomość dekalogu. Przykazania umiem dobrze, jednak nie jestem patriarchą, aby dawać im wykładnię. Uważam, że my i muzułmanie mamy tego samego Boga, a pierwsze przykazanie głosi: – Nie będziesz miał cudzych bogów przede mną...

– Nasze religie diametralnie się różnią – przerwał jej von Jungan, drugi rycerz. – Chodzi o obronę naszej wiary.

– Drugie przykazanie brzmi – ciągnęła Zola – Nie będziesz brał mego imienia nadaremno. Musimy zastanowić się, czy wszczynanie wojny religijnej, to nie igranie z imieniem Boga.

– Muzułmanie stosują dżihad – wtrącił król.

– Kiedyś moja matka powiedziała: jak twój brat zrobił źle, to nie znaczy, że ty masz robić źle.

– Coś musimy odpowiedzieć tym rycerzom – monarcha był poirytowany.

– Muzułmanie nie znają wiary chrześcijan, ich religia zabrania rozpatrywanie kanonów nowego testamentu. Każdy z nas, o ile przejdzie na ich stronę, nie musi się swojej wiary wyzybywać. Kiedyś jeden z moich dowódców powiedział, że przyjęcie pozycji medytacji mnichów buddyjskich pozwalało mu bardziej szczerze się modlić. Myślę, że nauki Szarijatu nie przeszkadzają w modłach, tym bardziej że bracia zakonnicy modlą się nawet w nocy, a islamiści tylko w dzień. Naturalnie mówię o stanie przejściowym, bo moje słowa: „w tej chwili” są tu bardzo ważne.

– Muszę przyznać, Zolu, że coraz bardziej mnie zaskakujesz, ale porozmawiamy o tym na osobności. Natomiast, co się tyczy panów – monarcha zwrócił się do Niemców – muszę się zastanowić, co wam mogę powiedzieć. Jutro w czasie porannej audiencji usłyszycie moje zdanie na ten temat.

Po głównym posiłku król zaprosił wszystkich do sali bankietowej, gdzie przy winie można było porozmawiać indywidualnie. Przy królu zaraz znalazł się rycerz von Jungan. Von Krysvangen wraz z kanclerzem zażyłe rozmawiali z Wilamem. Do Zoli podeszła królowa.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć – zaczęła wypowiedź. – Mnie również podobają się wasze tańce. Są bardzo rytmiczne i przejrzyste w swym przesłaniu. Jednak, gdy mąż się na was patrzy, to myślę, że bardziej podziwia kształty młodych dziewcząt, a nie sztukę tańca.

– Moje dziewczęta tańczą ubrane.

Królowa uśmiechnęła się.

– Twoje wszystkie dziewczęta są bardzo wysportowane i mają bardzo ładne sylwetki. Wasze paradne kimona są z tak cienkiego jedwabiu, że pokazują dużo więcej niż perski tiul.

– Moje dziewczęta potrafią ładnie tańczyć i mają zgrabne figury, ale na tym kończy się ich kobiecość.

– Chyba jesteś w błędzie. W dwóch listach z Hromkli moja siostra opisała, jak twoja Jana okręciła wokół palaca jednego z rycerzy Franko.

Zola uśmiechnęła się.

– Oni chyba razem się okręcają.

– Prawda jest taka, że gdy chłopak z dziewczyną polubią się, to nie zauważają wad partnera. Mężczyzna zapoznając się z ładną i mądrą dziewczyną, z którą może prowadzić nawet filozoficzne rozmowy, po prostu traci głowę. Wszystkie jesteście ładne i mądre, a do tego czeka was długa podróż z królem. Myślę Zolu, że po powrocie, nadal będziemy miały o sobie dobre zdanie.

Gabinet królewski był nad wyraz skromny. Co prawda na półce nad sekretarzykiem leżało kilkanaście ksiąg, ale poza tym był tylko stół i osiem krzeseł. Nawet nie zauważyła wygodnego fotela. Gdy weszła, w pomieszczeniu był król z kanclerzem oraz sekretarz. Zajęła wskazane miejsce przy stole. Sekretarz podał królowi kartkę papieru. On uważnie przeczytał jej treść.

– Wiedziałem Zolu, że jesteś bojownikiem i emirem – zaczął wypowiedź. – Nie spodziewałem się jednak, że jesteś filozofem. Z twoich słów wypowiedzianych przy obiedzie, pomimo ich słuszności, trzeba będzie się wytłumaczyć. Zakon Marii Panny jest uznany przez papieża i prawdopodobnie rycerze zakonni w tej chwili piszą list do swego monarchy, skarżąc się na twój światopogląd. Twoje słowa mogą być interpretowane na wiele sposobów i trzeba im znaleźć logiczną wykładnię, aby nie dać się zaskoczyć łacińskim dyplomatom. Chciałem złagodzić niesnaski między tobą a zakonnikami, a ty zaogniłaś konflikt. Nie wiem, co teraz mam zrobić, by nadal utrzymać dobre stosunki z kościołem zachodnim. Nie mówiąc o tym, że możesz stracić swego naczelnego dowódcę, który był cesarskim rycerzem. Gdy ktoś wyżej postawiony rozkaże, będzie musiał natychmiast wrócić. W przyszłym tygodniu w Anazarbie będzie przebywał nasz patriarcha, zalecam byś spotkała się z tym dostojnikiem.

– To nie moja wina, królu. Na pewno Mark opowiedział tobie o aspiracjach tych rycerzy. Będąc nikim, rządili miastem. Teraz przyszli Turcy i ukrócili ich rządy. Gdyby zajęli się tylko szpitalem, nikt by ich na wiarę islamu nie nawracał. Seldżukidzi szykują się do ekspansji, a emir Sadżagak jest wspaniałym taktykiem, szuka przyczółku, by zaatakować nas i sułtanat konijski. Na pewno nie zwraca uwagi na wyznania podległych sobie ludzi. Panowie rycerstwo musieli mu się narazić, skoro zagroził im nakłanianiem na islam. Zresztą, gdyby ci panowie nie odstraszyli władz Edessy od rozmów z nami, Turcy by do ich miasta nie weszli. Bałam się o Hromklę. Wysłałam do nich Janę z delegacją, by utworzyć wspólny front. Na tematy militarne nie chcieli rozmawiać, twierdząc, że sami się obronią, za to przysłali swego brata, by przejął nasz szpital... Wystarczyło kontrolować ruch oddziałów tureckich. Nie chcieli współdziałać, więc

wycofałam się ze swoją armią do obozowisk, a oni nie zauważyli napaści na siebie.

– Szkoda, że tego nie powiedziałaś przy obiedzie, już dałbym im odpowiedź. Teraz oni duszą twego dowódcę, by znaleźć argumenty przeciw tobie, a ja będę musiał spotkać się z nimi ponownie.

– Królu, nie tylko oni mogą pisać do króla Niemiec i wielkiego mistrza zakonu. My również możemy przedłożyć swoją opinię o nich. Trzeba im zwrócić na to uwagę. Ponadto możemy im zaproponować, aby przenieśli swój dom zakonny do Hromkli. Oni będą bezpieczni, a i my będziemy mieli pożytek w tamtejszym szpitalu. Na pewno znajdą wspólny język z rycerstwem francuskim, nie będą musieli rozmawiać z kobietami. Mogę nawet wycofać kobiety z biura obsługi garnizonu.

– Co z Edessą?! Oddamy ją Turkom?!

– Przecież już oddaliśmy, do chwili póki nie zbierzemy koalicji zdolnej przeciwstawić się im – Zola wzruszyła ramionami, jakby to było oczywiste.

– Sami się na nich nie porwiemy. – Porozumienie z wielkim chanem dotyczy między innymi pomocy w walce z Seldżukami. Trzeba przypomnieć chanowi, że armia Muzaboka na tym terenie nie istnieje. Jestem mizerną częścią, a właściwie wspomnieniem jej wielkości. W zeszłym roku stanowisko chana objął Mongkeg. Może nie orientuje się w obecnej sytuacji na bliskim wschodzie. Brak sułtana w Egipcie też niczemu dobremu nie wróży.

– Najprawdopodobniej Turcy seldżuccy mogą szukać sprzymierzeńca w kalifacie... – Król zawiesił głos, zmieniając temat. – Za trzy miesiące chcę jechać do Karakorum. Ty będziesz niezbędna, aby wyjaśnić brak armii Muzaboka. Chciałbym również mieć twój kobiecy oddział jako ochronę. Dziewczeta są wykształcone, a tam trzeba zachować wiele rozwagi. Twoją armią w tym czasie dysponowałby wyznaczony przez ciebie dowódca.

Wilam by się do tego najlepiej nadawał, o ile nie wymuszają czegoś na nim jego krajanie, ale o tym porozmawiamy potem. Na jutrzejszej audiencji będziesz w gronie moich urzędników, zabierzesz głos, jeżeli o coś ciebie spytam. Masz odpowiedzieć jak najprościej, bez żadnych filozofii.

Udzielanie audiencji to trudne zajęcie. Wysłuchanie tylu ludzi, przy baczym zwracaniu uwagi na każdy wyraz, jest sztuką, którą każdy monarcha powinien poznać. Zola jako emir nie raz musiała jej sprostać, ale tutaj w sali przyjęć miała możliwość podziwiać kunszt króla. Umiał manewrować słowami tak, by zdania były proste i najtrafniej wyrażały jego wolę. Zafascynowała ją umiejętność jej zwierzchnika. Nie zwracała uwagi na gości, a na jego wypowiedzi. Czas szybko mijał, a ona nie czuła znużenia. Otrzeźwiała dopiero na widok dwóch znajomych rycerzy.

– Franc von Krysvagen i Henryk von Jungan, rycerze zakonu szpitalników Najświętszej Marii Panny – zaanonsował sekretarz króla.

Obydwaj stawili się w swoich białych płaszczach z wielkimi czarnymi krzyżami. Witając króla, przyłożyli prawe dłonie do piersi, pochylając głowy. Ponieważ cisza się przeciągała, pierwszy zagadną król.

– Wyjawcie, szlachetni panowie, z jaką prośbą przyjechaliście do mnie. Znam wasze problemy, ale żeby sprawa mogła być oficjalnie rozpatrzona, moi dworzanie i sekretarze powinni znać to zagadnienie.

Przybyli mężczyźni popatrzyli po sobie. Widocznie nie spodziewali się, że przy tak dużym zgromadzeniu dworzan będą musieli ponownie formułować swoją prośbę. Nie byli na to przygotowani. Von Krysvagen wypowiedź zaczął bardzo niepewnie.

– Tak jak tłumaczyłem poprzednio, po bitwie, jaką stoczyła emir Zola, Turcy seldżuccy nie mając gdzie się podziać, uderzyli na Edessę, zdobywając ją. W mieście jest bardzo dużo chrześcijan, między innymi

obrzędki ormiańskiego. Jest tam również nasz dom zakonny, prowadzący miejski szpital. Seldżukidzi w rozmowie zakomunikowali, że możemy zostać w mieście, pod warunkiem przyjęcia wiary islamu. Dla nas jest to warunek nie do przyjęcia, dlatego postanowiliśmy przyjechać tu, aby prosić o militarną pomoc.

Król nic nie mówił, ale zwrócił głowę na sekretarza prowadzącego notatki z przebiegu audiencji.

– Zanotował pan dokładnie to, co panowie powiedzieli? – Gdy sekretarz skinął głową, król kontynuował: – Proszę to przeczytać na głos, by nie było wątpliwości, że coś zostało przeinaczone lub pominięte.

Wszyscy ponownie wysłuchali słów, jakie wypowiedzieli rycerze. Monarcha zabrał głos dopiero, gdy obydwaj mężczyźni stwierdzili, że nie wnoszą uwag do przeczytanego tekstu.

– Pani Zolu, proszę wyjaśnić, jaką bitwę stoczyliście pod Hromką?

– Po wygonieniu niedużego oddziału Turków z miasta, spodziewaliśmy się oblężenia. Podejrzenia były prawdopodobne, ponieważ nieprzyjaciół posiadał armaty przeznaczone do kruszenia murów. Wraz z chorągwią francuską, która stacjonuje w Hromkli, doszliśmy do wniosku, że ukradzenie tych urządzeń powstrzyma na dłuższy czas napaść na miasto. Opracowaliśmy plan, który pozwolił przejąć część taborów, razem ze wspomnianymi armatami.

– Pani Zolu, proszę wyjaśnić tu obecnym, skąd wiedzieliście o armatach i taborach?

– Wysyłaliśmy wiele czujek i szpiegów w szeregi wroga. Otrzymaliśmy nie tylko informacje o taborach, ale również o rozczłonkowaniu oddziałów tureckich. Po akcji nasz wywiad doniósł, że oddziały tureckie wycofują się, co spowodowało moją decyzję wycofania swojej armii. O słuszności mojego postanowienia potwierdził list

otrzymany w Anazarbie od emira wroga, uznającego mnie jako godnego przeciwnika.

– Czy władze Edessy nie prowadziły rozeznania o ruchach wojsk Seldżuków? – pytanie monarcha skierował do rycerzy.

– Nic nam nie wiadomo, panie. Oblężenie miasta i szybkie jego zdobycie było dla nas zaskoczeniem.

Król zaczął mówić po chwili przerwy.

– W chwili obecnej, nie jestem w stanie podjąć walki z Seldżukami. Zbyt wielka to potęga, by moje państwo działając w pojedynkę, mogło wypowiedzieć im wojnę. Taka możliwość może nastąpić, ale dopiero za kilka lat. Mogę jedyne wam zaproponować przeniesienie waszego domu zakonnego do Hromkli. Tam pod nadzorem rycerzy francuskich powstaje spory szpital, który moglibyście objąć opieką. Również w Anazarbie powstaje szpital pod patronatem emira Zoli. Bylibyśmy wdzięczni, jakbyście pomogli przy jego uruchomieniu. Czy możecie panowie podjąć decyzję zaraz? Naturalnie o waszych sugestiach i moich propozycjach powiadomię waszych przełożonych w Europie.

Rycerze stwierdzili, że najpierw muszą porozumieć się ze swoimi braćmi z domu zakonnego. Najwyraźniej ostatnie zdanie króla Hetuma zaskoczyło ich na tyle, by odpowiedź opracować bardzo starannie.

Przygotowania do podróży w rejon Karakorum zajęło wiele czasu. Opracowywano szlak bezpiecznego dotarcia do monarchy Mongołów. W tym celu do Sis została poproszona Zola.

– Skoro Seldżuci są w Edessie, musimy ich ominąć wielkim łukiem. Jaką drogę proponujesz? – spytał król.

– Nie mamy innej drogi niż przez sułtanat konijski. Persja również wypowiedziała posłuszeństwo chanowi, musimy kierować się na Kaukaz. Gdy przejdziemy przez ziemie Gruzinów, znajdziemy się wśród Mongołów.

Droga trochę dalsza, ale bezpieczniejsza. W górach stacjonuje gdzieś Azabaj ze swoją armią. Jakby się udało go odnalaząć, pomógłby, to też Ormianin.

– Tak ci powiedział, ponieważ jest chrześcijaninem obrządku ormiańskiego, ale pochodzenie ma inne. Jego matka była Gruzinką, a ojciec pochodził z ludu Kurdów. On dobrowolnie wstąpił do wojsk Czyngischana, bo Kazachy zabili jego siostrę. Wiele lat służył u Muzaboka i służyłby mu do tej pory, gdyby ten nie zdradził ich wszystkich.

– Przypuszczam jednak, królu, że gdybyśmy się do niego zwrócili, to by nas przeprowadził.

– Miałby niebywałą okazję zrehabilitować się w oczach wielkiego chana. Współpraca z nim to dobry pomysł. Mógłbym mu nawet zaproponować służbę. Zaraz wyślę ludzi, by go odnaleźli.

Azabaja odnaleźli szybko. Założył swoją enklawę w środkowym Kaukazie. Nie chciał podporządkować się innym. Przysłał obszerny list wyjaśniający, dlaczego nie podejmie służby u króla. Pomimo to podjął się bezpiecznie przeprowadzić ich przez cały Kaukaz aż do granic chanatu.

Zola również otrzymała list od swego byłego wodza. Dowiedział się o jej dokonaniach. Dawno już chciał się z nią spotkać. Chciał przeprosić, że je narażał, aby wygrać bitwę, która po jego przemyśleniu, nie miała sensu. Napisał, dlaczego doprowadził do konfrontacji z Muzabokiem oraz jakie błędy popełnił. List kończył się dwoma zdaniami o Grejs:

...Bardzo mi jej brakuje. Byłem na pobojuwisku, nie wiem gdzie je pochowałaś. Szukałem grobu, nie znalazłem...

Zrobiło jej się przykro. Ona nie myślała o poległych koleżankach, by uhonorować ich śmierć. Problem dla niej stanowiło uporządkowanie pobojuwiska. W chwili obecnej nie mogła nawet przypomnieć sobie twarzy Grejs...

1252 rok

Wyprawa do wielkiego chana rozpoczęła się dopiero po roku. Oprócz kilkunastoosobowego dworu, ochronę stanowiło pięciuset strażników z Sis i dwudziestoosobowy oddział kobiety pod dowództwem Karle. Zola była w ścisłym składzie delegacji.

Sułtanat konijski wcześniej powiadomiono o przejeździe delegacji Cylicji. Dzarhid osobiście powiadomił o trasie przejazdu przez ich teren.

Zola dowiedziała się, że przed ich wyjazdem królowa Izabela próbowała się z nią spotkać. Zaniepokojona przedstawiła obawy królowi, on jednak skwitował to z uśmiechem.

– Na pewno nic ważnego nie chciała ci przekazać. Najprawdopodobniej prosiłaby, abyś zadbała o moje bezpieczeństwo.

Dziewczyna przypuszczała, o co królowa chce prosić, bezpieczeństwo zastąpiłaby innym wyrazem.

Na terenie sułtana konijskiego witał ich emir tego terenu. Przygotował obozowisko, ustawiając dla całej świty króla przestronne namioty wraz z wyposażeniem. Sam dostojnik czekał na drodze, stojąc w gronie swoich dowódców. Gdy król zbliżył się, wyszedł na dwa kroki i w ukłonie powiedział:

– Witam władcę sąsiedniego państwa. Chciałbym, abyś u nas czuł się jak najlepiej i abyś utrzymał pokój na naszej granicy.

– Czybyś obawiał się, że napadnę na wasz sułtanat? – powiedział z uśmiechem król.

– Panie, masz emira kobietę, która pokonała mego brata! On dostrzegając jej kunszt bojowy, za jej zgodą zjawił się u mnie, prosząc, bym nie miał do niego pretensji, bo chce służyć u jej boku... Gdy władca posiada

takich emirów, nie obawia się nikogo. Godny bojownik wart jest więcej niż cała potęga Seldżuków.

– Słuchając twoich słów, wnioskuję, że bardziej chciałbyś porozmawiać z nią niż ze mną.

– Tylko za twoją zgodą, panie – odpowiedział z uśmiechem na twarzy.

– Zolu – król wskazał ją ręką – jak znajdziesz wolną chwilę, porozmawiaj z tym panem.

– Jesteś miłym człowiekiem, emirze, z chęcią zamienię z tobą parę słów – odparła Zola.

– Przygotowałem kolację w swoim obozie, będzie stosowna okazja.

Przyjemny wieczór zapowiadał południowy ciepły wiatr, bezchmurne niebo i wschodzący księżyc.

Do zachodu słońca brakowało godziny, gdy turecki goniec prosił ich na kolację. Biesiadę urządzono w wielkim namiocie, pozbawionym dwóch sąsiadujących ścian. Przy pozostałych bokach ustawiono stoły. Światło dawały gęsto rozmieszczono lampy oliwne. Przed namiotem grała orkiestra, składająca się z pięciu grajków. Środek namiotu pozostawiono pusty, co zapowiadało atrakcje w czasie przyjęcia.

Witając gości, gospodarz powiedział:

– Na imię mam Dzarhit, tak jak mój młodszy brat, służący obecnie u tej kobiety – przedstawił się, wskazując Zolę. – Tak postanowiły nasze matki. Jestem emirem na ziemiach przyległych do waszego państwa. Mój sułtan twierdzi, że powinniśmy być przyjaciółmi, ponieważ razem jesteśmy wasalami wielkiego chana. Nasz spokój mącą Seldżukidzi, ale mam nadzieję, że nie popsują naszych przyjaznych relacji.

Król odpowiadając, zmrużył oczy.

– Mówiąc, emirze, o naszych stosunkach, to poprawne nastąpi dopiero, gdy ustanowię emirat Zoli. Poprzednio moje wsie bardzo cierpiały.

– Więcej cierpiał twój skarbiec niż wsie – roześmiał się emir. – Moi dowódcy często są zbyt samodzielni, ale i twoi gospodarze myśleli, jak zmniejszyć swoje podatki. Nieraz opłacała się im napaść moich oddziałów, jednak przy emirze Zoli napaści przestały się opłacać obydwu stronom. Słyszałem, że jej uczone dziewczęta poprawiły budżet w niektórych twoich miastach.

– Dokładnie przyglądasz się moim terenom.

– To wina mego brata, zakochał się w twoim emirze. Pisze mi o wszystkim, czego ta kobieta dokonała. Opowiedział o bojownicze, która potrzebuje jednego ruchu mieczy dla jednego przeciwnika. Ile ruchów, tylu wykluczonych przeciwników. Mówił również, jak w kilku słowach potrafi wyrażać swoją wolę i wszyscy jej słuchają. Twierdził, że to najmądrzejsza kobieta, jaką kiedykolwiek spotkał, i potrafi do tego zniewalająco tańczyć. Kilka dni temu przysłał jej portret, bym nie pomylił jej z inną.

Klasnął w ręce, na ten znak zza płachty namiotu wyszedł służący, wnosząc oprawiony w grube ramy obraz, na którym widniało popiersie Zoli. Ona zaskoczona, podniosła się z krzesła.

– Skąd to? – spytała.

– Nie wiem, pani. Brat sprowadził jakiegoś fachowca, który to wykonał. Podarował to mnie, jednak powinienem ciebie spytać, czy mogę to powiesić w swoim domu.

– Podarowano tobie, to twoja własność. Zrób z tym, co chcesz, aby tylko twoje żony nie miały do mnie pretensji.

– Nasze kultury się różnią. W mojej wierze kobieta nie może wnosić pretensji do męża... Jednak rozmowy o wierze na tym terenie, to drażliwy

temat... Wiem, pani, że mamelucy i niektórzy Seldżukidzi myślą o tobie jak o godnym przeciwniku, z którym nie wstyd przegrać. Portret takiej osoby w domu to zaszczyt, zwłaszcza jak się tę osobę zna. Będę mógł opowiadać, że rozmawiałem z bojowniczką, która nie bała się podróży do wielkiego chana, pomimo, że zabiła jego emira.

– Nie był emirem, był zdrajcą i to chcę wyjaśnić chanowi.

– Ciebie również można nazwać zdrajcą, przecież zabiłaś swego wodza.

Podróż przez Armenię wlokła się opieszale. Król zatrzymywał się w każdym większym mieście, rozmawiał z mieszkańcami. Zola ze swymi dziewczętami nie brała w nich udziału. Jak tylko nadarzała się okazja, to rozbiła obóz poza miastem. Monarcha nie sprzeciwiał się temu. Była wdzięczna za wyrozumiałość.

Przemarsz stawał się monotonny. Oczekiwała jedynie dotarcia do Kaukazu i spotkania z Azabajem. Nie widzieli się trzy lata, a ciągle nie wiedziała, czy nie żywi do niej urazy, że go opuściła. Gdy na horyzoncie zarysowywały się góry, stała się niecierpliwa.

Wieczorem do jej namiotu przyszła Karle.

– Nie czujesz niepokoju? – zagadnęła od wejścia.

– Czego mam się obawiać? – odpowiedziała pytaniem.

– Azabaj może zażądać od króla oddania nas.

– Wątpię. Myślę, że to będzie przyjacielskie spotkanie. On sam chciał zrobić coś podobnego, co myśmy zrobili. Nam nadarzyła się okazja.

– No, nie wiem. Według prawa ciągle jesteśmy jego niewolnicami.

Czujka Azabaja czekała przy wjeździe do reglowego lasu. Przekazali jego list. Prosił o spotkanie na najbliższej polanie, gdzie jutro rano mają przybyć przywódcy terenów, przez które będzie przechodziła trasa przemarszu. Król zawołał Zolę, prosząc ją o opinię.

– Chce się spotkać na polanie, nie będziemy mieli pewności czy wokół nie czyha wróg. Czy oni mają interes napaść na nas?

Zolę zaskoczyło pytanie monarchy. Ona nie знаła obyczajów ludów Kaukazu. Wiedziała, że za Kaukazem rządzą chanowie, ale król też to wiedział, na co więc liczył, zadając jej to pytanie.

– Królu, Azabaj był moim właścicielem, wątpię jednak by chciał mnie odzyskać. Rozbicie armii Muzaboka było mu na rękę. On sam wywołał wojnę przeciw swojemu przywódcy. Był w dużej mniejszości, co wykazała zdrada jego dowódców. Został tylko z rekrutami, na których mógł liczyć, ponieważ nie byli wprowadzeni w realia emiratu. Zresztą nazwa emirat to umowna forma, u chanów nie ma emirów.

– Ale ty przyjąłeś ten tytuł?!

– Po pokonaniu oddziałów Turków było to wygodne. Muzabok był dowódcą zgrupowania armii, które sam rozbudował. Liczył na tytuł chana. Gdy nie mógł się tego doczekać, zdradził swego monarchę za obietnicę założenia własnego państwa. Może i dostałby swoje tereny, ale byłby szybko podbity przez innych.

– Mówmy o naszym bezpieczeństwie. Czy możemy zawierzyć Azabajowi?

– Podjął się nas przeprowadzić. Skoro chce, byśmy rozmawiali ze wszystkimi przywódcami, to znaczyłoby, że poważnie potraktował swoje zadanie. Nie doszukiwałam się podstępów. Teraz jest najemnikiem, jaki miałby cel, by nas zdradzić?

– Może ktoś mu więcej zapłacił.

– Więcej mogliby mu zapłacić Seldżukidzi, ale oni nie mają tu wpływów. Wpływy tu ma wielki chan, a my do niego jedziemy...

Na wielkiej polanie Azabaj czekał przy swoim obozie dla pięciuset bojowników. Na spotkanie króla wyszedł sam. Zola jechała z boku i na

widok swego byłego dowódcy zeskoczyła z konia. Król poczekał aż ona pierwsza z nim się przywita i dopiero wtedy zszedł z siodła. Dziewczyna poczuła się zobowiązana ich sobie przedstawić.

– Nie musisz, Zolu – przerwał jej król. – Przedstawiano nas sobie dawno temu. – Podszedł i podał dłoń Azabajowi. – Jestem tylko ciekaw, czemu nie chcesz mi służyć, skoro ciągle uważasz się za Ormianina.

– Wybacz, królu, ale mnie się zdaje, że dobrze przydaję się Armenii. Cylicja jest innym państwem, w dużej mierze uzależnionym od łacińskiej Europy, a oni inaczej patrzą na nasz kościół. Przystąpiłem kiedyś do Czyngischana, ponieważ on umiał szanować każdą wiarę. Teraz wiele sułtanatów i chanatów przyjmuje wyznanie zapoczątkowane przez Mahometa. Ta wiara ma swoje kanony, które zwalczają każde inne wyznanie. Dżihad jest już popularny we wszystkich sąsiadujących państwach. Mongołowie za górami bardzo chętnie przyjmują islam. Obecnie jest już drugi następca wielkiego chana. Ma on trudności zapanować nad jednością monarchii. Jego bracia nie zawsze są mu życzliwi. Ja stoję pośrodku. Wielu moich braci Gruzinów piastuje ormiański kościół. To nam ułatwia chronić kościoły Armenii. Wielki chan nałożył na nie duże zobowiązania, jakbyś w rozmowie z nim nadmienił o tym, byłibyśmy ci wdzięczni.

– Już wiem, po kim te kobiety przyjęły swoją mądrość – wskazał na Zolę. – Bardzo dobrze je wychowałeś.

– Niewiele mi zawdzięczają. To były bardzo skrzywdzone dzieci. Jedyne, co mogłem, to starannie je wykształcić.

Przed kolacją Azabaj spotkał się ze wszystkimi dziewczętami. Wspominali i opowiadali nowe historie. Informację, że Jana znalazła sobie partnera wśród Francuzów, skwitował słowami:

– Biedny mężczyzna, ona będzie go biła.

Wybuch śmiechu wśród dziewcząt świadczył o trafności żartu. Gdy po ogólnym spotkaniu został sam z Zolą, spytał:

- Jak zginęła Grejs?
- Nie cierpiała – odpowiedziała bez zastanowienia.
- Macie żal do mnie, że was tam wysłałem?
- To było irytujące doświadczenie i w zasadzie bez wyjścia.
- Ale uratowałyście życie mnie i moim rekrutom. Rozwiązałaś poważny problem, który zaistniał na tych ziemiach. Prawdopodobnie stacjonowałyby tu olbrzymia armia, która plądrowałaby miasta Armenii.
- Czemu armia Mongołów nie wkroczyła?
- Nie było potrzeby. Mamelucy się wycofali, konijskich Turków obowiązywało porozumienie, Armenia płaciła lenno, a poseł Cylicji akurat opuszczał siedzibę wielkiego chana.
- Czemu nie wróciłeś do chanatu?
- Wystąpiłem przeciw swojemu wodzowi, a ponadto za Kaukazem modny staje się islam. Ja i moi ludzie należymy do kościoła Armenii. Ty natomiast w tej chwili możesz łatwo przejść na łaciński obrządek.
- Mam specyficzne nastawienie do wyznań. Wszyscy wierzą w tego samego Boga, a wojny prowadzą, aby udowodnić wyższość swojej religii. Obrządek religijny wywodzi się z kultury i to powinniśmy szanować.
- Ty jednak walczysz!
- Bronię się i bronię podległych mi ludzi. Chyba dobrze to robię, bo żadna z nas, od czasu bitwy przy bagnach, nie zginęła. Król mi wierzy i przydziela samodzielne zadania.
- Uważaj na słowa przy Francuzach i Niemcach, wszystkim chcą narzucić swoją wolę.
- Wiem, już udowadniałam ich winy. Ostatni raz skończył się rozmową z naszym patriarchą.

– Jutro nie rozmawiaj z przywódcami, mają swoje zdanie o samodzielnych kobietach. Dziś skończyła się wasza podróż przez Armenię. Droga przez Kaukaz zawsze jest ryzykowna.

– **Kaukaz** będzie najniebezpieczniejszym odcinkiem naszej drogi – stwierdził król, po rozmowie z przywódcami terenów. – Dobrze, że nie brałaś udziału w tej naradzie, ale w czasie drogi oddział kobiecy powinien być w pobliżu, choć nie na czele. Przywódcy będą nam towarzyszyć, jednak nie biorą odpowiedzialności za bandy, których jest tu bardzo dużo. Każdy z nich prowadzi pięćdziesięciu ludzi. Po drodze będą pozostawać w swych siedliskach. Azabaj prowadzi stu ludzi na szpicy, resztę porozstawiał w terenie, by zapobiec zasadzkom. Prosił mnie, byś przy frontowym ataku powstrzymywała wroga serią strzał.

– Ćwiczyłyśmy to w ciasnych kanionach. Dziewczęta będą w pogotowiu.

– Jak możecie powstrzymać rozpędzoną konnicę, o ile będzie ich więcej niż pięćdziesięciu?

– Mówimy o kanionie, gdzie w szeregu jedzie nie więcej niż kilku jeźdźców. Dziewczęta dzielą się na dwie grupy, pierwsza celuje w konie, a druga w bojowników. Pierwsza seria strzał powstrzyma impet natarcia. Ci z tyłu potykają się na leżących z przodu. Wtedy nawracają uciekający i atakują rozproszonego wroga. Trzeba tylko ustalić sygnał, abyśmy mogły się ustawić.

– Ustaliliśmy to, będą dwa przeciągłe trąbienia rogiem.

– W wąskich przejściach jesteśmy bezpieczni. Szczyty Azabaj obstawi swoimi ludźmi.

Następnego dnia w południe wjeżdżali do głębokiego kanionu. Droga była dość wygodna, w szerokości mogło się zmieścić z dziesięciu jeźdźców.

Przy pionowych ścianach wykopane były rowy odprowadzające wodę. Król niepewnie rozglądał się po górskich zboczach. Zola uspakajała go:

– Nie trzeba się obawiać, tam na pewno od dwóch dni siedzą ludzie Azabaja.

– A jak już ktoś zajął ich miejsce?

– Nie ma obawy! Azabaj by to wiedział. Nie ruszy do przodu, jeśli z góry nie usłyszy sygnału...

– Boję się tych gór, są zbyt wysokie i zbyt skaliste.

– Nie znam ich, nigdy tu nie byłam, ale wierzę Azabajowi.

– Darzycie siebie zaufaniem, a przecież porzuciłaś jego oddziały.

– Służyłam mu wiernie, pomimo to wyznaczył nam zadanie przekraczające nasze możliwości. Większość ludzi go zdradziła, chciał ratować rekrutów, moje działania umożliwiły mu to. Powiedziałam mu, że nie wrócę na tereny Armenii. Zrozumiał mnie, ale ze swego zamysłu też nie zrezygnował.

– Mógł wrócić do chana, jednak chyba miał dość tej wojny...

Wieczorem pożegnali jednego z przywódców, a rano wyjechali na otwartą przestrzeń. Dzień był pogodny, ośnieżone szczyty razily swoim blaskiem. Podróż stała się przyjemniejsza, a król spokojniejszy.

W czasie postojów rozmawiała z Azabajem. Wzbudziło to ciekawość jednego z przywódców. Na pytanie, kim ona jest, Azabaj odpowiedział:

– To osoba, która rozbiła całe zgrupowanie Muzaboka.

– Muzaboka zabił jego własny wojownik – odpowiedział mężczyzna.

– Właśnie ma pan go przed sobą.

– Kobieta!? Chyba, że w nocy podcięła mu gardło.

– Nie radzę panu jej obrażać. Łatwo stracić życie – wtrącił się do rozmowy król.

– Na szczęście nie muszę się jej obawiać, mam tu swoich ludzi – odpowiedział przywódca.

– Takich jak ona jest tu oddział.

– Widziałem dwadzieścia dziewcząt. Ja prowadzę pięćdziesięciu.

– To zdecydowanie za mało – wtrącił Azabaj. – Gdybyś pan miał dwustu, jeszcze miałyby szansę. One zdobyły tabory Muzaboka, walcząc z trzystoma.

– Żartuje pan, tę sam bym załatwił.

– Ośmieszylby się pan – włączyła się Zola – ale przy kolacji możemy dać popis swoich umiejętności na tępe kije. Poszuka pan w swoim oddziale dwóch najlepszych szermierzy. Ja z koleżanką z chęcią bym się z nimi zmierzyła. Przyda nam się lekki trening...

Widowisko mieli zobaczyć również kaukascy wojowie. Po rozbiciu wieczornego obozu, na obszernej polanie zebrało się ponad dwieście osób chętnych oglądać pojedynki. Rozstawili się w szerokim kręgu, zostawiając pole dla walczących. Pierwszy wyszedł postawny mężczyzna, ubrany w tunikę pokrytą metalowymi blaszkami. Oprócz długiego, ciężkiego kija trzymał tarczę, a głowę okrywał szyszak zabezpieczający również jego kark. Jako jego przeciwnik wyszła Zola ubrana w podróżny strój, włosy przepasała opaską. W rękach trzymała dwa kije wielkości saraceńskich szabel.

– To będzie nieuczciwa walka, pani nie ma zbroi – zagadnął wojownik.

– Moją zbroją są moje umiejętności. Martw się woju o siebie – odpowiedziała.

– Co będzie jak cię sięgnę kijem?

– A co będzie jak ja wygram?

– Walczcie wreszcie – powiedział ktoś z tłumu.

Podali sobie ręce i oddalili od siebie na dwa kroki. Zola lekko się pochyliła, wystawiając miecze, jakby obawiała się zbliżenia przeciwnika. On jej nie lekceważył. Ustawił tarczę w pozycji horyzontalnej, oczekującej uderzenia z każdej strony. Zamarli w tej pozycji.

– Zaczniecie w końcu! – krzyknął Azabaj.

– Chyba masz rację, już zdrętwiałam – odpowiedziała Zola. Wyprostowała się i oparła kije o ziemię.

Mężczyzna skoczył do przodu, próbując uderzyć ją od góry.

Przyklękła na kolano, parując cios od góry. Jej prawy kij tuż pod tarczą sztorcem uderzył pod pachę przeciwnika z taką siłą, że wybił staw barkowy.

Jęknął, ale zdążył jeszcze zamierzyć się z boku. Odskoczyła, unikając ciosu. Przeciwnik nie był w stanie wykonać następnego ruchu. Jego lewa ręka zwisała z ciężką tarczą, wywołując ból barku. Wypuścił kij i łapiąc się za łokieć, próbował zminimalizować cierpienie.

Odrzuciła swoje kije i uniosła tarczę bojownika.

– Odepnij ją! – poleciała.

Bojownik z trudem rozczepił rzemienie. Gdy odłożyli tarczę, kazała mu przytrzymać przegub chorej ręki. Niespodziewanie chwyciła za jego łokieć i szarpnęła ramię do dołu. Jęknął, ale staw naskoczył na miejsce. Ostatnim jej gestem było nałożenie temblaka ze swojej opaski na włosy.

– Chodź z tym co najmniej dwa tygodnie i nie nakładaj tarczy. Po trzech tygodniach ręka powinna dojść do siebie.

Nikt z obserwatorów nie przerywał tych czynności, dopiero kiedy ranny odszedł z kręgu, ktoś krzyknął:

– Pani na polu walki też tak o wszystkich dba?

– Na polu walki przede wszystkim krzywdzę. Po bitwie niektórym pomagam, ale tylko tym, którzy na to zasługują.

– Mnie pomogłaby pani? – kontynuował rozmówca.

– Najpierw musiałabym panu przywalić.

– Za mocno pani bije kijami, boję się.

Słowa te wywołały ogólny śmiech.

– Możemy walczyć pustymi dłońmi.

– Tego bym spróbował – rozmówca poderwał się i wyszedł na plac.

Był nie wiele wyższy od niej, ale sylwetkę miał potężniejszą.

– Będzie pan tego żałował – powiedziała Zola, wywołując ogólny śmiech.

– To się okaże – mówiąc to, przyjął pozycję greckiego boksera.

– Stała na wprost niego w lekkim rozkroku. Pięty były uniesione, a ręce odchylone od bioder. Czekala.

Wyskoczył z prostym w jej twarz, gdy zrobiła unik, lewą ręką wykonał uderzenie hakiem. Nachyliła się. Jej ramię zahaczyło o jego bark, a z tyłu podstawiała nogę. Mocne pchnięcie i bojownik wywrócił się na plecy. Widzowie skomentowali to śmiechem.

Poderwał się na nogi, wystosowując cios w jej pierś.

Złapała przegub atakującej ręki i blokując jego stopę, szarpnęła do przodu. Tym razem poleciał na brzuch.

– Ty nie walczysz, robisz tylko jakieś chwytty.

– Jak chcesz walczyć? – spytała.

– Mieliśmy walczyć na pięści...

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale potężny cios w szczękę wywrócił go na murawę. Długo nie mógł się podnieść. Potem w ciszy odszedł na swoje miejsce.

Karle walczyła z dwoma na raz. Jeden zszedł z przetrąconą ręką, a drugi z obolałym kolaniem. Azabaj przerwał dalsze popisy. Wyszedł na plac i powiedział:

– Mielście panowie tylko niewielką próbkę umiejętności tych dziewcząt. One służyły mi od dziecka i mówię wam otwarcie, że przegrać z nimi pojedynek, to nie wstyd. Swoje umiejętności zdobywały ponad dziesięć lat i były bardzo pilnymi uczennicami. Na tym terenie nie mają sobie równych.

Następnego dnia nikt z Gruzinów nie zaczepiał dziewcząt, a Zola przez przywódców była proszona do stołu na każdy wspólny posiłek. Czas podróży zaczął szybciej upływać, aż szczęśliwie dotarli do stepów.

Azabaj żegnając się z Zolą, powiedział:

– W powrotnej drodze możecie wracać już sami. W górach dowiedzieli się, że z twoimi dziewczętami lepiej nie zaczynać.

– Jednak w powrotnej drodze przeprowadzisz króla i mnie, ja w wąwozach sobie nie poradzę. Zawsze może znaleźć się jakaś banda bohaterów.

Na stepach oczekiwał ich wielki obóz Mongołów. Gdy wyjechali z regła, ostatni towarzyszący im przywódca pojechał przodem ze swoją świtą, aby zakomunikować przybycie króla Cylicji. Wrócił niebawem w towarzystwie sześciu mongolskich bojowników. Przy królu wszyscy zeskoczyli z koni, wykonali ukłon, rozkładając ręce w boki. Jeden z nich powiedział:

– Wielki panie, nasz chan powiedział, że mamy ciebie bezpiecznie doprowadzić przed oblicze kaana Mongke. Pozwól byśmy mogli wskazać wam miejsce na obóz, abyś mógł odpocząć po górskiej podróży. Wieczorem ugości ciebie dowódca naszej ordy, odpowiadając na wszystkie twoje pytania.

Zola z Azabajem stała tuż za królem, wymienili między sobą spojrzenia, a on zwrócił się do monarchy:

– Królu, nie widzę, co mogłoby zagrażać, możesz jechać na wskazane przez nich miejsce, ale przodem wyślij oddział wojska. Każ im rozbijać obóz, a wieczorem oczekuj na zaproszenie przywódcy. Wskazane by było byś przy kolacji przedstawił im Zolę i jeszcze jedną z dziewcząt. Ja już się pożegnam, nie chcę jechać między nich. Zostanę tu chwilę z Zolą, aby omówić sygnały na drogę powrotną.

Król na znak zgody kiwnął głową. On wraz z Zolą pojechali w kierunku jego wojów. Dziewczyna zatrzymała się na chwilę przy swoim oddziale i zakomenderowała:

– Karle, ty dowodzisz! Ustawcie się przy królu. Od tej pory jesteśmy jego osobistą ochroną.

Na końcu kolumny czekał na nich przywódca, który ich tu doprowadził. Azabaj przedstawił go Zoli.

– To pan Babałaj, przy tej dolinie wszyscy go znają. Jak wyślecie tu łącznika, niech pyta o niego. Jego ludzie w ciągu dwóch dni przekażą mi wszystko. Hasłem będzie Grejs.

Pożegnanie nie trwało długo. Gruzińskie oddziały zaraz ruszyły w drogę powrotną. Zola pojechała na miejsce obozowiska. Był to dogodny, płaski teren, przylegający do wypływającej z gór rzeki. Jej namiot już stał. Urządzając sobie wnętrze, pomyślała o Azabaju i Grejs. On darzył ją uczuciem. Całą drogę przez Kaukaz w rozmowach wracał do jej osoby. Dla niej były to nieprzyjemne wspomnienia, zginęło wtedy osiem dziewcząt, a ona ich nie pochowała. Zmęczenie i konieczność organizacji obrony nie pozwalały na kopanie grobów, ale ich brak będzie ją prześladował do końca życia.

Na kolację, do przywódcy ordy, poszła z Karle. Pomimo jesiennego chłodu ubrały się w swoje kimona. Przyjęcie odbyło się w wielkiej jurcie. Wokół ogniska rozłożono obrusy zastawione jadłem. Przy każdej poduszce

do siedzenia stał półmisek, a na nim dwa noże o różnej szerokości. Król wskazując na ostrza spytał Zoli.

– Do czego one służą?

– Zastępują sztucce, ale jest tu dobrze widziane jak ktoś je rękoma – odpowiedziała szeptem.

– Siadając, muszę krzyżować nogi?

– Dla większości jest tak wygodniej, ale można przyjąć dowolną pozycję.

Dowódca ordy zwrócił uwagę na tę wymianę zdań i zapytał:

– Czyżbyśmy coś zaniedbali, że jego wysokość musi pytać swych chińskich opiekunek.

– Mój brat był już u wielkiego chana, ja jestem pierwszy raz wśród tak zacnych mongolskich osobistości – mówił spokojnie król. – Nie chciałem was urazić. Kobiety, które siedzą przy mnie, nie są Chinkami. Pochodzą z armii Azabaja, który służył dla Muzaboka. Znają wasze obyczaje.

– To są zabójczynie Azabaja?

– Tak! Choć one nie lubią tego określenia.

– Zabiły Muzaboka.

– Wiem o tym. Z tego powodu emir Zola – wskazał dziewczynę ręką – jest w składzie mojej delegacji, aby wytłumaczyć wielkiemu chanowi sytuację, jaka zaistniała po rozłamie mongolskiej armii w Armenii.

– Wielki panie, podjąłem się bezpiecznie doprowadzić ciebie do naszego kaana i z tego obowiązku tylko śmierć może mnie zwolnić. Nie wiedziałem jednak o bojownicze Zoli, którą również będę musiał bezpiecznie doprowadzić. Jest to dla mnie utrudnienie, ponieważ jeden z moich atamanów był bratem Karachira, którego ta kobieta zabiła. Niedawno Amlet, tak na imię ma ten Ataman, odnowił swoją ranę po stracie brata. Do jego oddziału dołączył człowiek z oddziału Wangena, który

twierdzi, że zamach przeprowadzony przez te kobiety, miał na celu przejęcie złota Muzaboka, a nie powstrzymanie przed przejściem na stronę mameluków. Gdy oddział Wangena chciał odejść, to był ścigany i tylko cudem dotarł do nas.

– Wyście w to uwierzyli? – wyrwało się Karle.

Zola z królem popatrzyli na nią, dziewczyna zrozumiała swój nietakt i spuściła głowę. Jednak przywódca Mongołów nie zraził się i wyjaśnił:

– Ja nie uwierzyłem, wysłałem szpiegów do oddziałów Azabaja. Wszyscy twierdzili, że Muzabok zdradził, jednak wątpliwości zasiane w duszy Amleta rozrastają się. On ma pytania, na które nie umiem odpowiedzieć. Co się stało ze złotem Muzaboka, prawdopodobnie było go dużo? Dlaczego oddział Wangena miał być zlikwidowany? Dlaczego duża większość ordy Muzaboka została przekazana mamelukom, a pozostałość podzieliła się na armię Azabaja i Zoli?

Do rozmowy włączył się król.

– Gdy minęliśmy granicę mojego państwa, zostałem ugoszczony przez emira Dzarhita z sułtanatu konijskiego. Jego brat walczył z Zolą i popadł do jej niewoli. Bitwa była sprowokowana przez knowania, nijakiego Czynnnona, który na armię Zoli naprowadził trzy szable tureckie. Korzystając z zamieszania, próbował ukraść część złota. Gdy się nie udało, uciekł z placu boju z dwoma podległymi mu bojownikami. Tyle się dowiedziałem od emira, resztę musi wyjaśnić Zola.

Mongoł uniósł rękę, przywołując wartownika, szepnął mu coś na ucho, gdy wasal wyszedł, zwrócił się do Zoli:

– Co się stało z Wangenem?

– Wangen z własnej woli przyłączył się do mojej armii. Powierzyłam mu stanowisko dowódcy pierwszego oddziału jeźdźców. Po kilku dniach zaczął spiskować przeciw mnie. O spisku donieśli mi inni dowódcy, dlatego

wszczęłam śledztwo. Konflikt dotyczył wyboru głównodowodzącego armią, on chciał przejąć to stanowisko...

– Kogo pani ustanowiła dowódcą? – pytaniem przerwał jej wypowiedź.

– Głównodowodzącym został Wilam...

– To niewolnik pochodzenia europejskiego, ale prawdopodobnie zdolny dowódca... Jak pani zabiła Wangena i dlaczego ścigała jego oddział?

– Chciałam bezkonfliktowo wyjaśnić sprawę i zwołałam zebranie wszystkich dowódców. Wangen zdenerwował się, gdy prosiłam go o wyjaśnienie. Nazwał mnie smarkulą i wyzwał na pojedynek. Walka odbyła się publicznie, on był w zbroi i z tarczą. Po tym zajściu poleciłam, by jego oddział wybrał spośród siebie dowódcę. Wybrano Czynnona, a on zakomunikował, że oddział chce się odłączyć od armii. Nie wszyscy bojownicy Wangena byli tego zdania, kilkunastu zostało ze mną. Resztę obdarowałam pięciodniowym prowiantem i odprawiłam. Spodziewaliśmy się, że mogą robić nam problemy, więc kilka dni nie ruszaliśmy się z miejsca. Straciliśmy ich ślad. Okazało się, że przyłączył się do oddziałów tureckich, namówił ich na napaść na naszą armię, obiecując im znaczne łupy w złocie...

– To prawda, że tego złota było tak dużo?

Zola popatrzyła na króla, on wiedział o zapasach złota, ale nie zdawał sprawy o wielkości majątku, jaki posiadała. Teraz jednak nie chciała kłamać, bo sprawa złota wracała przy każdym wyjaśnianiu sprawy.

– Było bardzo dużo i z różnych źródeł. W kilku skrzynkach było złoto na funkcjonowanie armii. Mamelucy zapłacili złotem za trzy armie, a właściwie za dziesięć tysięcy bojowników. Składowane było w baryłkach. Wódz miał jeszcze prywatne złoto, którego dorobił się na handlu niewolnikami. Trzymał je w sakwach, ukrytych w podwójnej podłodze

wozów z uzbrojeniem. Skarb znalazłyśmy przez przypadek, gdy dziewczęta szukały zapasu strzał i którejś wpadło do głowy rozbić burtę. Muzabok był przerażony, gdy dowiedział się o naszym odkryciu...

– Nie bałyście się, że was pozabija...?

Pytanie zostało przerwane przez wejście rosnącego bojownika. Był w średnim wieku, ubrany w paradny strój. Przy pasie wisiały dwa mandżurskie miecze. Zola z Karle wymieniły spojrzenia, mężczyzna widząc ich zaskoczenie, poprawił swoją broń. Przywódca przedstawił przybysza:

– To Amlet, o którym wspominałem... Siadaj mój dzielny dowódco, dzisiaj wyjaśnimy wszystkie twoje niejasności. Miałeś przyjść z człowiekiem Czynnona. Gdzie on jest?

– Uciekł, gdy się dowiedział, że z królem Cylicji przybyły te panie. Wysłałem już pościg. Jutro powinni go przyprowadzić. – Mężczyzna miał niski głos, mówił, nie spuszczając wzroku z obydwu kobiet.

– To już nieważne. Dowiedziałem się, że oddział Wangena nie był ścigany. To już był oddział Czynnona. Było odwrotnie, to on chciał napaść na armię tej pani – wskazał Zolę – by ukraść jej złoto. Pani miała właśnie opowiedzieć, jak je przejęła.

– Azabaj wysłał nas, byśmy zdobyły tabory Mozabuka. Nie miałyśmy pojęcia, że tam było ukryte złoto. Głównym naszym zadaniem było zdobycie katapult lub niedopuszczenie, by strzelały w kierunku naszej armii. Było nas trzydzieści osiem kobiet, a po drodze dowiedziałyśmy się, że taborów broni ponad setka bojowników, nie licząc obsługi. Udało się ich zaskoczyć. Do niewoli wzięłyśmy kilkunastu ludzi, zwłaszcza z obsługi, reszta zginęła. Gdy doszło do starcia obydwu armii, zdążyłyśmy przestawić katapulty i ostrzelałyśmy ludzi Muzaboka. On przysłał oddział konnicy, ich też pokonałyśmy, biorąc do niewoli dwudziestu. Byłyśmy na wzniesieniu między rzeką a bagnem, prowadziła tam tylko jedna droga. Bój między

armiami trwał, a my byłyśmy pomęczone walką. Od poprzedniego dnia nie jadłyśmy, jednak ciała około dwustu poległych nie pozwalały nam odpocząć. Należało uporządkować teren. Pomogli jeńcy, ciała puściliśmy z nurtem rzeki, a potem wspólnie zjedliśmy posiłek. Dziewczeta chciały uzupełnić zapas strzał, ale wozy z nimi były starannie zabezpieczone. Wśród jeńców byli obydwaj dowódcy taborów...

– Jak to obydwaj? – pytanie wyrwało się Amletowi. Został za to skarcony spojrzeniem zwierzchnika.

– To były podwójne tabory: Muzaboka i mameluków. Jeńcy powiedzieli, że klucze od wozów ma Muzabok lub Karachir. Wtedy dziewczeta zaczęły rozbijać burtę i odkryły podwójną podłogę. Były tam ukryte perskie monety... Dzięki zdradzie dowódców Azabaja bój wygrał Muzabok. Nasi jeńcy prosili nas, byśmy pozwoliły im uciec, spodziewając się śmierci z rąk Muzaboka. Chciałyśmy to uczynić, ale nie widziałyśmy możliwości. Jedyna droga była blokowana przez wrogich nam wojowników. Przy rzece budowano już przeciw nam tratwy, ale załatwiłyśmy to kilkoma zapalającymi pociskami, nie dopuszczając do ich wodowania. Wtedy zrodził się szalony pomysł zabicia dowódców i przejęcia armii. Jeńcy pokazali nam resztę złota. Ja z czterema dziewczętami podjęłyśmy się wykonać misję. Miałyśmy zastraszyć Muzaboka zatopieniem w bagnie całego złota. Nie widziałyśmy wielkich szans powodzenia, jednak jakbyśmy nic nie zrobiły, to na pewno by nas uśmiercili. Zabiłam Muzaboka i Karachira...

– Jednak nie zabiła pani przywódcy mameluków –przerwał jej Amlet.

– Był w zasięgu mego miecza. Gdyby wykonał niewłaściwy ruch lub próbowali tego jego ludzie, też by nie żył. Ale on był tam w interesach, jego bitwa nie interesowała, a ja miałam jego tabory, które w przypadku mojej śmierci spłonęłyby. W najbardziej komfortowej sytuacji był Azabaj, który zostawił obóz o pół dnia drogi. Ci zwycięzcy na polu bitwy byli pozbawieni

nie tylko złota, ale i jedzenia. To była moja przewaga. Przywódców nie było, wojowników przysięgi nie obowiązywały...

– Złoto było własnością chana, należy je zwrócić – wtrącił przywódca ordy.

– Rozumiałam to w chwili, jak je przejęłam, dlatego wszystkim wojownikom z obydwu stron konfliktu wypłaciłam zaległy żołd. Należał się im, a ja pozbyłam się balastu.

– A co ze złotem mameluków?

– Dobrowolnie do nich przyłączyła się znaczna część armii Muzaboka i wszyscy zdrajcy Azabaja. Hamel Ahat uznał, że złoto słusznie mi się należy, prosił tylko o żywność na drogę i zaopatrzenie wojowników w uzupełnienie sprzętu.

– Myśli pani, że nie upomni się o swoje tabory?

– Jego głównym zmartwieniem jest, byśmy nie musieli ze sobą walczyć na jednym placu boju, reszta dawno poszła w zapomnienie.

– Skąd pani to wie?

– Koresponduję z nim.

– To będzie wróg wielkiego chana.

– Wiem o tym i on też wie.

W czasie podróży Zola wiele razy rozmawiała z Amletem. Był człowiekiem światłym, kształconym w buddyjskim klasztorze. W rozmowach znaleźli wspólny język, a nawet wspólne zainteresowania. Dzięki temu czas podróży szybciej mijał, nie zauważyła nawet kiedy dotarli do gór.

1253 rok

Karakorum było stolicą wielkiego chana. Mongkek na to stanowisko był wyznaczony przez wdowę po Gujuku, poprzednim kaanem Mongołów. Kajmusz, ogół chanów, zatwierdził to mianowanie.

Na trzy godziny przed celem podróży przywódca ordy polecił rozbijać obozowisko. Minęło południe, zostało wiele dnia, by dotrzeć do miasta. Zdziwiona Zola podeszła do Amleta, pytając o cel takiego marnowania czasu.

– Bez poinformowania kaana o składzie delegacji, nie wolno zbliżać się do stolicy – odpowiedział.

Chciała wyjaśnić to królowi, ale już o tym wiedział.

– Do miasta pojedzie tylko określona delegacja, której skład zatwierdzi kaan – wyjaśnił jej. – Potrzebny będzie goniec, by utrzymywać łączność z obozem. Czy któraś z twoich dziewcząt będzie mogła sprawować tę funkcję?

– Nawet ja mogę jeździć kilka razy dziennie.

– Ty i Karle będziecie w ścisłym składzie delegacji. Prosiłem do ochrony cały oddział dziewcząt, bardzo możliwe, że na to się zgodzą.

– Każda z nich może być gońcem, możesz królu dysponować wszystkimi.

– Wystarczy jedna, byle by nie była zbyt gadatliwa.

– Rozumiem, królu. Hana sprostą zadaniu.

Świętę króla stanowił kanclerz z dwoma sekretarzami. Ponadto uczestniczyła Zola z Karle. Osobistą ochronę monarchy stanowiło dziesięć dziewcząt. Pięć z nich otrzymało giejty wezyra na samodzielne opuszczanie i wjazd do miasta. Cały obóz zbliżył się do grodu na jedną milę, więc kontakt

z pozostałymi ministrami w obozie był ułatwiony. Hana już przed wjazdem do miasta była przedstawiona sekretarzom i tylko oni mogli przekazywać jej listy oraz ustne informacje dla poszczególnych ministrów.

Na zakwaterowanie otrzymali całe skrzydło budowli. Zola zamieszkała z Karle. Kanclerza pokój miał bezpośrednie wejście do monarchy. Osobny pokój przydzielono sekretarzom, a dwa pokoje otrzymały dziewczęta. Ich obowiązkiem były warty na korytarzu i towarzyszenie delegacji.

Następnego dnia Mongke wraz z wdową po swym poprzedniku, przyjął ich na stojąco. Zola stanęła przy królu, podejmując się tłumaczenia zawiłych zwrotów.

– Witam was, przeświecni goście, rządzący odległymi krainami – powiedział wielki chan. – To przyjemność was gościć. Moja była szwagierka – wskazał wdowę – była świadkiem, gdy twój brat, dostojny gościu, bawił na tym dworze. W twoim imieniu podpisał tu szereg porozumień, a ty chciałbyś, bym je spełnił. Odległość sprawia wiele trudności. Nie tak prosto przeprowadzić armię przez duży teren. Prawdą jednak jest, że jeśli chciałbym zachować dotychczasowe terytoria, to Syria stanowi poważny problem dla mojej monarchii. Po drodze mam jeszcze innych wrogów. Dopiero po uporaniu się z Persami, będę mógł przeprowadzić armię na wasze tereny. Teraz rozgośćcie się. W najbliższym czasie będziemy mogli to rozważyć.

Król wypowiedział kilka słów powitania i na tym spotkanie się zakończyło.

Tego dnia wyprawiono na ich cześć ucztę, przy której ustalono cykl spotkań monarchów i ich sekretarzy. Mongke wyraził również chęć rozmowy z Zolą i Karle. Obydwie uczestniczyły zawsze przy spotkaniach jako tłumaczki, ale wolą kaana było porozmawiać z nimi na osobności.

Wszystkie rozmowy były starannie przygotowywane. Przy jednym z końcowych spotkań Mongke okazał dobrą wolę i zwolnił wszystkie ormiańskie kościoły z haraczu, płaconego na rzecz chanatu i saracenów. Postanowienia te miały być gwarantowane siłą mongolskiej armii.

Spodziewano się już zakończenia rozmów, gdy w ostatni dzień Mongke poprosił na rozmowę dziewczęta. Wszyscy byli tym zaskoczeni, zwłaszcza król.

– Wyjaśniliśmy mu, jak doszło do rozłamu twojej armii i dlaczego znalazłaś się w moim państwie – mówił Zoli. – Ostatnie słowa powinni mieć głowy państwa, a on na koniec poprosił was. Może to gest sympatii, ale nie chciałbym, abyś ode mnie odeszła. Twoja armia jest mi bardzo potrzebna, staraj się nie uwikłać w jakieś zobowiązania.

Dobrze wiedziała, że może być uznana za pozostałości armii Mongołów. Była niewolnicą tej armii i czuła się wyzwolona, a wyzwolony człowiek nie chciał wracać ponownie pod jarzmo. Omówiła z Karle, co powinny mówić i do czego nie dopuszczać w rozmowie.

Wielki chan przyjął je w swoim apartamencie. W pokoju siedziała również wdowa po Gujuku, usiadła z boku, chcąc podkreślić, że nie będzie brała udziału w rozmowach. One miały przygotowane poduszki na wprost władcy. Po raz pierwszy nie musiały odpinać swojej broni, co świadczyło o dużym zaufaniu.

Herbata była wyśmienita, a uśmiech monarchy przyjazny. Gdy zaczął mówić, jego twarz wyrażała sympatię.

– Kiedyś Dżygit, mój ojciec, widział w Chinach oddział kobiet. Opowiadał nam o nim. Twierdził, że zawsze trzymały się na uboczu, ale przy najmniejszym zagrożeniu stawały się bardzo niebezpieczne. Zapragnął mieć taki oddział, jednak wśród plemion mongolskich nie wolno było szkolić kobiet na bojowników. Wielu naszych dowódców szkoliło się

w chińskich i tybetańskich klasztorach. To nie to samo, co samodzielny oddział zebrany z takich ludzi. Muzabok pierwszy zaczął tworzyć oddziały z niewolników, w taki sposób wy powstałyście. On nie wiedział, jak z dziewcząt zrobić bojowniczeki. Najpierw kazał wam dobijać rannych na pobojowiskach, a potem oddał Azabajowi. Ten młody ataman zrobił z was bojowniczeki, również starannie wykształcił. Podejrzewam, że każda z was mogłaby być przywódcą ordy, dlatego nie zdziwiłem się, że stworzyłaś, Zolu, własną armię. Gdybyś wróciła do nas, kto wie, czy nie powierzylibyśmy tobie dowództwa nad grupą armii. Możliwe, że stałabyś się chanem Armenii. Muzabok upominał się o to stanowisko. Był to jednak człowiek nieposkromiony i zarozumiały, co go zgubiło. Oczekuję odpowiedzi od każdej osobno. Dlaczego nie wróciłyście do chanatów?

Mówić zaczęła Zola:

– Na dowódcę oddziału wyznaczył mnie Azabaj, ale każda z nas mogłaby pełnić tę funkcję. Każdą swoją decyzję omawiam z koleżankami. Staram się, by każda wiedziała tyle co ja. To gwarantuje zachowanie oddziału w jedności, nawet gdybym zginęła...

– Nie tylko przekazujesz im wiadomości, ale i umiesz od nich zbierać wiedzę – przerwał jej chan. – Dowiedziałem się, że umiesz selekcjonować i korzystać z rad. To cechy wszechstronnych przywódców. Zasmuciłaś mnie jednak swoją wypowiedzią. Myślałem, że podarujesz mnie przynajmniej część swego oddziału, a ty mówisz, że jesteście niepodzielne.

– To niemożliwe – weszła w słowo Karle. – Gdy nas Muzabok odłączył od rodziców, żadna z nas nie ukończyła dziesięciu lat. Kazano nam dobijać rodaków na pobojowiskach, potem Azabaj ogarnął nas ochroną. Wiele z nas zginęło, ale zawsze stanowiłyśmy rodzinę. Dobrze się znamy i szanujemy, nie oddamy nikogo. Przypuszczam, że jeżeli którejkolwiek

zaproprowałaabyś chanat, też by nie odeszła. W Armenii też nie chiałabyśmy być.

Władca przeczekał chwilę, rozważając ich słowa, po czym zaczął mówić prawie szeptem:

– Mógłbym ponownie was zniewolić, ale nie chcę tego. Dosyć wycierpiałyście. Wiem, do czego są zdolni moi dowódcy i jak to się odbija na innych ludziach. Myślę o Muzaboku, gdyby nie był tak bezwzględny, kto wie, czy dałybyście mu radę. Pomogli wam jego bojownicy, a wasi jeńcy. Bardziej zawierzyli wam niż jemu... Widzę, że was nie zwerbuję, ale w wojnie z Seldżukami uderzę na Damaszek, jakby wasz oddział tam się zawieruszył, możliwe, że się spotkamy.

Powrót zaczął się w towarzystwie tej samej ordy, która przyprowadziła ich do Karakorum. Zola wysłała przodem Karle z sześcioma dziewczętami. Za przewodników otrzymały dwóch wojów Amleta. Miały powiadomić Azabaję o zbliżającej się delegacji króla.

Gdy cały korowód docierał do gór, Azabaj ich oczekiwał. Tym razem nie było przywódców terenów, którzy opóźniali podróż, a przeprawa bez nich stała się przyjemniejsza.

W Armenii król zaplanował odwiedzenie większości miast. Chciał osobiście przekazać wiadomość o zwolnieniu kościołów ormiańskich z jarzma haraczy. Była to przede wszystkim sprawa polityczna, pozwalająca rozszerzyć wpływy Cylicji na ten kraj. Zola poprosiła króla o opuszczenie delegacji, by bezpośrednio udać się do Anazarby. Król ją rozumiał, ale poprosił o dzień zwłoki, aby obciążyć ją korespondencją do Sis i innych miejscowości po drodze. Z ulgą stwierdziła, że nie będzie musiała zajeżdżać do żadnego miasta w Armenii.

Wieczorem spakowały juki, aby ruszyć z samego rana.

Co drugi dzień szukały noclegów w zajazdach i karczmach. Pod koniec podróży skierowały się prosto na Hromklę. Miały zostawić tam dwa listy, jednak bardziej chciały spotkać się z Janą. Wyjeżdżając z lasu, zobaczyły zbliżający się pododdział konnicy Seldżuków.

– Jesteśmy na terenie sułtanatu konijskiego, skąd oni się tu wzięli? – bąknęła Irga.

– Jest ich najwyżej pięćdziesięciu – zauważyła Karle. – Mały oddział, czują się pewnie.

– Nie było nas ponad pół roku – stwierdziła Zola. – Oni zagarniają coraz większy teren. Będziemy musiały bronić Cylicji zanim wielki chan przybędzie z odsieczą.

– Co teraz robimy? – spytała Karle.

– Wycofajmy się do lasu, mamy łuki, nie zastraszą nas – zaproponowała Hana.

– To zły pomysł – odpowiedziała Zola. – To jakiś patrol, wrócą po posiłki i będą nas pilnować. Jedźmy dwójkami, starajmy się spokojnie ich minąć, może zostawią nas w spokoju. Jak zaatakują, zeskakujemy z koni. Za ich osłoną ruszymy z mieczami.

– Musiałybyśmy rozbić ich szyk – stwierdziła Karle. – Jest ich dwa razy tyle co nas.

– Damy radę – uspokajała Zola. – Pilnujcie tylko swoich głów.

W marszu przestawiły się w kolumnę dwójkową. Jechały prawą stroną drogi. Nadjeżdżający mijaliby je ze swojej lewej, co utrudniłoby tamtym atak z marszu. Dziewczętom władającym dwoma mieczami to nie przeszkadzało.

Ci z naprzeciwka rozszerzyli swój szyk do kolumny czwórkowej, miały za mało miejsca, by przejechać przy nich dwójkami.

– Przechodzimy w szereg – wydała komendę Zola. – Karle na przód, Hana do tyłu. Ja pilnuję środka. W razie ataku zamykamy ich klamrą.

Rozciągnęli kolumnę. Wjeżdżały z boku ich szyku. Jechały wolno. Nie zareagowały, kiedy turecki dowódca uniósł rękę w celu zatrzymania ich.

– Stać! Kim jesteście i gdzie jedziecie?! – krzyknął.

Hana z szóstką koleżanek zatrzymała się przed czołem Seldżuków, Karle ze swoją drużyną przyśpieszyła. Zola zatrzymała się dopiero, gdy znalazła się z boku mężczyzn. Stanęła w strzemionach i spytała:

– Kim jesteście? Dlaczego nas zatrzymujecie?

– W imieniu emira Sadżagaka patrolujemy te ziemie. Mamy prawo zatrzymać każdą uzbrojoną grupę.

– Jestem emir Zola. Twój emir pisał do mnie listy. Wracam do domu, więc mnie przepuść.

– Emir Zola ukradła nam armaty, mój emir będzie szczęśliwy, gdy dostarczymy cię związaną. Brać je! – wykrzyczał komendę i gwałtownie umilkł, bo strzała ugrzęzła mu w gardle.

Z tyłu Turków po dwie strzały zdążyły wypuścić dziewczęta Karle. W tym czasie Zola trzymając konia za uzdę, wpychała się między wierzchowce przeciwników. Za moment jej bojowniczk skakały pod brzuchami seldżuckich wierzchowców, cięły nogi mężczyzn i gardła zwierząt. Z przodu uderzyła Hana. Karle zajechała z drugiej strony, ostrzeliwując z łuków. Grupa ośmiu Turków ruszyła na nich, osłaniając się tarczami. Uciekając schowały łuki i sięgnęły za miecze. Na sygnał gwizdka odwróciły się na ścigających. Nie miały trudności, aby wcisnąć się między ich konie i wykluczyć wszystkich z walki. Nie zatrzymując się, ruszyły na główną grupę. Zdecydowane uderzenie rozproszyło jeźdźców.

– Ścigać uciekinierów! Nie dać im uciec! – krzyczała Karle.

Reszta dziewcząt wiązała poddających się do niewoli.

Po niedługim czasie wróciła grupa Karle. Przywieźli trzech jeńców, nieżywych wlokły na linach.

Oddział zwiadowczy Seldżuków liczył czterdziestu ośmiu wojowników. Przy życiu zostało osiemnastu. Dwie z nich były ranne: Eza miała rozcięty bark, a Irga przeciętą gołęń.

Zarządziły postój. Jeńców zmuszono do kopania grobów. Osobny dół wykopano dla martwych koni. W sumie padło dwanaście. Dziewczęta straciły cztery bojowe wierzchowce, były dużo większe od mongolskich koników, którymi posługiwali się Turcy.

Ranne kobiety nie nadawały się do jazdy wierzchem. Przygotowano im specjalne siedziska, mocowane między dwoma końmi.

Dopiero pod wieczór, gdy zasypano mogiły i uporządkowano teren, ruszono w drogę. Jeńców prowadzono pieszo. Niektórzy, z powodu ran, mieli trudności z szybkim marszem, ale pomimo dużej liczby luzaków, nie pozwalały im dosiadać koni. Już po ciemku, za niewielkim skalnym załomem, urządzili prowizoryczne obozowisko. Przed snem zainteresowano się rannymi. Najtrudniejszym urazem była przebita krtań tureckiego dowódcy. Dziwili się, że jeszcze żyje. Mężczyzna nie mówił i miał kłopoty z oddychaniem.

Rano jeńcy dosiedli koni, pomimo to marsz nie przyśpieszył. Eza bardzo osłabła, a czterech mężczyzn z ledwością trzymało się siodeł, to przedłużyło marsz o dzień. Następnego dnia, późnym popołudniem minęli północną bramę Hromkli. Szpital i francuskie koszary znajdowały się przy bramie zachodniej, nie chciały nadrabiać drogi, pojechały wzdłuż murów. Strażnikom polecono odszukać Janę. Przed koszarami witał ich Franko. Zola zeskoczyła z konia, a ręka Karle wystrzeliła w górę, na ten sygnał rozległ się okrzyk.

– Witamy dowódcę przyjaciół!

Franko roześmiał się.

– Was nie sposób nie lubić, zawsze zaskakujecie pozytywnie. Co to za żałośni wojowie? – wskazał grupę jeńców na koniach.

– Próbowali nas zatrzymać i oddać emirowi Sadżakowi – wyjaśniła Zola. – Ranili dwie dziewczyny, chcę zostawić je w szpitalu. Jeńców należy gdzieś zamknąć, macie tu jakieś lochy.

– Ich jest dużo.

– Osiemnastu, wśród nich czterech poważniej rannych, przydałoby się pomieszczenie z łózkami.

– Mają puste pomieszczenie dla chorych umysłowo – wskazał budynek szpitala – ale o tym decyduje von Krysvangen. – Przy ostatnich słowach uśmiechnął się ironicznie.

– Gdzie go znajdę?

Wskazał piętro szpitalnego budynku. Zola spojrzała w górę. W jednym z okien cofnęła się jakaś postać. Przywołała Igę.

– Postaraj się, by któryś z tych „von” zszedł tu do nas na dół.

Gdy dziewczyna zniknęła w budynku, z głównej ulicy wyszła Jana. Dochodząc, zaczęła mówić podniesionym tonem:

– W stajni nie znajdę tyle miejsc, by zakwaterować mongolskie koniki. Każę wszystkie wygonić na pastwisko. Wasze wierzchowce jakoś umieszczę, bo mogłyby zginąć...

– Powiedz lepiej, gdzie nas zakwaterujesz? – przerwała jej Zola.

– Oni – wskazała na Franko – mają miejsca w koszarach. – Natrafiwszy zdeglustowany wzrok koleżanki, dopowiedziała: – Jutro wam coś poszukam bardziej godnego, dzisiaj rozłokujcie się u Francuzów. Ci Seldżukidzi, to skąd?

– To pozostałości ich patrolu. Natknęliśmy się na nich dwa dni wcześniej. Eza i Irga są ranne, chcę je umieścić w szpitalu. Iga poszła wołać kogoś z Niemców.

– Nie zajmą się nimi dobrze. Poza tym zrobią łaskę jak przyjmą kobietę – Jana machnęła ręką. – Daj spokój, wcale nie są dobrzy w leczeniu urazów. Podprowadź je pod starą lecznicę, tam nasze dziewczęta zajmą się nimi... – Ucichła raptownie, bo w szpitalnych drzwiach, w towarzystwie Igi, pojawił się Henryk von Jungan.

– Czemu mnie tu zawołano? – spytał.

Zola wysunęła się w jego kierunku.

– Nie chcę bez was rządzić. Potrzebne mi leczenie dwóch koleżanek...

– Pani wybaczy, ale w naszym szpitalu chorymi opiekują się zakonnicy. Kobieta zawsze niesie za sobą grzeszny element. Macie swoją lecznicę, bojowniczkі będą czuły się tam lepiej.

– A może macie jakąś zamykaną salę? Czterech jeńców również potrzebuje leczenia szpitalnego.

– Jesteśmy zakonem, nie będziemy zajmować się poganami.

– To nie poganie, a innowiercy – odpowiedział Zola, okazując irytację.

– Takich w tym mieście jest dużo. Prawdopodobnie popełniono błąd, oddając wam ten szpital. Będę musiała to przemyśleć...

Rycerz uśmiechnął się złośliwie.

– Szpital, droga pani, objęliśmy za zgodą króla...

– Ja tę zgodę mogę cofnąć. I zanim on wróci z podróży, wsadzę was na byle jaki statek i odeślę do Akki, skąd pochodzicie, lub innego księstwa krzyżowców. Tam będziecie mogli się na mnie skarżyć do swego mistrza lub nawet papieża. Szpitale w naszych miastach powstają dla wszystkich ludzi, a nie wybranych przez was. – Odwróciła się do Jany. – Prowadź do swojej lecznicy! Jeńców trzeba gdzieś zamknąć.

– Lochami rządzi rycerstwo. Musi zdecydować ten pan – Jana wskazała Franko.

Francuz uśmiechnął się.

– Zostawi ich pani tutaj, zajmiemy się nimi. Rannych umieścę w areszcie. Prycze są twarde, ale będą mieli miejsce do leżenia. Przyślijcie tylko dziewczęta, aby zmieniały im opatrunki. – Ruchem ręki przywołał wartownika i wydał mu jakieś polecenie.

Zola z Janą i rannymi dziewczętami ruszyła w głąb miasta. Resztę dziewcząt wartownik wprowadził do budynku koszarowego, a jeńcami zajęła się grupa wojów. Na placu został rycerz von Jungan. Dał krok w kierunku rycerza Franko, ale zawahał się i wrócił do szpitala.

Lecznica, do której doprowadzono dziewczęta, była tą placówką, która istniała w chwili przejścia przez nie miasta. Jana podporządkowała ją garnizonowi. Pomysł taki podsunął Mark, który miał mieszane odczucia, co do poczynąń Niemców.

Zola zakwaterowała się w karczmie. Była zmęczona, wcześniejszą kolację zjadła w towarzystwie Jany. Zdążyła jeszcze wysłuchać informacji dotyczących niemieckich zakonników.

– Mark chciał narzucić szpitalny regulamin – tłumaczyła Jana. – Stwierdził jednak, że im nie chodzi o prowadzenie szpitala, lecz o utrzymanie placówki, do której mogłaby dołączyć większa grupa rycerstwa lub zakonników. Wykorzystywali nieobecność króla i nie przyjmowali żadnych zaleceń. Szpital pobudowano za pieniądze miasta, a jednorazowo leczyli najwyżej kilku mężczyzn i to takich, którzy mogą sporo zapłacić.

– Przecież Mark jeździł do Edessy, aby się na nich wzorować.

– Zakon pierwszy na świecie wprowadził leczenie szpitalne. Mark nie miał pojęcia, jak rozdzielić opiekę i lecznictwo. Oni mieli opracowaną całą

organizację szpitalną. W sprawach leczenia do Marka się nie umywają. Kilka razy ich obserwowałam, są tacy sami jak właściciel naszej lecznicy.

– Mówiłaś, że dziewczyny będą miały tam lepiej.

– Bo przekonałyśmy tego pana, że ma leczyć pod nasze wytyczne. Słucha nas – roześmiała się, jakby opowiedziała żart. Zola nie zrozumiała tego, ale była zbyt zmęczona, by dochodzić prawdy.

Po dniu odpoczynku postanowili jechać dalej. Ranne koleżanki zostawili pod opieką Jany, a niesprawnych jeńców, jako niewolników, przekazali Francuzom, reszta jeńców miała zasilić oddział Dzarhita. Pojechali razem w kierunku Anazarby, dopiero potem część dziewcząt z jeńcami pojechała do obozowisk w górach.

Okres bez monarchy odbił się niekorzystnie w zarządzaniu państwem, ożyły zatargi między możnowładcami. Kanclerz był w delegacji królewskiej, a jego sekretarz nie panował nad dworem. Rolę monarchy przyjęła na siebie królowa, miała jednak zbyt mało popleczników wśród ministrów. Była mało stanowcza i nie mogła oprzeć się na doradcach. To powodowało przekupstwo i nieprawości. Mark wyszedł z propozycją, aby Zola została doradcą królowej i przez nią próbowała załagodzić nabrzmiałe niesnaski.

– Nie znam składu dworu, poza tym nie wiedziałabym, jak królowej to zaproponować – odpowiedziała Zola.

– Nie musi pani proponować, to zasugerowała sama królowa, gdy dowiedziała się, że jedzie pani przed królem.

– Skąd wiedziała, że jadę? Przecież list króla do niej mam przy sobie.

– Tydzień temu przybył goniec informujący o tym. Król przekazał, że ważniejsze sprawy opisze w korespondencji, którą pani dostarczy. Przewiduje przeciągnąć swoją podróż o pół roku.

– Tego należało się spodziewać, on chce odwiedzić wszystkie miasta Armenii. To może potrwać więcej niż pół roku.

– Sama widzisz, że powinnaś pomóc królowej – włączył się Wilam.

– Na pewno nie wystąpię do królowej z taką propozycją – upierała się Zola.

– Nie musi pani występować – wszedł jej w słowo Mark. – Królowa też się krępuje prosić o to panią. Chodzi tylko o to, by nie spotkała się ze zdecydowaną odmową...

– W czym mogę jej radzić?

– W tym, gdy będziesz pewna, że tak należy postąpić – mówił spokojnie Wilam. – Jesteś mądrą dziewczyną i niewplątana w układy dworu. Rozwiązałaś wiele spraw w Anazarbie i Hromkli. Zawsze będziesz mogła porozmawiać z urzędnikami. Jak stwierdzisz coś niewłaściwego, omówisz to z królową. Ona będzie podejmować decyzje. Jest mądrą kobietą, ale musi dzielić obowiązki między władzą a wychowaniem synów. Młodzieńcy chcą być samodzielni, nieraz za bardzo...

Królowa Izabela przyjęła Zolę w swoim pokoju. Gdy odebrała list, wskazała jej krzesło. Podeszła do stolika przy oknie, na którym były przybory do pisania i małym nożykiem przecięła pieczęć. Zagłębiła się w lekturze. Po dłuższej chwili odłożyła papier i odwróciła się do niej.

– On zapomina, że jestem tu sama i dokłada mi tylko nowych problemów. Nie na wszystkim się znam, a muszę...

Wypowiedź przerwało wejście chłopca. Nie zwracając uwagi na Zolę, zwrócił się do królowej:

– Mamo, Leon zabrał mi uprzęż ojca.

– Co na to wasz nauczyciel?

– Sawarin twierdzi, że Leon też ma do niej prawo, a przecież ojciec mnie ją podarował.

– Czy Sawarin powiedział, że ta uprzęż nie należy się tobie?

– Nie, ale dzisiaj dał ją Leonowi.

Królowa bezradnie popatrzyła na Zolę.

– Zolu, co o tym myślisz?

Pytanie nie tyle zaskoczyło Zolę, co chłopca. Wbił w nią wzrok, jakby dopiero ją zauważył. Dziewczyna czuła się zobowiązana odpowiedzieć.

– Nie jestem pewna, co powiedzieć. Musiałabym porozmawiać z nauczycielem.

– Bardzo dobry pomysł, porozmawiaj z nim. Toros, zaprowadź panią do Sawarina. Zolu, potem wrócisz do mnie.

Sawarin był mężczyzną w średnim wieku. Gdy wchodzili do stajni, siodłał właśnie konia. Zakładane siodło było starannie wymodelowane, miało liczne dodatkowe oporządzenie. Zobaczywszy chłopca, powiedział:

– Chciałbym, królewiczu, abyś wypróbował to siodło, dlatego nic się nie stanie, gdy dzisiaj Leon pojeździ na twoim.

Chłopiec z zaciekawieniem podszedł do wierzchowca. Bardziej przyjrzał się uździe niż siodłu.

– Czyja to uprzęż? – spytał.

– To oporządzenie wraz z koniem twój ojciec dostał od dostojnika z terenów Arabskich. Siodło jest bardzo wygodne do jazdy i do walki. Te liczne paski służą do mocowania broni i juków.

Zola podeszła do nauczyciela, chrząknęła, aby na nią zwrócił uwagę, a gdy podniósł głowę, powiedziała:

– Chciałabym zamienić z panem kilka słów na osobności.

– Jestem zajęty królewiczem.

– Nie za bardzo, skoro on przed chwilą był u królowej.

– Nie mogę mu zabronić kontaktowania się z matką... Kim pani jest, że zadaje mi takie pytania? Jestem nauczycielem królewskich dzieci i należy mi się szacunek.

– Jestem Zola, emir wschodu. Chcę tylko porozmawiać bez obecności królewicza.

Sawarin zmierzył ją wzrokiem, ale natrafiając na nieustępliwą minę, westchnął i wyszedł na zewnątrz stajni.

– Czego pani chce? – spytał szorstko.

– Być nauczycielem, to zdobywać szacunek uczniów. Jeżeli oni chodzą na skargę do matki, to zła oznaka. W czasie lekcji jest pan odpowiedzialny za obydwu chłopców, a drugiego przy panu nie widzę. Myślę, że jeżeli w czasie pańskich lekcji jeszcze raz któryś z chłopców przeszkodzi królowej w konferencji, to pana będzie musiał zastąpić ktoś inny... Poza tym to siodło jest skonstruowane tylko do walki... – urwała gwałtownie i odeszła.

Strażnik przy drzwiach komnaty królewskiej wpuścił ją bez wahania. Królowa coś pisała, ale zauważywszy ją, wskazała krzesło na wprost siebie.

– Do jakich wniosków doszłaś? – spytała, odkładając pióro.

– Nauczyciel nie jest dobrym wychowawcą, jednak dałabym mu szansę poprawy. W czasie lekcji nie powinien oddalać się od niego żaden podopieczny, a gdy dochodziliśmy, przy nim nie było nikogo. Przypuszczam, że na koniach i ich oporządzeniu nie najlepiej się zna. Na nauczyciela jeździectwa proponowałabym Saracena lub Turka.

– Wymieniasz narodowości islamu.

– Królowo, znam ich kultury. Mogą zabijać dla dżihadu, ale gdy powierzysz im obowiązki nauczyciela jazdy konnej, żaden słowem nie nadmieni o religii. U nich cel działania jest najważniejszy.

– Chciałam z tobą porozmawiać, a raczej prosić, byś została przy mnie do przyjazdu króla. Masz trzeźwe spojrzenie na niektóre tematy, ponadto

nie wiem czemu, ale ufam tobie. Jesteś wykształcona, a ja muszę nie raz prosić kogoś o radę.

– Mark mi już o tym nadmienił. Dla mnie to trudna decyzja, nigdy nie brałam udziału w zarządzaniu państwem...

– Żartujesz!? W dwa lata uporządkowałaś rządy w Anazarbie. Wiesz, jak rządzić państwem. Hetum rzadko kogoś chwali, ale gdy odjeżdżał, powiedział: „Izabello możesz się o nic nie obawiać, bo jadę w towarzystwie Zoli. Ona nie tylko mieczem umie bronić, jej słowa powalają mędrców i mego kanclerza. Z nią wszystko załatwię”. Pomyślałam, że się w tobie zakochał, ale wypuścił cię wcześniej, byś zapanowała nad bałaganem, którego ja nie umiem uporządkować.

– Królowo, dobre zarządzanie zależy od informacji. Ja nie znam dworu ani układów panujących tutaj. Jeżeli miałabym zostać, chciałabym sprowadzić z dziesięć swoich dziewczyn. Zamieszkałyby w pałacu i ściągały informacje, co gdzie się dzieje...

– Ale one tu nie będą tańczyć? – przerwała jej królowa.

– Nie! Miałyby jednak prawo wychodzenia do miasta. Wmieszają się w tłum i zdobędą wiedzę na różne tematy. W miesiąc będziesz wiedziała o wszystkich nieprawidłowościach w państwie i na dworze.

– Teraz wiem, skąd się bierze twoje rozeznanie polityczne.

– Wszystko zależy od zaufania. Moje dziewczęta wymieniają się między sobą informacjami, ja im też mówię, co wiem. Naszą wiedzę zachowujemy tylko dla siebie. Możesz być pewna, że poufne informacje od nich nie wypłyną, a ty, królowo, będziesz mogła z nimi rozmawiać na różne tematy.

– Przekażę zarządcy, by przygotował pokój dla ciebie i w skrzydle urzędniczym dziesięć dla twoich dziewcząt. Rozmawiać jednak będę tylko z tobą.

Dziewczęta jednak tańczyły, nie w pałacu, a w znanej sobie gospodzie. Karczmarz zamówił nawet stałych muzyków, a im płacił za występy. Opłacało mu się, gdy one się popisywały, w gospodzie brakowało wolnych miejsc. Po kilku dniach Zola dowiedziała się o doliczaniu do rachunków datków za oglądanie tańczących dziewcząt. Gospoda stała się modnym lokalem, w mieście zawczasu zamawiano sobie miejsca. Zaczęli przychodzić zaniejsi ludzie. Wielu z nich starało się o względy dziewcząt. Fakt, że one nocowały w królewskim pałacu, robił z nich kobiety z wyższych sfer. Zola kontaktowała się z nimi w gospodzie, gdzie zawsze otrzymywała suty i wystawny posiłek. Często przy stoliku towarzyszył jej Mark, który stanowił źródło dworskich plotek.

Królowa po tygodniu dziwiła się, skąd Zola wie, co dworzanie mówią na jej temat.

– Przecież żaden przed tobą się nie zwierza – argumentowała swoje wątpliwości.

– Mężczyzna, który zaleca się do kobiety, mówi wiele niepotrzebnych rzeczy, by zaimponować. Często zmyślają, ale jak się porówna wiele wypowiedzi i niektóre się powtarzają, to są prawdziwe.

– Ty to wszystko wychytujesz?

– Uczył nas tego jeden Hindus. Był złodziejem. Żeby wiedzieć, co ukraść, opierał się na plotkach, które potem analizował.

– Muszę przyznać Zolu, że często się ciebie boję.

– Pani nie musi się mnie bać, wystarczy, że ja boję się sama siebie. Nie miałam dzieciństwa, nikt mnie nie uczył, co dobre, a co złe. Zapamiętałam religię, ale to za mało, by dobrze postępować. Jako wykładnia moich poczynań zawsze było Dziesięć Bożych Przykazań. Szybko zorientowałam się o niemożliwości przestrzegania dekalogu, gdy jest się bojownikiem.

Myślę, że gdyby każdy zajął się swoją ziemią, którą posiada, to wszyscy mieliby godne życie.

– Jednak ono nie jest nam dane. Mąż pisze o powiększeniu naszego państwa. Jeżeli byśmy przyłączyli Bile i Kesum, to potem tylko krok do zdobycia Edessy. W przyszłości dałoby to możliwość połączenia wszystkich ziem Armenii.

– W tej chwili miasta Bile i Kesum są patrolowane przez Turków. Bez wojny z Seldżukami nie sposób ich przyłączyć. Wielki chan tak szybko z wojskami tu nie przybędzie, a my Turkom wojny nie wydamy. Należy uzbroić się w cierpliwość i czekać.

– Przecież Mongkeg obiecał mężowi podbić całą Syrię.

– Zanim tu przybędzie z armią, minie kilka lat. Wojna zawsze ma dwa oblicza, ktoś w niej zwycięży, ale nie wiemy, kto...?

– Co mam odpisać mężowi?

– Na razie wskazane jest umocnić się na terenach, które posiadamy. Rozszerzenie państwa należy starannie rozważyć. Z miastami Armenii zawiązywać sojusze, w przyszłości da to motywację do połączenia. Naturalnie, o ile Mongołowie wygrają wojnę i nam to udostępnią. Nie radziłabym wyprzedzać ich zamysłów, natomiast sojusze zawsze będą przydatne.

Jeszcze pół roku Zola mieszkała w królewskim pałacu. Unikała rozmów z dworzanami, ale zamieszkiwanie w królewskim sektorze i codzienne kontakty z królową spowodowały, że stała się osobą ogólnie znaną. Przylgnęło do niej przezwisko „cicho tajna”, ponieważ nikt nie znał roli jaką odgrywała.

Powrót króla był uroczystością dla całej stolicy. Zola zadbała o to, by wszyscy mieszkańcy wylegli na ulicę witać swego monarchę. Wpłynęła również na królową, aby wymogła na swych ministrach organizowanie

dodatkowych atrakcji. Było wysypywanie płatków kwiatów i pokazy chińskich ogni.

Król zadowolony z przywitania, kazał następnego dnia przygotować biesiadę dla wyżej postawionych dworzan. Chciał oznajmić wyniki swojej podróży. W przyjęciu brała udział również Zola. Na wyraźne polecenie królowej, siedziała obok niej. Oficjalną część król zaczął słowami.

– Nie wojowałem, a wróciłem z sukcesami. W Karakorum zostałem przyjęty ze wszystkimi honorami. Otrzymaliśmy obietnicę wielkiego chana, że pomoże rozgromić zagrażających nam Seldżuków. Ponadto zwolniono nasze i Armenii kościoły z nałożonego podatku. W drodze powrotnej nawiązałem wiele przyjaźni i za radą mojej żony zawarłem wiele sojuszy, które w przyszłości powinny zaowocować przymierzem, a może nawet unią. W tej chwili wypada mi wznieść toast za korzystną dla nas przyszłość.

– Za korzystną przyszłość! – powtórzył kanclerz.

– Za przyszłość! – jak echo pomruk przeszedł przez wszystkich gości.

Gdy odstawiono kielichy, nastąpiła cisza, która zaraz przemieniła się w gwar rozmawiających przy posiłku biesiadników. Bardziej ożywiona rozmowa trwała przy prawym rogu stołu. Wśród nich Zola zauważyła nauczyciela jazdy konnej. Rozmowy przycichły, gdy minister gospodarki spytał.

– Królu, wielki chan sam nie rozgromi Seldżuków, czy my nie powinniśmy gromadzić zapasów na wojnę?

– Myślę, mój drogi gospodarzu, że za murami miast zapasy już powinny być zbierane. Jeśli się nie mylę, w garnizonie emiratu Zoli odnowiono je trzy lata temu. Seldżukidzi zacieśniają pierścień wokół nas, musimy być przygotowani na wojnę w każdej chwili.

Z prawego rogu stołu odezwał się dowódca wywiadu:

– Panie, doceniamy zaradność emira Zoli, ale w czasie twojej nieobecności swoje obowiązki wykonywaliśmy nad wyraz dokładnie i poczuliśmy się dotknięci, gdy przysłałeś ją do nadzoru na dworze.

Głowa króla gwałtownie się wyprostowała. Popatrzył na brata, potem na żonę. Za moment wychylił się i popatrzył na Zolę. Ona zaskoczona pokręciła przecząco głową. Hetum zwrócił się do żony.

– Czy jest coś, o czym mi nie powiedziałaś?

– Nic nie wiem, by Zola sprawowała jakiejkolwiek kontrole –spokojnie odpowiedziała królowa.

– Odkąd pani Zola zamieszkała w pałacu, urzędnicy twierdzili, że królowa wie nad wyraz dużo o pracy poszczególnych kancelarii – powiedział Sembat, brat króla.

– Zolu, co możesz o tym powiedzieć? – spytał król.

– Nie rozumiem. Nigdy nie chodziłam do żadnej kancelarii ani nie rozmawiałam z żadnym urzędnikiem.

– Rozmawiała pani z siedzącym obok mnie Sawarinem.

– Tylko raz...

– Na wyraźne moje polecenie – przerwała jej królowa. – Taros przerwał nam konferencję w czasie, gdy powinien być na lekcji. Chodziło o jakąś uzdę czy coś, co on określił uprzężą. Ponieważ miałam przed sobą twój list, poprosiłam Zolę, by porozmawiała z nauczycielem.

– Czy jeszcze z kimś pani Zola rozmawiała? – pytanie króla padło w próżnię. Przy stole zapanowała cisza...

Na następny dzień poproszono Zolę do króla. W gabinecie siedziała już królowa Izabela i brat króla. Gdy weszła, wskazano jej krzesło, które było zwrócone na wszystkich obecnych. Czuła, że będzie musiała się tłumaczyć z rzeczy, których nie popełniła. Król zauważywszy jej zmieszanie, zaczął rozmowę ściszonego głosem.

– Zolu, sam podpowiedziałem żonie, aby poprosiła ciebie o pomoc. Rzadko ludzie z zewnątrz mieszkają u mnie w pałacu. Znam twoje skłonności do zbierania informacji, jednak szpiegowanie wśród moich ministrów, to nadużywanie gościnności.

– Królu, nigdzie nie zaglądałam. Nie rozmawiałam z żadnym urzędnikiem dworu, nie poniżyłam się do podsłuchiwania ani zaglądania do cudzej korespondencji. Nie wiem skąd wzięły się takie zarzuty.

– Królowa – Sambat wskazał monarchinię – twierdzi, że przekazywałaś jej informacje dotyczące pracy i opinii poszczególnych kancelarii. Jeżeli więc nie ty, to weszły twoje dziewczęta.

Zola wciągnęła powietrze, próbując się uspokoić, wbiła wzrok w Sabata.

– To prawda, że przekazywałam królowej wiele informacji. Wiem również, książę, co urzędnicy mówili na twój temat; jednak wszystkie informacje dziewczyny zbierały w mieście, a nie w pałacu. To nie moja wina, że część urzędników jest zbyt gadatliwa i papla po karczmach i sklepach, co się dzieje na dworze królewskim. Wymagało to od dziewczyn i mnie wiele pracy, by przesiać tę paplaninę i wyłuskać z niej prawdziwe informacje. Codziennie zdawałam królowej informacje, o czym mówią w mieście i na nic więcej się nie odważyłam.

Król chrząknął, zwracając na siebie uwagę.

– Zolu, twoje słowa to są bardzo ciężkie zarzuty. Będziesz musiała mnie poinformować, kto przekazywał na mieście plotki dotyczące pracy dworzan.

– Królu, nie było ciebie pół roku, tych informacji jest wiele. Postaram się zebrać jak najwięcej notatek dziewczyn dotyczących tych rozmów...

– Robiliście notatki?! – monarcha okazał oburzenie.

– Królu, dziewczęta całe dni spędzały w mieście. Rozmawiały ze sklepikarzami, gośćmi z karczmy i mężczyznami, którzy do nich się zalecali. Wśród nich byli i urzędnicy. Codziennie wieczorami spisywały, kto co mówił na temat państwa czy dworu. Te informacje trzeba było przechowywać nieraz kilka dni czy tygodni, by porównywać z innymi doniesieniami. My na to mówimy „łuskanie informacji”. Stąd konieczność robienia notatek. Myślę, że wiele zapisków jeszcze się zachowało. Te, które uważałam za nieprzydatne, paliłam...

– To te popalone papiery i pergaminy w misce? – spytał Sambat.

– Widzę, książę, że to ty mnie szpiegowałeś.

– Nie ja, a dowódca wywiadu.

– Zolu, pozbieraj notatki i porozmawiamy jutro. Teraz wyjaśnij mi sprawę koniuszego. Z czego byłaś niezadowolona po wizycie u niego.

– Królewicz Taros zaprowadził mnie do niego. Leona tam nie było, a nauczyciel nakładał mongolskie siodło na bojowego konia, który miał na sobie uzdę saraceńską. Twierdził, że siodło jest również arabskie, a rzemienie służą do przyczepiania uzbrojenia. Tam były tylko pętle do zmiany pozycji jeźdźcy. Poza tym małe siodło na dużym koniu na nic się nie nadawało, a na pewno przeszkadzało w galopie...

– Dlatego powiedziałaś żonie, że na nauczyciela byłby lepszy Saracen czy Turek?

– Tak, królu. Wśród nich można znaleźć dobrych nauczycieli.

– Sambat, kto nam polecił koniuszego?

– Dowódca wywiadu...

Następnego dnia król odwołał wszystkie audyencje. Do wieczora przeglądali z Zolą zachowane notatki. Królowa również zrobiła listę nazwisk, o których pamiętała z rozmów z dziewczyną. Lista gadatliwych urzędników była długa. Monarcha wyraził swoje niezadowolenie:

– Teraz wiem, skąd biorą się plotki w kraju. Będiesz mi pomocna przy rozmowach z tymi ludźmi.

– Dla mnie przebywanie na dworze to żadna przyjemność. Po potyczce z Seldżukami mam kalekie dwie koleżanki. Muszę załatwić im zajęcie, by nie czuły się niepotrzebne. Idzie zima, powinnam zaopatrzyć obozy oraz zebrać informacje z granic. Wilam na pewno sobie radzi, ale to ja jestem emirem i powinnam o wszystkim wiedzieć. Nachodzą nowe czasy, wróg nas otacza, a na sprawy wewnątrz kraju również trzeba zwracać uwagę. Nie podoba mi się zachowanie Niemców...

– Nie zwracaj na nich uwagi – przerwał jej wypowiedź. – Mają bardzo duże wpływy u łacińskich monarchów. Nie pozwól tylko wprowadzić niemieckiego garnizonu, a szpitalem niech rządzą, jak chcą. Macie swoją lecznicę. Jak trzeba, pobudujcie drugą. W czasie pokoju ludzi można leczyć i w ich domach.

1255 rok

Najazdy Seldżuków zdarzały się coraz częściej. Dwa razy odpierali ich od Hromkli. Raz wdarli się od morza w kierunku Anazarby. Złupili kilka wsi i wytracili ludzi. Zola ani Wilam nie przewidzieli tego ataku, ale szybko udało się zebrać siły i odciąć Turkom drogę ucieczki. Odbito wszystkich ludzi z jasyru i wzięto stu siedemdziesięciu jeńców, którzy zasilili ich oddziały. To zwycięstwo uspokoiło zapędy przeciwnika, przez dwa miesiące na wszystkich granicach panował spokój. U schyłku lata Zola otrzymała list od wrogiego emira. Proponował spotkanie na granicy w celu omówienia zawieszenia działań bojowych.

– O czym on mówi?! – Zola rzuciła list dla Wilama. – Przecież my tylko się bronimy.

– Chce coś wymusić – odpowiedział Wilam, czytając pismo. – Dobry obyczaj nakazuje porozmawiać. Może z tego coś wyniknie.

– Gdzie zaproponowałbyś spotkanie?

– W okolicach Hromkli, gdy Tom w ukryciu przygotuje swoje wyrzutnie.

– Oni też mają swój wywiad, nie uda się ich zaskoczyć.

– Nie chcę ich zaskoczyć, ale obawiam się, by oni nas nie zaskoczyli. Zolu urosłaś do rangi nieprzeciętnego wodza. Schwytywanie ciebie dałoby im przewagę. Informacja o tym podniosłaby ich oddziały na duchu.

– Musimy wiedzieć, co chce nam zasugerować... – Zola się zamyśliła, po chwili zaczęła cicho mówić. – On chce drogi do ekspansji. Sułtanat konijski poszedł im na ustępstwa. Zawojowali już większość terenów byłego hrabstwa Edessy. Hromkla jak ostroga sterczy w ich terenie. On chce Hromklę, za nią gotów oddać nam inne tereny. Gdy umocni się na terenie,

ruszy na północ podbijać Armenię. Potrzebny jest nam Samuel i Dzonchin, oni będą wiedzieć, jak z tym Turkiem rozmawiać.

– Dzonchin jest za ścianą, Samuel niestety w górach, dwa dni drogi stąd.

– Porozmawiamy z Dzonchinem, potem sprowadzimy Samuela.

Sekretarz wolno czytał list. Głośno wymówił podpis.

– Emir Aleppo. Nie podpisał się imieniem, podał tylko funkcję. – Odkładając pismo, powiedział. – Jemu chodzi o teren, najprawdopodobniej chce Hromkli. Uważa, że jesteśmy zbyt słabi i może na nas coś wymóc...

– Czemu uważa nas za słabeuszy? – przerwał mu Wilam.

– On nas atakuje, a my tylko się bronimy, nie kontratakujemy. Według Turków, to oznaka słabości.

– Czy uważasz, że w czasie rozmów może próbować mnie porwać? – spytała Zola.

– W czasie rozmów nie odważy się, straciłby zaufanie. Jednak przed i po może się coś takiego zdarzyć. Dzarhit będzie wiedział, jak się przed tym zabezpieczyć.

– Jak myślisz, gdzie wyznaczyć miejsce spotkania?

– Zrobiłbym to na ich terenie, wówczas będzie uzasadnione, by wyjść z dużą obsadą. Czym dalej, tym obsada ochrony większa.

Zola rozmyślała pół nocy o celu rozmów i zabezpieczeniu przed ewentualną możliwością napadu. Wieczorem wysłała posła do Samuela i Dzarhita oraz list do króla. Dzonchin poradził zwlekać z odpowiedzią na list Seldżuków. Wróg będzie się irtował, a w złości może zdradzić jakieś zasady. Doszła do wniosku, że zamieszanie z rozmowami może wróżyć coś zupełnie innego. Możliwe, że wróg chce odwrócić ich uwagę od swoich przygotowań do inwazji.

Rano w biurze garnizonu usiadła przy mapach. Zainteresował ją teren, którydy Seldżycy próbowali dotrzeć do Anazarby. To trudna droga, dlatego przeoczyli możliwość napaści z tej strony. Miała wyrzuty sumienia, ponieważ ucierpieli podlegli jej ludzie.

Nie zauważyła, gdy wszedł Wilam.

– Co wypatrzyłaś w tych mapach? – spytał.

– Rozmyślam, jak pozwoliliśmy wejść Seldżukom tak daleko od ich granicy.

– Byliśmy zajęci napadami na Hromklę.

– To może zdarzyć się teraz. Zajęli nas przygotowaniem rozmów, a sami szykują natarcie w najmniej spodziewanym kierunku. Obojętnie, jakie miasto zajmą, łatwo im będzie wymienić je na Hromklę. Emir Aleppo potrzebuje tego miasta. Mając go, połączy swoje nowe przyczółki, dalej ma wolną drogę nad Morze Czarne.

– Trzeba wysyłać zwiadowców, ale czy nie jest za późno? Musimy dać odpowiedź na list zanim oni wrócą z terenu.

– Na razie nikt nas nie popędza. Ściągam tu Samuela oraz Dzarhita. Turek będzie widział, dlaczego jego brat ustępuje Seldżukom. Poza tym na pewno wie o tureckich sposobach grupowania. Jak wyśle swoich ludzi w teren, to szybko się zorientują, z której strony należy obawiać się napaści. List do emira wyślemy za kilka dni. Spotkanie ustalimy w połowie drogi między Hromklą a Edessą. Termin spotkania możemy narzucić. Będziemy rozmawiać, jak dowiemy się, co się dzieje wokół nas.

– Słyszałam, co radził ci Dzonchin, ja wysłałabym list od razu i wyznaczyła spotkanie – powiedziała wchodząca Karle. – Za trzy dni zmieniałabym zdanie pod byle pretekstem i przesunęła termin o dziesięć dni. To przyśpieszy ich działania, a my będziemy mogli rozeznaczyć się w ich planach.

– Jaki pretekst wymyślisz? Seldżukidzi mają szpiegów, nie okłamiesz ich – odpowiedziała Zola.

– Pojedziesz do króla i omówisz to. Uważam, że on obiecał coś Ormianom na północy, a ta sytuacja przede wszystkim im zagraża.

– Nie napiszę listu dopóki nie porozmawiam z Samuelem i Dzarhitem, a oni przyjadą jutro po południu.

– To list napiszesz pojutrze. Podejrzane byłoby, gdybyś to zrobiła wcześniej.

Dzarhit zanim przyjechał wysłał ludzi w teren. Większa grupa pojechała do Hromkli.

– Jana będzie wiedziała, gdzie czai się zagrożenie – uzasadniał swoją decyzję. – Ona roz dysponuje szpiegów, a moi ludzie wiedzą, czego szukać.

Samuel zredagował list do Seldżuków. Wyznaczyli spotkanie tak jak zaplanowała Zola – w połowie drogi do Edessy. Strategia przewidywała wyjście z ośmiuset bojownikami. Druga taka część armii stanie w gotowości przy Hromkli. Z królem trzeba porozmawiać o użyciu chorągwi francuskiej. Jeżeli rozmowy nie będą miały charakteru pokojowego, należy zaatakować pobliskie miasto. Armia Zoli rozrosła się do dwóch i pół tysiąca ludzi, a więc układ sił pozwoli zaatakować Kesun lub Bile. Król planował podbić te miasta uprzednio, powinien wyrazić na to zgodę.

Opracowano dokładny plan działania. Według słów Dzarhita, pierwsze czujki z terenu wrócą za sześć dni. Zola w tym czasie wyśle drugi list do emira Aleppo i ruszy do stolicy porozmawiać ze swym monarchą.

Król przebywał w Sis. To bardzo ułatwiło plan. Mogli z wyjazdem zwlekać jeszcze o jeden dzień i zgromadzić informacje od kolejnych czujek. Do Sis pojechała w towarzystwie Wilama i swoich dziewczyn. Tuż przed stolicą spotkali gońca od królowej. Poinformował, aby nie zatrzymywali się w mieście i jechali prosto do pałacu.

– Królowa na pewno nie wie, że nas jest dwadzieścia osób – powiedziała Zola.

– Przygotowane są osobne pokoje dla pani i pana – mówiąc to, posłaniec skinął z uznaniem głową. – Reszta świty będzie musiała zadowolić się pokojami pięcioosobowymi. Jeżeli zajdzie taka konieczność, panie dostaną jeden pokój więcej.

– Zyskałaś uznanie królowej – uśmiechnął się Wilam.

– Kosztowało to wiele wysiłku, a na koniec wiele tłumaczenia się. Wolałbyś przez to nie przechodzić.

– Jednak opłacało się. Tylko nieliczni goście mieszkają w królewskim pałacu.

– Mieszkałam tam poprzednio. Moja rada dla ciebie: uważaj, z kim się spotykasz i z kim rozmawiasz.

Zostali zaproszeni na kolację jeszcze tego samego dnia. Król był poirytowany faktem, że ktoś grozi mu wojną, a w tej sprawie spotyka się z podległym mu najemnikiem.

– Nie ważne Zolu, że przyjęłaś tytuł emira. Jesteśmy królestwem, a nie sułtanatem, o wszystkich międzynarodowych spotkaniach powinienem być powiadamiany – tłumaczył swoje oburzenie.

– Oni rozumują inaczej. – Dziewczyna starała się wytłumaczyć swoje poczynania. – U nich sułtan nie musi wiedzieć, jak emir załatwia sprawy rozszerzania granic. Emiraty najczęściej mają obowiązek, a nawet polecenie rozszerzania swoich posiadłości. Rozłóściliśmy ich, przejmując Hromklę. Kilka potyczek przegrali, teraz zaplanowali inną strategię, musimy dowiedzieć się jaką. Chcą na nas coś wymusić, a ja chcę się dowiedzieć, o co chodzi, zanim stanę do rozmów.

– Trzeba było rozesłać szpiegów.

– Zrobiłam to. Do tej pory większość czujek już wróciło, ale nic ciekawego nie przynieśli. Obawiamy się, że w trakcie rozmów oni mogą uderzyć na dowolne miasto i zaproponować wymianę zdobyczy na Hromkę, bo stanowi ona dla nich strategiczny cel.

– Czemu tak sądzisz? – pytał ciągle wzburzony król.

– Bo my w Hromkli jesteśmy jak barbakan w obronnym murze, możemy atakować we wszystkich kierunkach – tłumaczyła spokojnie Zola.

– Wiedzą o twoich wizytach w miastach Armenii, a chcą iść w tamtym kierunku, boją się wypadów na tyły ich wojsk.

– Myślisz, że wiedzą o porozumieniach z wielkim chanem? – zapytał król już spokojniej.

– Nie sądzę, żeby wiedzieli, sułtan zmobilizowałby wszystkie emiraty przeciw nam.

– Jakimi siłami może działać emir Aleppo? – dopytywał władca, u którego znikło już zdenerwowanie.

– Przy naszej granicy jego armia może osiągnąć dziesięć tysięcy wojowników. Obecnie porusza się z siłami o połowę mniejszymi. To może świadczyć, że nie jesteśmy jego głównym celem.

– My możemy połączyć w przyszłości wszystkich Ormian. Ich działania mogą zaprzepaścić zamysł powstania wielkiej Armenii.

– Panie, do opanowania takiego terenu potrzebna byłaby armia pięćdziesięciotysięczna – włączył się do rozmowy Wilam. Jego wypowiedź nie przypadła do gustu Zoli, więc zwróciła mu uwagę.

– Król wie, co mówi i rozmawiał już z miastami na terenach Armenii. Ponadto połączenie Ormian będzie możliwe dopiero po rozwiązaniu sprawy Seldżuków, a potem armię Cylicji będzie można rozbudować w miarę rozrostu terenu – mówiąc to, Zola obserwowała minę monarchy. Wilam zrozumiał swój nietakt, opuścił pokornie głowę.

Rozmowy na temat posunięć taktycznych i dyplomatycznych odłożono na dzień następny. Przy stole nastała miła atmosfera biesiady.

Następnego dnia, zaraz po śniadaniu poproszono Zolę do gabinetu króla. Oczekiwał ją sam. Była tym faktem zaskoczona.

– Chciałbym porozmawiać z tobą swobodnie – wyjaśnił. – Sytuacja na granicy, bronionej przez twoje wojska, nie jest jasna. Gdy dyskutujemy w większym gronie, to ciebie irytują wystąpienia twoich podwładnych, a mnie moich. Jak porozmawiamy sami, zwołam większe spotkanie, ale na razie wyjaśnij: dlaczego emir Aleppo chce z tobą zawierać jakieś porozumienia, a mnie nawet nie ma zamiaru wysłać listu?

– On uważa, że list powinnam wysłać ja. Dla niego zdarzenia i zajścia na moim terenie to są spory przygraniczne. Według ich zwyczajów, takie konflikty wyjaśnia emir. On powiadomi swojego sułtana tylko wtedy, gdy nie będzie mógł sprostać zagrożeniu. Na razie ma przed sobą emira z dużo mniejszą armią niż jego. Zależy mu bardzo na Hromkli, nie może jej zdobyć. Gotów coś obiecać lub podstępnie coś wymóc. Ten gród jest twierdzą, która psuje jego militarne plany.

– Skoro tu przyjechałaś, chciałaś coś ze mną wyjaśnić. Czy chcesz o coś prosić?

– Moja wizyta u ciebie jest podstępem... – zawiesiła wypowiedź, widząc zaskoczenie na twarzy króla. Po chwili zaczęła mówić z uśmiechem.

– Chyba źle się wyraziłam. Chcę zmylić zamysły przeciwnika. Sadżagak dwukrotnie najeżdżał Hromklę. Gdy ja ruszyłam ze swoim wojskiem, aby wesprzeć rycerzy Franka, on wdarł się w kierunku Anazarby. Odparłam go, ale zniszczył trzy wsie. Ucierpieli podlegli mi ludzie, czuję się winna. Myślę, że pod pozorem zawarcia ugody chce podstępnie uderzyć w najmniej spodziewanym kierunku. Czuje się silniejszy. Często atakuje, a ja tylko się bronię. Dlatego wyznaczyłam mu wizytę na wczoraj. Wojsko, które ma

stanowić moją obstawę, stoi już na granicy. Przedwczoraj wódz armii Aleppo dostał list, że muszę koniecznie złożyć wizytę tobie, dlatego nasze spotkanie przekładam o kolejne dziesięć dni. Jeżeli on na czas rozmów chciałby podprowadzić gdzieś swoje wojska, to ja bym już wiedziała. On jednak planuje coś innego, a ja wciąż nie wiem co.

– Ojciec mnie uczył: jeżeli chcesz wygrać, musisz uprzedzić zamysły przeciwnika. To ty powinnaś przygotować podstęp, którego on by się nie spodziewał.

– Mam pomysł, ale wymaga on twojej zgody. Chcę w czasie rozmów wymóc na nim pokój przynajmniej na dwa lata, wcześniej wielki chan nie ruszy swoich wojsk...

– Myślałem, że Mongołowie będą tu już za rok.

– To niemożliwe. Wielki chan obecnie jest częścią imperium Mongołów. Najpierw musi zwołać kurultaj, czyli naradę wszystkich rządzących. Jeżeli się orientuję, to jednomyślności wśród nich nie ma. Dosyć oględnie zaproponował mi stanowisko swojej obstawy. Wywnioskowałam z tego, że nie dowierza swojej gwardii ani swoim braciom. Każdy z synów Dżin-Gis Chana chciałby zajmować jego stanowisko. On dając nam poparcie, ma jednocześnie w nas swoich sojuszników. Cylicja jest małym państwem, ale popierają nas chrześcijanie, którzy zechcą walczyć przeciw Seldżukom i mamelukom. Możliwe, że wielka armia Halugu jest już tworzona, ale po drodze ma Bagdad. Byłabym skłonna twierdzić, że Halugu-chan przyjdzie tu za cztery lata. Do tej pory jesteśmy skazani bronić się sami.

– Zbyt optymistycznie patrzyłem na jego obietnice. Rzeczywiście w podpisanym porozumieniu nie znalazłem nawet przybliżonej daty jego inwazji.

– Syria jest jego jedynym kierunkiem rozszerzenia wpływów. W Europie zatrzymali Mongołów, poza tym Złota Orda próbuje się

usamodzielić. Przeszkadzają mu również Saraceni. Przypuszczam, że powoduje to rozłam islamu. Mongołowie nie mają nic przeciw wierzeniom ludów podbitych, ale islam i chrześcijaństwo, a zwłaszcza katolicy, mają inne podejście do innowierców. Turcy zasilili szeregi islamu, wielu Mongołów tak samo, chociaż są bardziej tolerancyjni do innowierców niż przykładowo Arabi lub mameluci. Ormianie, pierwsi przyjęli chrześcijaństwo jako wiarę państwową. Dla wielkiego chana byłoby na rękę, gdyby jego lud tu panujący również przyjął tę wiarę. Zniweczyłoby to zapędy niektórych do dominacji islamu na tym terenie. Przy zróżnicowanych wyznaniach łatwiej wyznaczać granice regionów i sprawować nadzór nad wszystkimi. Jednak to nie takie proste, bo każda wiara chce być najważniejsza. Tylko Hindusi twierdzą, że dowolna droga prowadzi do najwyższego istnienia, ale dla nas jest to trudne do zrozumienia. Musimy współpracować z Mongołami, choć oni zniszczyli moją rodzinę, a mnie upodlili. Jak ruszy Halugu, takich upodlonych jak ja będzie bardzo dużo... – zawiesiła głos. Jej oczy się zaszkłili.

Król też nie chciał przedłużać tej rozmowy.

Miasto Kesun leży w niedużej odległości od Hromkli. Zola doszła do wniosku, że gdy go zdobędzie, będzie miała potężny argument w rozmowach z emirem Aleppo. Ona uda się w kierunku spotkania z emirem, a Wilam skreśli na północ i niepostrzeżenie dotrze z armią pod tamten gród.

– Gdy zacznę wstępne rozmowy z emirem, ty powinienesz pertraktować z tamtejszymi władzami o przyłączenie Kesun do Cylicji – powiedziała do Wilama.

– Pani, w mieście będzie oddział Seldżuków – włączył się do rozmowy Dzarhit.

– Należy się tego spodziewać, przecież twój brat nieoficjalnie ustąpił im tam miejsca. Skoro nie ma tam Turków z waszego sułtanatu, to nasza agresja przeciw temu miastu nie powinna pociągnąć za sobą żadnych konsekwencji politycznych.

– Niby masz rację, Zolu, ale skutki polityczne będą – powiedział Wilam.

– Nie możemy przewidzieć, ale Kesun powinno być moje. Okazuje się, że nie wiem nawet, z kim będę rozmawiać. Były emir Aleppo nie żyje. Jego miejsce zajmuje prawdopodobnie syn. Nie mam pojęcia jak ma na imię ani co sobą reprezentuje. Jak nie stworzymy im zagrożenia, to nie będę miała atutów przy rozmowach.

– Co na to król? – spytał Wilam.

– Poczul się urażony pominięciem go pertraktacjach.

– Przecież nie wiemy, na jaki temat będziemy rozmawiać.

– Prawdopodobnie chodzi o Hromkę, lecz nie jestem pewna. Jak rozszerzymy swoje panowanie na Kesun, problem Hromkli przestanie istnieć. O zajęciu tamtego miasta już postanowiłam. Do ciebie mam pytanie, czego potrzebujesz, by sprostać temu zadaniu?

Wilam był zaskoczony. Pierwszy raz Zola zwracała się do niego, narzucając swoją wolę, zazwyczaj zasięgała opinii. Teraz nie tolerowała żadnego sprzeciwu. Przypuszczał, że coś musiało zaistnieć w rozmowie z królem, ale nie miał odwagi o to pytać. Zażądał tysiąca bojowników i pięciu machin miotających. Zola stwierdziła, że jako jej obstawa wystarczy oddział Saracenów i piętnaście dziewczyn pod dowództwem Jany.

W Anazarbie pozostawiono Karle z obsługą garnizonu, powierzając jej jednocześnie dowództwo nad wszystkimi obozami w górach. Pod Hromkę wyruszyła prawie cała armia. Obóz rozbijali w południe, przy północnej bramie. Wilam ze swym wojskiem wyruszył o zmroku. Podróżując nocami,

chciał zachować wyprawę w tajemnicy. Gdy trzeciego dnia rano stanął pod bramą Kesun, strażnicy byli zaskoczeni. Po otoczeniu miasta burmistrz kazał otworzyć bramę.

Rozmowy rozpoczęto w świetle rozwartych wrót. Do rozmów stanął Wilam z Dzarhitem, stronę grodu reprezentował burmistrz z sekretarzem zarządu oraz dowódca oddziału Seldżuków. Od razu wyjaśniono, że w mieście stacjonuje trzystu bojowników.

Wilam zażądał przekazania mu miasta.

– O ile nie zechcecie mnie wpuścić, nie będę szturmował murów, ale spalę gród. Dostałem rozkaz, by wasze miasto przyłączyć do Cylicji i zrobię to nawet wtedy, gdy zostaną tu same ruiny.

– Teraz my jesteśmy w mieście – powiedział Seldżuk. – Nie oddamy się dobrowolnie do niewoli.

– Zaraz odstąpię od wschodnich bram. – Wilam uspokoił swój ton. – Możecie wyjść z miasta z bronią i swoim dobytkiem. Nie będę was ścigał. Mam nadzieję, że nie wrócicie z posiłkami, bo jutro nasi przywódcy rozpoczynają pokojowe rokowania.

Zola w wyznaczonym miejscu pojawiła się w południe. Pół mili przed nią rozłożył się obóz z ponad tysiącem żołnierzy. Jej obstawę mogli stratować za pierwszym najazdem. Wiedziała jednak, że jest tu bezpieczna i rozumiała, dlaczego jej przeciwnik przybył tu z tak licznymi oddziałami.

Dziewczęta wystawiły sobie osobny namiot, aby razem spożywać posiłki. W ucztowaniu mogły pominąć mężczyzn, ponieważ byli to Saraceni i mieli odmienne obyczaje. Właśnie zaczynały kolację, gdy jeden z wartowników przyprowadził posła. Mężczyzna, widząc szesnaście kobiet i kłaniającego się im strażnika, okazał zaskoczenie. Najpierw stał, rozglądając się za kimś znaczącym, ale szybko przemyślał sytuację, skrzyżował ręce na piersi i skinął głową.

– Wybaczcie czcigodne panie, ale chcę coś przekazać dla pana Zoli.

Wartownik, który go przyprowadził chrząknął, próbując się powstrzymać od śmiechu. Zola jednak nie widziała w tym nic śmiesznego.

– Machlin! Nie wyjaśniłeś mu tego po drodze? – spytała szorstkim tonem.

– Wybacz, pani, nie przyszło mi do głowy, że on nie wie – pokłonił głowę. – Zola to właśnie ta kobieta. To jest emir w Anazarbie – powiedział do posła.

Przybyły rozkładając ręce w bok, nisko się pochylił.

– Wybacz czcigodny emirze. Nie wiedziałem, że rządzący może być kobietą – powiedział w ukłonie. Gdy się wyprostował, jego ton nabrał pewności siebie. – Mój pan Kardzan, syn Sadzaga, emir Aleppo, pragnie z tobą porozmawiać. Przypuszcza, że odpowiednią porą będzie czas, gdy miną trzy godziny od wschodu słońca. Byłaby wspaniała okazja, by poczęstować ciebie porannym posiłkiem.

– Nie masz listu? – spytała.

– Nie, pani, wiadomość miałem przekazać ustnie.

– Przekaż swojemu panu o przyjęciu przeze mnie terminu spotkania. Stawię się w towarzystwie pięciu pań, z pośród tych, które widzisz przy tym stole.

Poseł nie odpowiedział. Ukłonił się nisko i wyszedł. Za chwilę słychać było tętent galopującego konia.

Arabowie przed namiotem Zoli wyrysowali na piasku słoneczny zegar, aby nie spóźniła się na spotkanie. Ona zawsze podziwiała ich precyzję posługiwania się czasem. Teraz odkryła, jaki to prosty sposób. Wstyd jej, że rządzi ludźmi, którzy umieją więcej od niej.

Wyruszyła, gdy cień patyka padał prawie na kreskę oznaczającą porę. Szły wolno jednym szeregiem. Odległość między obozami nie była duża, na

pewno przeciwnicy je obserwowali. Gdy były w połowie drogi, usłyszały nawoływania za sobą. Goniło je dwóch jeźdźców. Rozpoznała ich, byli to zwiadowcy Dzarhita. Dojeżdżając, zeskoczyli z koni, pokłonili się, wręczając jej list.

– Pan Wilam chciał, abyś to przeczytała zanim zaczniesz rozmawiać – zakomunikowali. – Jechaliśmy cały dzień i noc, by sprostać zadaniu.

Odebrała pismo i machnęła ręką, by się oddalili. Niecierpliwie złamała pieczęć i rozłożyła kopertę.

Zerknęła na treść i zaczęła czytać głośno:

Zolu!

Jak zwykle ukartowałeś wszystko, a potem mnie wysłałeś. Burmistrz przyznał się, że wcześniej rozmawiał z dziewczętami. Miasto wpuściło nas bez walki. Szablę Seldżuków puściłem wolno razem z ich taborami. Kesun jest przyłączony do królestwa Cylicji.

Dowódca armii

Wilam von Junkaler

– Podpisał się całym nazwiskiem, poczuł się urażony – powiedziała Jana.

– Czemu tak twierdzisz? – spytała Zola.

– Karol mi tłumaczył, też jest szlachcicem... – przerwała, wskazując nadchodzącego mężczyznę. – Idzie po nas, nie wiedzą czemu się zatrzymałyśmy. To ten sam, który odwiedził nas wczoraj.

Wysłannik zaprowadził je do obszernego namiotu. Przed wejściem nie odebrano im broni, ale w środku rozstawionych było piętnastu

strażników. Na środku stał długi stół, przy którym siedział władca Aleppo ze swoimi sekretarzami. Dla nich przygotowano dziesięć krzeseł.

Kardzan był młodym mężczyzną, najwyżej trzy lata starszym od Zoli. Urodą nie grzeszył, ale miał w sobie coś z władczego usposobienia. Nie umiała tego nazwać słowami, jednak czuła w nim władcę.

Młodzieniec nie podniósł się na ich powitanie, gestem ręki wskazał im krzesła. Gdy zajęły miejsca, z drwiącym uśmiechem spytał:

– Na rozmowy dotyczące zawarcia porozumień granicznych przychodzi pani bez urzędników?

– Pozwól, emirze, że ci przedstawię – uśmiechnęła się. – Pani obok mnie, to Jana, zarządza biurem garnizonu w Hromkli. Za nią siedzą Kija i Irga, będą robiły notatki z naszego spotkania. Z mojej drugiej strony to Hana, odpowiadająca za rozmieszczenie uzbrojenia w mojej armii, następna pani odpowiada za zaopatrzenie, na imię ma Eza.

Młody monarcha przyglądał się kobietom. Dłuższy czas zatrzymał wzrok na Kij i Irdze, które rozłożyły przed sobą przybory do pisania. Zaczął mówić dopiero, gdy natrafił Zoli wzrok.

– Ojciec przed śmiercią powiedział mi, że pani jest nie tylko świetnym bojownikiem, ale jednocześnie kobietą uczoną. Nie wiedziałem, co ma na myśli, ale teraz widzę wiele wykształconych kobiet. Chyba popełniłem kilka błędów.

– Owszem, panie – mówiąc to, Zola pochyliła głowę. – Jeszcze kilka dni temu myślałam, że na twoim miejscu zastanę emira Sadzagaka. Dopiero w liście z Kairu wyczytałam, że on nie żyje. Twoje imię i pokrewieństwo z ówczesnym emirem poznałam dopiero wczoraj od twego posła. Nie znałam również celu naszego spotkania. Wiele moich domysłów i obaw doprowadziło do zabrania ci miasta Kesun...

– Kusunu nie jesteś w stanie mi zabrać – przerwał jej wypowiedź. – Wewnątrz grodu zostawiłem swój oddział. List, jaki wczoraj dostałem od jego dowódcy, napisany był cztery dni temu.

– Władze miasta wczoraj rano poddały gród. Żadnej walki nie było. Twoja szabla wojowników jedzie tu ze swoim dobytkiem. Gdyby się nie poddali, miasto byłoby doszczętnie spalone. O moich wyrzutniach i zapalających pociskach na pewno słyszałeś. Kesun należy już do królestwa Cylicji i teraz ja mam obowiązek go bronić.

Szczęki Kardana się zacisnęły.

– Wybacz, panie! Twój ojciec wiele razy mnie najeżdżał i gdy dostałam propozycję wspólnych rozmów, byłam pewna, że coś kombinuje. Musiałam coś przedsięwziąć, aby nie czuć się zaskoczona.

– Jest zupełnie inaczej. Chcę rozszerzyć swoje posiadłości na wschód, miałem zamiar zawrzeć z tobą pokój, aby mieć spokojną granicę z tej strony.

– Kesunu już tobie nie oddam, czuję się za tamtych ludzi odpowiedzialna. Co do układu pokojowego, nie widzę przeciwwskazań, byśmy go zawarli, nawet na dwa lata. Ja jednak podlegam pod króla, a nie sułtana. Moje porozumienia międzypaństwowe musi akceptować król.

Dalsze rozmowy odłożono na następny dzień, zakończyły się podpisaniem porozumienia i wspólną biesiadą.

Król z radością zaakceptował dwuletni pokój z Seldżukami.

1257 rok

Na granicach był spokój, Zola narzekała na brak zajęć. Będąc w Anazarbie, najchętniej spędzała czas na rozmowach przy herbachie w towarzystwie Marka. Niejednokrotnie pomagała mu w szpitalu w opatrywaniu ran. Ludzie szybko ją poznali, często bezpośrednio prosili o pomoc. Zawsze odpowiadała:

— Mogę leczyć tylko w obecności pana Marka.

Miało to na celu podnosić jego autorytet, a jej zachować dystans. Spoufalanie się z ludnością mogło zachwiać pozycją emira.

Występy w gospodach weszły dziewczynom w krew. Niektóre zaczęły to uważać jako swoje stałe zajęcie. Często otrzymując nowe zadanie, odpowiadały:

– Nie mogę, w tym czasie występuję. Wymówki stały się zbyt częste. Zola przypominała im, za co pobierają żołd. Oficjalnie jednak nie zabroniła im występów, sama często przesiadywała w gospodzie, aby popatrzeć na tańczące koleżanki.

Zaraz po letnim przesileniu zorganizowano półroczną naradę dowódców emiratu. Było to tradycyjne spotkanie, ale tematem odbiegało od poprzednich. Kończył się okres zawieszenia wojny z Seldżukami. Wszyscy wiedzieli o olbrzymiej armii Hulagu atakującej kalifat i wiązali to z uderzeniem wielkich ord na Syrię. Trzeba było liczyć się z agresją Kardzana – młodego emira Aleppo, który widząc zagrożenie od wschodu, zechce uderzyć na Hromklę. Miasto stanowiłoby świetną bazę wypadową we wszystkich kierunkach.

Armia rozrosła się do trzech i pół tysiąca wojów. To zdecydowanie za dużo na zarządzanie przez jednego dowódcę. Postanowiono ją podzielić na dwie armie uderzeniowe oraz armię wspierającą, dysponującą miotającym

sprzętem. Tom przyjął na siebie zaopatrywanie oddziałów prowadzących działania bojowe. W ten sposób pod jego dowództwem znalazła się duża część taborów. Dwoma uderzeniowymi armiami dowodzili Samuel i Dzarhit. Dowództwo nad całością nadal sprawował Wilam.

Wykorzystano zamieszanie w ogarniętej wojną Persji i zakupiono tam zapalające kule do wyrzutni oraz piętnaście lekkich armat, które umieszczono na murach granicznych miast. Ten nowy sprzęt nadawał się do niszczenia ludzi, a zwłaszcza urządzeń oblężniczych.

Często dyskutowano, kiedy ofensywa Hulagu dotrze do granic Seldżuków i czy wcześniej uzgodni z nimi bojowe wsparcie. Należało przygotowywać się do wojny i niezależnie od decyzji króla gromadzić zapasy.

Zaraz po naradzie otrzymała list z Egiptu. Hamel Ahat opisywał niepokoje w swoim państwie. Kończąc stwierdził, że to najprawdopodobniej ostatnia przesyłka, jaką od niego otrzymała. Oni wiedzą o zbliżającym się zagrożeniu Mongołów i będą razem z Seldżukami bronić granic islamu. List ją zaniepokoił. Poprzednio jej „szlachetny wróg” nie używał takich sformułowań.

Z niecierpliwością oczekiwała listu od króla. Zaproszenie do Sis otrzymała dopiero w połowie jesieni.

Król poprosił ją poza oficjalnymi audiencjami.

– Słyszałem, że przygotowujesz się do wojny? – zaczął rozmowę

– Nie sposób nie zauważyć jej nadejścia – odpowiedziała.

– Wojna nadejdzie na pewno, ale nie wiadomo skąd. Wojska Mongołów prowadzą zacięte walki w Persji i z Arabami. Chodzi im o zniszczenie wpływów abasydzkiego kalifa. Nie wiadomo, kiedy do nas dotrą, ale na pewno będziemy musieli im pomóc.

– Okazuje się, że mamelucy będą zaangażowani w tę wojnę...

– Tego się obawiałem – przerwał jej wypowiedź. – To nie jest dla nas korzystne. Wiem, że utrzymujesz korespondencję z Egiptem. Twój znajomy to przekazał? O ile to okaże się prawdą, Hulagu zażąda od nas pomocy na dużym odcinku frontu. Może kazać wysłać nasze wojska do Jerozolimy.

– Do tego byłoby trzeba zaangażować flotę.

– Czy nie rozumiesz politycznych konsekwencji? Całe wybrzeże morza to tereny krzyżowców lub mameluków. My w tej wojnie będziemy wrogami jednych i drugich.

– Trzeba zawczasu wysłać flotę, zanim chan upora się z Persami.

– To będzie bardzo drogie przedsięwzięcie... – Król zamyślił się.

1258 rok

Bagdad zdobyty, Kalifat Abbasydów upadł – taką wiadomość na początku jesieni otrzymała Zola od króla. Już od początku roku zauważyła wzmożone ruchy wojsk Seldżuków, obstawiali granicę, ale do konfrontacji nie dochodziło.

– Boją się – stwierdził Wilam. – Chcieli podbić wschód, a teraz będą musieli bronić się z obydwu stron. Emir Kardzan gromadzi wojska. Żeby odeprzeć napór wojsk Hulagu, powinien zgromadzić stutysięczną armię.

– Przesadzasz, takiej ilości wojów nie zbierze – zaśmiała się Zola.

– Nie tylko ty zbierałaś informacje, ja również je gromadziłem. Miał czterdzieści tysięcy, gdy podpisywał z nami rozejm. Niecałe dziesięć tysięcy utrzymywał przy naszej granicy. Na innych granicach również miał armie. Poszedł na wschód, by pozyskiwać ludzi. Obawiam się, że Edessa zapłaciła srogą cenę za podległość im. Inne miasta i tereny również. Stąd jego ekspansja na wschód i północ. W tej chwili ma wiele obozów szkolących bojowników. Niedługo będzie gotowy.

– Po co mu tyle wojska? – spytała.

– Hulagu dostał zezwolenie na założenie własnego chanatu. Nie wszyscy chanowie są temu przychylni. Ci z północy rościli pretensje do Persji, dlatego Muzabok nigdy nie otrzymałby chanatu, na który tak liczył. Złota Orda miała opanować wszystko, więc Hulagu wyruszył z prawie dwustutysięczną armią. Myślę, że po zdobyciu Bagdadu stan jej się nie zmniejszył.

– To po co my jesteśmy potrzebni? – pytała Zola wyraźnie wystraszona.

– Ponieważ podpisaliśmy porozumienie z wielkim chanem. Hulagu ma wytłumaczenie, przybył tu na naszą prośbę.

– Ja namówiłam króla na wyprawę do wielkiego chana. Teraz będę miała wyrzuty sumienia...

Narada wojenna była zwołana na początku zimy. Król wezwał wszystkich dowódców armii i garnizonów. Zola dopiero teraz zauważyła różnorodność oddziałów, jakimi dysponował monarcha. Z rozmów wynikało, że na front walki z Seldżukami król może przerzucić siedemdziesiąt tysięcy wojska.

Dziewczynę to zaskoczyło. Przybyła tu z ponad tysięczną armią, którą rozbudowała do trzech tysięcy. Razem z francuzami i obsługą miast stanowili siłę czterech tysięcy, a do obrony mieli jedną czwartą granic państwa. Gdzie się podziewały te wielkie zastępy? Co robiły, gdy ona walczyła z Seldżukami? Poczuła się oszukana. Z taką siłą, jaką król dysponuje mogłaby powiększać granice państwa, ale nie wiedziała o tych wojskach...

Po wstępnym zebraniu, poprosiła króla o chwilę rozmowy. Wyjawiała swój żal. Przyglądał się jej, zastanawiając się przed odpowiedzią.

– To nie tak, jak myślisz – zaczął ściszone głosem. – Jestem związany układami z europejskimi państwami. Papież patrzy na Ormian tak jak na Konstantynopol. Jesteśmy wschodnim kościołem, dlatego prowadzę politykę proeuropejską, dzięki temu nas akceptują. To jednak nakłada zobowiązania, powinniśmy pomagać księstwom krzyżowców. To ta wielka armia, którą dysponuję, choć nie zawsze utrzymuję. Jak każą mi iść na Turków, to muszę ich ściągnąć, bo to leży w moim interesie.

– Nie mówiłam o tym do tej pory, ale z moją armią jest problem. Mamelucy twierdzą, że wojna będzie prowadzona o granice islamu, a w mojej armii służy prawie tysiąc islamistów.

– Mówiłaś, że wszyscy są tobie podporządkowani.

– Nie mogę zmuszać ludzi, by walczyli przeciw swojemu wyznaniu!

– Co proponujesz?

– Chcę zacząć rokowania z emirem Dzarhitem. Przekazałabym mu te oddziały, może za to wspomógł finansowo naszą wyprawę.

– Wątpię, by chciał to tobie wynagrodzić, ale jak zdobędziesz jakieś pieniądze, to możesz zatrzymać je dla siebie. Nie wiem, czemu Hulagu chan zażyczył, abyś pomogła mu zdobyć Damaszek. Dam ci flotę, ale najpierw będziesz musiała zdobyć Bejrut...

Narada trwała jeszcze cztery dni. Omówiono działania wszystkich oddziałów. Główny trzon armii wraz z chorągwią Francuzów i przybyłą chorągwią rycerstwa niemieckiego miał uderzyć na Aleppo, opanowując większą część tamtejszego emiratu. Cztery tysiące marynarzy wraz z armią Zoli już wiosną powinno wyruszać na Bejrut i po opanowaniu terenu wywoływać niepokoje w emiracie Damaszku.

Zola nie wiedziała, jak ufortyfikowane są miasta portowe, nigdy jeszcze nie płynęła okrętem. Z Wilamem została dwa dni dłużej, aby omówić niejasności.

Do wiosny musiała rozwiązać problem wyznawców islamu. Powinna porozmawiać z emirem Dzarhitem, planując przekazać mu tych żołnierzy.

Wilama wysłała do obozów, aby omówił wojenną wyprawę, a sama w towarzystwie sześciu dziewczyn udała się na teren kenijskiego sułtanatu. Pięć dni zajęło im dotarcie do pałacu emira. Na teren posiadłości wpuszczono je, jak tylko Zola wypowiedziała swoje imię. Dłuższy czas czekały na dziedzińcu. Nie zapowiedziały swego przybycia, więc nie dziwiły się tej niedogodności. Widziały służących poruszających się pośpiesznym krokiem w różnych kierunkach, co mogło świadczyć, że swoim przybyciem spowodowały zamieszanie.

Po pół godzinie przyszedł żołnierz w paradnym stroju i wprowadził je do przestronnego holu. Na głównej ścianie tego pomieszczenia wisiał

portret Zoli, a pod nim na fotelu siedział emir. Ruchem ręki zaprosił je bliżej siebie. Gdy podeszły na cztery kroki, grupa służących przyniosła krzesła, aby mogły wygodnie usiąść. Były zaskoczone, nie umiały rozpocząć rozmowy.

– Witam, waleczne kobiety – zaczął swoją wypowiedź Dzarhit. – Nie spodziewałem się was, wybaczone moje improwizowane powitanie. Przyłożę wszelkich starań, aby uprzyjemnić wam czas.

– Jak wszyscy witaliby nas tak jak ty, życie byłoby przyjemniejsze – odpowiedziała Zola.

Wezyr klasnął w rękę. Wyszło czterech służących, niosąc płaskie kubki z parującym napojem.

– Ten napój odświeża oraz zwalcza zmęczenie. Zaraz przygotują wam pokoje, będziecie mogły odpocząć po podróży. Powiedzcie jednak, na jaką dyskusję powinienem być przygotowany.

– Zbliża się wojna, w której będę brała udział, ale nie wszyscy moi żołnierze będą zadowoleni, gdy ich do niej zmuszę – mówiła ściszym głosem Zola, rozglądając się po służących i ochronie wezyra.

– Ja odmówiłem udziału w tej wojnie. To powinno ułatwić nam jutrzejsze rozmowy. Ty, emirze Zolo, przerosłaś Azabaja. On martwił się o ludzi swego wyznania, ty martwisz się o wszystkich. Jestem dumny, że twój portret zdobi moje komnaty. Zaraz służący odprowadzą was na posiłek. Odpocznijcie do jutra, oficjalne rozmowy odbędziemy po śniadaniu, a przy wieczornej biesiadzie potwierdzimy uzgodnienia – kończąc wypowiedź, klasnął w rękę.

Przed każdą panią zjawił się służący, gestem zachęcali, aby poszły za nimi. Każdą zaprowadzono do osobnej komnaty, w której znajdowało się siodło i osobiste juki dziewczyny tam przebywającej. Służący odeszli, na ich

miejsce pojawiły się kobiety, napełniły balie ciepłą wodą i pomogły się wymyć. Po niedługim czasie zaprowadziły je do jadalni.

Przy stole było tylko siedem nakryć. Zaraz wniesiono kruchą jagnięcinę w sosie i pokrojoną w plastry wołowinę oraz pieczywo. Przy każdej stał puchar, a na stole znajdowały się dzbany z czerwonym winem i naparami.

– Same będziemy jadły? – spytała Ema.

– Emir chce byśmy dobrze się czuły. Jesteśmy kobietami, a poza tym dał nam wino. Nie zapominaj, że jesteśmy wśród muzułmanów – wyjaśniła Jana.

Na śniadanie zamiast wina dostały napar. Proste potrawy z jajek i mięsa były smakowicie przyprawione. Na deser miały pomarańczowy napój. Zjawił się wysłannik, prosząc je do sali audiencyjnej.

Dzarhit oczekiwał, siedząc za stołem w towarzystwie pięciu urzędników. Z drugiej strony stołu czekało na nich siedem krzeseł. Monarcha nie spuszczał z nich wzroku do momentu, aż zajęły swoje miejsca.

– Pięknie reprezentujecie się w kimonach, które ukazują bojowniczność, nic nie ujmując z waszej kobiecości – powiedział.

– Umiesz prawić komplementy – odpowiedziała z uśmiechem Zola.

– Zaskoczę ciebie. To opinia młodego emira Kardzana. Rozmawiałem z nim ponad rok temu. Prawdopodobnie zaskoczyłaś go.

– Chciał się spotkać, ale nie umiał tego zorganizować. Traktował nas jak coś gorszego.

– Prawda, brak mu doświadczenia. Krążą plotki, że to on pozbawił życia swego ojca.

– W chwili obecnej on nas interesuje? – spytała Zola.

– Byłem przedstawicielem swego sułtana w Bagdadzie. Halugu-chan chciał, abyśmy uderzyli na Aleppo. On jednak chce rozszerzyć front na całe wybrzeże morza Śródziemnego. Tłumaczyłem mu, że w ten sposób występuje nie tylko przeciw Seldżukom, ale również przeciw islamowi... Nie dał się przekonać, ja odmówiłem udziału w wojnie. Prawdopodobnie naraziłem się jemu, lecz mój sułtan akceptował moją decyzję.

– Wojna będzie przeciw islamowi, tyle dowiedziałam się od mameluków.

– Przez mameluków będzie tak odebrana, choć nie było to zamierzone przez wielkiego chana. Halugu zostawi wam Aleppo, a sam ruszy na Damaszek.

– Ja mam brać udział w zdobyciu Damaszk. Najpierw mamy uderzyć na Bejrut.

– Bejrut jest trudnym miastem do zdobycia.

– Boję się, nie znam planów miasta, a słyszałam, że to twierdza.

– Przed wieczorem mój kartograf temu zaradzi. Teraz wyjaw, po co przyjechałaś? Ja się domyślam, ale musisz to wypowiedzieć.

– Skoro to ma być walka przeciw islamowi, nie mogę w nią angażować ludzi tego wyznania. W obozach też nie mogę ich zostawić, ponieważ Cylicja będzie walczyła z islamem. Doszłam do wniosku, że ty powinienesz przejąć tych żołnierzy.

– Dużo ich masz?

– Około ośmiuset, ale będę pytać ich o zgodę. Jeżeli nie zechcą, wypłacę żołd i puszcę wolno, odbierając broń.

– Kilka lat temu zabiłaś czterystu moich wojowników, dwustu biorąc do niewoli. Teraz otrzymam ośmiuset, to chyba będzie zysk – roześmiał się ze swego żartu. Zola jednak nie uśmiechnęła się i nic nie odpowiedziała. Po krótkiej ciszy on kontynuował swoją wypowiedź. – Przyjmę ludzi, których

przyprowadzi mi mój brat. Nie zapłacę ci za nich, ponieważ to nie transakcja, a uspokojenie twego sumienia. Mogę ci obiecać, że będą godnie traktowani. Przyjmę również tych z wyznaniem Mahometa, którzy nie zechcą być u mnie wojami. Zapewnię im pracę i byt... – zawiesił głos, unosząc rękę, by mu nie przerywała. – Powinienem okazać ci wdzięczność za zaufanie. Jeszcze dziś mój kartograf zaopatrzy ciebie w mapy i informacje dotyczące wybrzeża z okolic Bejrutu. Zaraz przejdziemy do mego gabinetu, bym mógł tobie przekazać informacje, których dowiedziałem się w Bagdadzie.

– Wszelkie informacje im przekazuję – powiedziała Zola, wskazując na koleżanki.

– Powiesz komu zechcesz, jednak mnie będzie łatwiej, jak będę mówił tylko do ciebie...

Jana z dziewczętami miała czekać na Zolę w jej pokoju. Zola wróciła po pół godzinie. Była zdenerwowana.

– Wojna, która niedługo wybuchnie, będzie ostatnią naszą służbą dla królestwa Cylicji. Wyjeżdżamy jutro rano, po drodze powiem wam resztę. Obiadu nie będzie, ale w godzinach popołudniowych poproszą nas na uroczystą kolację. Ubierzcie się ładnie. Byłoby w dobrym tonie, gdybyśmy coś emirowi zatańczyły...

Kolacja była miłym wydarzeniem. Nie poruszano żadnych tematów politycznych, emir zabawiał towarzystwo, opowiadając ciekawe i dowcipne historyjki. Był bardzo zadowolony jak dziewczęta popisały się umiejętnościami w tańcu. Na koniec biesiady obdarował panie kompletami biżuterii.

Pakowały się dopiero rano. Gdy jadły śniadanie, służący pozabierali z ich pokoi siodła, dzięki temu na dziedzińcu oczekiwały je oporządzone

konie. Dzarhit żegnając je, powiedział: – Prawdopodobnie już was nie zobaczę, ale będę mógł rozpowiadać, że gościłem emira Zolę z jej świtą.

Na pierwszym popasie Zola poinformowała:

– Przyjazd tutaj był szczęśliwym trafem. Odbylałam bardzo treściwą naradę wojenną. Nasz oddział stał się kartą przetargową w nadchodzącej wojnie...

– O czym mówisz? – wyrwało się Janie.

– Mongke, na koniec królewskiej wizyty, poprosił mnie i Karle do siebie na rozmowę. Zaproponował nam służbę u siebie, kusząc armeńskim emiratem. Odmówiliśmy. Okazuje się, że wielkiemu chanowi nie wolno odmawiać. Teraz, gdy wiadomym jest, że Mongołowie rozbijają Seldżuków, Hulagu, brat Mongkego, upomniął się u króla o nas. Według prawa cały czas jesteśmy niewolnicami Mongołów, dlatego będziemy walczyły daleko od naszych wojsk. Przysięgłyśmy królowi służbę, ale nie oddam się ponownie do niewoli. Musimy to przemyśleć i znaleźć dla nas korzystne rozwiązanie.

Zola ściągnęła do Anazarby wszystkie dziewczęta, aby razem zastanowić się nad problemem. W tym czasie Dzarhit grupował bojowników, których miał odprowadzić do brata. Jedynie Dzonchin odmówił emigracji do Sułtanatu Konijskiego.

– Na islam przeszedłem wśród Persów, a tureckie wyznanie różni się od perskiego – tłumaczył swoją decyzję. – Uprzednio byłem buddystą, ta filozofia pozwala mi przejść na dowolną wiarę. Mogę nawet zgłębić kanony chrześcijaństwa.

– W takim razie popłyniesz ze mną. – Zola się roześmiała.

– Tak zrobię, pani, prawdopodobnie będę przydatny.

Codziennie po śniadaniu zbierały się w biurze garnizonu, aby planować kampanię. Wiedziały, że do dyspozycji będą miały pięćdziesiąt osiem okrętów, na które muszą załadować się razem z marynarzami

i sprzętem. W naradach często uczestniczył dowódca floty – Hawel, który wielokrotnie próbował narzucać im swoje zdanie. Dziewczęta nie znały się na żegludze, lecz nie ze wszystkimi postanowieniami admirała się zgadzały. Zola zaczęła podejrzewać go, że ma zupełnie inne zadanie, które chce wykonać w trakcie wyprawy.

W połowie zimy Samuel i Dzarhit zorganizowali pożegnanie muzułmanów. Uroczystości kończyły się defiladą. Zoli łzy się zakręciły, gdy patrzyła na dziewięciuset bojowników, którzy byli jej posłuszni. Teraz już nie należą do jej armii i najprawdopodobniej nigdy się nie zobaczą. Ceniła tych bojowników, o rozstaniu zdecydowała wyłącznie kwestia wiary.

Po powrocie w Anazarbie nie zastali Hawela. Admirał wyjechał wezwany przez króla. Zola złorzeczyła, albowiem mieli omawiać kolejność okrętowania. Do rozmowy włączył się Dzonchin.

– Wybaczy pani, ale dziewczęta powiedziały mi w tajemnicy, że oddział żeński z wojny nie wróci. W takim razie zabierzecie ze sobą cały swój dobytek, myślę o skrzyniach, baryłkach i sakwach. Prawdopodobnie ktoś ma chęć zagarnąć to wszystko, aby nie oddać Mongołom. Zastanówcie się o ukryciu majątku i w razie potrzeby, jak się wycofać. W Hromkli jest pięć armat do kruszenia muru. Drogi sprzęt i bardzo przydatny w waszej wyprawie.

– Mówisz zagadkami, ale prawdopodobnie masz rację – odpowiedziała.

Zola postanowiła tak podzielić swoich bojowników, aby ktoś z nich był na każdym okręcie armady. Po tygodniu wiedziały już, czego mają żądać od admirała. Przyjechał z gotowym planem zaokrętowania, ale dziewczęta zaczęły wyjawiać swoje plany.

– Nie mogę się na to zgodzić! – zaczął podniesionym tonem. – Ja dowodzę flotą.

– Pan dowodzi flotą, ale ja wyprawą – odpowiedziała Zola. – Jeżeli pan nie podporządkuje się moim zaleceniom, wynajmę inne statki, a pan na Bejrut popłynie sam.

1259 rok

Port w Lajazzo był dogodnym miejscem do załadunku sprzętu i taborów. Dowóz z Anazarby trwał dwa dni. Dużo dalej było do obozów w górach, dlatego załadunek zaplanowano już wczesną wiosną. Admirał zobaczywszy w porcie armaty do kruszenia murów, kazał je odesłać z powrotem.

– Są za ciężkie – tłumaczył. – W czasie sztormu mogą spowodować wywrócenie okrętu.

– Schowajmy je pod pokładem – odpowiedziała Zola.

– To również niebezpieczne.

– Mam pomysł – włączył się stojący obok kapitan. – Rozbierzmy te urządzenia i umieśćmy w lukach balastowych kilku okrętów.

Admirał nie miał kontrargumentów, wzburzony oddalił się do innych zajęć. Zola jednak zwróciła uwagę na marynarza, podeszła do niego i spytała z uśmiechem:

– Jak masz na imię, panie?.

– Jestem kapitan Lepard, pani.

– To francuskie imię.

– Tak, pani, jestem Francuzem. Znalazłem się tu, przywożąc chorągiew pana Franko. Dużo tu pracy, dlatego zostałem.

– Którym statkiem dowodzisz?

– Pod moim dowództwem jest jedenaście okrętów. Mają numery od czterdziestego ósmego do końca. Stoją na redzie.

– To duże statki, czemu są na końcu?

– Ważne ładunki zwykle ładuje się na pierwsze statki. Admirał chce mieć nad nimi kontrolę...

Wszyscy marynarze spali na okrętach. Zola przyprowadziła ze sobą tysiąc dwustu bojowników. Duże tabory były dodatkowym utrudnieniem. Nie znalazła takiego zajazdu, by wszystkich i wszystko pomieścić. Opodal miasta wydzierżawiła teren na obóz. Miejsce było o tyle dogodne, że roztaczał się stąd widok na port, jednak dochodzenie do niego zajmowało sporo czasu, dlatego wszystkie posiłki jadła w portowej gospodzie. Tego dnia przy kolacji spotkała się z Tomem, Dzonchinem i Karle. Byli w połowie posiłku, gdy w drzwiach ukazała się Jana.

– Musimy zabrać jeszcze jedną osobę, Karola – powiedziała.

– Franko go nie zwolni – odpowiedziała Zola.

– On sam się zwolnił!

– Zdezerterował?! Gdzie on jest?

– Stoi pod gospodą, boi się tu wejść.

– Przyprowadź go, na pewno jest głodny.

Za moment zjawił się mężczyzna, taszcząc ze sobą olbrzymi juk. Rzucił go przy stole, usiadł dopiero, gdy zaprosiła go Zola.

– Przyjechał pan konno? – spytała.

– Tak, konia zostawiłem w stajni, w sąsiedniej karczmie.

– Co na to Franko?

– Powiedział, że oficjalnego zezwolenia nie może dać, ale nie będzie mnie ścigał.

– To dobrze, ale jak ukryje pana nieobecność?

– Do Hromkli przyjechała chorągiew Niemców. Część naszych jest w obozie pod miastem. Tyle zamieszania, że nie wiadomo, kto gdzie jest. Jak się dowiedziałem, że nie wrócicie z tej wojny, od razu prosiłem o zwolnienie ze służby.

Zola roześmiała się radośnie.

– Witaj, rycerzu, w mojej armii! – powiedziała, a po chwili spytała: – Znasz kapitana Leparda?

– Był admirałem naszej floty.

– Teraz płynie z nami.

Karol wbił w nią wzrok, jakby o coś się obawiał.

– On nie interesuje się sprawami, które jego nie dotyczą. Nie będzie pytał, dlaczego tu jestem – odpowiedział.

– Można mu zaufać?

– Jak obieca, można mu zawierzyć życie.

– Jutro porozmawiamy z nim na jego statku. Razem z Janą czekajcie na mnie w porcie.

Kapitan Leopard od rana był nieuchwytny. Karol wskazał jego statek, ale okręty francuskiej floty stały daleko od brzegu. Była możliwość skorzystania z szalupy, których mnóstwo kursowało między statkami, jednak Zola wolała utrzymać w tajemnicy fakt osobistego kontaktowania się z podwładnymi admirała Hawela. Dotarł do nich Wilam z wiadomością o armatach załadowanych na drugi i szósty statek. Spyтали go o Francuzów.

– Przy porcie stoją dwie ich szalupy – odpowiedział. – Uzupełniają zaopatrzenie.

Zawrócili w kierunku portu. Na plaży stały dwie łodzie ładujące baryłki z oliwą. Karol podszedł do nich, zaczął rozmowę po francusku. Jana tłumaczyła Zoli.

– On spytał, gdzie jest kapitan. Tamten odpowiedział, że szuka dowodzącego Ormianami...

Karol zwrócił się do Zoli.

– Pani, on poszedł do waszego obozu, bo chciał porozmawiać z tobą.

– Tam mu powiedzą, że jestem tutaj, czyli zaraz wróci.

Rozmowę przerwał im głos Admirała.

– Pani, szukałem ciebie od rana. Mówiłaś o jakimś bardzo ważnym ładunku, który trzeba ukryć. Przy nabrzeżu utrzymuję dziewięć pierwszych okrętów, by móc to załadować...

Zola wymieniła spojrzenia z Janą i Wilamem, dopiero po chwili zaczęła mówić do Hawela.

– Rzeczywiście, mam specjalny ładunek, ale jeszcze nie dojechał do obozu. Dopiero jutro będziemy mogli porozmawiać na ten temat. Nie jestem pewna, czy zgodzi się pan go przewieźć. To są skrzynie, ciężkie jak te armaty, które załadowano.

Jeżeli to ważny ładunek, będziemy musieli go zabrać. Jak będę go widział, to zastanowię się jak go załadować.

Zola zobaczyła Leparda, gdy jednak zauważył, z kim ona rozmawia, skrzył w kierunku swoich szalup. Zwróciła się do Karola.

– To prawdopodobnie kapitan, którego pan szukał. Może pan iść do niego. Będę miała czas porozmawiać z panem przy kolacji.

Karol nie zrozumiał, o co chodzi, ale Jana szturchnęła go w bok i razem odeszli w kierunku Francuzów. Hawel przez dłuższy czas przyglądał się odchodzącej parze.

– Kim jest ten pan? – spytał.

– To rycerz z francuskiej chorągwi.

– Jestem ciekaw, czego szuka na tych statkach?

– Prawdopodobnie ma kuzyna wśród załogi.

– Nie wiedziałem, że na tych statkach służą ludzie szlachetnie urodzeni.

– To nie nasz problem. Teraz chciałabym zobaczyć, jak są załadowane armaty. Muszę być zorientowana, jak szybko możemy je rozładować...

Karol zaproponował kolację w swojej karczmie. Pod wieczór oczekiwał na Zolę w towarzystwie kapitana Leparda. Dołączyła do niego z Karle.

– Gdzie Jana? – zaniepokoił się.

– Zaraz przyjdzie. Musiała jechać do obozu – odpowiedziała i zwróciła się do kapitana: – Cemu pan poszukiwał mnie rano?

– Wybacz mi, pani, śmiałość, ale nijaki pan Tom, który rozmawiał ze mną w sprawie załadunku sprzętu, nazywał panią emirem, a ktoś taki może część floty skierować w innym kierunku.

– Co pan ma na myśli?

– Ponad dziesięć lat temu wypłynąłem z flotą z Francji. Miałem rodzinę, tak jak wielu moich marynarzy. Teraz nie wiemy, czy ciągle je mamy i czy ktoś na nas tam czeka. Od śmierci króla włączono nas do floty Cylicji i bez zgody admirała Hawela nie mamy prawa nic działać. Czujemy się tu uwięzieni! Wiem, że są działania wojenne i musimy część armii przewieźć w okolice Bejrutu, ale potem, jak pani by pozwoliła, skierowalibyśmy się na Francję.

– Iloma okrętami pan dysponuje?

– Jedenastoma, ale tylko pięć chce wracać do kraju. Pozostali są zadowoleni z pracy tutaj...

Wypowiedź przerwało przyjście Jany. Usiadła przy Karolu, całując go w policzek. Zadowolony rycerz objął ją ramieniem.

– Nie migdalić się – zareagowała Zola. – Powiedz lepiej, co słysząc w obozie.

– Duże skrzynki zaopatrzone w podwójne wieka, oba zabite gwoździami. Aby zajrzeć do środka, trzeba je rozbić. Nasze rzeczy są w skrzynkach po przyprawach. Zaraz przyjdzie Wilam to wytłumaczy, ale potrzebne będą konie. Panie kapitanie, jak pan planuje je przewieźć?

– Podróż do wybrzeży Bejrutu zajmie najwyżej kilka dni. Nawet przy niesprzyjającej pogodzie, po trzydzieści koni na okręcie, powinny wytrzymać podróż. Jeżeli jednak natkniemy się na sztorm, to trzeba szukać schronienia przy brzegu.

– Do Francji konie by dopłynęły? – spytała Zola.

– Szkoda zwierząt. Pan Franko zażyczył sobie wieźć konie tutaj, połowa zachorowała i padła. Lepiej tu sprzedać, a tam kupić, będą mniejsze straty.

– Mam jeszcze jeden ładunek, który chciałabym ukryć – mówiła wolno Zola, nie spuszczać wzroku z twarzy mężczyzny. – Jest ciężki jak te armaty, które pan widział, ale w małych gabarytach.

– Nie chciałbym przeciążyć statków. Konie, maszyny i wozy z amunicją to duże obciążenie, będę się bał o stabilność statków.

– To pana pomysł, aby ładować ciężkie rzeczy do luków balastowych. Przy dużym balaście statek byłby bardziej stabilny... – przerwała raptownie, bo do sali wszedł Wilam w towarzystwie Toma i Dzonchina. Nie dyskutowano, póki przybyli nie zamówili sobie potraw. Pierwszy odezwał się Wilam.

– Wszystko załadowane na wozy, ale jak ktokolwiek będzie ładował te małe pudełka, to domyśli się, że tam jest coś innego...

– Polakowałeś pieczęcią cechu? – przerwała mu Zola.

– Tak, ale to trzeba załadować na statki.

– Załadujemy na te, które popłyną do Francji.

– Nie wiem, jak was przyjmą we Francji. Oni są źle nastawieni do wschodnich kościołów, tak jak Wenecjanie – zareagował Wilam.

– Co proponujesz?

– Wylądować w Burgundii, na przykład w Nicei i przedostać się do Niemiec.

– Ciągnie ciebie do swoich?

– Na pewno, ale moje nazwisko zapewni tobie wsparcie. Nie znam obecnego króla, mógłbym ci jednak załatwić jakiś przydział.

Kapitan przyglądał się parze dyskutującej, w końcu nieśmiało spytał.

– Czy państwo nie uważają, że ja za dużo słyszę?

– Muszę panu zaufać, tak jak pan zaufał mnie. Wiadomości, które o sobie wiemy nie powinny trafić do admirała, dlatego przyjmuję pana do spółki i mogę obiecać, że po zdobyciu Damaszku, popłynię pan do siebie. Pięć statków w zupełności mi wystarczy. Jutro, na trzech pierwszych zaokrętuje pan po dwie kobiety na każdym i zacznie przyjmować ładunek, ukrywając go w luku balastowym. Codziennie przyplływają dwie łodzie i po trochu przewożą skrzynki na pana statki. Skrzynki mają numery, a ludzie na statkach będą robili wykaz skrzynek. Na koniec ten człowiek – wskazała Dzonchina – sprawdzi i zabezpieczy ładunek. Nikt z floty admirała nie ma prawa o nim wiedzieć. Przy Bejrucie skrzynki zostaną na swoim miejscu...

Wracając do obozu, Zola spytała Toma:

– Na pewno chcesz zostać? Mamy statki. Z Damaszku do Bejrutu niedaleko, ucieczka nie sprawi kłopotu, a dalej tylko Europa.

– Europa to nic dobrego, pełno skłóconych ze sobą państw. W Cylicji jest nasz obyczaj, język i rozumiem skłócone strony. Ty musisz uciekać, Halugu-chan mnie nie porwie. Prawdopodobnie do Anazarby będę mógł wrócić lądem.

– Ale nam pomożesz się oderwać?

– Ty kiedyś pomogłaś nam, spłacę tylko swój dług...

– W luku wyrzutni zostawiam ci dwie skrzynki.

– Dziękuję, zagwarantuje mi to niezależność.

– Wyślę do króla list, że mianuję ciebie dowódcą armii. Hetum powinien to uszanować.

Rano osiem wozów wolno zajechało na nadbrzeże portu. Były pilnowane przez dwudziestu jeźdźców, w tym dziesięć kobiet. Zola była wcześniej, oczekując admirała. Pokazał się, jak tylko wozy zatrzymały się przy burtach statków.

– Przywozi pani ładunek z samego rana, gdy ja nie wiem, gdzie go umieścić.

– Wczoraj mówił pan, aby ten ciężki ładunek przywieźć jak najszybciej, więc go przywiozłam – odpowiedziała z obojętną miną Zola.

– Muszę go najpierw zobaczyć i zaplanować jego rozmieszczenie.

Podeszła do pierwszego wozu i odrzuciła plandekę. Ukazały się średniej wielkości skrzynki, z uchwytami do przenoszenia. Na każdej wymalowano numer.

– W pozostałych wozach jest to samo – wyjaśniła.

– Jak ciężkie są skrzynki i co w nich jest?

– Niech pan spróbuje jedną podnieść, to określi ich wagę, a zawartość jest tylko moją sprawą. Skrzynki muszą płynąć ze mną!

– Ja dowodzę załadunkiem i bezpieczeństwem żeglugi, jak ich nie załaduję, to nie popłyną.

– Ma pan rację – odpowiedziała spokojnie. Za chwilę zaczęła wykrzykiwać komendy: – Karle, Zakar, wykręcać wozy! Jedźcie do obozu, niech się pakują! Jutro wracamy do Sis, król musi podjąć inną decyzję.

– Proszę pani, ja nie mogę ładować niebezpiecznych towarów. Muszę wiedzieć, co to jest.

– Jedyne co pan musi wiedzieć, to czy ładunek wytrzyma wilgoć. Informuję pana, że zawartość tych skrzynek nie boi się wilgoci. Działania bojowe ja będę prowadziła i co mi potrzebne, to tylko moja sprawa. Więc jak, załaduje pan to na okręty czy nie?

– Załaduję, ale na pierwszych okrętach mają płynąć moi marynarze, którzy będą brali udział w zdobyciu Bejrutu.

Na dwóch pierwszych okrętach marynarzy będzie mniej. Na pierwszym będzie przygotowana kajuta dla mnie i koleżanki. Na drugim ma płynąć obsługa armat. Na każdym, gdzie będę załadowane te skrzynki, potrzebne będą kajuty dla moich dziewcząt.

– Kobiety wśród marynarzy?

– Dadzą sobie radę. Pan tylko musi ostrzec majtków, że każdy, który zechce je skrzywdzić, może przepłacić to życiem.

Mężczyzna uśmiechnął się ironicznie.

– Radzę nie lekceważyć moich słów. Dziewczęta zamieszkają na statkach zaraz po zakończeniu załadunku. Proszę przygotować moją kajutę, tam wstawią jedną z tych skrzynek. Wieczorem sprowadzę się tutaj.

Flotylla wyruszyła w pogodny dzień. Na niebie przepływały nieliczne chmury, a umiarkowany wiatr wiał z korzystnych kierunków. Większość marynarzy siedziało pod pokładem i pili mocniejsze trunki, grając w kości lub inne gry. To oni mieli stanowić wojsko, które zdobędzie Bejrut. Zola przyjrzała im się, będąc jeszcze w porcie i poza liczebną siłą, bojowników w nich nie dostrzegła. Dlatego szukała własnych rozwiązań. Jeszcze na lądzie, z Wilamem i Tomem dyskutowali o zdobyciu portu. Plany umocnień portowych mieli od emira Dzarhita, jednak największą informację zdobyli w rozmowie z kapitanem Lepardem. On znał zatokę przed Bejrutem, w której mogli rozładować dużą część floty. Postanowili to wykorzystać. Jednoczesne uderzenie z lądu i morza dawało im zdecydowaną przewagę.

Gdy wypłynęły z portu, Zola z Karłą wystawiły krzesła przed drzwiami kajuty i z pucharami wina przyglądały się pracującym majtkom.

Dyskutowali, jak rozstawić sprzęt w polu, gdy z góry usłyszeli głos admirała:

– Wejdźcie panie na mostek, tu ładniejszy widok.

– Mamy tutaj miejsce, osłonę od wiatru i słońko skuteczniej rozleniwia.

Hawel zaśmiał się i zszedł do dziewcząt.

– Kobiety znajdą przyjemność, jak tylko nadarzy się okazja – próbował żartować.

– Mało mamy takich okazji – odpowiedziała Karla.

– Wpadło mi do głowy – mówił rozbawionym tonem mężczyzna – że mógłbym paniom coś zaproponować.

Wyjął zza pasa perski kindżał. Pochwa i rękojeść była wykonana z ciemnobrązowego drewna, oprawiona złotymi okuciami. Boki zdobiły złote rysunki kwiatów, wtopione w drewno. Podał broń Zoli. Ona wysunęła czarne ostrze inkrustowane złotem.

– Pierwszy raz widzę taką czarną stal – powiedziała zdziwiona.

– To oksyda, barwnik nakładany w trakcie hartowania. Przy ostrzeniu się ściera, ale ochrania przed rdzewieniem.

– Ładna broń – wsunęła głównię i oddała, trzymając za pochwę.

– Okazyjnie kupiłem ją w Lajazzo. Chciałem podarować przyjacielowi, ale pierwszy oficer uświadomił mi, że nie wypada dawać w prezencie ostrzy. Najchętniej zbyłbym to cacko. Dla pań mogłoby służyć za ozdobę.

Dziewczęta popatrzyły po sobie, spytały o cenę.

– Nie będę na paniach zarabiał, wystarczą dwa złote persy.

Zola nic nie mówiąc, odebrała broń z ręki mężczyzny i zaprosiła go do swojej kabiny. Otworzyła wieko skrzyni, jakich wiele ładowano do luków balastowych. Wewnątrz były ciasno poukładane małe mieszki. Rozwiązała

jeden, wyjęła dwie monety i wręczyła Hawlowi. Nóż wrzuciła do skrzyni i zamknęła ją na zamek...

Łączność między okrętami była skomplikowana. Informacje przekazywano sobie wywieszanym sznurem chorągiewek, machaniem proporczyków czy trąbieniem rogu. W ten sposób mogli jednak przekazywać tylko proste komendy. Gdy chodziło o polecenie niemieszczące się w szyfrze chorągiewek, należało opuścić na wodę szalupę i przy pomocy sześciu marynarzy przy wiosłach dostać się na pokład odpowiedniego statku.

Taka sytuacja zaistniała przed zakończeniem podróży. Zola doszła do wniosku, że trzy armaty mają być wyładowane w zatoce wraz z wojskiem Toma, a dwie wystawione na pokład, w pozycji zdatnej do strzelania na wprost. Z tymi informacjami wypłynął oficer na drugi i szósty statek. Z polecenia admirała miał również zwizytować czwarty i piąty. Zapowiadało się, że na okręt flagowy wróci pod wieczór, jednak przypłynął już w południe, od razu znikając w kabinie admirała. Po dłuższej chwili Hawel poprosił Zolę do swojej kabiny.

– Pani kobiety zamordowały na czwartym statku czterech ludzi. Będę musiał je sądzić jeszcze przed przybyciem do brzegu – starał się nadać głosowi charyzmatyczny ton.

– Skoro życie straciło czterech marynarzy, to na pewno zrobiła to jedna dziewczyna, a nie trzy. Przecież ostrzegałam pana, miał pan przekazać to załodze. Czy pan to zrobił?

– To mało ważne, życie straciło czterech ludzi. Sąd musi się odbyć!

– Nie będzie żadnego sądu, a już na pewno nie będzie pan sądził moich dziewcząt.

– Jestem admirałem w czasie działań wojennych, zrobię co zechcę!

– Ja jestem głównodowodzącą tej operacji, król chyba panu powiedział, na co mnie stać.

– Za dużo sobie pozwalasz na moim okręcie. Zwiąż ją – polecił oficerowi – potem poradzimy sobie z tą drugą.

Oficer załapał ją za ramię. Nie ruszyła się, ale syknęła.

– Puść, jeśli panu życie miłe!

Obaj mężczyźni się roześmieli. Kobieta wyskoczyła w górę, kark mężczyzny znalazł się między jej udami, on runął bezwładnie na wznak. Zola nie straciła równowagi, stanęła twardo na podłodze, lecz głowa mężczyzny nadal tkwiła między jej nogami, dusząc go. Admirał ruszył na nią z pałaszem. Bez trudu zbiła broń w bok, drugi swój miecz przystawiła do jego krtani. Rozwarła nogi. Oficer bezwładnie runął na ziemię. Stanęła krok z boku, nie odrywając ostrza od szyi przeciwnika.

– Czy naprawdę uważa nas pan za niewinne dziewczęta? – mówiła spokojnie.

– To bunt na statku! – krzyknął, spodziewając się kogoś z zewnątrz. Nastąpiła dłuższa chwila ciszy, ale nikt nie wszedł do środka. Admirał znowu krzyknął: – Bunt! – Drzwi ciągle pozostawały zamknięte.

– Pomoc nie nadejdzie, a ja mogę przejąć władzę nad całą flotą. Nie zrobię tego, bo potrzebny mi człowiek, który zapanuje nad statkami. Ale jeszcze jeden taki wyskok i pozbawię pana życia, a pana miejsce będzie musiał zająć ten pan – wskazała leżącego na ziemi. Krzyknęła w kierunku drzwi – wejdź Karle. Obudź tego pana, za mocno go przydusiłam. Na zewnątrz dużo ich było?

– Trzech. Leżą powiązani w naszej kabinie...

Karle przyklękała przy oficerze. Sztorcem kciuka uderzyła go w nasadę karku. Mężczyzna gwałtownie wciągnął powietrze. Chciał się poderwać, ale dziewczyna przytrzymała go za głowę.

– Musi pan dłuższą chwilę poleżeć, inaczej serce nie wytrzyma.

Zola spokojnie schowała swoją broń do pochew. Gestem nakazała admirałowi, by usiadł za stołem.

– Teraz napisze pan list do dowódcy czwartego okrętu. Mają wylądować w zatoce przed Bejrutem i poddać się pod rozkazy Wilama. Skrzynie zostają na statkach aż do naszego powrotu. Mam nadzieję, że załoga szalupy jest ciągle w pogotowiu. Ja przeczytam ten list, potem pan go zapieczętuje i każe szalupie dostarczyć na czwórkę.

– Jeżeli to cenny ładunek, to skrzynie mogą zginąć!

– Nie zginą, ponieważ na pokładzie zostaną moje dziewczęta. Postaram się zapomnieć o zajściu tutaj, ale po zdobyciu Damaszku król otrzyma mój raport z działań wojennych. Tylko od pana zależy, co w nim napiszę...

Pogoda im dopisywała. Część wojska wysadzono w osłoniętej zatoce. Następnego dnia z rana sternik pokazał Zoli nierówny horyzont.

– Tam daleko na widnokręgu to Bejrut.

– Ile czasu zajmie dotarcie tam? – spytała.

– W południe będziemy przy wejściu do zatoki.

– Gdzie jest admirał?

– Siedzi w swojej kabinie, jakby bał się wychodzić.

– Trzeba go zawołać!

Hawel zjawił się na mostku, niepewnie się rozglądając.

– O co chodzi? – spytał Zolę.

– Czy statek z armatami może płynąć tak blisko, by ustnie wydawać mu komendy?

– Trzeba płynąć bardzo wolno, wtedy możemy zetknąć się burtami.

– Oni na pewno zechcą nas spalić. Musimy podpłynąć jak najbliżej, ale zatrzymać się w odległości, gdzie nie sięgną nas pociski katapult.

- Nie znam głębokości. O ile kotwica sięgnie dna, to się zatrzymamy.
- Płynmy łachą. Jeżeli będzie ostrzał, wycofamy się i poczekamy do świtu.

Obrońcy portu byli przygotowani. Wiedzieli wcześniej o napływającej armadzie. Na brzegach zatoki portowej katapulty mieli szeroko rozstawione. Byli daleko, gdy w ich kierunkach z brzegu posypały się kamienie. Admirał natychmiast kazał się wycofywać. Co drugi statek wyrzucał kolorowe boje na długich linach.

- Czemu te pływaki mają różne kolory? – spytała Zola.
- Kolor oznacza długość liny kotwicznej – wyjaśnił Hawel. – Boje pozwolą nam określić, w których miejscach możemy zakotwiczyć statki, jednocześnie będziemy wiedzieli, dokąd sięga ich ostrzał.
- Sprytne, muszę to zapamiętać.
- Czyby pani chciała przenieść się do floty? – zapytał roześmiany, obserwował twarz dziewczyny.
- Bez obaw, nie pozbawię pana stanowiska. Za mało się na tym znam. Stwierdziłam jednak, że przyjemnie płynąć na statku i wygrzewać się na słońku.
- Mieliśmy przychylną pogodę. Przyjemność się kończy, gdy nadciąga sztorm. Chciałem spytać, co pani zdaniem dziś powinniśmy zrobić?
- Niedługo znajdziemy się poza strefą ostrzału. Katapulty to nie wszystko, czym oni mogą dysponować. Jeżeli mają takie armaty jak nasze, to ciągle jesteśmy w zasięgu bombardowań. Jeżeli uda się nam zakotwiczyć, to czekamy do jutrzejszego południa.
- Możemy ruszyć na nich o świcie, po co zwlekać? – Hawel okazał zdziwienie.
- Oni będą na to przygotowani – wskazała port. – Niepotrzebnie jednak rozpoczęli tak szybko ostrzał. Tom zobaczył skąd strzelają. Myślę, że

do południa uporają się z wyrzutniami, które są po północnej stronie. Będziemy mogli z tamtej strony zbliżyć się do portu.

– Przewidziała pani łańcuch, który przegrodzi nam drogę? Zginie wiele ludzi zanim go odczepimy.

– Postaramy się, aby nikt nie zginął. Słyszałam, że łańcuch przyczepiony jest na drewnianych podporach...

– Ale podpory są daleko od brzegu, trzeba do nich dopłynąć. Oni ich bronią i mają kuszników. Łańcucha człowiek nie uniesie, trzeba dotrzeć do kołowrotu...

– Nie będziemy wysyłać tam ludzi – przerwała mu. – Mamy armaty. Rozbijemy te podpory...

Większości statkom udało się kotwicą dotknąć dna. Gdy słońce sięgnęło horyzontu, wszystkie były zakotwiczone. To zapowiadało spokojną noc. Kapitanowie wystawiali jednak wzmocnione wachty, a admirał polecił pełnić czujki na łodziach.

– Po co to wszystko? – spytała Zola.

– Ja na ich miejscu próbowałbym w nocy podpłynąć i podpalić okręty.

Noc upłynęła jednak spokojnie. Rano dołączyły statki, które wysadziły wojsko w sąsiedniej zatoce.

Zola z Karłą jadły śniadanie. Szalupą od brzegu przypłynęła do nich Ema. Zdążyła przekazać, że Tom z marszu zdobył miotające maszyny przeciwnika, chwilę potem do drzwi zapukał Hawel. Gościnnie usadziły go za stołem, nalały mu puchar wina. Mężczyzna był zdenerwowany.

– Panie, oni w porcie szykują pięć statków pełnych ludzi. Najprawdopodobniej przypłyną tutaj. Byłem pewny, że na statkach będą wasi bojownicy. Jak dojdzie do abordażu, moi ludzie nie sprostają im. Marynarze, to zbieranina z portów. Są dobrzy wywołać burdę w tawernie, ale nie do otwartej walki.

- Dużo ich na tamtych statkach? – spytała Karle.
- Pełne pokłady.
- To jedno mamy z głowy, będą musieli opuścić łańcuchy – stwierdziła Zola.
- Żadna pociecha, jak opanują większość naszych okrętów.
- Nie opanują. Moje wojsko do tego nie dopuści. – Zola się uśmiechnęła.

Pięć statków zbliżało się do przegrody z olbrzymiego łańcucha, który opuszczany był do wody. Admirał stał na pokładzie.

- Połowa ma na wierzchu kusze. Jak nic zmiotą moich z pokładu – powiedział do Zoli.

- Daleko mają do pana kolorowych pływaków? – spytała.
- Jeszcze z ćwiartkę mili.
- Tom powinien ich zlikwidować. Zaraz pan zobaczy.

Oparła się o balustradę mostku i przesłoniła oczy od słońca. Interesował ją północny brzeg. Gdy okręty wroga minęły linię łańcucha, z brzegu posypały się na nich zapalone pociski. Jeden trafił w okręt. Wystrzelono dzbany z olejem, a potem płonące pociski. Morze stanęło w płomieniach. Obce okręty zaczęły wykręcać, ale trzy zapaliły się. Ludzie na pokładach próbowali tłamsić ogień. Inne statki śpieszyły im z pomocą. Już nie próbowano podnieść łańcucha. Dalej, na północnym brzegu, odezwały się okrzyki bitwy.

- Niedobrze – stwierdziła Zola. – Możemy nie zdążyć.
- O czym pani mówi? – spytał admirał.
- Musimy płynąć! Każe pan podnosić kotwicę i ruszamy na tamte statki wroga.
- Tam pali się woda!

– Nim dopłyniemy, to zgaśnie, ale oni na pokładach opanują panikę i wtedy będzie nam gorzej. Statek z armatami ma płynąć przy naszej burcie.

Jednak o wojnie na morzu Zola nie miała pojęcia. Zanim wyciągnięto kotwice, ruszono i ustawiono szyk bojowy, statki wroga były blisko brzegu. Humor poprawiło jej ucieszenie odgłosów walki na brzegu...

Tom był sfrustrowany i nie umiał tego ukryć. Pierwszy raz brał udział w morskiej operacji. Wilam przybył tutaj na statku, ale też niewiele wiedział. Musieli opierać się na opinii kapitana Leparda, a właściwie podporządkować się jego poleceniom. Nie znali go dobrze, ale nie mieli pojęcia, jak z dużego okrętu sprowadzić konie na brzeg, nie mówiąc już o wozach. Wszystko okazało się proste, o ile ktoś miał doświadczenie.

Płynął z nimi mały statek, z którego Tom z Wilamem podśmiewali się, że takim to można pływać po rzece. Ta łódź, o niskich burtach, wpłynęła prosto na piaski plaży. Z niej, w kierunku brzegu, wysunięto wielki pomost, podparty w środku. W pobliże tego stateczku podpłynął okręt i przerzucił trap na jego burtę. Po nim przeprowadzono konie i wozy, a dalej, po pomoście, na brzeg. Niby proste, jednak operacje podpływania kolejnych statków i łączenia ich trapem wymagała dużych umiejętności.

Przy rozładunku piątego okrętu, podzielono armię. Tom zabrał trzystu piechurów i wzdłuż brzegu powędrował w kierunku portu. Jako doradców w sprawach fortyfikacji i nabrzeżnych umocnień kapitan przekazał mu pięciu marynarzy. Poszły również dwie kobiety Zoli, których zadaniem było utrzymanie łączności.

Wilam miał poprowadzić armię pod miasto i za dwa dni rozpocząć szturm na mury. Posiadał trzy armaty i pięć wyrzutni miotających ogniowymi kulami.

Tomowi przypadło trudniejsze zadanie. W pobliżu portu spodziewano się ustawionego sprzętu miotającego. Wiedzieli o łańcuchu zaporowym, przegradzającym wejście do portu. Jego ludzie mieli go zatopić. Zola twierdziła, że za pomocą armat rozbije cokoły mocujące łańcuchy, ale to nie było pewne, ponieważ admirał nie orientował się, czy z armat będą mogli strzelać z pokładu okrętu.

Wydeptany szlak wzdłuż skarpy brzegowej był wąski. Prowadzili ze sobą jedną katapultę i dwa wozy, jeden z pociskami, a drugi z tarczami piechurów, to ich wyraźnie opóźniało. Po trzech godzinach zrobiło się ciemno, ale mieli wędrować, aż zobaczą Bejrut. Rano wędrowali jeszcze godzinę. Ludzie byli przemęczeni, pozwolił im się zdrzemnąć. Sam również postanowił odpocząć. Nie spał jednak długo. Nie znał terenu, nie wiedział, gdzie się znajduje. Rozesłał wiele czujek, aby zorientować się, jak daleko są od portu i czy widać nadpływającą flotę.

Pierwszy zwiad wrócił za niecały kwadrans.

– Jesteśmy u wylotu zatoki – meldował dowódca czujki. – Na morzu widać okręty, to na pewno nasza flota.

– Gdzie mogę to zobaczyć?

– Wystarczy wyjść z lasu. Z brzegu klifu widać morze.

Za lasem patrzył na spokojne morze. Na równej tafli wody, w kierunku wnętrza zatoki, kierowała się duża grupa okrętów. Rozpoznał statek flagowy, tam była Zola.

Chytra jak zawsze – pomyślał. Chce sprowokować przeciwnika do ataku. Poczekamy, jak są w pobliżu, to zaczną strzelać.

Usiadł na brzegu klifu, ludziom kazał zrobić to samo, najlepiej nie rzucać się w oczy. Przyglądali się, jak statki wolno przesuwały się po wodzie. Cel ich podróży zasłaniał zalesiony garb nabrzeża. Po kwadransie przybył dowódca następnej czujki, potwierdził domysły, że za zarośniętym

cyplem widać port i zastawę z łańcucha, oddaloną o dwie mile. Rozmowę przerwał widok fontann wody wypryskującej przed flotyllą.

– Strzelają z kamieni – stwierdził Tomy.

– Czemu tak szybko zaczynają? – spytał jeden z ludzi.

– Chcą się dobrze wstrzelać. Oni myślą, że statki popłyną dalej, ale Zola każe im zaraz zawrócić.

Rzeczywiście, okręty zaczęły nawracać, wyrzucając na wodę kolorowe pływaki.

– Co to takiego? – spytał Tom.

– Sprawdzają głębokość, a jednocześnie oznaczają granicę ostrzału – odpowiedział jeden z marynarzy.

– Kto zauważył skąd strzelali?

– Na tamtym brzegu wyrzutnie są na wprost nas, po naszej stronie na tym zarośniętym cyplu.

– Wracajmy, trzeba wszystko omówić.

Było sześć wyrzutni, przy każdej kilkunastu bojowników. Zaporowego łańcucha, oprócz obsługi kołowrotu, bronił stuosobowy oddział jazdy.

Do wieczora przejęli wyrzutnie stojące na ich brzegu. Były zapasy pocisków zapalających oraz dzbany z olejem skalnym, które rozbijały się o lustro wody.

Przy jednej z wyrzutni stały dwie łodzie. Pod osłoną nocy, Tom wysłał z dwoma wioślarzami Emę – kobietę Zoli, z informacją, gdzie mogą się spodziewać wyrzutni po przeciwnej stronie zatoki. Z samego rana obudził go wartownik.

– Panie! Czujka doniosła, że szykują statki przeciw naszej flocie.

– Przecież naszych okrętów jest dużo.

– Marynarz twierdzi, że wystarczy, jak wyślą kilka statków. Zabiorą dużo ludzi i abordażem będą przejmować statek po statku.

– Ściągaj obsługę wyrzutni!

Nim doszedł na wybrzeże, wszystkie wyrzutnie były załadowane. Ocenił odległość i wydał komendę do ostrzału. Trafił dobrze, choć większość pocisków utonęła w wodzie. Kazał załadować dzbany z olejem. W tym czasie przybył posłaniec.

– Warty zaobserwowały, że w naszym kierunku jedzie ich konnica.

– Jaka konnica?

– Obozująca przy łańcuchu...

Wydał komendę do strzelania pociskami zapalającymi, sam pobiegł do obozu.

Zorganizowano zaporę z tarcz korytowych i wyciągnięto wyrzutnię. Kilku ludzi ustawiło sprzęt i naciągało ramię. Nim byli gotowi do strzału, konnica pojawiła się na drodze. Pierwsze uderzenie musieli przyjąć na tarcze, lecz gdy na jazdę spadły pierwsze palące się pociski, bój szybko dobiegł końca. Część jeźdźców uciekło, co mogło zapowiadać dalsze kłopoty...

Ema dokładnie określiła miejsca rozstawienia wrogich wyrzutni na południowym brzegu. Zola postanowiła zaryzykować. Przystawili jedną armatę na okręt flagowy i popłynęli w kierunku tamtego brzegu. Reszta floty zwolniła, ale utrzymywała kurs na port, w ich kierunku poleciał kamień, co pozwoliło dokładnie ustalić miejsce ustawienia wyrzutni.

Obsługa działa, długo zastanawiała się przed pierwszym wystrzałem, nigdy nie strzelali z okrętu, tym bardziej że on był w ruchu.

Armatę przywiązano do burty. Szarpnięcie po wystrzale wyrwało balustradę. Admirał złorzeczył, Zola nie zwracała jednak na niego uwagi.

Gdy dym się rozwiął, zobaczyła rozbitą katapultę. Zaczęła wiwatować i chwalić strzelniczych, krzyknęła na admirała.

– Przestań się drzeć i daj sygnał, by podpłynęła tu druga armata.

Oficer sięgnął za róg, a na szot maszt wciągnięto kolorowe chorągiewki. Za moment jeden ze statków skierował się w ich stronę. Oni skręcili wzdłuż lądu. Drugiej wyrzutni nie widzieli, ale orientowali się, gdzie stoi. Obsługa naładowała armatę. Ema podeszła do Zoli.

– Obsługa katapulty nie przekraczała piętnastu osób. Wystarczy opuścić trzy szalupy skorych do bójki marynarzy i nie trzeba strzelać. Ja mogę poprowadzić, ale admirał musi ich przekonać, żeby byli mi posłuszni.

Hawel nie miał nic przeciwko. Szybko wyznaczył ludzi i oficera do utrzymania kontaktu ze statkiem. Na każdej szalupie znalazło się dziesięciu marynarzy. Obawiano się, że na brzegu mogą być większe siły.

Dwie katapulty wstrzelały się w cel. Zola obawiała się, że użyją zapalającego oleju. Jednak zaraz usłyszeli odgłosy walki, a po niedługim czasie ukazały się płomienie palących się machin.

Sygnał rogu i wracające szalupy pozbawił ich wątpliwości. Katapulty zostały zniszczone. Admirał Hawel odzyskał humor, gratulował Emie udanej akcji. Ona tylko wzruszyła ramionami. Podeszła do Zoli i szepnęła:

– Ci marynarze to nie wojsko, to hołota uliczna. Tamtych było dwudziestu, chcieli się poddać, ale ci koniecznie zapragnęli ich pozabijać. Sami też ponieśli spore straty...

Nabrzeże portu broniły trzy wyrzutnie oraz spory oddział bojowników. Tym razem sam admirał rozkazał strzelać z armat. Teraz docenili siłę wielkich kul. Nawet muśnięta przez pocisk katapulta nie nadawała się do użytku. Wystrzelono po pięć razy z każdego działu i obrona portu przestała być aktywna. Duże znaczenie miał atak oddziału Toma, nadchodzący od strony lądu. Forsowanie murów miasta przez oddziały

Wilama, na tyle związało siły twierdzy, że nie była w stanie udzielić pomocy obrońcom nabrzeżnym.

Mogli swobodnie cumować okręty.

Po godzinie od zrzucenia trapów, rozładowano sprzęt. Zola rozkazała szykować kwatery. Wysłała gońca do Wilama, aby wstrzymał działania i otoczył miasto.

Wieczorem spotkali się na naradzie. Omówiono pozycje i straty. Ucierpiały dwa statki, admirał skierował na nie wszystkich cieśli. Rannych było niewielu, martwych pochowano już wcześniej. Problem stanowili jeńcy, których nazbierało się ponad pięćdziesięciu. Kapitan Leopard poradził, aby poszukać wolnego magazynu i urządzić więzienie.

– Ludzie przydadzą się nawet na uzupełnienie załóg, w najgorszym przypadku sprzedamy ich w niewolę – tłumaczył.

– Przekażemy ich Mongołom – zdecydowała Zola. – Port jest w naszym posiadaniu, ale miasto jest otoczone murem. Jutro przeczeszemy port, po przeszukaniu budowli jeńców będzie więcej. Otoczmy miasto i przez dwa dni zawieszamy działania. Ci wewnątrz będą się bali, to ułatwi późniejsze rozmowy. Bazę zakładamy w porcie. Gdy sytuacja się ustabilizuje, ruszymy na Damaszek. Przypuszczam, że nie będzie to wcześniej niż za miesiąc.

Po przeszukaniu portu i obcych okrętów, wyłuskano wielu ludzi. Było dużo bojowników, ale większość to robotnicy portowi, mieszkający w mieście. Zola obiecała, że po przejęciu miasta, wrócą do domów.

Zawartość magazynów była bogata. Następnego dnia postanowiono zładować dziesięć statków i odesłano do Cylicji. Zola napomknęła kapitanowi Leopardowi, aby niektóre towary znalazły się na jego pięciu

statkach. Zrozumiał, wybieg, cenniejszy towar ładował w sposób niewzbudzający zainteresowania innych oficerów.

Dopiero trzeciego dnia Zola podeszła pod bramę miasta. Poprosiła o rozmowę z władzami miasta. Po pół godzinie wyszedł rosły Turek, ubrany w drogą zbroję. Zola ruszyła do niego bez obstawy. Mężczyzna nie był przygotowany na rozmowę z kobietą.

– Wasi dowódcy przysyłają żony na rozmowy?! – wykrzyczał.

– Emir z Aleppo też próbował drwić ze mnie, więc zabrałam mu dwa miasta. Wam zabiorę wszystkie po drodze do Damaszku. Jak poddacie ten gród bez walki, puszcę was wolno, a jak zmusicie, bym go zdobyła siłą, to wszystkich jeńców przekażę armii Halugu-chana.

– Najpierw będziesz musiała zdobyć to miasto. Mury mamy grube, a bramy solidne, nie tak prosto tu wejść.

– Jak nie wejde, to go spalę. Mnie miasto niepotrzebne. Powtarzam po raz ostatni. Otwieracie bramę i wychodzicie bramą wschodnią. Moje słowo, że przez tydzień nikt za wami nie pójdzie, ale i tak się spotkamy na polu bitwy.

– Nie mogę odpowiedzieć, muszę się naradzić –mówił obojętnym tonem mężczyzna.

Zaczęła podejrzewać podstęp. Zdawało jej się, że widzi ruch nad bramą, jakby strzelcy ustawiali małą armatę. Trzeba było zakończyć rozmowy.

– Nie więcej niż dwie godziny – odpowiedziała. – Oczekuję posłańca w porcie.

Odwróciła się i odeszła. Przywołała Karle, Toma i Wilama.

– Szybko wycofujcie wojska do portu. Na wprost bramy ustawcie dwie armaty i cztery katapulty. Czekamy dwie godziny.

Pierwsze zabudowania portu były w odległości dwustu par kroków od bramy. Za nimi skryło się wojsko i Tom ustawił swoje wyrzutnie. Armaty trzeba było ustawić na drodze, jednak Wilam uważał, że mniejsze kule dużo szkody im nie zrobią.

Oczekiwanie było męczące. Minęły trzy godziny, po czym Tomowi kazała ostrzelać koronę muru i plac za nim. Wilam rozpoczął równocześnie ostrzał bramy. Po pięciu strzałach z dwóch dział brama była rozbita, ale strzelano dalej, aż zobaczyli przez nią palący się plac.

Z murów w ich kierunku padł jeden armatni strzał, lecz nie sięgnął żadnego celu. Za to na koronie, wśród palącego się oleju, słychać było kilka wybuchów prochowych ładunków. Brama była pozbawiona obrony.

Wojska Wilama pilnowały pozostałych wyjść z miasta. W światło rozbitej bramy admirał samowolnie wysłał wszystkich marynarzy. Zola wraz z Karle wróciła do swojej kwatery. Niedługo dołączyła do nich Jana.

– Tom powiedział, że wściekłaś się i nie umie z tobą rozmawiać – zaczęła od wejścia. – Co się stało?

– Oprócz tego, że do miasta wysłano tą marynarską hołotę, to nic się nie stało.

– Od Emy słyszałam, że zdobyli katapulty.

– Biją się jak w gospodzie, tyle tylko, że mają ostrą broń. Biegną kupą i nie zważają na zabezpieczenia. Z Emu popłynęło trzydziestu, wróciło dwudziestu, a każda wyrzutnia miała tylko dziesięciu obsługi. Martwię się o mieszkańców. Marynarze będą kraść, rozbijać sklepy i gwałcić kobiety.

– To wojsko admirała – wtrąciła Karle. – Cały czas chciał się popisać, ale jak wypłynęły obce statki, to bał się abordażu. Teraz myśli, że będzie łatwiej, ale w mieście są ze dwie szable Seldżuków. Dobrze wyćwiczeni bojownicy i mają kusze. Jeżeli marynarze będą atakować grupami, to wróci ich połowa.

– Kuszą przebijesz pancerz. Do obrony są dobre, ale w ataku za wolno strzelają – odpowiedziała Zola. – Widziałam takie u Niemców.

– Jak oni otworzą bramy, to wysiudamy marynarzy do portu. Sami zrobimy porządek w mieście – powiedziała Jana.

– Wtedy wszystkie winy zwałą na nas. My stoimy po to, by nie wypuścić żadnego uciekiniera. Jutro zrobimy inspekcję w towarzystwie admirała. Niech popatrzy na zniszczenia wojenne, bo z pokładu okrętu mało widać... Na razie siedzmy w porcie, tu nam nic nie grozi. Jak nasi ludzie zbyt blisko nie zbliżą się do murów, to też będą bezpieczni.

– **Bejrut** to duże miasto – tłumaczył admirał Hawel. – W walce nietrudno pomylić Turka od cywila.

– Raczy pan żartować. W pana wojsku nie było dowódców. Biegali gromadami i zabijali każdego, kto się pojawił na ulicy. Nie przekona mnie pan, że trudno odróżnić bojownika od piekarza lub cieśli. Nasiekł pan wielu pożytecznych ludzi, bez których to miasto długo będzie wracało do normy. Na marginesie, dużo ci pana bohaterowie wzięli do niewoli?

– Jeszcze mieliśmy brać niewolników?!

Zola zatrzymała się z wrażenia.

– To wy wszystkich pozabijaliście?

– Wybacz pani, ale oni zabili mi siedmiuset marynarzy, a jeszcze więcej jest rannych. Może połowa z nich wydobrzeje, reszta poumiera. Jak w takich warunkach miałem brać jeńców?

Dziewczęta i Tom wyminęli ich.

– Nie idziemy dalej, wracamy do portu! – krzyknęła do nich. – Pan tu zostaje – powiedziała do Hawla. – Pogrzebie martwych i uprzątnie miasto. Rannych podeśle do opróżnionego magazynu zbożowego.

– Co zrobić z trupami Turków? – spytał.

Zola głęboko wciągała powietrze, po dłuższym czasie powiedziała:

– Jest pan chrześcijaninem, a Turcy też ludzie. Pochowa pan wszystkich, cywilów też i to w obecności ich rodzin. Ja do miasta zajdę za trzy dni. Rozmowy zacznę od urzędników miasta, potem przejdę się po cechach i kupcach. Wszystko ma być uporządkowane, opinia społeczna udobruchana. Za tydzień wysyłam statki do Cylicji z korespondencją do króla Hetuma. Ma pan mało czasu, a ja chcę w mieście być przyjęta z honorami.

Trzy dni dały wszystkim odprężenie, ale nie był to czas bezczynności. Wilam zajmował się zaopatrzeniem statków kapitana Leparda, Jana skutecznie w tym pomagała. Karle zorganizowała szpital w spichlerzu, a Tom z Zolą planowali wyprawę do Damaszku. Przeoczyliby termin powrotu do miasta, ale pod wieczór trzeciego dnia przywieziono wozami piętnastu rannych, w tym dwóch Turków i jednego mieszczanina.

Zola musiała pofatygować się do lecznicy, by wypytać o powody zranień.

Okazało się, że w sporej piwnicy ukryło się trzydziestu bojowników. Marynarze nie rozmawiali, znali tylko rozwiązania siłowe. Zginęło piętnaście osób, drugie tyle zostało rannych.

Zola doszła do wniosku, że pod okupacją marynarzy miasto czeka zagłada, a chciała, aby mogło funkcjonować dalej. Obiecała królowi, że wybrzeże odda marynarzom, ale równie dobrze mogłaby spalić miasto – efekt byłby taki sam. Marynarze byli bandą i zachowywali się jak dzika orda. Dobro i bezpieczeństwo mieszkańców ich nie obchodziło, życie ludzkie również.

Rano zarządziła naradę wszystkich dowódców armii i marynarki. Na miejsce spotkania wyznaczyła gospodę kapitanatu portu.

Rozpoczynając, omówiła opanowanie przyczółku Bejrutu.

– Jesteśmy tu bezpieczni. Port gwarantuje nam ostoję. Dzisiaj podniesiemy łańcuch zagradzający dojsie do nabrzeży, dzięki temu port będziemy uważać za swoją bazę. Na okrętach mają nocować tylko wachty i wartownicy z moich oddziałów.

– Statki są moje i ja zapewnię im ochronę! – ostro zareagował admirał.

– Statki są nasze. W razie potrzeby mają zagwarantować nam odwrót. Pana marynarze nie strzelają z łuków, dlatego obawiał się pan abordażu. Król mnie powierzył organizację działań na tym odcinku frontu. Mamy razem z Mongołami wejść do Damaszku. Do tego potrzebne jest zaopatrzenie, a nie resztki ze złupionych miast, dlatego zaraz pójdziemy zwizytować Bejrut. Mam nadzieję, że wyjdzie korzystnie, ponieważ jutro wysyłam statek do Cylicji, który oprócz przypraw powiezie moją korespondencję.

– To nieuczciwe, by mogła pani pisać do króla, co chce.

– Na pewno nie wyjawię panu treści swojej korespondencji, ale nic nie stoi na przeszkodzie, by pan również napisał.

Inspekcję miasta zaczęła od budynku urzędu. Burmistrz był zniesmaczony porządkami w mieście. Większość zakładów oraz sklepików nie funkcjonowała. Ludzie obawiając się samowoli okupantów, nie wychodzili z domów. Zamknięte bramy sprawiły niedostatki w zaopatrzeniu ludności w artykuły, odczuwano brak mięsa i mąki.

Zola poprosiła burmistrza o rozmowę na osobności, a dziewczęta rozpuściła do miasta celem zasięgnięcia języka. Admirał wycofał wszystkich marynarzy do portu, tworząc tam dla nich bazę noclegową.

Mer poczęstował dziewczynę obiadem. To przymilanie się nie wyglądało na szczere, jednak zapowiadało rozwiązanie nabrzmiałych problemów. Okazało się, że w mieście wciąż funkcjonowała straż miejska,

ale obawiała się marynarzy i tylko częściowo sprawowała swoje zadania. Tom postanowił zwiększyć skład straży o pięćdziesięciu swoich wojów.

– Bramy będą mogły być otwarte już jutro, strzeżone będą przez moich ludzi – zakończył wypowiedź.

– Nasi strażnicy znają wiejską ludność. Przekraczanie bram byłoby bardziej swobodne – zaprotestował jeden z urzędników.

– Podejrzewamy – włączyła się Zola – że w mieście ukrywa się jeszcze wielu bojowników seldżudzkich.

Burmistrz ostentacyjnie wciągnął powietrze. Zaczął mówić, jak wszyscy zwrócili na niego uwagę.

– Bejrut to stare miasto i dosyć znaczące z powodu portowego położenia. Wiele państw nas okupowało. Ostatnio byliśmy pod nadzorem Turków i mameluków. Byli to dobrzy zarządcy, dlatego nie chcielibyśmy ich zdradzać.

– Martwi się pan o mieszczan, ja też... – zawiesiła głos Zola. – Rozmawiałam z dowódcą tutejszych wojsk. Obiecałam mu wolne odejście z bronią. On nawet nie pofatygował się z odpowiedzią. Zginęło wielu ludzi.

– On przekazał mi waszą rozmowę inaczej. Twierdził, że pani i tak go zabije, a miasto spali.

– Gdyby był, moglibyśmy to wyjaśnić. Teraz nasza rozmowa nic nie wniesie.

– On żyje i jest w pobliżu. Jak pani się zgodzi, każe wyjaśnić mu jego słowa.

– Niech wyjaśni. Może to oszczędzi życie dalszych ludzi.

Przy stole dostawiono kolejną zastawę. Jeden z urzędników oddalił się, by przywołać Fardicha, Turka, który kierował obroną miasta. Przyszedł dopiero po pół godzinie. Wchodząc do Sali, omiótł wzrokiem obecnych.

Widząc Zolę i Karle, chciał się wycofać, ale stojący za nim urzędnik podprowadził go przed wolne nakrycie.

– Czemu tu przyszedłem? – burknął, siadając.

– Czemu nie raczył pan odpowiedzieć na moją propozycję? – odpowiedziała pytaniem Zola.

– Nie było propozycji. Pani powiedziała, że i tak mnie dopadnie.

– Nieprawda! Powiedziałam, że z dobytkiem moglibyście wyjść i nikt nie będzie was ścigał.

– Zaraz dopowiedziała pani o nieuchronnej bitwie między nami. Co za różnica czy bitwa będzie tu, czy za tydzień w polu.

– Różnicę stanowi liczba martwych mieszkańców miasta, pan również miałby mniejsze straty. Doszedłby pan do Damaszku i nasze szanse by się wyrównały. Mnie chodziło o ludzi, którzy tutaj żyją i mają tu swoje domy i rodziny.

– Przecież to pani ludzie ich pozabijali.

– Pozabijali ich marynarze. Gdyby chciał się pan ze mną dogadać, oni by do miasta nie weszli. Przyszedłabym sama do pana burmistrza, aby określić warunki okupacji.

– Jestem ciekaw, czy miasto wytrzyma wasze zobowiązania.

– Miasto nie będzie miało problemów. Ja haraczy nie ściagam, jedynie podatek na obronność. Mam jednak problem, co począć z panem. Ilu jeszcze bojowników ukrywa się w mieście?

– Ja powiem, a pani ich pozabija.

– Najchętniej powiesiłabym pana na głównym rynku, by ludzie wiedzieli, przez kogo doznali tyle upokorzeń. Wojownicy są niewinni, wykonywali tylko rozkazy.

– Na co mogę liczyć?

– Wciąż nie wiem, ilu was jest?

– Zostało jeszcze stu dziesięciu.

– Sporo – zawiesiła wzrok na mężczyźnie. Zaczęła mówić po krótkiej przerwie: – Na razie nie wyjdziecie z miasta. Złożycie broń i naprawicie bramę portową. Jak uznam, że została solidnie zrobiona, oddam wam broń i wypuszczę, ale odprowadzę daleko, byście nie mogli się zaszyć w jakiejś pobliskiej wsi.

Ta rozmowa zmieniła nastawienie władz do Zoli. Musiała jednak obiecać, że marynarze nie wrócą do miasta. Jeszcze tego dnia wypuściła do domów cywilnych jeńców. Pozwolono nawet odejść lżej rannym. Za trzy dni miasto wróciło do normalnego funkcjonowania. Jedyną zmianą, jaką zauważyli członkowie rady miasta, było powiększenie ich składu o osobę Dzonchina. Nikt nie mówił na tematy wyznania. Zola systematycznie odwiedzała jedyną chrześcijańską kaplicę w mieście i nie przeszkadzało jej, że był to obrządek zachodni. Księdzem był Niemiec, z którym szybko się polubili.

Sytuacja nie była zadowalająca. Mieli dobrze zabezpieczony port, ale do obrony lądowej armia Wilama była dosyć skromna. Wokół istniały cztery miasta, które mogły sprawować rolę twierdz. Dwa z nich były portami. Zolę przede wszystkim niepokoił Gibelet. Miasto znajdowało się dzień marszu za zatoką, w której ukryła pięć francuskich okrętów. Podporządkowanie tego portu zapewniłoby jej względny spokój.

Wymarsz na Damaszek zaplanowała dopiero wtedy, gdy wojska Hulagu zbliżą się z drugiej strony i zaangażują większość sił Seldżuków, a według doniesień wywiadu, mongolscy bojownicy byli jeszcze daleko. Doszła do wniosku, że tylko symbolicznie miała wesprzeć działania chana.

Cel jej bytności tutaj był zupełnie inny. Król nie odważył się jej o nim powiedzieć, ale rozumiała go. Układy polityczne nie raz są trudne do sprostania. Spędziła w królestwie Cylicji dziesięć lat, były to dobre lata.

Teraz miała stać się częścią armii Mongołów. Nie zamierzała się temu podporządkować, cały czas planowała ucieczkę.

Po miesiącu, wykorzystując dwadzieścia okrętów i armię Wilama, podporządkowała sobie Gibelet. Miasto zbytnio nie stawiało oporu. Przy zapewnieniu, że obrona będzie mogła odejść z dobytkiem, szybko dogadali się z władzami miasta, tym bardziej że Zola gwarantowała wolność wyznania. Gibelet leżało w sąsiedztwie państwa krzyżowców, co również zaważyło przy pertraktacjach. Pozwoliło to zaopatrzyć się w europejskie bojowe konie.

Były jeszcze dwa miasta, których obrona mogła przeszkodzić w marszu na Damaszek. Zola mogła się spodziewać, że wypuszczone wolno tureckie oddziały zasiliły obsługę tych twierdz. Nie chciała jednak tracić sił na ich zdobywanie. Wysłała do obydwu grodów listy z propozycjami poddania, wyjaśniając o zagrożeniu przez armię Mongołów. Nie spodziewała się odpowiedzi, pomimo to z Baalbek otrzymała wiadomość o wysłaniu ich wojsk na wzmocnienie obrony Damaszku. W odpowiedzi przekazała im decyzję o niezajmowaniu miasta przez jej wojsko. Była zadowolona, drogę na Damaszek miała wolną.

W porozumieniu z kapitanem Lepardem, wysłała do Egiptu mały stateczek. Chciała dowiedzieć się, jaką rolę w nadchodzącym konflikcie będą odgrywać mamelucy. Po dwóch tygodniach otrzymała zwrot nierozpieczętowanej przesyłki z załączonym listem od jednego z ich dowódców, który twierdził, że nie może doręczyć listu, albowiem Hamel Ahat walczy obecnie na terenie Synaju.

To dało jej wyobrażenie, jakiego rozmiaru dotyczy obecny konflikt. List ten sprawił jej przykrość, ponieważ nie dawał nadziei na spotkanie ze swym szlachetnym wrogiem.

1260 rok

Damaszek był ładnym miastem. Pomimo zimowego okresu wokół było sporo zieleni. Do miasta weszła razem z Mongołami. Uroczysty wjazd Halugu nastąpił następnego dnia. Od razu poprosiła o audiencję, ale dla niej chan był człowiekiem zajęтым.

Nie naprzykrzała się, wycofała wojsko z miasta i rozbiła obóz w odległości pół mili od jego bram. Uznała to za bezpieczne dla jej ludzi. Było tu wiele wojsk, ale tylko oni reprezentowali Cylicję.

Tomowi poleciła, aby wysłał zwiadowców na północ, do emiratu Aleppo. Wrócili po dwóch tygodniach.

– Wojska Seldżuków zawarowały się w niektórych miastach – informował dowódca zwiadu. – Nie mieliśmy żadnych trudności w dotarciu do Aleppo. Porządek utrzymują tam Francuzi, ale jest również rycerstwo niemieckie. Z trudem utrzymują spokój, ponieważ nasi żołnierze wymordowali wielu muzułmanów i spalili główny meczet.

– Na pewno byli tam żołnierze pokroju naszych dzielnych marynarzy – zażartowała Zola.

– Król nie utrzyma tego miasta – włączył się Wilam. – Będzie żałował, że nas tam nie wysłał.

– Naszym problemem jest wyjście bez strat z tego skupiska wojsk. Tom, za tydzień szykuj się do drogi! Nie zatrzymuj się nigdzie, jedź prosto na Hromklę! Przyłącz do Cylicji miasto Bile. Z zarządzaniem garnizonu będziesz musiał poradzić sobie sam. Są tam moje cztery dziewczyny, które się na tym znają, resztę obsady sobie poszukasz. Wiesz gdzie jest pierwsza piwnica w majątku Krystena, tam znajdziesz dla siebie zapas złota. Na niespodziewane wydatki powinno ci starczyć. Ja ucieknę po pierwszej wizycie u chana, ale nie mów o tym królowi.

– Skąd będę wiedział, że udało się tobie uciec? – spytał Tom.
– Napiszę list do Anazarby. Już się nie zobaczymy. Szkoda, ale wszystko kiedyś musi się kończyć.

– Jak będę miał twój adres, może kiedyś stać mnie będzie na wysłanie do ciebie listu.

W odpowiedzi roześmiała się.

Po dwóch dniach przybył wojownik z wiadomością, że ma stawić się u chana.

– Przekaż, że stawię się jutro rano – powiedziała gońcowi.

– Kobieto! – krzyknął wysłannik. – Pan każe, to masz stawić się natychmiast.

– Do kogo ty, ciołku, mówisz! Mam nabić cię na pal czy rozerwać końmi? Okażę wspaniałomyślność. Idź do chana i powiedz, że będę jutro rano.

Złapał za broń, ale nim ją uniósł, miecz Zoli przystawiony był do jego szyi.

– Jestem emirem Anazarby, podlegam królowi Cylicji. Ostatnio warunki ustalałam z wielkim chanem – Mongke. Powtórz to dla Halugu.

Wsunął powoli szablę do pochwy i wyszedł. Za moment słysząc było tętent jego konia.

Pojechała sama. Przed pałacem emira wartownik powitał ją z drwiącym uśmiechem.

– Gdzie chcesz iść, kobieto? – spytał, łapiąc ją za ramię.

Niespodziewany cios w twarz wywalił go na ziemię. Drugi wartownik wyszarpnął szablę. Lewy miecz przytrzymał jego głownię, a prawy rozciął skórę na wierzchu dłoni. Na jego krzyk z bramy wybiegło czterech.

Przyjęła pozycję obronną, cofnęła się o krok i krzyknęła:

– Halugu-chan czeka na mnie! Jak chcecie mnie zabić, powiedzcie mu o tym!

Nad bramą otworzyło się ażurowe okienko. Wychyliła się głowa w turbanie.

– Emir Zola? – spytał mężczyzna. Gdy potwierdziła, powiedział donośnym głosem: – Proszę wejść.

Wartownicy rozstąpili się. Wytarła broń o ubranie rannego, weszła do środka.

Zaraz pojawił się mężczyzna.

– Proszę iść za mną – zaproponował. – Doprowadzę do chana.

Pałac emira Damaszku był piękną budowlą. Za bramą przeszła przez dziedziniec z basenem. W budynku głównym długo przemierzała korytarze, zanim dotarła do sali tronowej. Halugu siedział z boku sali przy biesiadnym stole. Towarzyszyło mu dwóch mężczyzn. Kobiety wносиły kolejne potrawy. Na krzesłach pod ścianą siedziało dziesięciu bojowników. Ponadto kręciło się kilku ludzi, którzy ustawiali krzesła przed tronem. Pomimo zamętu, chan od razu zwrócił na nią uwagę, przywołując ją gestem. Był mężczyzną dojrzałym, nie zauważyła w nim emocji ani władczej postawy. Gdy podeszła, współbiesiadnicy również odwrócili się do niej. Była pewna, że jednego mężczyznę wcześniej widziała. On powiedział do monarchy:

– Tak, to ona, jako ostatnia z całej delegacji rozmawiała z Mongke.

Teraz sobie przypomniła. W czasie delegacji w Karakorum on zawsze przebywał w towarzystwie wielkiego chana.

– Słyszałem, że straszysz i poniewierasz moich ludzi – odezwał się Halugu. – Wczoraj jednego chciałaś rozrywać końmi, a dziś zdążyłaś ranić wartownika.

– Powinnam mu odciąć dłoń, ale żał mi się go zrobiło.

Przytrzymał na niej wzrok, ale za moment wybuchnął śmiechem.

– Powinnaś być tu wcześniej, moi ludzie ciebie nie znali – mówił, śmiejąc się.

– Chciałam spotkać się z tobą, jak tylko wjechałeś do miasta, ale ciągle byłeś zajęty.

Chan zwrócił głowę na drugiego mężczyznę. Nic nie powiedział, ale on czuł się zobowiązany wyjaśnić.

– Panie, przekazali mi, że chce się z tobą zobaczyć kobieta. Zlekceważyłem, ponieważ nie wiedziałem o kogo chodzi. Potem nikt się nie upominał o audiencję, ani ty nie mówiłeś, że chcesz się z kimś spotkać.

– Uważałeś za coś normalnego, że chce się ze mną spotkać uzbrojona kobieta?

– Może nie było to normalne, ale wtedy mieliśmy tyle audiencji.

– Chciałem wysłać list do króla Cylicji z zapytaniem, dlaczego tej pani tu nie ma. Sekretarz wyjaśnił mi, że jest z obozem przed miastem. Dlaczego podporządkowany służący wie, czego ja nie wiem?

– Wybacz, panie, nie wiedziałem, że to takie ważne.

– Drugi raz pomyśl – rzucił mu kwaśno. Do przechodzącego obok służącego powiedział: – Przynieście tej pani krzesło i zastawę. – Potem zwrócił się do niej: – Chciałem ciebie widzieć wczoraj, ponieważ mam jeńca, który ciebie zna. Obiecali mi za niego dwadzieścia złotych, za dwa dni mają przyjechać z okupem.

– Panie! Wielu Turków mnie zna lub chciałoby poznać.

– To nie Turek, a jeden z dowódców mameluków.

– Znam jednego dowódcę z egipskiego sułtanatu, ale on walczył na Synaju.

– Dużo wiesz na temat naszych wrogów. Właśnie stamtąd go tu przywieźli. Zwrócił na siebie uwagę, ponieważ wielu z jego żołnierzy było pochodzenia mongolskiego.

– Jeżeli to Hamel Ahat, to bardzo możliwe. Wielu z armii Muzaboka przyłączyło się do niego.

– Tak się nazywa. Ty też pochodzisz z tej armii, dlaczego nie służysz pod jego rozkazami?

– Do niego przyłączyli się ludzie, którzy nie chcieli przyłączyć się do mnie. To on winny jest mi życie, a nie ja jemu.

– Czyli zdradziłaś wielkiego chana?

– Wielki panie, nie sędzę, aby brat ci nie wyjaśnił, dlaczego armia Muzaboka podzieliła się. Ja wtedy byłam niewolnicą.

– Mówili, że ze wszystkiego umiesz się wytłumaczyć – roześmiał się. Kręcąc głową dopowiedział: – Teraz mam zamiar twój damski oddział wynająć jako swoją osobistą ochronę.

– Czyli nie będę niewolnicą?

– O ile przyrzekniesz być moim oddanym żołnierzem?

– Armia Mongołów spaliła moje miasto i sprzedała moich rodziców w niewolę. Tym, kim jestem w tej chwili zrobił ze mnie Azabaj i jemu mogłabym zawierzyć. Biorąc zachowania twoich gońców i strażników, nie wiem, czy byłaby to dla mnie przyjemna służba.

Karki obydwu mężczyzn siedzących przy chanie wyprężyły się. Sięgnęli po broń.

– Mógłbym teraz kazać ciebie zabić – powiedział spokojnym głosem Hulagu.

– Jak będę ci służyć, nie zagwarantujesz mi życia.

– Zawsze masz argumenty – roześmiał się. Jego partnerzy wsunęli szable. Patrząc na nią, dopowiedział: – Nawet się nie zdenerwowałaś.

– Zabiłam Muzaboka i Karachira, stojąc otoczona przez ich armię. Do tej pory zastanawiam się, dlaczego wtedy przeżyłam.

– O! Idzie sprawca naszego spotkania – chan wskazał wejście za Zolą.

Dwóch strażników prowadziło związanego jeńca. Głowę miał opuszczoną, ale poznała jego sylwetkę.

– Witaj, Hamel! Myślałam, że już ciebie nie zobaczę – powiedziała w języku arabskim.

– Zolu, nigdy bym nie pisał o naszej znajomości, gdybym wiedział o twojej bytności w okolicy. Chan powiedział, że nie zameldowałaś się u niego. Sprowokowałem wasze spotkanie, wybacz, nie chciałem. Gdy mi wybaczysz, umrę spokojnie.

– To nieporozumienie, że z chanem nie spotkaliśmy się wcześniej. To spotkanie nie jest twoją winą. Chyba nie musisz myśleć o śmierci, słyszałam o twoim wykupie.

– Sułtan Bajbars wykupi mnie tylko po to, aby zabić publicznie. Kazał mi pojechać do Aleppo, bym walczył z tobą. Odmówiłem i pojechałem na wschód...

Zola odwróciła się do władcy.

– Ile mieli dać za jego wykup?

– Dwadzieścia złotych.

– Dam trzydzieści, jak zdejmą mu w tej chwili pęta i będzie mógł usiąść przy mnie.

– Wezmę dwadzieścia pięć i obietnicę, że będziesz mi służyć.

– Zgoda, ale tylko na tym terenie. Do Persji lub Karakorum nie pojedę.

– Dobrze i to. Ponoć przy tobie mogę czuć się bezpiecznie.

Zola sięgnęła po sakiewkę. Odliczyła dwadzieścia pięć monet, układając je na stole.

– Przy sobie mam tylko czternaście dziewczyn – zakomunikowała. – Reszta pilnuje floty w Bejrucie.

– Mówili mi, że każda z was jest tyle warta, co pięciu mężczyzn. Na razie musi mi wystarczyć. Jutro sprowadzicie się do tego pałacu.

- On – wskazała Hamel Ahata – będzie spał przy moim pokoju!
- Widzę, że to nie tylko znajomy?
- Skoro tyle za niego zapłaciłam, musi się do czegoś przydać. Mam jeszcze jednego doradcę, zamieszkają razem.

Zaczynały się oficjalne audiencje. Halugu przeniósł się na tron, jego towarzysze i kilku innych urzędników zajęli krzesła przy nim. Na sali przybywało gości. Zola nie zamierzała tu zostawać. Wartownikom, którzy przyprowadzili Hamela, poleciła przynieść jego broń i zbroję. Razem udali się do obozu, gdzie przywitał ich Tom. Zaskoczony widokiem dowódcy mameluków spytał:

- Czybyś panie chciał przyłączyć się do nas?
- To mój niewolnik – odpowiedziała Zola.
- Lepszej niewoli nie mógł sobie wymarzyć. – Tom roześmiał się, co udzieliło się pozostałym.

– Muszę się nim zająć – powiedziała poważnym głosem. – Ty w czasie popołudniowego posiłku zorganizuj naradę. Mają być dowódcy i wszystkie dziewczyny. Jutro się pożegnamy.

Przeprowadziła go do swego namiotu. Nalała sobie puchar wina, przed nim postawiła dzban z wodą.

- Z chęcią też napiję się dobrego wina – zareagował.
- Przecież wyznawcy islamu nie piją napoi z fermentowanych owoców.

– Woda w krajach ogarniętych wojną nie zawsze jest zdrowa. Po tym – wskazał na wino – nie dostaje się biegunki.

- Ale nadal jesteś muzułmaninem?
- Tak, islam jest moją religią.
- Nie wiem, co z tobą zrobić? Na dworze chana długo nie pobędę. Mam zamiar uciekać do Europy, tam islamu nie ma.

– Zrobię wszystko, by być przy tobie. Chociaż minęło dziesięć lat, nie mogę zapomnieć nocy po podzieleniu naszej armii.

– Wtedy zrobiłam to rozmyślnie. Miałeś ponad pięć tysięcy wojska i doświadczonych dowódców. Moja armia liczyła niedużo więcej niż tysiąc zbieraniny i tylko kilku znających się na dowodzeniu. Byłam mocna, dopóki miałam możliwość pilnować taborów. Kiedyś jednak musiałam je wyprowadzić, ty w każdej chwili mógłbyś zawrócić i je zabrać. Pomyślałam jak kobieta, na kochankę może nie napadniesz. Przyznaję jednak, że wtedy byłeś mi bardzo bliski i z kimkolwiek próbowałam, zawsze wspominałam ciebie. Trzy miesiące temu miałam szalony pomysł, aby się spotkać, ale jakiś Abel odpisał, że uciekłeś na Synaj.

– Abel był moim przyjacielem, zwierzyłem się jemu z naszej korespondencji. Dobrze, że twój list nie trafił do innego.

– W tej chwili nie ma to znaczenia. Oficjalnie będziesz moim doradcą, jednak najbliższą noc spędzimy razem w tym namiocie. Musimy jeszcze pożegnać się z moimi bojownikami, a jutro przenosimy się do pałacu.

Pożegnalnej naradzie chciała nadać uroczysty charakter. Żegnała się z armią, którą sama stworzyła. Pomimo że było to ponad tysiąc ludzi, znała każdego. W zeszłym roku również żegnała część bojowników, odeszli do Turków, ale obecne pożegnanie było trudniejsze. Podarowała im skrzynkę złota na żołd, Tomowi zostawiła jedną czwartą swego zapasu monet. Powinni sobie dać radę, służba w Cylicji przynajmniej do tej pory była prosta. Pomimo miłej atmosfery, gdy tylko zaczęła się biesiada, umknęła z Hamelem do swego namiotu.

Zbudziła się pierwsza, on jeszcze spał. Była szczęśliwa, choć nie wiedziała, co ją czeka w najbliższej przyszłości. Ucieczkę do Europy przemyślała kilkakrotnie. Gdy się dowiedziała, że król ją sprzedał za

polityczne układy, była pewna swojej decyzji. Nie знаła jednak Europy, zamęczała pytaniami Wilama i Francuzów. Dowiedziała się, że są to kraje, gdzie do wypowiedzania swojej racji mają tylko szlachetnie urodzeni. Taki był Franko, Wilam i Karol. Ona do nich nie należała, ale dzięki złotu, które miała zamiar przemycić, uważała się za dość ważną, aby móc rozmawiać z tamtejszymi monarchami. Wilam podjął się wprowadzić ją do kręgów władzy. Wierzyła mu, on też był od niej zależny, gdyż tylko ona mogła zaświadczyć o jego niewinności.

Problemem stanowił Hamel Ahat. To muzułmanin, a w Europie opinię wydają katolicy księża. Jak wytłumaczyć jego obecność? Umyślnie postanowiła umieścić go w jednej sypialni z Wilamem. Będą rozmawiać, na pewno wiele sobie wyjaśnią. Chciała, aby pozostał przy niej na zawsze.

Obudziła go pocałunkiem w czoło. Otworzył oczy, nie ruszając się.

– Nic złego nie zrobiłem? – spytał.

Pokręciła przecząco głową. Objął ją ramieniem, przywarł do jej ust, jego ręce gładziły jej nagie ciało. Poddała się pieścizocie...

– Mogłabym tak w nieskończoność – powiedziała.

– Cieszę się – odpowiedział.

– Co będzie potem? Pojedziesz ze mną do Europy? – spytała.

– Całe życie z nimi walczyłem. Nie wiem, co odpowiedzieć. Chcę być z tobą, miejsce nie ma znaczenia. Nie wiem tylko, czy mnie tam nie zabiją.

– Nie znam tamtych krain, to inna kultura. Tutaj jednak zostać nie chcę, dużo niemiłych wspomnień i żalu. Postanowiłam uciec i zacząć wszystko od nowa. Jeszcze trochę życia mi zostało, chciałabym spędzić go z tobą. Przespałeś całą noc, czyli w nocy nie krzyczałam. Może już mi minęło...

– Mówili mi o waszych niespokojnych nocach, ale dziesięć lat temu też spałeś spokojnie.

– Widać tak na mnie działasz – roześmiała się. – Będiesz spał razem z Wilamem. Wypytaj go jak masz się zachowywać w Europie...

Służba u chana nie zapowiadała się uciążliwie. Po śniadaniu zajechali z drugiej strony pałacu, gdzie były stajnie i zajezdnie. Wozów nie musieli rozpakowywać, mieli tam namioty i sprzęt obozowy. Osobisty dobytek każda miała w jukach przy siodle. Tym razem wartownicy byli uprzejmi. Służący z dworu zaprowadził je do przydzielonych komnat. Wszyscy oprócz Zoli otrzymali dwuosobowe pokoje, do których miano im przynosić trzy posiłki dziennie. Pokój mężczyzn był z samego brzegu.

Zoli nie pozwolono się rozpakować, poproszono do stołu biesiadnego w sali tronowej. Przebrała się w kimono, przypinając obydwie miecze i poszła za służącym.

Przy stole oczekiwała ją trójka mężczyzn, których spotkała poprzedniego dnia. Nakrycie już na nią czekało.

– Nie dziwię się, że wszyscy monarchowie ubiegają się o taką ładną ochronę – zażartował chan. – Czy wszystkie panie mają takie stroje?

– Tyko ja mam białe. Pozostałe dziewczęta występują w granatowych.

– Granatowe kimona widziałem w Tybecie.

– Nie wiem, skąd je sprowadzili kupcy z Anazarby. Cieszę się, że podobają się tobie, panie.

– Owszem, godnie będziecie mnie reprezentować. Zawołałem ciebie, aby przedstawić ci moje wymagania. Po tym posiłku będą audiencje. Schodzi się wielu ludzi, nie wszystkich dobrze znamy. Życzyłbym sobie, aby dziesięć twoich dziewcząt zastąpiło tych wojów siedzących pod ścianą. Na kolacji chciałbym cztery dziewczęta. Służba będzie o tyle trudniejsza, że będą cały czas stały pod ścianą za moimi plecami. Z tobą będę spotykał się zawsze tutaj, przy śniadaniu. Jeżeli zajdzie jakaś zmiana planu, to ją

omówimy. Dziś wraz z Karle jesteś zaproszona na kolację. Jutro audyencje odbędą się normalnie.

– Czemu nie chcesz obrony swoich strażników? Znają ciebie lepiej, wiedzą, czego wymagasz.

– To dobrzy bojownicy, ale przez niektórych krzyżowców nazywani są dzikusami. Oni myślą tak o całej mojej armii, choć w polu nie daliby im rady.

– Szarża europejskich rycerzy jest niepokonana, ale po uderzeniu gubią się i łatwo ich wystrzelać.

– Też tak pomyślałem. Wymyślili kopie, to groźna broń jeźdźca, ale po starciu jest nieużyteczna. Ich kusze w polu się nie sprawdzają.

– Jest wiele taktyk. – Zola uśmiechnęła się. – Walczyłam razem z Francuzami. Przy dobrym ustawieniu w terenie potrafią być groźni.

– Wiele słyszałem o twoich bitwach, w niektóre opowieści trudno uwierzyć.

– Chyba już zbierają się goście na audyencje – wskazała salę brodą.

– Idę zawołać dziewczyny.

Swoje bojowniczkę Zola wprowadziła za plecami gości oczekujących na posłuchanie. Podeszedł do nich dowódca straży i przeprowadził w róg sali.

– Moi strażnicy zaraz odejdą, możecie zająć ich krzesła, bez przerwy macie obserwować salę. Podstawowym zadaniem jest bezpieczeństwo władcy. Jego śmierć wiąże się z waszym życiem.

– Nie nastraszysz nas – odpowiedziała Zola. – Możesz odejść.

Dziewczęta ustawiły się rzędem pod ścianą, kierując całą uwagę na zgromadzonych. Gdy jedna z delegacji podnosiła do tronu wydłużone pakunki, trójka dziewcząt zagrodziła im drogę. Kazały rozwinąć prezenty na podłodze. Nie trudno było się domyśleć, że była to ozdobna broń, same

podniosły trzy miecze pod stopy chana. Została tam tylko jedna, prezentując monarsze broń w pochwach i nagie klingi.

Halugu był zadowolony z dbałości ochrony. Chcąc to podkreślić, powiedział:

– Zauważcie, dostojni goście, że od tej chwili moją osobistą ochronę, będą sprawować te panie. Dowodzi nimi emir polowy Zola, która siedzi w ostatnim rzędzie.

Wszystkie głowy odwróciły się do tyłu, Zola poczuła się skrępowana. Odruchowo wstała i ukłoniła się.

Gość stojący przed tronem spytał:

– Skąd wszechmocny panie zdobyłeś tak piękną ochronę?

– Jest to dar króla Cylicji.

Idąc na kolację, zastanawiali się, skąd Halagu znał imię Karle. Przy śniadaniu zaprosił ją, wypowiadając imię.

– Przecież mówiłaś, że jego doradca wiedział o naszej wizycie u Mongke – powiedziała Karle.

– Nie wiedział, kto jest w obozie. Powiedziałam mu o czternastu bojowniczkach pod miastem, a reszta pilnuje floty. Przyjął to za pewnik, przygotował odpowiednią liczbę pokoi. Przy śniadaniu powiedział imiennie, że ty i ja mamy być na kolacji. Skąd wiedział, że nie zostałam przy flocie?

– Najprawdopodobniej nas obserwowali. Hulagu ma swoich ludzi wszędzie, inaczej nie byłby chanem.

– Masz rację.

– To normalne, zobaczyłaś swego wymarzonego i przestałaś myśleć.

– Jestem ciekawa, czy odważy się ze mną jechać.

– Czy ma wybór? Jest w gorszym położeniu niż my, tutaj wszyscy zechcą go zabić. Z nami ma szansę przeżyć, oprócz tego będzie miał ciebie.

Zola uśmiechnęła się.

– Znów masz rację i umiesz mnie pocieszyć. Ty nikogo jeszcze sobie nie upatrzyłaś?

– Dzonchin się zaleca, jednak chyba nic z tego nie wyjdzie. Jemu spodobał się Bejrut, chce tu zostać, ja nie miałabym co tu robić.

– To miły i mądry mężczyzna. Porozmawiaj z nim, może któreś z was przekona drugiego.

– Lubi mnie, ale to muzułmanin i będzie wśród islamistów. Po kilku latach namówią go, by miał cztery żony.

– Ale jak cię lubi, to może popłynie z tobą...

Przy stole usadzono je między emirem Damaszku a rycerzami z czerwonymi krzyżami na jakach. Płynnie władali tureckim, rozmowa nie sprawiała trudności.

W biesiadzie brało udział około pięćdziesięciu osób. Nie prowadzono ogólnej dyskusji, każdy rozmawiał z każdym, w sali panował gwar. Kilka razy zabierał głos Hulagu, przedstawił Zolę i Karle, informował o różnych swoich decyzjach.

– Na dzisiejszej audyencji zauważyłem, że nie muszę już dbać o swoją ochronę. Dziewczęta pani Zoli wiedzą, jak powinno się ją wykonywać – wyjaśnił.

Po tej wypowiedzi nachylił się do niej emir Damaszku.

– Oprócz dobrego ochroniarza jest pani szlachetnym wrogiem.

– Czemu pan tak sądzi?

– Ma pani armaty Sadzaka. Żadne mury nie są pani groźne, pomimo to przeciwników puszcza pani wolno. Rzadko zdarza się wódz, który szanuje życie wrogich sobie żołnierzy. Słyszałem o pani wcześniej. Mój przyjaciel z Aleppo określił panią jako godnego przeciwnika. Szkoda, że jego syn

okazał się zadufanym w sobie władcą, gdyby nie to, ci – wskazał na Hulagu – powalczyliby z nami znacznie dłużej.

– Nie boi się pan mi tego mówić? Ja jestem jego stroną.

– Pani jest godnym przeciwnikiem, a on najeźdźcą. Ma siłę liczebną, dlatego teraz łupi wszystkie miasta.

– Jaką funkcję pan teraz pełni?

– Nadal jestem emirem, może raczej wezyrem. Pan Hulagu nie lubi zajmować się zarządzaniem. Wszystkich zarządców zostawia na swoich stanowiskach, oprócz Aleppo. Tam prawdopodobnie wszystkich zabito.

– Obawiam się, że to moi ziomkowie tego dokonali.

– Według mego rozeznania, choć mogę się mylić, dokonał tego jakiś zakon. Szukają sobie stałego miejsca. Miasto Aleppo jest ładnym miastem, ale się pomylili, nikt im tego miejsca nie odda...

Biesiada skończyła się późno, pomimo to w pokoju czekali Wilam z Hamelem.

– Wyjaśniono coś w czasie kolacji? – zagadnął Wilam.

– O niczym szczególnym nie mówiono. Prawdopodobnie chodziło o przedstawienie nas dworzanom. Emir Damaszku twierdzi, że to kawalerowie szpitalnicy wymordowali muzułmanów i spalili meczet w Aleppo.

– Takiego bestialstwa mogli dopuścić się tylko krzyżowcy – włączył się Hamel.

– Wy też nie byliście święci. Mamelucy na Nilu wymordowali wszystkich rannych Francuzów.

– Nie mieliśmy możliwości opiekować się nimi.

– Oni uciekali, mogliście puścić ich wolno. Zemsta na wojnie to morderstwo.

– Będziesz mnie za to obwiniała?

- Myślę, że ciebie tam nie było.
- W tym czasie broniliśmy twierdzy, ale Bajbars pochwalił ten czyn.
- Ty nie wrócisz do niego, więc nie musisz się go obawiać... Wszystkie wojny na tym terenie nie miały sensu. Można było ustanowić komisaryczny zarząd nad Jerozolimą i tysiące ludzi nie musiałyby ginąć. Poprzednie wojny doprowadziły do tego, że w tej chwili cały teren jest łupiony przez chana, a my jesteśmy jego stroną...
- Musimy uśpić ich czujność – powiedział Wilam. – Wcześniej niż za miesiąc nie uciekniemy.

Zmiany nadeszły niespodziewanie. Od rana doradcy chana z niepokojem mówili o zbliżającym się wielkim oddziale Mongołów. Rano zaplanowane były audyencje. Zola nie była nimi zainteresowana, chciała wyjść do miasta, ale niepewność doradców zaniepokoiła ją, postanowiła zostać.

Początek posłuchań był podobny do tego w poprzednim dniu. Jedni dawali prezenty, inni uskarżali się na rabunki żołnierzy. Chan starał się być miły dla wszystkich, jednym obiecał, innych uspakajał. W trakcie, gdy swój problem wyjaśniała ostatnia osoba, do sali weszło dziesięciu bojowników pod dowództwem atamana w eleganckiej zbroi. Szli prosto na tron. Dziewczęta z napiętymi łukami, rzędem ustawiły się przed monarchą. Dowódca zatrzymał się zaskoczony.

– Przepuście, jestem posłem od wielkiego chana!

Zola stojąc za delegacją, krzyknęła:

– Jesteście grupą zbrojną, która może zagrozić tutejszemu monarsze!

Zaskoczony ataman odwrócił się ku niej.

– Uspokójcie tą kobietę! – krzyknął.

Dwóch ostatnich członków delegacji ruszyło na nią z nagimi szablami. Nim się zorientowali, wywrócili się z krzykiem, mieli podcięte golenie.

– Odpowiesz za to, kobieto!

– To ty odpowiesz. Uderzyłeś zbrojnie na obstawę tutejszego chana.

– Mam list od kaana, taka przesyłka wymaga obstawy.

– Czy jesteś chanem? – spokojnie spytał Hulagu.

– Jestem posłem kaana.

– To nie upoważnia ciebie do prowadzenia zbrojnych bojowników do mojego tronu. Jeżeli myślałeś, że list wymaga ochrony, to ci żołnierze mogli poczekać przy drzwiach. W mojej obecności wystąpiłeś zbrojnie przeciw dowódcy mojej ochrony. Nie jesteś upoważniony, by wydawać polecenia tym kobietom, tylko ja mogę. Wiele rzeczy będziesz musiał mi wyjaśnić. Nie mówiąc o tym, że zakłóciłeś audiencję, nie ustawiając się w kolejkę.

– Twój brat, Mongke, nie żyje. Wielkim chanem jest Aryk Boge, on każe ci z wojskiem stawić się w Karakorum. Ja jestem jego zaufanym wysłannikiem.

– Nie jesteś chanem, a ja jestem dziedzicem Czyngischana. Nie masz prawa mi rozkazywać. Oddasz broń tym paniom i podejdiesz do mnie przekazać list...

Innych gości poproszono o opuszczenie sali. Dowódca armii wyprowadził wojowników z delegacji. Zola wyznaczyła cztery dziewczęta, aby wyniosły rannych i nałożyły im opatrunki. Na miejscu została świta chana, Zola z obstawą oraz poseł.

– Kim jesteś, że czułeś się tu taki pewny? – spytał Hulagu.

– Moją żoną jest córka Aryka Boge.

– Możesz z teściem rozmawiać spokojnie, ale ja mam prawo ciebie zabić, jeżeli uznam to za stosowne. Jesteś zwykłym dowódcą, nikim więcej.

Wytłumacz, czemu w trakcie wojny mam zawracać swoje zastępy, by jechać do Karakorum.

– Jak powiedziałem, panie, twój brat nie żyje, na jego miejsce wyznaczono Aryka Boge. Z tą nominacją nie zgodził się kubijan Chińczyków. Armie idą na siebie, będzie wojna domowa.

– Pokaż list!

Wojownik wyjął zza pazuchy spory rulon papieru i wręczył go chanowi. On złamał pieczęć, przejrzał treść wzrokiem i oddał dokument swemu przybocznemu. Odprawił całą świtę, oprócz przybocznych i obstawy.

– Co kazałaś zrobić z tymi rannymi? – spytał Zoli.

– Mają połamane golenie. Dziewczęta nałożą im opatrunki i usztywnią nogi. Nie wiem, gdzie mogę ich zostawić.

– Niech dziewczęta tu przyjdą, nie chcę, by ktoś je o cokolwiek wypytywał. Ty – wskazał na jednego przybocznego – przekaz rannych dowódcy straży pałacowej i szybko wracaj.

Usiedli przy biesiadnym stole. Dziewczęta skupiły się przy jednym rogu.

– Zolu, usiądź bliżej mnie! – zdecydował chan. – Przypuszczalnie w najbliższym czasie twoje podwładne będą nagabywane o zakres waszych obowiązków. Czym mniej będą wyjaśniać, tym lepiej. Postąpiłyście słusznie, zatrzymując zbrojną delegację. Podkreśliłyście moją władzę. Ten poseł ma na imię Zagar. Niby nic sobą nie reprezentuje, jednak przybył tu z półtora tysięcznym oddziałem, a do miasta wjechał z dwiema szablami. Reszta najprawdopodobniej rozjechała się po terenie, zbierając informacje o mojej armii. Ja wyruszając tutaj, zabrałem prawie wszystkie siły wielkiego chana. Minęło kilka lat i Mongke najprawdopodobniej odtworzył hufce, jednak w zeszłym roku umarł, kaanem został Aryk Borge. Od początku mianowania

dochodziło do niesnasek, prawdopodobnie armia uległa podziałowi. Wódz zwołuje zastępy z terenu, by przeciwstawić się Chińczykom. Wielki chan jest z mojej rodziny, powinienem jechać, ale jak wycofam wojska, to na te tereny ruszą mamelucy. Co mam zrobić?

– Należy wypytać Zagara, jaka sytuacja panuje w Karakorum – odpowiedział doradca.

– Nic nie odpowie, dopóki nie zorientuje się w sytuacji militarnej. Na pewno ma kilka innych listów, ale wręczy dopiero, jak będzie wiedział, jakim wojskiem dysponuję. Skoro teść go do takich decyzji upoważnił, to jest on człowiekiem niebezpiecznym. Drugi list o odpowiedniej treści może być mi wręczony złośliwie.

– Powinieneś zabezpieczyć teren. Dotyczy to Bagdadu i Syrii – stwierdziła Zola. – Nim dojedziesz do Karakorum, tamta wojna może być już rozstrzygnięta, a tutaj tereny zaleją mamelucy. Na razie wszedłeś na teren, ale go nie opanowałeś. Po twierdzach ukrywa się pełno Turków. Wycofując się teraz, zaprzepaścisz całą kampanię.

– Obecnie losy imperium rozstrzygają się daleko na wschodzie. Zagar może wyjechać i oczernić mnie przed teściem...

– Zrób z niego swego doradcę – przerwała mu Zola. – Jak wyjdzie coś złe, będzie to вина złego doradzania.

Chan roześmiał się, udzieliło się to również jego towarzyszom. Gdy się opanował, powiedział:

– Teraz wiem, co miał na myśli twój król, mówiąc o twojej wszechstronnej przydatności. Dzisiaj z koleżanką i dwoma mężczyznami będziesz na kolacji, wszyscy mają was zauważyć. Jutro po śniadaniu wyjeżdżamy w teren, zabierzesz swoje tabory, prawdopodobnie nie wrócisz...

– Nie mam żywności na drogę – przerwała mu wypowiedź.

– Załatwię wam dodatkowy wóz, ale nie będziesz podróżowała sama. Dzisiaj dziewczęta niech nie wychodzą na miasto.

Na kolacji było więcej gości niż zwykle. Zola, jak poprzednio, usiadła przy emirze Damaszku. On zwrócił uwagę na Hamel Ahata, który siedział po jej drugiej stronie.

– Przecież to był jeniec chana. Gdy byli z wykupem, doradca Hulagu powiedział, że już go nie ma, ponieważ odsprzedali go komuś innemu. Jesteśmy na biesiadzie u chana, a ten człowiek siedzi tu wolny?

– Ja go wykupiłam i obdarowałam wolnością, teraz jest moim doradcą.

– Pani ciągle zaskakuje. Ja do pani też powinienem być wrogo nastawiony, a rozmawiam jak z przyjacielem. On, jako wolny człowiek, powinien uciec do swoich, jednak pilnuje się pani.

– Od dziesięciu lat szanujemy siebie, mimo że byliśmy we wrogich obozach. Jestem bojowniczką, to mój zawód. Z drugiej strony też są bojownicy. Każda ze stron idzie na pole bitwy, by reprezentować interesy swojego dysponenta. Nigdy jednak ludzi z przeciwnej strony nie uważałam jako tych, których należy zlikwidować. Pole bitwy nie służy tylko zabijaniu, rozwiązuje się na nim problemy polityczne lub roszczenia terenowe. Jeżeli można to załatwić bez boju, to nie należy sięgać po miecze.

– Zawiała filozofia, ale moi ludzie z Bejrutu i innych miast zachowali dzięki niej życie.

Zamiast odpowiedzi, uśmiechnęła się. Turek chciał jeszcze coś powiedzieć, przerwał mu jednak głos chana:

– Spotykamy się dzisiaj w powiększonym gronie, ponieważ nadchodzą nieuniknione zmiany. Przede wszystkim chcę wam przedstawić wysłannika z Karakorum, siedzącego przy mnie, Zagara. Przysłał mi bardzo ważne informacje od kaana. Biorąc pod uwagę, że ma najświeższe

wiadomości, mianuję go swoim osobistym doradcą. Będzie odpowiedzialny za przeorganizowanie armii.

Widząc minę mężczyzny, należało sądzić, że nie był o tym wcześniej powiadomiony.

– Ja mam inne zadania – bąknął.

– Nie poinformowałeś mnie o nich. Jesteś u mnie, podlegasz więc mnie. Czy coś przeszkodzi ci w wykonywaniu tej zaszczytnej funkcji?

– Nie – bezwładnie pokręcił głową w zaprzeczeniu.

Rano przy biesiadnym stole siedziało już trzech doradców, ale atmosfera była inna niż w poprzednich dniach. Śniadanie rozpoczęło się długotrwałą ciszą. Dopiero pod koniec posiłku Hulagu zabrał głos:

– Zagar, zbierzesz wszystkich swoich ludzi i skoszarujesz w jednym obozie, przy bramie miasta.

– Oni rozeszli się po innych oddziałach – odpowiedział poseł.

– Dlatego każę ci ich zebrać. Zrobiłeś coś niewybaczalnego, ludzie plotkują o zmianie na stanowiskach dowodzenia... Ty, Nagar, weźmiesz setkę ludzi i pojedziesz na południe. Zorientujesz się w siłach przeciwnika. Kinlon pojedziesz ze mną na północ. Dziś kolacji nie będzie, jutro spotykamy się tutaj przy śniadaniu.

Zajął się jedzeniem, nikt nie odważył się odezwać. Odsunął talerz i ujmując puchar, zwrócił się do Zoli:

– Wyjedziesz w południe. Dołączą do ciebie trzy setki wojowników. Obstawisz nimi Bejrut. Rozmawiałem z emirem i wiem o konieczności zachowania spokoju w mieście, dlatego moi ludzie rozłożą się obozami przy wszystkich bramach. Twoi marynarze mają ciągle utrzymywać port i flotę w gotowości. Obiecałem twojemu królowi, że tędy będzie przebiegał szlak przypraw. Ty po zabezpieczeniu portu możesz wracać na północ.

– Wyruszę niezwłocznie, panie – odpowiedziała.

Podróż powrotna zapowiadała się spokojnie. Pomimo wcześniejszej zapowiedzi wyjazdu, Hulagu czekał na nią za rogatekami miasta. Przekazał jej dwa wozy z prowiantem i przedstawił czterech dowódców.

– To jest Momeno, dowodzi całą szablą. Ci trzej to setnicy. Przedstawisz ich władzom miasta i swojemu admirałowi. Momeno umie rozmawiać w mowie Ormian i to jemu przekażesz zwierzchnictwo nad marynarzami, naturalnie będzie kontaktować się tylko z dowódcą. Ja wycofam się z częścią wojska do Bagdadu. Przewiduję, że pierwszą bitwę z mamelukami na tym terenie przegramy. Jak rozegra się wojna o Syrię, zależy od wielu rzeczy.

– Czy mam tu wrócić? – spytała.

– Przypuszczam, że nie wrócisz tu, ani do swego króla... Powiadom go jednak o zaistniałej sytuacji.

Pokręciła głową.

– Chyba nie powinnam nic mówić, poza słowem dziękuję.

W odpowiedzi uśmiechnął się.

Zola razem z Wilamem, Karle oraz Hamelem wyforowali się do przodu. Zastanawiali się, czy trzysta bojowników jadących za nimi, to ich obstawa czy wrogowie.

– W zasadzie, czemu oni jadą z nami? – spytał Wilam.

– Bejrut, to jedyne miejsce, w którym mamelucy mogą zorganizować inwazję drogą morską. Pozostałe wybrzeże jest obstawione przez państewka krzyżowców. Bejrut był turecki, należy się spodziewać, że tędy przepływają informacje i szpiegzy. Hulagu zdaje sobie sprawę, że musi tu zabezpieczyć wiele rzeczy, aby móc wrócić.

– Nie zapominajmy, że w posiadaniu Turków pozostało miasto Baniyas i port Sydon, to mogą być twierdze z wieloma bojownikami – powiedziała Karle.

– Wojsko idące z nami powinniśmy uważać za nasze wsparcie – odpowiedziała Zola.

Jakby na potwierdzenie tych słów podjechał do nich Momeno.

– Pomyślałem, że będziemy podróżować kilka dni i najlepiej teraz wszystko omówić, zamiast potem tracić czas. – Widząc ich zdziwione miny, spytał: – Nie przeszkadzam?

– Wprost przeciwnie – zareagowała Zola. – Powinniśmy wiele sobie wyjaśnić...

– Też tak pomyślałem – powiedział. – Chan bardzo panią ceni, choć znacie się krótko. Ostrzegł mnie, bym nie naraził się pani Zoli, ponieważ ona ma znajomości w całym rejonie.

– On rzeczywiście dużo wie – roześmiał się Wilam.

– Wczoraj po kolacji wypytywał nasze dziewczyny – stwierdziła Karle.

– Ciągnął za język, skąd znamy Hamela i emirów.

– Hulagu-chan wie o wszystkich wszystkim – włączył się ponownie Momeno. – Ma niesamowitą pamięć. Jeszcze przed dotarciem do Persji znał z imienia wszystkich starszych dowódców.

– Długo pan mu służy? – spytał Wilam.

– Od samego początku. Wyruszyłem z tysiącem bojowników, teraz zostali ci, którzy idą za nami.

– Duże straty – włączył się Hamel.

– W Persji napadli nas w nocy. Udało im się zdjąć wartowników i potem mordowali bezbronnych. Zorganizowaliśmy obronę, z napastników nikt nie przeżył.

– Wyciął pan ich w pień? – spytała Karle.

– Nie wycinałem! Walczyłem do ostatniego! – odpowiedział ostrym tonem.

– Proszę się nie obrażać – zareagowała Zola. – Przy zaskoczeniu wroga bywa różnie. Choć muszę przyznać, nie zdarzyło mi się, abym bój kończyła bez jeńców.

– To była noc i ganiałiśmy się po ciemku. Bronili się spanikowani ludzie, a potem ganiłi w ciemnościach wroga. Prawdopodobnie wielu uciekło.

– Tutaj też trzeba uważać, po drodze możemy napotkać Seldżuków, nie wszystkie miasta poddały się. Sąsiedni port również jest twierdzą, ale moim zamysłem było utrzymać ten region bez wojny. Bejrut powinien zapewnić pracę portu, który jest nam potrzebny. Marynarze już dosyć szkód tam dokonali, mam nadzieję, że pan utrzyma swoich wojów przed rozbojami.

– Taki był zamysł chana. – Momeno uśmiechnął się. – Powiedział, że bez zatargów wprowadzi mnie pani do władz miasta. Będę miasta bronił, a nie wymuszał porządek. Hulagu-chan prowadzi bezwzględne wojny, ale szanuje spokój. Od chwili, gdy wszedł do Damaszku, ustały wszelkie zatargi. Co prawda zajął połowę pałacu emira, to był jednak jedyny przymus, jaki wykonał. Mieszkańcy nie zauważyli zmiany, ponieważ rządzą nimi ci sami ludzie.

– Emir Damaszku ma odmienne zdanie – powiedziała Zola.

– Został pokonany, na pewno dobrze nie wypowiadał się o chanie.

– Zaskoczę pana, nie powiedział na temat Hulagu złego słowa. Uważał jednak, że nie potrafi zarządzać.

– Chanowie mają sobie podległych. – Dowodząca był rozbawiony. – Ich sułtani również nie umieją zarządzać.

– Ma pan rację — włączył się Wilam. – Królowie również mają swoich kanclerzy.

Podróż nie sprawiała żadnych kłopotów. Na czele kolumny jechało zazwyczaj pięć osób.

Będąc milę od miasta, zatrzymali się. Wcześniej Zola wysłała dwie dziewczyny, aby powiadomiły władzę o ich przybyciu. Do grodu udała się piątka prowadzących i trzech dowodzących setników. Przy bramie oczekiwały wcześniej wysłane kobiety.

– Powiedzieli, że zechcą was przyjąć w całym składzie rady. Jest popołudnie, wszyscy się rozeszli. Proszę o oczekiwanie, aż się zbiorą – zakomunikowały.

– Mam nadzieję, że pałacu nie zamknęli. Usiądziemy w sali narad i poczekamy.

Rada miasta zebrała się szybko. Jedynym ich zmartwieniem było zapewnienie spokoju w mieście. Gdy dowiedzieli się, że żołnierze będą obozować pod miastem, ich obawy ustały.

– Pani Zolu, mam nadzieję, że dopilnuje pani tych ustaleń – powiedział burmistrz.

– Mnie nie będzie, ale możecie kontaktować się z tym człowiekiem – wskazała Momeno. – Najlepiej, jak go włączycie w skład rady.

– Na pani polecenie włączyliśmy do rady pana Dzonchina.

– Pan Dzonchin prawdopodobnie pojedzie ze mną.

– Szkoda, był bardzo przydatny.

– Wiem o tym, dlatego go zabieram.

Nim dojechali do portu, Zola wysłała dziewczęta do sąsiedniej zatoki, aby poleciły kapitanowi Lepardowi przygotowanie okrętów do wypłynięcia.

U nabrzeży portu zastali przycumowane trzy okręty, w tym jednostkę flagową. Reszta floty była zakotwiczona w basenie, kilkanaście kroków od

brzegu. Zola z dowódcami Mongołów weszła na jednostkę flagową. Gości zaprowadziła do swojej kajuty. Dyżurującej dziewczyny spytała o stan oddziałów.

– Nie wesoło jest pilnować admirała, ciągle coś kombinuje, a pomysłów ma bez liku. Jednego marynarza Pire zaszlachtowała. Chciał otworzyć luk balastowy na trzecim okręcie. Miał przy sobie napiętą kuszę, broniła się. Do tej kajuty też kilka razy usiłowali się włamać, najpierw admirał wysyłał marynarzy, by nas wywołać. Od twego wyjazdu była tu ciężka służba.

– Miałaś informacje ze statków Leparda?

– Przyjeżdżała Jana. Sprzedała nasze konie i twierdziła, że ma kupców na wasze. Nie skarżyła się, więc tam wszystko gra.

– Czemu Hawel odsunął flotę od brzegu?

– Nie wiem, może myślał, że dziewczyny z tamtych okrętów zejda na ląd.

– Ja już tu zostanę, możesz zejść i wyspać się w łóżku. Jutro ruszamy do zatoki.

– A dziewczyny z tamtych statków?

– Karle je ściąga.

– Tamci majtkowie dostaną się do skrzyń!

– Wszystkie szalupy będą stały tutaj, nikt tych skrzyń tu nie przywiezie.

– Przekazą informacje chorągiewkami.

– Hawel nam nie powie, że w tamtych skrzyniach były pilnowane kamienie. Będzie się bał przyznać, że ktoś do nich zaglądał. A właściwie gdzie on jest?

– Siedzi w karczmie. Pije gorzałkę i zabawia się z tamtejszymi dziewczynami. Jak kazałaś go sprowadzić, to zaraz go przyprowadzą, ale nie

wiem, czy będzie nadawał się do dyskusji. Chociaż nawet pijany orientuje się, co mówi.

– Idź, odpocznij. Ja muszę przedstawić mu tych panów.

Po wyjściu dziewczyny, Momeno spytał:

– Zauważyłem, że z każdą podwładną rozmawia pani bezpośrednio.

Nie boi się pani, że któraś zechce sięgnąć po pani stanowisko?

– Tego najmniej się boję. – Zola uśmiechnęła się. – Każda z dziewcząt wie lub powinna wiedzieć to, co ja myślę. Wszystkie w każdej chwili mogą mnie zastąpić.

– Żeby wszyscy monarchowie mieli takie poglądy jak pani, to Hulagu nie musiałby wracać do Karakorum. – Mężczyzna się zaśmiał.

Hawel przyszedł dopiero za godzinę. Zola przedstawiła mu dowódców, stwierdzając, że w imieniu Hulagu-chana oni teraz tu dowodzą. Zakomunikowała o swoim jutrzejszym wyjeździe i zażądała rano listu do króla.

– Jeżeli pan nic nie napisze, to będzie musiał czekać na inną okazję – powiedziała. – Jutro przed południem wypływam ze wszystkimi przesyłkami dla króla...

Nie czekając na pytania, wyszła na zewnątrz. W najbliższym magazynie usiadła przy oknie, obserwując okręt i wejście do swojej kabiny.

Dowódcy mongolscy opuścili statek po niecałym kwadransie i skierowali się do miasta, admirał jednak nie wychodził. Po kilku chwilach ruszyła z powrotem na okręt. W kabinie przyłapała Hawla, jak przeszukiwał jej szafki. Na koi stała otwarta skrzynka, w niej na dnie leżały dwie złote monety.

– Co pan tu robi?! – krzyknęła oburzona.

Nie poczuł się zaskoczony, raczej był wściekły.

– Gdzie jest złoto? Król polecił zarekwirować pani złoto na potrzeby wojny.

– Żebyś wiedziała, to bym mu oddała, aby nie wozić go w obydwie strony.

– Oszukujesz, kobieto, tu nie ma żadnego złota.

– Jak nie ma, przecież wiele skrzyń ładowaliśmy na statki.

– Durnia chcesz ze mnie zrobić? W tamtych skrzyniach były kamienie, kazałem je powyrzucać do morza.

– Coś ty zrobił?! Zaraz ci pokażę! Narozrabiałeś, durny człowieku! Z szuflady wyjęła trzy kamienie wielkości kurzego jaja. Z wyglądu przypominały zlepieńce, jakich mnóstwo leżało w okolicach wulkanów. W kącie stał młotek. Rozbiła jeden kamień, ze środka wypadła chińska złota moneta. W pozostałych kamieniach było to samo. Zebrała stłuczki skalne i przez okno cisnęła do morza.

– Więcej nie mam – powiedziała. – To, co miałam w skrzynce, wypłaciłam ludziom na żołd. Możesz zabrać te pięć monet, a ja powiem królowi, co zrobiłeś z pozostałymi.

– Przecież miałaś nie wracać do Cylicji?

– Zaistniały niespodziewane okoliczności. Ja wracam, a ty zostajesz. Masz bronić tego portu przed Turkami i mamelukami. W przyszłości, jak uda się ograniczyć wpływy egipskie, będzie to główny port przypraw... – Zamyśliła się chwilę. – Teraz może pan iść. Jutro przy śniadaniu czekam na listy do Sis.

Do zmroku poświęciła czas na pisanie listów. Od początku planowała wrócić do miasta, była umówiona ze strażą bramy, by przepuszczono ją w nocy. Za bramą portu zauważyła ruch przy pobliskim krzaku. Za mały, aby ukrywała się w nim większa liczba ludzi. Jasna noc robiła ją widoczną

nawet z dużej odległości. Wyjęła łuk i trzy strzały, trzymając w lewym ręku, szła śmiało do przodu. Gdy mijała krzak, panowała cisza, ale wiedziała, że jeżeli go minie, przyczajeni ludzie zaatakują od tyłu. Po przeciwnej stronie drogi, w odległości nie większej niż pół mili, zarysowywał się cień obozu Mongołów. Mogłaby skierować się w tamtą stronę i próbować uciec, ale nie dowiedziałyby się, kto na nią czatuje.

Zrobiła trzy kroki, gdy usłyszała szuranie gałęzi. Odwróciła się i przyklęła. W jej kierunku biegło dwóch napastników. Przy krzaku mierzył do niej mężczyzna z kuszą. Tam poleciała jej celna strzała, by uniknąć nadlatującego bełtu, musiała się wywrócić. Dwóch nadbiegających było blisko. Sięgnęła po miecze. Byli słabymi przeciwnikami, zaraz padli z rozbitymi głowami, nie żyli. Spokojnie podniosła łuk i podeszła do krzaka. Ranny chciał się ukryć, jednak robił to zbyt wolno. Przystawiła mu strzałę do karku.

– Traciecie życie, wykonując nierozsądne rozkazy swego admirała. Co mieliście zrobić?

– Kazał panią zabić, a zwłoki porzucić przy mongolskim obozie.

– Powinnam ciebie zabić. Tamci nie żyją – wskazała za swoje plecy. – Jak będziesz miał okazję, to powiedz kolegom, aby zastanawiali się, jakie rozkazy wydaje wasz dowódca. Teraz odpocznij, nie wyjmuj grotu. Rano poproś jakąkolwiek moją dziewczynę, to opatrzy ci ranę.

Zdarzenie popsło jej i tak nie najlepszy nastrój, ale w objęciach Hamel Ahata usnęła spokojnie.

Gdy się obudziła, siedział na brzegu łóżka, przyglądając się jej.

– Szczęście, że ciebie wykupiłam – mówiła z uśmiechem.

– Nie wiem, jaki los mi ciebie zesłał, ale pójdę za tobą na koniec świata.

– Tam gdzie chcę płynąć, ludzie myślą inaczej. Trzeba zapomnieć z kim walczyliśmy i przeciw komu.

– Może nadszedł czas, by zapomnieć o wszystkich wojnach. Wyciągaliśmy broń tam, gdzie nam kazano. Czas bronić siebie i naszej miłości.

– Pozwolisz mi się modlić po swojemu?

– Twierdziłaś, że wierzymy w tego samego Boga...

Admirała już nie widziała. Gdy w kabinie pakowała swoje rzeczy, wszedł marynarz, przekazując jej zapieczętowaną tubę z listami, na której widniał adres: „Kanclerz Królestwa Cylicji”. Dziewczęta wcześniej się oporządziły, czekały na nabrzeżu z jej koniem. Za portem dołączyli do nich Wilam, Hamel i Dzonchin.

Wieczorem w zatoce, gdzie stacjonował statek kapitana Leparda, zorganizowano uroczystą kolację, która zamieniła się w wielką biesiadę, podczas której opowiadano wesołe historyjki. W trakcie opowiadania przez Zolę o rozbijaniu przy Hawlu kamieni ze złotem, było dużo śmiechu.

– Nie rozumiem, z czego się śmiejecie? – spytał Hamel.

– Ponieważ w skrzyniach były najprawdziwsze kamienie – wyjaśniał Dzonchin. – Dziesięć chińskich sztabek zalepiliśmy w mieszaninę żywicy. Wyglądały jak kamienie i dla złodzieja nie były łasym kąskiem. Król chciał zarekwirować złoto w przypadku, gdyby kobiety włączono do mongolskiej armii. Hawel miał prawdopodobnie inne przeznaczenie dla tego majątku. Do głowy mu nie przyszło, że dziewczyny pilnują skrzyń z kamieniami.

– Mówiliście, że zatopiliście dziesięć takich monet, a Zola rozbiła trzy. Co się stało z resztą? – Hamel okazywał niedowierzanie.

Zola bez słowa wstała i poszła do swego namiotu, za chwilę wróciła z kamieniem w ręku.

– Przyjrzyj się! – Wcisnęła partnerowi zlepieniec.

– Takie kamienie można znaleźć na pustyni. Są kruche, ale to tylko kamienie.

– Rozbij go! – poleciła.

Całe towarzystwo buchnęło śmiechem, gdy z kamienia wyleciała złota sztabka.

– Skrzywdziłaś człowieka –mówił z poważną miną Hamel. – On na pewno od rana próbuje nurkować w basenie, poszukując zatopionych kamieni.

Śmiech się nasilił...

Rano przyjechali kupcy po konie, gdy dobijano targu, Leopard odciągnął Zolę na bok.

– Pani, na statkach nie będzie ciasno, ale może będzie trzeba pomagać przy linach.

– Dziewczyny na pewno pomogą.

– Powinienem wiedzieć, kto będzie płynąć, na którym statku. Na każdym jest tylko jedna wolna kabina, reszta będzie musiała spać pod pokładem na hamakach. Dzisiaj pan Dzonchin powiedział, że nie popłynie do Europy...

– Jemu co się stało? – przerwała kapitanowi i zaczęła się rozglądać za sekretarzem.

Stał przy koniach. Ruszyła w jego kierunku.

– Zmienia pan zdanie? – spytała.

– Przepraszam panią, to naszło mnie w nocy. Nawet wśród was jestem obcy. Nie wiedziałbym jak islamista ma się zachować w europejskich krajach.

– Hamel też wyznaje islam, a jedzie z nami.

– Hamel Ahat wyznaje arabski islam, a ja perski. Wszystko jest takie samo, ale to różne zwyczaje. Poza tym w Anazarbie zostawiłem w biurze cztery kalekie kobiety. Nie przyjechały tu z panią, ponieważ byłyby nieprzydatne dla chana. Wiem, że to chrześcijanki, ale chciałbym się nimi zaopiekować. Pomimo fizycznych niedoskonałości są silne i mądre. Każdy muzułmanin chciałby mieć takie żony. Przy nich nie bałbym się starości.

Zola uśmiechnęła się. Była zadowolona z jego decyzji.

Do popołudnia ładowano okręty. Na dziobie każdego zamontowano armatę. Zabrano również osiem wozów. Obsadę pasażerską podzielono już wcześniej. Na pierwszym statku płynął Leopard i dwóch oficerów. Dołączył do nich Wilam, zamieszkał w jednej kajucie z kapitanem. Kabinę na drugim statku zajęła Zola z Hamelem, a na trzecim Jana z Karolem. Wolne kabiny na pozostałych dwóch statkach dziewczęta dzieliły między sobą.

Do załadunku dużych jednostek potrzebny był mały statek, jednak jeszcze przed wieczorem wypłynął nim Dzonchin z listami do Cylicji. Flota pięciu okrętów wypłynęła z zatoki już po zmierzchu. Porę tę wybrał Leopard.

– O ile znam Hawla, to zechce przechwycić nasze okręty. To inteligentny człowiek i tak szybko na pani złote kamienie nie dał się nabrać – tłumaczył. – Przygotuje pięć okrętów z pełną załogą i przejmą nasze jednostki abordażem. W nocy będziemy mieli szansę im uciec.

– Nie tak prosto zdobyć nasze pokłady, moje dziewczęta nie miałyby kłopotów z jego marynarzami – odpowiedziała Zola. – Poza tym mamy armaty, kula rozbije im burtę.

– On nie będzie na nic uważał. Stracić tysiąc ludzi, to dla niego nie pierwszozna, została urażona jego ambicja i tylko to się liczy.

– Czy on wie, że my chcemy płynąć na zachód?

– Przypuszczam, że wie. Jego majtkowie mieli polecenie podsłuchiwać każdą rozmowę dziewcząt.

– Skąd pan o tym wie?

– Wmieszałem kilku swoich ludzi między jego marynarzy – mówiąc to, zaśmiał się.

Niebo było pogodne, łatwo było wyznaczyć kierunek kursu. Kapitan zakazał używania otwartego ognia, nie można było zapalić nawet świeczki w kabinie. Południowo-wschodni wiatr pozwolił na łagodne opuszczenie zatoki. Księżyc się nie pokazał, jedyne światła dostarczało rozgwieżdżone niebo.

Lepard przeszedł na okręt Zoli, uznał tę jednostkę za prowadzącą przy opuszczaniu brzegu. Stała z nim na mostku, wpatrując się w mrok. Przy wyteżonym wzroku można było dostrzec cienie pozostałych okrętów. Na zachodzie, daleko przed nimi, niebo zachowało jeszcze poświatę odchodzącego wieczoru, dzięki czemu wyraźnie odbijał się kształt głównego żagla.

– Hawel jest na południu, tak jak się spodziewałem – powiedział kapitan.

Odwróciła głowę w lewo.

– Nic nie widzę – odpowiedziała.

Ujął jej rękę i skierował lekko w tył.

– Spójrzy pani w kierunku swojej ręki – zaproponował.

Nie miała trudności z dostrzeżeniem migającego światełka. Za moment, bliżej brzegu zobaczyła drugi błysk i zaraz trzeci.

– Jak daleko są od nas? – spytała.

– Trudno określić, przypuszczam, że około dwóch mil. Proponuję odbić w kierunku Cypru. Jak nie popłyną za nami, rano nie będzie ich widać.

– Pan jest specjalistą, ja nie podejmę żadnej decyzji...

Lepard pałką uderzył dwa razy w balustradę, wywołując ciche stuknięcia. Za moment taki sam odgłos doleciał z sąsiedniego statku, a potem z dalszych. Pomału zaczęli skręcać na prawo. Lekki wiatr od rufy wypełnił żagle, zaskrzypiały liny.

– Może pani iść spać – stwierdził kapitan. – Do rana nic się nie wydarzy. Nawet jak nas odkryje i popłynie za nami, to po ciemku nie zaryzykuje ataku.

Do kabiny dotarła po omacku, potykając się o wystające przedmioty. Dłuższy czas stała przy oknie, które wychodziło na rufę. Daleko na horyzoncie zobaczyła znajomy błysk światełka.

– Czemu tam stoisz? Chodź spać – zaskoczył ją Hamel.

– Myślałam, że śpisz – odpowiedziała. – Prawdopodobnie uciekliśmy wszystkim. Jesteśmy wolnymi ludźmi, ale nie wiem, co nas czeka...

Morze było spokojne. Zola doszła do wniosku, że zmienili kurs na zachód. Kapitana nie było widać.

– Rano przeszedł na swój okręt – wyjaśnił sternik.

– Jak to przeszedł? Między burtami jest z pięćdziesiąt kroków.

– Woda spokojna. Nad ranem zbliżyliśmy się na tyle, żeby między statkami położyć trap.

Przy sterniku pojawił się oficer. Spytała o rozkład zajęć.

– Wiatr jest sprzyjający i do południa nie zmieni się – odpowiedział. – Myślę, że możemy zażywać spokoju.

Przeszła z Hamelem na dziób statku, nie było tu nikogo. Po niebie płynęły pojedyncze obłoki. Usiedli na łożu armaty, zwróceni w kierunku południowym, wpatrując się w bezgraniczny horyzont. Morze migało niezliczoną ilością światełek, odbitych od promieni słońca. Czym dalej, tym błysków było więcej, a przy samym horyzoncie zamieniały się w jedną,

jasną linię. Na zachodzie smuga ta nabrała koloru szarości, jakby zamieniając się w pas mgły.

– Płyniemy w nieznane. Ja zdecydowałam i ciągnę za sobą dziewczęta i ciebie – odezwała się Zola.

– Jestem niewolnikiem, płynę tam, gdzie ty chcesz – zaśmiał się radośnie.

– Możesz uciekać – zachnęła się.

– Wiesz, że żartuję. – Poglądził ją palcem po policzku. – Dogoniło nas niebывałe szczęście. Cieszymy się nim.

– To prawda, przez tyle lat beznadziei, teraz zaświtało jakieś światełko na przyszłość. Dziesięć lat temu ty i Azabaj odeszliście, a ja zostałam z mieszaniną wojska, które trudno było mi ogarnąć. Całe szczęście trafiłam na Wilama, pomógł mi to uporządkować.

– Umiałas rządzić, byłaś stanowcza i bezwzględna.

– Miałam dziewiętnaście lat. Żeby nie wspaniałomyślność Azabaja, byłabym zaszczutą dziewczyną.

– Wyrośłaś ponad przeciętnego bojownika. Już wtedy stałaś się monarchinią. Wszyscy ciebie szanowali, nawet ci, którzy przyłączyli się do mnie. Pytałem o ciebie jednego dowódcę, powiedział, że Azabaj przyjmował bezkrytycznie wszystkie twoje decyzje. Oni nie mieli takiego posłuchu u wodza.

– Przyłączyć się do mnie nie chcieli.

– To Mongołowie i Turcy. Obyczaj nie pozwalał im służyć kobiecie. Nie mieli żywności i złota, ale zawierzili mi, jako doświadczonemu dowódcy. Był drugi powód: byłaś zabójczynią ich emira, bali się służyć w oddziale zdrajców, wybrali mniejsze zło, czyli mnie.

– Wtedy byłeś głównym złem, tym, który przekupił Muzaboka.

– Nie ja go przekupiłem, byłem wykonawcą decyzji moich dowódców.

– Ostatnio byłeś mniej posłuszny. Słyszałam o niewykonaniu rozkazów.

– Zabłądziłem w terenie. Kazali iść na północ, ja poszedłem na wschód – roześmiał się.

– Czemu tak postąpiłeś.

– Jakaś nieuczciwa dusza ukradła twoje listy i pokazała je Bajbarsowi. Sułtan wysłał mnie do Aleppo, bym pokonał ciebie na polu bitwy. Wykorzystałem zamieszki Saracenów i skierowałem się na wschód. Wiedzieli, że umyślnie zaniechałem wykonanie rozkazu.

– Coś nas łączy, jesteśmy nieposłuszni swoim władcom i teraz uciekamy w nieznane. Jak damy rady w kraju, którego języka nie znamy?

– Nie umiesz mówić po europejsku?

– Europa podzielona jest na małe kawałki. W każdym mówią swoim językiem. My pojedziemy do niemieckiej unii.

– Każdy będzie cię szczuł, jeżeli nie będziesz umiała się porozumieć.

– Trochę rozumiem. Wilam jak miał czas, to nas uczył. Niektóre dziewczęta umiały się dogadać z niemieckimi zakonnikami. Ja znam bardzo słabo.

– Jak długo będziemy płynąć?

– To zależy, ale na pewno kilkanaście dni.

– To sporo czasu, niech Wilam was uczy.

– Dziewczęta są na różnych statkach.

– Kapitan zmienia statki, czyli i wy możecie.

– Masz rację, trzeba porozmawiać z naszym oficerem...

Kapitan był bardzo zainteresowany propozycją. Zaproponował również, by lekcjom przysłuchiwali się jego majtkowie.

– Marynarz musi mieć jakieś zajęcie, w czasie bezczynności łatwo zgłupieć.

Słowa kapitana były prorocze, kobiety już po pierwszym dniu na okrętach stawały się drażliwe. Nauka niemieckiego była prostym sposobem na zaradzenie monotonii. Wszystkie dziewczyny podeszły do tego z entuzjazmem, nawet Hamel zaangażował się w naukę. Na trzeci dzień rozciągnięto mosty linowe między okrętami, aby łatwiej było zmieniać pokłady jednostek.

Po ośmiu dniach od wypłynięcia, wiatr przybrał na sile i przyjął nieprzychylne kierunki. Morze rozhuśtało się, bujając okrętami. O zmianie statków nie było mowy. Wiele dziewczyn pochorowało. Po jednodniowej walce z żywiołem, kapitanowi udało się znaleźć schronienie w sycylijskiej zatoce. Okręty osłonięte od wiatru połączyły się burtami, postanowiono przeczekać burzę. Chodzenie po różnych pokładach poprawiło nastroje, ale rozluźniło dyscyplinę. Była propozycja zorganizowania wspólnej biesiady, lecz przeszkodził deszcz.

Wieczorem Zola z Hamelem i Wilamem siedzieli w kabinie, rozważając dalszą podróż, gdy niespodziewanie dotarła do nich Jana. Zaciekało ją, gdzie będą wysiadać na ląd.

– Ja nie wysiadę w Burgundii – zakomunikowała. – Popłynę z Karolem do Francji. Kapitan twierdzi, że zatrzyma się w Narbonne.

– Co będziesz tam robić?

– W okolicy Tuluzy jego rodzina ma majątek, chcę się z nimi spotkać, bo jestem w ciąży. Karol twierdzi, że ślub musi być pobłogosławiony przez jego rodziców.

– Rzeczywiście, nie masz wyjścia.

– Powinnam tam pojechać, ale to nie jest dla mnie dobre. Nie mogę się wykazać rodowym pochodzeniem, wszyscy moi krewni nie żyją. Najprawdopodobniej jego rodzina mnie nie zaakceptuje.

– Możliwe – włączył się Wilam. – Zostawię ci adres, pod którym będziesz mogła pytać o mnie. Będę wiedział, gdzie zamieszka Zola. W Niemczech w tej chwili rządzi Ryszard z Kornwalii i to on zadecyduje o losie oddziału Zoli. Mówię to na wypadek, jakbyś nie mogła mnie znaleźć. Urzędnicy dworscy będą wiedzieli, jaki dostały przydział.

– Kiedy przewidujesz poród? – zapytała Zola.

– Myślę, że na początku jesieni.

– Zazdroszczę.

– Nic straconego – uśmiechną się Hamel.

– Musiałbyś stać się chrześcijaninem. – Zola zrobiła poważną minę.

– Nie znam waszej wiary i całe swoje życie walczyłem z wyznawcami Jezusa.

– Kiedyś ojciec mi tłumaczył, że poszczególne kościoły ogłaszają swoje kanony zabraniające uczestniczenia w innych wyznaniach. Ludzie nie znają zasad postępowania innowierców, dlatego tak często dochodzi do wojen na tle religijnym – odpowiedziała Jana.

Zola dopowiedziała:

– Płyniemy do Europy, tam rządzą katolicy. Myślę, że niepotrzebnie przywiązujesz tyle uwagi do wyznania. Wszyscy wierzymy w tego samego Boga. To nie Bóg, a ludzie stworzyli religijne różnice.

EPILOG

1265 rok

Książę Pomorza z niecierpliwością oczekiwał gościa. Zastanawiał się, co może chcieć od niego kronikarz reprezentujący chana Złotej Ordy. Przecież ci Tatarzy na początku wieku doszli aż do granic Niemiec. Polacy jakoś ich zatrzymali, ale w walkę było zaangażowanych wiele innych państw. Pomorze również musiało wystawić chorągiew. Teraz wysłannik tego państwa przyjeżdża, udając, że jest przyjacielem. Nie rozmawiałby z nim, ale on posiadał list króla Ryszarda, który prosił, aby udzielono gościowi niezbędnych informacji.

Wszedł rosły mężczyzna w średnim wieku, ubrany w strojne szaty. Kłaniając się, skrzyżował ręce na piersi. Książę wskazał miejsce za stołem. Przyglądał się mu nic nie mówiąc, prowokując tym przybysza, aby jako pierwszy zabrał głos.

– Panie, uważasz nas zapewne za wroga, ponieważ za czasów Czyngischana walczyliśmy ze sobą. Teraz nie ma już wielkiego chanatu, a Złota Orda jest sąsiadem wielu królestw europejskich. To powód mojej obecności w waszym państwie. Chcemy poznać sąsiadów, by wiedzieć, co możemy im zaoferować i czego się spodziewać. Na interesujące mnie tematy dużo dowiedziałem się od waszego króla, który może jest w niełaskach, ale dzierży spadek po poprzednim cesarzu. On wyjaśnił sytuację waszego państwa, jednocześnie nadmienił o ciekawostce na księcia terenie. Powiedział o mieście rządzonym przez kobiety. W historii jest mało opowieści o kobiecych państwach czy plemionach. Teraz dowiaduję się o kobiecym mieście.

– O jakim kobiecym państwie pan mówi?

– Nad Morzem Czarnym istniało państwo Amazonek. Potem, gdy ludy północne i Achajowie nacisnęli na nie, Amazonki rozpierzchły się, tworząc wiele plemion walczących kobiet. Fakty na ten temat zacienia czas historii. Ja dotarłem jedynie do źródeł grackich. Mam powody uważać, że to nie fikcja, ponieważ w naszych czasach spotkałem się z kobietą, której wielki chan był skłonny powierzyć chanat Armenii...

– Mówi pan o emirze Zoli?

– Tak, panie, tak ją nazywali. Widzę, że słuch o niej dotarł aż tutaj.

– Nie informacje, a ona sama tu dotarła, zarządza miastem Przybrzeg. Gdy zgłosiła się do nas z propozycją objęcia władzy w tym grodzie, uznaliśmy ją z biskupem za nieroztropną. W mieście zasiedliła się banda handlująca niewolnikami. Byli dobrze zorganizowani. Wysłana tam chorągiew rycerstwa przepadła bez wieści. Nie wiedzieliśmy jak tych bandytów zlikwidować. Zola miała dwadzieścia cztery mizernie uzbrojone kobiety, jednego Saracena i znacznego rodu rycerza. Na domiar złego była pyskata i zwracała teologiczne uwagi biskupowi. Widziałem wyraz twarzy eminencji, zirytował się, ale nie dał tego po sobie poznać. Kiwnął mi głową, by jej pozwolić. Żaden z nas nie spodziewał się powodzenia jej działań. Mała grupa porywała się na przeciwnika, któremu nie sprostała nasza chorągiew. Wystawiliśmy im glejty zezwalające na przejęcie miasta, ale nie daliśmy wsparcia. One nie poprosiły o pomoc, a po miesiącu przysłały okręt po potrzebne im towary, informując przy okazji, o przejęciu miasta. Nie wierzyliśmy, dwa razy wysyłaliśmy szpiegów, za każdym razem donosili, że rządzą kobiety. Po dwóch miesiącach wysłaliśmy jednego z rycerzy. Wrócił z informacją, że panie są w dobrej komitywie z wielkim mistrzem Zakonu Krzyżackiego. Tym zmusili biskupa do wzięcia udziału w organizacji ich sakramentów bierzmowania. Uroczystości skończyły się ślubem Zoli z Saracenem, który jej towarzyszył. Wszystko byłoby dobrze, ale gdy jego

eminencja zwrócił uwagę, że jej niewolnicy również powinni być ochrzczeni, to mu odpowiedziała:

– Wszyscy wierzą, że Bóg jest jeden, nie będę na siłę nawracała ludzi na katolicyzm.

Nie muszę tłumaczyć jak eminencja odebrał taką uwagę. Pogłoski o tym się rozeszły. Zaraz znalazło się kilkunastu rycerzy, którzy pozywali ją na pojedynek, przeżyło tylko trzech.

Gość roześmiał się.

– Wasi rycerze przeciw tym kobietom? Wybacz, księżę, ale zupełnie nie pojmujecie, kim jest Zola. Naprawdę nie wiedzieliście, kto do was przyjechał. Mówiliśmy na nie zabójczynię Azabaja, bo on je stworzył. Dwóch wytrawnych bojowników na jedną, to jeszcze nie wyrównana walka. Znane są przypadki, że trzydzieści kobiet Zoli pokonało dwustu z gwardii Muzaboka. Zola ścięła głowę Muzabokowi na oczach jego armii i wszyscy bali się ją tknąć. Dokonała tego mając dziewiętnaście lat. Wyobrażam sobie, co teraz mogłaby zdziałać.

– Co ma pan na myśli?

– Że ci rycerze poszli na pewną śmierć. Miała tylko dwóch szlachetnych wrogów, których by nie skrzywdziła. Jeden to Hamel Ahat dowódca mameluków, drugi to emir Sadżagak z Aleppo, któremu ukradła armaty, ale ten już nie żyje.

– Zola wzięła ślub z Hamelem. Przyjęła imię Zofia i teraz nazywa się Zofia Ahat.

– To był szlachetny wróg. Jak do niej przystał?

– Wykupiła go z niewoli.

– To wszystko tłumaczy. Panie, jeżeli moja rada miałaby ci przynieść korzyści, to uczyni z Zoli szlachcica. Ten ród przysporzyłby ci chwały...

– Obawiam się, że taką decyzję wszyscy by krytykowali, a biskup by mnie nie pochwalił.

Bojowniczką jedynego Boga

Do rąk Czytelników oddajemy kolejną książkę Pawła Arciszewskiego. Znakiem rozpoznawczym Autora jest niezwykle barwny i plastyczny sposób przedstawiania swoich bohaterów i ich działań. W niniejszej powieści opisuje losy pododdziału ormiańskich kobiet walczących o przetrwanie w wielokulturowej rzeczywistości, oddając koloryt XIII-wiecznego Bliskiego Wschodu (zwłaszcza państwa Cylicji za panowania króla Hatuma), w okresie ostatniej krucjaty Ludwika.

Zola trafia w jasyr jako siedmioletnie dziecko. Po odebraniu starannego wykształcenia staje się bojowniczką mongolskiej armii. Gdy naczelny wódz zdradza chana, dochodzi do rozłamu zgrupowania wojsk. Wtedy ona zostaje dowódcą małej, ale wielowyznaniowej armii.

Wielorakość religii nie stanowi dla niej przeszkody w porozumiewaniu się z podległymi sobie ludźmi. Zola rozbudowuje bowiem w sobie ideę, że chrześcijanie, Żydzi i islamiści wierzą w tego samego Boga, dlatego grzechem jest zmuszać innych do swego wyznania. Po przyłączeniu się do Małej Armenii zdobywa uznanie jako wspaniały taktyk i strateg.

Powieść kończy się w okresie najazdu Mongołów na Syrię. Rozgrywki polityczne między chanem a królem Cylicji nastawiają Zolę negatywnie do pełnionej przez nią służby, postanawia więc uciec do Europy.

Historię tamtego okresu Autor przedstawił dosyć wiernie, choć wszystkie imiona wodzów tureckich są zmyślane. Naturalnie fikcją również jest istnienie żeńskiego oddziału ormiańskich bojowniczek.

Księstwo małej Armenii rozrosło się w XIII wieku. Za panowania łacińskiego władcy Hatuma przyjęło status królestwa. Po napadzie Dżin-Gis chana na Armenię w 1237 roku król Cylicji (to nowa nazwa Małej Armenii) postanowił zawrzeć ugodę z Mongołami, która została podpisana z bratem króla, Sabatem. On sam wrócił w 1250 roku, kiedy na stanowisku wielkiego chana nastąpiła zmiana. W 1253 roku król Hatum osobiście stawiał się w Karakorum, gdzie został przyjęty ze wszystkimi honorami.

W 1260 roku Halugu chan najechał Syrię, jednak szybko się wycofał. Ta sytuacja pozwoliła sułtanatowi mameluków na podbój całego Bliskiego Wschodu.

